

A composite black and white image. The top half features a large pyramid on the left and a camel on the right, both in a faded, semi-transparent style. The bottom half shows a hilltop town with a prominent church spire, also in a faded style. The overall composition is layered and artistic.

MAXIME CHATTAM

**KREW
CZASU**

CHATTAM MAXIME

Krew czasu

MAXIME CHATTAM

Z języka francuskiego przełożyła Joanna Kluza Tytuł oryginału: LE SANG DU TEMPS

Czytanie jest doświadczeniem bardzo osobistym. Szalonym przeżyciem rodzącym się ze spotkania. Uniesieniem, w jakie wprawiają czarne plamki na zawartych w papierze cząstkach drewna obrobionych przez umysł. Mózg, który chwytą i odczytuje słowa zgodnie z własną wrażliwością. Motorem każdej opowieści jest umysł czytelnika, a paliwem – jego wyobraźnia. Autor jedynie bardziej lub mniej plastycznie opisuje krajobraz i stara się, aby czytelnik nie zboczył z drogi.

Wszystko przecież opiera się na znaczeniu.

Zanim zostawię Cię sam na sam z tą książką, chciałbym podzielić się z Tobą własnym doświadczeniem czytelniczym.

Przez długi czas lubiłem czytać w absolutnej ciszy.

Potrzebowałem spokoju jakiegokolwiek bezosobowej nicości, aby w pełni napawać się dźwięcznym kataklizmem słów.

Później dokonywałem wysiłku. Wysiłku słuchania muzyki, aby czytać.

Muzyki symfonicznej. Początkowo tak naprawdę w ogóle mi się nie podobała, ale po pewnym czasie pomyśl ten jednak mnie urzekł. Odbieranie lektury to sprawa znaczenia. Muzyka zaś dokłada go pełnymi garściami.

Podczas czytania powieści we własnym domu, przy akompaniamencie płynącej wokół muzyki, albo w pociągu, ze słuchawkami od walkmana w uszach, albo nawet w miejscu pracy (na przykład w czasie przerwy obiadowej), z płytą kompaktową odtwarzaną z komputera - wszędzie działa magia wyobraźni.

Wierz mi, jeśli jeszcze nie miałeś okazji się o tym przekonać, powinieneś spróbować.

Przy upajającej muzyce już i tak niesłychana siła lektury wzrasta dziesięciokrotnie.

Ale nie przy każdej muzyce.

Wybór odpowiedniego tła muzycznego jest tak samo trudny jak decyzja o następnej książce, którą zamierzamy otworzyć.

Zazwyczaj podczas pisania odrzucam wszystko to, co mogłoby mnie rozpraszać i zakłócić mój obiektywizm (bez względu na to, jak bardzo byłby on kruchy). Przy tworzeniu tej powieści postąpiłem jednak inaczej... Z czystej ciekawości, aby się przekonać, jaki wywrze to na mnie wpływ.

Miałem szczęście – od razu odnalazłem WŁAŚCIWĄ muzykę dla powieści.

Albo to książka została zainspirowana jej brzmieniem.

Funkcjonuję dzięki muzyce filmowej. Jest doskonała. Skomponowana po to, aby udźwiękować obraz, jednocześnie go nie przyćmiewając. Oryginalne ścieżki dźwiękowe do

filmów powstają z myślą o tym, by się nimi dzielić, nigdy zaś nie narzucają się same – to idealny towarzysz lektury.

Oto kilka rad dotyczących wyboru płyt, jeśli przypadkiem zdecydujesz się po nie sięgnąć przy czekającej Cię lekturze. Wymaga to co prawda niewielkiego przygotowania, jestem jednak pewien, że doznania Ci to wynagrodzą.

Jeśli masz ochotę, jeszcze przed przeczytaniem pierwszego rozdziału postaraj się zdobyć ścieżkę dźwiękową do filmu *Osada*, skomponowaną przez Jamesa Newtona Howarda. Żeby wszystko było jasne: nie mówimy tutaj o filmie – nieważne, czy Ci się podobał, czy też wydał się okropny. Jego ścieżka dźwiękowa jest upajająca.

Płyta ta powinna stanowić idealne tło dla lektury mojej powieści. Słuchałem jej w kółko, dzień po dniu, podczas pisania części o Mont-Saint-Michel. Niezmordowanie.

Jeśli pragniesz zaspokoić swoją ciekawość i przeżyć przyjemne uniesienie, będziesz musiał zdobyć drugą płytę – do części o Egipcie. Uważam, że masz dwie możliwości: albo *Passion* Petera Gabriela (absolutna bomba), albo skomponowana przez Johna Debneya muzyka do filmu *Pasja*, której tajemnicze, arabskie w brzmieniu dźwięki powinny Cię zaprowadzić daleko, bardzo daleko w głąb tej osobliwej krainy zwanej wyobraźnią.

Wszystko już powiedziałem. Od tej chwili mój czytelniczy sekret jest Twoją tajemnicą.

Co do mnie, muzyka zmieniła mój odbiór lektury. Opowieści zaczęły mi dostarczać jeszcze głębszych doznań, co dawniej wydawało się nie do pomyślenia. Poczułem się wówczas jak piekarz amator, który odkrył istnienie drożdży.

Oczywiście to tylko rada, ale jest z nią zupełnie tak, jak z dobrymi knajpkami -przyjaciele lub przyjaciółki chętnie przekazują sobie szeptem ich nazwy, jak ulotną tajemnicę. Z delikatnym uśmiechem i pragnieniem, aby być na miejscu, gdy przyjaciel lub przyjaciółka przekroczy próg lokalu po raz pierwszy, z zachwytem w oczach. W każdym razie ja będę Ci towarzyszył podczas lektury – po prostu mam nadzieję, że ten uśmiech zagości na Twoich wargach.

Na koniec – w dzisiejszej, pełnej podejrzliwości epoce – pozwolę sobie przypomnieć, że istnieje wehikuł czasu. Jest nim magia.

Magia zaś istnieje naprawdę. W słowach.

Ona jest kluczem do tej opowieści.

Miłej lektury...

Maxime Chattam Edgecombe, 12 października 2004 roku

Tylko ten, kto dźwiga ciężar, wie, ile on waży. Przysłowie arabskie

Czasami ludzie potkną się o prawdę. Ale prostują się i idą dalej, jakby nic się nie stało.

Winston Churchill

PROLOG

GROBY KALIFÓW NA WSCHÓD OD KAIRU, MARZEC 1928 ROKU

Promienie zachodzącego słońca przenikały przez stary grobowiec, przesywając jego ogromną sylwetkę od okna do okna niczym szkarłatne oko, na krótko barwiąc kamień na krwistoczerwony kolor. Wszystko na tym cmentarzu – puste alejki, groby, po których hulał wiatr, zasypując je piaskiem, i coraz bardziej gęstniejące ciemności – przypominało miasto nawiedzone przez duchy.

Od skromniejszych mauzoleów odcinały się przesadnie wielkie, zniszczone pomniki. Te kilkupiętrowe budowle, zwieńczone przyprawiającymi o zawrót głowy kopułami, otaczały milczące minarety i alejki, fontanny od dawna spragnione wody i obszerne „loggie”, z każdego miejsca zaś ziały ciemne otwory – zwieńczone łukiem okna albo dziury, w których igrało światło.

Nagle zerwał się wieczorny wiatr, unosząc tumany ulicznego piasku.

Z ziemi sterczały kamienne ruiny, prymitywne stele poprzewracane w ciągu wieków.

U bram Kairu czekały hektary szerokich, majestatycznych grobów godnych pałaców, niczym ostatnia nadzieja przed pustynią. Nadzieja zawiedziona i zapomniana.

Niedaleko na wschodzie, pod murami miasta, majaczyły wzgórza przypominające falę, która jakimś dziwnym sposobem skamieniała. Wzgórza te nie były jednak usypane z ziemi czy z piasku, ale z odpadków – ze śmieci pozostawianych tu przez osiem wieków przez mieszkańców miasta. Sterty gruzu, glinianych skorup, odłamków rzeźb i posągów, leżące pośród morza malowniczych ruin.

Sylwetki ostatnich osób, które tu pracowały, siedząc w kucki, oddalały się właśnie w kierunku Bab Darb el Mahrug, bramy wiodącej do dzielnicy przy meczecie Al-Azhar. Trójka dzieci klóciła się, jak to się często zdarza, o drobny emaliowany przedmiot – cenny z tego względu, że na pewno łatwo znajdzie nabywcę. Chodziło o to, które z nich pierwsze dojrzało go wśród rumowiska. Najstarsze z dzieci miało dwanaście lat.

Malcy codziennie przychodzili grzebać w odpadkach, szukając najskromniejszego nawet okrucha wyglądającego na zabytek, który mogliby sprzedać bogatym turystom przechadzającym się po Kairze.

Wyjątkowo kłótnia nie skończyła się bójką. Najstarszy chłopiec pozwolił dwójce młodszych odejść ze zdobyczą, rzucając tylko kilka gróźb, jaki czeka ich los, jeśli jeszcze raz zobaczy, że kręcą się po okolicy.

Selim, który obserwował całą scenę, siedząc na stopniach grobowca, w końcu wstał. Od ponad

godziny czekał, aż wreszcie sobie pójda. Nie chciał, żeby ktoś go zobaczył.

Jego obecność na cmentarzu była zbyt ważna.

I owiana tajemnicą.

Teraz, o zmierzchu, Kair powoli się rozjaśniał – w tym mieście w kolorze ochry rozbłyskiwało coraz więcej światła w nowoczesnych domach w stylu europejskim. Nad starymi murami wznosił się las minaretów.

Selim widział swoje miasto tak, jak widzi je dziesięcioletnie dziecko, które nigdy nie przekroczyło Nilu: z przekonaniem, że środek świata znajduje się w sercu jego uliczek.

Nie było nic piękniejszego ani ważniejszego od Kairu.

Może z wyjątkiem wieczornego spotkania.

Uwielbiał legendy. I właśnie wkrótce sam miał przeżyć jedną z nich. Tak mu obiecano.

Selim zszedł po schodach i okrążył niekończący się mur. Minąwszy meczet Bars-Bej, znalazł wreszcie wyznaczone miejsce.

Ciasne przejście między dwoma wysokimi mauzoleami.

Piasek był usiany kawałkami drewna.

Selim szedł, ostrożnie stawiając kroki.

W panujących wokół ciemnościach pierwsze gwiazdy nie były w stanie oświetlić wąskiego przejścia.

Dotarłszy do końca czegoś, co okazało się ślepym zaułkiem, Selim przystanął, czekając.

*

Gdy zapadła noc, nad grobami kalifów rozbłysły jasno gwiazdy.

Selim wrzasnął po raz pierwszy.

Jego krzyk odbił się echem od otaczających go pustynnych budowli. Odruchowo, bez zastanowienia, stworzył właśnie język, który ten krzyk określał w sposób najbardziej pierwotny.

Nadał kształt przerażeniu.

Zanim wszystkie włosy mu posiwiały, zdążył wrzasnąć po raz drugi.

Tym razem przemówił językiem bólu.

*

Porzuciwszy znaleziony gdzieś strzęp materiału, bezpański pies odwrócił łeb w kierunku ślepego zaułka. Wrzaski tymczasem umilkły.

Pies otworzył pysk i wystawił koniec wilgotnego języka. Po czym ruszył do zaułka.

Przystanął blisko wejścia, u stóp gęstych cieni.

Musiał podejść jeszcze kawałek, zanim odnalazł źródło krzyków.

Jego psia ciekawość została zaspokojona po kilku metrach, kiedy poczuł zapach tego, co znajdowało się na końcu ślepego zaułka.

Gdy jego wzrok przebił się przez mrok nocy, pies dostrzegł masywną postać chylącą się nad ciałem dziecka.

Postać wyprostowała się na całą wysokość.

Zapach dotarł aż do psich nozdrzy.

Wówczas zwierzę zaczęło się cofać.

Kiedy postać podeszła do niego, pies się zsikał.

Zasikał własne łapy.

Wiatr wzniosł tumany piasku i zabrał go ze sobą daleko, na tajemniczą pustynię.

PARYŻ.

CZEŚĆ PIERWSZA 1

Paryż huczał.

Całe miasto grzmiało z oburzenia. Fasady wzniesionych przez Haussmanna kamienic drżały od krzyków protestujących obywateli, które odbijały się echem na szerokich bulwarach, docierając aż do gmachów ministerstw.

Od wybuchu skandalu nad dachami wisiały ciężkie, ołowiane chmury, ściskające miasto jak zbyt ciasno zawiązany szalik.

Nigdy dotąd we Francji nie było takiego listopada.

Tak lodowatego i zarazem tak naładowanego elektrycznością. Od trzech tygodni prasa nie pisała o niczym innym, a niektórzy dziennikarze mieli nawet odwagę twierdzić, że jeśli tak dalej pójdzie, to listopad 2005 roku zepchnie wydarzenia maja 1968 roku do roli utarczki słownej.

Za tylną szybą ogromnego sedana niczym słupki kilometrowe migają kioski z gazetami, dawkując informacje z regularnością, która pozwalała przeżyć w cywilizowanym świecie. Pierwsze strony wszystkich gazet opisywały aferę w zależności od tego, jak cięty język mieli ich dziennikarze, ale zawsze szeroko, tak że nie zostawało już miejsca na inne wiadomości.

Sedan minął ogromną ciężarówkę.

Nagle w tylnej szybie ukazało się odbicie czyjejs twarzy.

Na jedną nieuchwytną chwilę Marion się odwróciła.

Jej twarz przypominała wizerunek ducha i mimo łagodnych rysów przestała już sprawiać przyjemne wrażenie. Stała się zbyt blada, a rozcięta wargą wyglądała na niej jak przecinek w niedokończonym zdaniu. We włosach piaskowego koloru przebłyskiwało kilka siwych pasm, przede wszystkim jednak oczy utraciły cały blask, płonący i badawczy nefryt ustąpił bowiem miejsca dwóm przygasłym węgielkom.

Zbliżała się właśnie do czterdziestki, życie zaś zrobiło jej nie lada prezent.

Gdy siedzący obok niej mężczyzna pochylił się w stronę kierowcy, polecając, aby ten skręcił w prawo, rozległ się chrzęst skóry. Marion zamknęła oczy, pragnąc wymazać z pamięci jego twarz.

Trzej mężczyźni otaczający ją w tym cichym samochodzie byli równie silni co zagadkowi.
Ludzie z DST

Z kontrwywiadu.

Słowo to brzmiało ciężko i dość groźnie.

Zwłaszcza w ustach Marion, która nigdy nie miała kłopotów z prawem. Raz tylko została zatrzymana przez policję do banalnej kontroli dokumentów, a jedyną jej oryginalną cechą – jeśli w ogóle można tutaj mówić o oryginalności – było to, że pracowała jako sekretarka w Zakładzie Medycyny Sądowej.

Zawsze utożsamiała się z milionami innych mieszkańców tego kraju, których mijala na ulicach, wtłoczona w kierat codziennych zajęć, co roku podnosząc głowę odrobinę wyżej, żeby utrzymać się na powierzchni i móc oddychać.

W całym jej życiu nie wydarzyło się nic, z powodu czego miałyby się kiedykolwiek znaleźć w tym samochodzie, jadąc w nieznanie.

Aż do powrotu z wakacji na początku października.

Aż do tamtego poranka, kiedy o świcie przekroczyła próg prosektorium. Każdy szczegół wrył jej się w pamięć. Nawet buczenie jarzeniówek po przekręceniu włącznika. Ciągłe miała przed oczami białe odblaski na kafelkach i nieskazitelnie gładką stal stołu sekcyjnego. Obcasy Marion stukwały przy każdym kroku. Zapach środka antyseptycznego nie zdołał całkowicie przyćmić mdlącego odoru surowego mięsa. Przyszła tam tak wcześnie wyłącznie po to, aby znaleźć doktora Mendesa, którego nie było ani w sali, ani w przylegającym do niej magazynie.

Marion odwróciła się więc na pięcie, kierując się do wyjścia.

Spojrzała tam przypadkowo, jakby coś przyciągnęło jej wzrok.

To w ogóle nie rzucało się w oczy: było zaledwie formatu komiksu.

Zmieniło jednak całe jej życie.

I to do tego stopnia, że ludzie z kontrwywiadu przyszli do niej i oznajmili, że wkrótce zginie. Prawdopodobnie.

Chyba, że zgodzi się zniknąć. Przynajmniej na jakiś czas, dopóki wszystko nie ucichnie, dopóki nie znajdą jej jakiejś kryjówki, dopóki nie uruchomią całego systemu.

Wszystko potoczyło się tak szybko.

Paranoja to wirus, który w sprzyjających warunkach sam się rozwija. Od tej chwili Marion zaczęła wszędzie widzieć jakieś cienie i podejrzanych osobników krążących nocą pod jej domem w ciemnych samochodach, a w jej aparacie telefonicznym był słyszalny dziwny pogłos, jakby telefon znajdował się na podsłuchu.

Później nastąpił napad.

Przełknęła ślinę i oblizała wargi. Rozcięcie wciąż tam było. Ostrzeżenie.

Marion zgodziła się zniknąć.

Zanim media odkryją tożsamość kobiety, z której powodu wybuchł największy skandal Piątej Republiki, i zanim inni ludzie, tym razem bardzo niebezpieczni, zabiorą się do roboty.

Mężczyzna z kontrwywiadu, który wziął ją pod opiekę, powiedział tylko, żeby spakowała ciepłe ubrania i same osobiste rzeczy, ponieważ nie wiadomo, jak długo będzie musiała przebywać poza domem – może przez miesiąc, a może nawet przez rok. Nie miała pojęcia, co ją czeka.

Samochód z czarnymi szybami przejechał przez dzielnicę Defense w kierunku autostrady A13, a po kilku minutach zniknął na zachodzie, rozplywając się w oparach gniewu i szarości, które spowijały Paryż.

Wyczuwalny w powietrzu zapach jodu dostarczył Marion pierwszej wskazówki, noc jednak zapadła zbyt szybko, żeby dać jej czas na dostrzeżenie jakichkolwiek szczegółów mijanych okolic. Położyła więc głowę na oparciu i zasunęła szybę, wpatrując się przez okno w nieliczne światła na horyzoncie. Na razie przyszłość jawiła się jej jedynie jako krzyk w środku nocy, wątpliwość, która przemieszcza się z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę i pędzi w nieznaną.

Kiedy otworzyła oczy, samochód podążał przez pustkowie – po obu stronach drogi nie było dosłownie nic. Przeczuwając, że wkrótce dotrą na miejsce, Marion przykleiła nos do szyby jak niecierpliwa i niezbyt pewna siebie mała dziewczynka. Samochód zwolnił i skręcił w lewo, po czym stanął przed wysokim kamiennym murem.

Siedzący z przodu mężczyzna natychmiast wysiadł i otworzył jej drzwi, aby mogła opuścić samochód. Zdrętwiała po podróży Marion z trudem rozprostowała długie nogi. Podniosła się powoli, otępiła od snu. Znajdowali się u stóp stromego wzgórza.

Na zboczu wznosiły się stare budowle, tworząc zespół umocnień idealnych jako dekoracje do filmu o średniowieczu.

Po chwili przez wiszące nisko chmury przeniknęło światło księżyca, który wycelował swoje promienie w sam wierzchołek wzgórza.

Z ciemności wyłoniła się ogromna wieża górująca nad całą zatoką, przyćmiewająca wszystkie inne osiągnięcia architektoniczne w promieniu wielu kilometrów.

Marion westchnęła, przymykając oczy.

Tymczasem za jej plecami jeden z mężczyzn postawił na ziemi obie walizki.

Znalazła się właśnie u stóp czegoś, co miało stać się jej schronieniem na najbliższe tygodnie, a może nawet miesiące. Mont-Saint-Michel.

Równie szybko jak się pojawił, wierzchołek pogrążył się w mroku, podczas gdy księżyc skulił się za nocną poświatą niczym owad umykający przed drapieżnikiem.

Nagle zerwał się wiatr, chwytając Marion w swoje szpony i szarpiąc na niej ubranie. Jeden z towarzyszących jej mężczyzn odwrócił ku niej twarz. Miał zimny wzrok. „Zimny jak ta podróż; zimny jak w kiepskich filmach”, pomyślała. Wpatrywał się w nią, nie mrugając powiekami. Przez sekundę w zawodowym oficerze kontrwywiadu dostrzegła człowieka, a za wyuczoną obojętnością wyczuła miłosierdzie. Na myśl, że litość ta jest przeznaczona dla niej, Marion poczuła się dotknięta; serce jej się ścisnęło.

W wieży obok głównej bramy zaskrzypiały stalowe zawiasy, a po chwili otworzyły się wąskie wrota, ukazując ziejącą czarną dziurę.

Tymczasem z ciemności wyłoniła się drobna postać i podeszła do grupy. Trzymała przed sobą latarkę dającą nikłe światło, jakby to było coś, co ją prowadzi i jednocześnie ciągnie w mrok. Jej szata łopotiała pod wpływem coraz silniejszych podmuchów wiatru. W pewnej chwili postać gwałtownie uniosła rękę, aby podtrzymać kornet zasłaniający jej twarz. Gdy kierowca sedana zbliżył się do niej, zamienili ze sobą kilka słów, które z powodu odległości i wichru były niemal niesłyszalne.

Kierowca podeszedł teraz do Marion.

Dotychczas słyszała tylko jego głos. Przemówił, pochylając się ku niej, żeby nie musieli przekrzykiwać wycia wiatru. Nie spoglądał na Marion, ale błdził wzrokiem gdzieś daleko, już nieobecny duchem.

–Anne zaprowadzi panią do nowego mieszkania. Proszę jej zaufać; już nam wyświadczyła podobne usługi, wie zatem, co ma robić. Proszę jej słuchać. Przykro mi, że nie wykażę się wystarczającą galanterią, żeby wnieść pani walizki na górę, ale im krócej tu zabawimy, tym lepiej.

Marion otworzyła usta, by zaprotestować, nie wydała jednak żadnego dźwięku.

–Gdy tylko coś się wyjaśni, otrzyma pani od nas wiadomość za pośrednictwem Anne.

–Ale... Czy nie... zamierza pan... nie wiem, przeszukać mojego pokoju albo... Na twarzy mężczyzny ukazał się delikatny grymas. Wyczytała z niego rozczulenie z

powodu jej własnej naiwności.

–To nie będzie konieczne – uciał. – Tutaj nic pani nie grozi. Proszę mi zaufać, przynajmniej pod tym względem.

Widząc, że mężczyzna zamierza się odwrócić, położyła mu dłoń na ramieniu.

–Jak... jak mam się z panem skontaktować, gdyby...

–W razie potrzeby proszę dzwonić na numer komórki, który podałem za pierwszym razem. A teraz muszę już iść.

Odczekawszy chwilę na jej reakcję, zacisnął usta, wolno kręcąc głową.

–Odwagi – dodał bardziej uprzejmym tonem. Odszedł, dając pozostałym mężczyznom znak, żeby wsiedli do auta.

Po chwili samochód zniknął w oddali, pozostawiając za sobą dwa maleńkie punkciki niknące w nocnych ciemnościach. *

–Chodźmy, nie stójmy tutaj – odezwał się ktoś za jej plecami.

Głos był łagodny, dodający otuchy. Marion odwróciła się na pięcie. Podczas wichury Anne wydawała się bardziej krucha i delikatna niż młode drzewko wystawione na działanie burzy. Wicher smagał bezlitośnie miriady bruzd, które złościły jej twarz.

–Chodźmy do środka – powtórzyła. – Zaprowadzę panią do jej mieszkania, gdzie będzie pani mogła odpocząć.

„Do jej mieszkania.”

Marion z trudem przełknęła ślinę.

Wszystko działo się zbyt szybko; przestała już nad czymkolwiek panować, poddając się temu z niepokojącą obojętnością.

Anne zdążyła już ruszyć w kierunku bramy, trzymając w dłoni jedną z walizek.

Dalszy ciąg wydarzeń wyglądał bardziej jak sen na jawie niż jak świadome działanie. Marion przypomniała sobie później, że szła ciasną uliczką między starymi budynkami o kamiennych i drewnianych fasadach. Następnie były długie schody i wąska ścieżka wijąca się pod maleńkimi budowlami wzdłuż ponurego cmentarza.

Kiedy drzwi się zamknęły, Anne podniosła na nią wzrok. W lśniących niebieskich oczach zakonnicy, kontrastujących z resztą twarzy, Marion widziała determinację.

–Oto pani nowy dom... – oznajmiła Anne. Wypowiedziała jeszcze inne, odległe słowa. Słowa pozbawione sensu, logiki, życia.

Słowa, które wędrowały przez chwilę między obiema kobietami, nim rozplynęły się w zmęczeniu. Nad wejściem paliło się światło, kołysząc się jak na okręcie. Z każdą chwilą jaśniało coraz mocniej. Aż stało się oślepiające.

Marion zamknęła oczy.

Nogi drżały jej od wysiłku związanego z wspinaczką. Brakowało tchu.

Tego, co nastąpiło potem, już nie pamiętała.

Z wyjątkiem przeciągu, który powstał, gdy otworzyły się drzwi.

I niskiego, tubalnego głosu mężczyzny.

Pozostałość wieży Babel.

Oto, czym jest Mont-Saint-Michel. Palcem dumnie wycelowanym w niebo. Marion widziała w nim nie tyle cud pobożności, ile wyniosłą próbę zbliżenia się do Boga. Nagle rozległ się krzyk mewy, która musnęła w locie zawrotnie stromą ścianę spadającą ponad siedemdziesiąt metrów w dół. Marion wychyliła się do przodu, wspierając dłonie o kamienny murek wznoszący się nad skąpaną we mgle zatoką. Morze o barwie mleka cofało się

stopniowo, liżąc mury i pozostawiając obłoczki pary. Biały całun otulał dosłownie wszystko, nic nie zdołało przed nim umknąć – żaden zagubiony maszt, żaden odległy klif ani nawet grobla łącząca wodę z lądem.

Olbrzymi Mont-Saint-Michel wylaniał się z morza niczym krzemienne ostrze, wyrzeźbione z cierpliwością i postawione na wieku wielkiej szkatuły z macicy perłowej.

Odwróciwszy się plecami od tego widoku, Marion spojrzała na rozciągający się u jej stóp dziedziniec opactwa.

–Znajdujemy się na zachodnim tarasie – wyjaśniła siostra Anne. – Z koronkowych schodów na dachu kościoła rozciąga się najpiękniejszy widok.

Marion skwitowała te słowa lekkim skinieniem głowy, podobnie jak pozostałe komentarze zakonnicy. Przeszedłszy wspólnie Grande Rue, wspięły się po „grands degrés”, czyli dwóch długich rzędach stopni wiodących na dach świata, przy czym siostra Anne odgrywała rolę przewodniczki.

–Przedstawię pani naszą wspólnotę. Oni nie mogli się doczekać, żeby panią poznać, i będą umieli zachować pani obecność tutaj w tajemnicy.

Marion rzuciła ostatnie spojrzenie na panoramę. Mgła stała tuż nad ziemią, tak jakby Mont-Saint-Michel i jego mieszkańcy odpływali w morze.

Na krótką chwilę zamknęła oczy. „Odpływać”. Od kilku dni właśnie to słowo najlepiej oddawało jej stan.

Na myśl o tym, że znalazła się w tak osobliwym położeniu, natychmiast poczuła mdłości. Ogarnął ją głuchy lęk, który pozbawia człowieka tchu, kiedy sytuacja wydaje się całkowicie wymykać spod kontroli.

Anne podeszła bliżej z uspokajającym uśmiechem. Lodowaty wiatr smagał jej bladą twarz. Między idealnie gładkimi fragmentami skóry widniały bruzdy. Obraz ten skojarzył się Marion z pomarszczoną maską przypominającą kozuch na gorącym mleku.

–Wiem, co pani czuje – powiedziała łagodnie zakonnica, stanąwszy tuż obok. Położyła dłoń na ramieniu Marion.

–Od tego zamętu aż huczy w głowie, prawda? Aż dudni w środku – dodała, dotykając skroni palcem wskazującym. – Ale to niedługo minie. Proszę mi zaufać.

Marion przyjrzała się uważnie drobnej kobiecie.

–To dla siostry nic nowego? Ledwie wymówiła te słowa, uleciały z wiatrem. Marion zrobiło się przykro. Cichy ton

głosu zdradził cały jej niepokój. Nie znosiła pokazywać własnych słabości, trosk i obaw.

–Nie tak, jak pani myśli – odparła siostra Anne. – Rzeczywiście, już kiedyś wyświadczyłam podobną przysługę. Ale nie mam tego w... zwyczaju.

Marion nie przestawała się w nią wpatrywać.

–Powiem to pani teraz, żeby wszystko było jasne. Nie znam powodów, dla których znalazła się pani tutaj, i nie obchodzą mnie one. Chcę tylko sprawić, żeby pani pobyt wśród nas był jak najmiłszy.

Wytrzymała spojrzenie Marion bez podejrzliwości i surowości.

–Dla wszystkich – ciągnęła. – Miły, ale bez rozgłosu. Proszę się nie obawiać, nikt niepożądany nie będzie pani szukał w Mont-Saint-Michel. To idealne miejsce na spędzenie tych kilku tygodni czy miesięcy. Tak bardzo na uboczu, choć tak znane w całym świecie. Wtopi się pani w otoczenie.

–Pozostanę przy pani, dopóki się pani nie pozbiera. Wszystko będzie dobrze – dodała, klepiąc Marion po plecach. – Zobacz pani.

Marion otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, nie zdołała jednak wykrztusić ani słowa. Pomyślała, że musi wyglądać strasznie. Z włosami potarganymi przez wiatr, rozciętą wargą i przerażeniem w oczach. „Stara harpia – oto, czym jesteś... Harpią zniszczoną przeżyciami. Pokonaną przez przeżycia. Wręcz zatopioną.”

–Pospieszmy się. Wszyscy uwijają się tu jak w ukropie. Z powodu nadchodzącej burzy nie będą nam mogli poświęcić zbyt wiele czasu.

–Burzy? – powtórzyła cicho Marion.

–Tak; nie słuchała pani wiadom... Zapowiada się kilka takich dni, jakich nie było na wybrzeżu przez wieki. Straszliwa nawałnica. W okolicznych wioskach postawiono nawet w stan gotowości wojsko do pomocy przy zabezpieczaniu domów i wycinaniu zwalonych drzew. Tutejsi

mieszkańcy robią, co tylko się da, żeby ocalić Mont-Saint-Michel przed powodzią, jednocześnie chroniąc wszystko, co wymaga ochrony.

Siostra Anne spojrzała uważnie na horyzont po zachodniej stronie.

–Można by sądzić, że czeka nas ładna pogoda, że ten dywan mgły się uniesie i będzie słoneczny dzień. Ale dziś wieczorem rozpęta się piekło.

Roześmiała się, odsłaniając zęby, oczy zaś płonęły jej z emocji.

–No już, chodźmy! Ma pani mnóstwo roboty: całą listę nazwisk do nauczenia, oczywiście razem z odpowiadającymi im twarzami.

Marion włożyła ręce do kieszeni wełnianego płaszcza. Ruszyła za siostrą Anne, po czym obie weszły do kościoła.

Słońce na wschodzie roztapiało się w gigantycznej, szarej i oślepiającej kałuży, w której kapały się wysokie okna chóru. Wzdłuż środkowej nawy aż do transeptu stał długi szereg masywnych kolumn. Począwszy od wejścia, późnogotycka architektura podążała ku chórowi, powodując złudzenie, że nawa jest jedynie przedłużeniem wnętrza ziemi, a następnie ku najwyższemu wzniesieniu na samym końcu, pod wysokimi oknami – u stóp ołtarza.

Wprawdzie wrażenie porzucenia trwało zaledwie kilka sekund, wystarczyło to jednak Marion, żeby kamień spadł jej z serca, jakby nadmiar powietrza pozostałego zbyt długo w płucach został wypchnięty przez spontaniczny oddech. Od chwili przyjazdu... Nie! Od wielu tygodni... Marion nie potrafiła wyswobodzić swojego umysłu z przytłoczenia sytuacją, w jakiej się znalazła. Każde jej słowo i każdy uczynek wiązały się z ucieczką – albo z jej następstwami. Po raz pierwszy otworzyła oczy i po prostu patrzyła, bez żadnej myśli mającej związek z wygnaniem.

Majestat tego miejsca oczyścił ją na chwilę z wszelkiego zła.

Wargi rozciągnęły się w nieśmiałym uśmiechu.

Marion podniosła głowę, spoglądając na sklepienie. Znajdujące się na sporej wysokości łuki obejścia chóru tworzyły gęste, nieprzeniknione plamy.

Plamy te nie stały w miejscu, ale kręciły się w kółko i wydłużały, jakby wokół każdego łuku łopotały długie prześcieradła z czarnego jedwabiu.

Marion śledziła ich obroty z zadartą głową.

Czuła na plecach powiew wiatru przedostającego się przez otwarte drzwi.

Płomienie kilku świec tańczyły, podcinane przez niebezpiecznie potężniejącą bryzę.

Marion słyszała kroki siostry Anne, która oddalała się, nawet nie zwracając na nią uwagi.

Nagle poczuła, że ktoś ją obserwuje.

Drobne włoski na karku stanęły jej dęba.

W miarę jak to do niej docierało, wrażenie zmieniło się w pewność.

Zaschło jej w ustach. Dobrze знаła tę pojawiającą się nagle paranoję. W ostatnich tygodniach obie zbliżyły się do siebie, tocząc zażartą walkę, której stawką był spokój. Był to niemal codzienny mecz. Wystarczył choćby cień lęku, żeby rozbudzić to przejmujące uczucie, rozprzestrzeniające się natychmiast po całym ciele jak płomień na podpalonej plamie benzyny.

Marion przełknęła ślinę, starając się za wszelką cenę położyć kres wszystkim spekulacjom wyobraźni i rozwiać ten niepokój, nie dostarczając mu nowej pożywki.

Wrażenie ustąpiło.

Siostra Anne zniknęła w północnym skrzydle transeptu.

Marion przeszła wzdłuż rzędów zimnych ławek i skręciła za nimi, rzuciła jednak ukradkowe spojrzenie w kierunku ciemnych łuków.

Obejście chóru, które rozciągało się za tymi tajemniczymi otworami, cały czas było tak samo niewidoczne jak wcześniej, a ciemne plamy nie przestawały się poruszać.

Siostra Anne czekała na nią u stóp schodów prowadzących w głąb budowli. Przyjrzała się badawczo Marion, chcąc się upewnić, że wszystko jest w porządku, a następnie pierwsza weszła po schodach. Po chwili obie dotarły na niższy poziom i znalazły się w zamkniętej kaplicy, gdzie zastały nie więcej niż dziesięć maleńkich ławek, kilka zapalonych świec i okrągły, bardzo niski sufit, który wzmacniał dodatkowo wrażenie gorąca i ciasnoty. Na ścianach krypty Matki Boskiej Trzydziestu Świec drżał bursztynowy światłocień.

W ostatniej ławce, skrytej w półmroku, siedziało nieruchomo siedem zakapturzonych postaci z pochylonymi głowami. Siedem posągów litości równie niewzruszonych, jakby były z kamienia.

Wszystkie nosiły habity.

Wszystkie miały ordynarne, nieludzkie twarze o nieregularnych, niezgrabnych rysach, wykrzywione usta i monstrialne oczy, jak gargulce wpatrujące się w ołtarz.

W tej sekundzie czar Mont-Saint-Michel prysł, a kamień się poruszył.

Gruba wełniana tkanina zmarszczyła się lekko.

I nagle pojawiła się czyjaś dłoń. Uniosła się, aby uczynić znak krzyża. Zasłona opadła do tyłu,

gdy zakonnik zdjął kaptur.

W ławce siedziało czterech mężczyzn i trzy kobiety. Najbardziej rzucało się w oczy łączące ich podobieństwo fizyczne.

Z wyjątkiem jednego zakonnika, który był znacznie wyższy od reszty, sześcioro pozostałych odznaczało się jednakowym wzrostem i w miarę szczupłą budową ciała, jakby zostali odlani z jednej formy.

„Skrzywienie zawodowe – pomyślała Marion. – Za dużo protokołów z sekcji zwłok, przepisanych na czysto i zarchiwizowanych. Skupiasz się wyłącznie na wyglądzie zewnętrznym, na cechach fizycznych!”

Była to prawda; nie mogła zaprzeczyć. Praca zawodowa wpływała na sposób, w jaki oceniała innych. Kiedy spotykała nowych ludzi, bardzo często dostrzegała najpierw jakąś

wskazówkę dotyczącą statystyki umieralności związaną z ich wyglądem. Mężczyzna z brzuszkiem świadczącym o upodobaniu do częstego świętowania, o zwiotczalej skórze i z pięćdziesiątką na karku natychmiast przywodził jej na myśl atak serca, a biała szyja o wiecznie wystających ścięgnach spowodowanych stresem przywoływała obraz pękniętego tętniaka.

Podczas gdy inni ludzie byli skłonni klasyfikować bliźnich w kategoriach społeczno-zawodowych albo pod względem ich ogólnej kultury osobistej, ona dzieliła ich według okoliczności prawdopodobnej śmierci.

Siostra Anne zatarła dłonie, odwracając się ku Marion.

–A oto część naszej społeczności – oznajmiła. – Marion, przedstawiam pani brata Damiena.

Wskazany mężczyzna wstał z ławki, aby się przywitać. Miał około czterdziestki. Opuszczony kaptur odsłaniał siwe, krótko obcięte włosy i okrągłą twarz, która kontrastowała z raczej smukłą sylwetką. Przepelniała go jakaś radość życia. Skinął Marion głową na powitanie, bez przerwy poruszając oczami.

„Hiperaktywny, wiecznie zadowolony; można by rzec, że w rodzaju tych, co to jedzą zbyt szybko i połykają bez żucia. Prawdopodobnie umrze z powodu udławienia.”

Uwielbiała ten zwrot: „udławić się”, pozwalał bowiem uniknąć stwierdzenia: „zgon przez uduszenie z powodu ciała obcego tkwiącego w drogach oddechowych”. Klasyka niedzielnego popołudnia zamieniającego się w koszmar. Proszony, suto zakrapiany obiad, podczas którego wszyscy jedzą z apetytem, aż nagle jeden przełknięty bez zastanowienia i zbyt pośpiesznie kęs sprawia, że pożywienie staje w gardle. I panika, która ogarnia niecierpliwego łakomczucha. Można ich było zobaczyć w niedzielne wieczory – leżeli w aluminiowych wózkach, jeden za drugim, w podziemiach Zakładu Medycyny Sądowej, podczas gdy ich bliscy krzyczeli, że to

niemożliwe, że nie można umrzeć w taką spokojną niedzielę, nie w taki sposób.

W swojej dziesięcioletniej karierze Marion zdążyła się napatrzeć na tych zmarłych „niemożliwą śmiercią”.

Postanowiła, że od tej chwili brat Damien będzie „bratem Udławkiem”.

Ta kretyńska zabawa sprawiała jej szaleńczą przyjemność. Dzięki niej odprężyła się i znów stawała się sobą.

Później przyszła kolej na brata Gaela, młodzieńca około dwudziestki, o urodzie lalki i wyglądzie chłopca z dobrego domu – młodszego potomka rodziny szlacheckiej z epoki ancien

regime’u; tego, dla którego wybrano karierę duchownego – za młodego jednak, aby wciągnąć Marion do zabawy w prorocstwa.

Siostry Gabriela i Agathe – młode, około trzydziestki, i na pierwszy rzut oka tak gładkie jak blok wypolerowanego marmuru – również nie zrobiły na niej większego wrażenia.

Najwyższy ze wszystkich okazał się powolny w ruchach i w mowie blady mężczyzna pod pięćdziesiątkę, który niemal nie dostał zadyszki, gdy się z nią przywitał. Zamiast jego prawdziwym imieniem – Christophe – Marion nazwała go w myślach „bratem Anemikiem”.

Ostatnimi członkami grupy byli brat Gilles i siostra Luce: osoby w nader poważnym wieku, milczące, o świdrujących oczach. Ich twarze drapieźników o orlich nosach i wąskich ustach były do siebie tak podobne, że oboje wyglądali jak rodzeństwo.

Marion nie miała ochoty włączać tych dwojga do swojej zabawy. Przestało ją to śmieszyć.

Brat Gilles długo przyglądał się jej bez słowa. Ograniczył się do splecenia długich pergaminowych palców na brzuchu.

–Sądzę, że teraz zna już pani wszystkich – stwierdziła siostra Anne. Brat Gilles ostentacyjnie odchrząknął, chcąc podkreślić swoje niezadowolenie.

–O tak! Prawie wszystkich! Pozostaje jeszcze brat Serge, zwierzchnik naszej wspólnoty. Nie mógł przyjść; pozna go pani później.

Zapadło niezręczne milczenie.

–Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę się nie krępować – powiedział brat Damien, pochylając się ku Marion.

Kobieta pomyślała, że w jego poczciwości nie ma nic sztucznego ani przesadnie miłosiernego, a jego szczerłość jest wręcz wzruszająca.

–Dziękuję – szepnęła, zbyt cicho jak na jej gust. Siostra Gabriela o twarzy porcelanowej lalki położyła dłoń na ramieniu Marion. Nie zdjęła zasłaniającego włosy kornetu, który nadawał jej jeszcze bardziej anielski wygląd.

–Prędko pani przywyknie do tego miejsca, zobaczy pani – zapewniła melodyjnym głosem.

–Dlatego też – dodała siostra Anne – pomyśleliśmy sobie, że najlepiej by było opracować dla pani jakiś rozkład zajęć na najbliższe dni. Na dzisiaj zaplanowaliśmy zwiedzanie Mont-Saint-Michel, żeby oswoiła się pani z nowym otoczeniem. Piątek i weekend będą trochę wyjątkowe z powodu burzy... Z kolei w przyszłym tygodniu brat Damien zaofiarował się zabrać panią do Avranches, aby uporządkować zbiory biblioteczne, jeśli ma pani ochotę...

Marion skinęła głową bez zbytniego entuzjazmu. Spostrzegła, że wszystkie oczy się w nią wpatrują.

–Proszę się nie przejmować – powiedziała w końcu siostra Anne. – Spędzi pani w tych murach zimę... inną niż wszystkie.

Marion zeszywniała. Nie, nie spędzi tu całej zimy. To kwestia tygodnia, miesiąca... w najgorszym razie dwóch, ale nie całego sezonu. Wcześniej przysięgła sobie, że wróci do domu na Boże Narodzenie.

–Wkrótce oswoi się pani z naszymi twarzami – ciągnęła zakonnica. – A te sale staną się dla pani jak salony i będzie pani po nich spacerować z przyjemnością, proszę tylko dać sobie trochę czasu. To wszystko, czego Mont-Saint-Michel od pani oczekuje: odrobiny czasu. On zrobi resztę.

–Bardzo dobrze powiedziane – uciął cierpko brat Gilles. Marion przyjrzała mu się z uwagą. Ze starczej skóry zakonnika sterczały siwiejące i

czarne włosy. Jego twarz była pokryta siateczką drobnych czerwonych żyłek i białych zmarszczek niczym pogniecione ubranie. Wpatrywał się w Marion bez mrugnięcia powieką. Błysk przenikliwości w jego oczach świadczył o dzikiej zaciętości.

–Zostawimy siostrę z jej protegowaną, siostrze Anne – dodał. – Jeszcze zdążymy się lepiej poznać. Na razie musimy skupić całą uwagę na nadchodzącej burzy.

Marion nie spuszczała z niego wzroku.

Nie lubił jej. Jej samej albo jej obecności wśród nich, to było oczywiste. W innych okolicznościach pozwoliłaby sobie nie bez ironii zauważyć, że wcale nie musi jej gościć, skoro to dla niego takie wymagające zadanie, ale sytuacja nie była sprzyjająca. Poza tym dopiero co przyjechała, może więc będzie jeszcze okazja, żeby się lepiej poznać.

Stopniowo odzyskała równowagę i, jak sama stwierdziła, jej twardy charakter zaczął brać

górze.

Wszyscy wyszli przez niewielkie drzwi w głębi, pospiesznie kiwając głowami na pożegnanie. Większość z nich wydawała się sympatyczna, a nawet zadowolona z jej przybycia.

–Przykro mi, jeśli brat Gilles wydał się pani trochę... – zaczęła siostra Anne, gdy zostały same.

–To nie ma żadnego znaczenia – przerwała Marion. – Tak czy inaczej sędzę, że będziemy razem mieszkać przez najbliższe tygodnie. – Rozpłynęła się w uroczym uśmiechu. – Przywykniemy więc do siebie nawzajem, prawda?

Siostra Anne przytaknęła z radością.

–To, że się pani wreszcie uśmiecha, sprawia mi przyjemność. „Mnie też”, pomyślała Marion, łapiąc się na tym, że zamierzała powiedzieć to na głos.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że od pewnego momentu przestała się kontrolować, traktując to, co się jej przydarza, jako coś nieuchronnego.

–Czeka nas długie zwiedzanie z przewodnikiem. Jest pani gotowa?

–Już idę za siostrą... Gdy siostra Anne otworzyła drzwi, za którymi zniknęli jej współtowarzysze,

zanurzyły się w czeluściach Mont-Saint-Michel.

Przeszły przez diabelski loch: maleńką salę, za którą znajdowały się schody wiodące na poziom kościoła i z której można było dotrzeć do Merveille.

W kierunku wschodnim ciągnął się długi korytarz wysadzany kolumnami, czyli dziedziniec do spacerów. Na jego drugim końcu, w półmroku, brat Gilles rozmawiał właśnie z innym mnichem, którego nie sposób było rozpoznać, gdyż stał plecami do Marion.

Ledwie brat Gilles dostrzegł ją z daleka, wyciągnął sękatą dłoń spod habitu, chwycił swojego rozmówcę i odciągnął go w mrok, gdzie obaj zniknęli.

Marion cicho westchnęła.

Nie upłynęły nawet dwadzieścia cztery godziny, odkąd się tu znalazła, a już zanosilo się na wojnę domową.

Czas na tym granitowym wzgórzu miał płynąć powoli.

Stojąca za nią siostra Anne przekręciła ciężki żelazny klucz w zabytkowym zamku, który zazgrzytał, uwalniając zapadkę.

Drzwi otworzyły się, głośno skrzypiąc.

Spędziły tam cały ranek.

Siostra Anne poruszała się po korytarzach opactwa ze zdumiewającą łatwością i Marion pomyślała, że zakonnica musiała tu chyba dorastać.

Podczas zwiedzania obu kobietom towarzyszyło stukanie młotków, którymi przybijano płyty ze sklejki, zasłaniając nimi okna najbardziej narażone na zniszczenie. Wiele razy zdarzyło im się minąć zakonnika lub zakonnicę zatykających wąskie otwory okienne dużymi kawałkami wilgotnego kartonu. Przygotowania szły pełną parą. Zbliżająca się burza musiała być rzeczywiście okropna, jeśli wzbudziła tyle obaw.

Poza ogólnym wrażeniem, jakie wywarły wszechobecne schody, różne sale w każdym zakątku i zawły labirynt korytarzy, Marion zdołała zapamiętać kilka istotnych szczegółów.

Przede wszystkim to, że w konstrukcji gmachu opactwa można wyróżnić trzy poziomy, choć ogromna liczba sal i łączących je galerii miała wkrótce zaprzeczyć temu ogólnemu ustaleniu. Na najwyższym poziomie mieścił się kościół, na średnim była krypta Trzydziestu Świec z przylegającymi do niej kaplicami, a na najniższym – lochy. Szczególnie ten loch, który umożliwiał łatwe wyjście na zewnątrz przez ogrody opactwa, przykuł uwagę Marion i zarazem ją rozbawił. Do tego dochodziła Merveille. Bajeczna konstrukcja wznosząca się na północnym stoku, przylegająca do reszty budowli i również mająca trzy poziomy: obszerną piwnicę z umieszczoną na samym dole wspaniałą salą rycerską o potężnych filarach, sąsiadującą z salą gości położoną na poziomie średnim, oraz refektarz i wirydarz, które zaparły Marion dech w piersiach.

Wiszący ogród i jego kojącą roślinność otaczały zadaszne galerie, których kolumnienki ustawione w ukośną szachownicę, a także arkady i rzeźby z motywami roślinnymi zapewniały bezkresną przestrzeń do kontemplacji i medytacji. Z zachodniego stoku było widać trój skrzydłowe oszklone drzwi, podkreślające, że mieszają się tutaj trzy żywioły: ziemia stanowiąca fundament, morze jako kolebka życia i powietrze będące sferą ducha.

Siostra Anne wyjaśniła, że podczas stojącej wysoko gęstej mgły odbijał się w tych drzwiach klasztorny ogród, stwarzając złudzenie rajy, który jest na wyciągnięcie ręki, a którego obraz przyniosły anielskie tchnienia.

Marion zauważyła, że większość mijanych przez nie sal jest zamknięta, a siostra Anne nosi przy sobie niemal groteskowy pęk około dwudziestu ogromnych, ponuro brzęczących kluczy pasujących do zamków w masywnych drzwiach. Kiedy zakonnica wyciągała spomiędzy fałdów habitu wielkie kółko z kluczami, Marion miała wrażenie, że są one za ciężkie dla jej z pozoru delikatnych dłoni. Siostra Anne zdawała się jednak ulepiona z wiejskiej gliny, bardzo rozciągliwej i odpornej.

A jej jasnoniebieskie oczy świdrowały na wylot wszystko, na co patrzyły.

Mont-Saint-Michel dzieliło się na dwie części. Z jednej strony było niewielkie miasteczko, właściwie nawet osada, wspinająca się po południowo-wschodnim zboczu od grobli na południu, na szczycie zaś znajdowało się opactwo z usytuowaną na północy Merveille. Po przejściu Grande Rue i pokonaniu ciągu schodów zwanych Grand Degré Extérieur docierało się wreszcie do barbakanu, który wyznaczał granicę między miejscowością a zabudowaniami klasztorными. Olbrzymiego opactwa strzegła od strony południowej bardzo wysoka budowla z pomieszczeniami mieszkalnymi, a Grand Degré Intérieur okalały fundamenty kościoła, docierając aż do dziedzińca – tarasu zachodniego.

Obiad podano we wspólnej sali budynku mieszkalnego opactwa. Marion uderzyła prostota izby, w której nie było żadnych zabytkowych mebli, tylko kamienne mury i pokryte laminatem długie stoły. Z trudem powstrzymała uśmiech, biorąc do ręki nóż ze stali nierdzewnej – taki, jakie spotyka się już tylko w szkolnych stołówkach. Mistyczny obraz, zapamiętany po porannym zwiedzaniu, odpłynął gdzieś daleko.

Z wyjątkiem siostry Agathe oraz braci Gilles’a i Gaëla przy stole zasiedli wszyscy członkowie wspólnoty, którzy zostali jej przedstawieni tego samego poranka.

–Dziś wypada moja kolej podawania do stołu – oświadczył brat Christophe. Mówił ze zbijającą z tropu powolnością, dlatego Marion pomyślała, że słusznie nadała

mu przyzwisko „brat Anemik”.

Podano ravioli z serem w wielkim rondlu.

–Jak wkrótce się pani przekona, są dni, kiedy mamy więcej czasu na przygotowywanie posiłków, ale są i takie, kiedy zachowujemy większą... pobłażliwość.

Wpatrzona w swój talerz, Marion rozpoznała bez trudu łagodny i śpiewny głos siostry Gabrieli. Młoda kobieta spoglądała na nią lekko zaniepokojona, myśląc zapewne, że być może obiad nie przypadł Marion do gustu.

–Bardzo mi smakuje – uspokoiła zakonnicę Marion. – Sama nie jestem zbyt dobrą kucharką i też brakuje mi czasu.

Brat Udławek czym prędzej skorzystał z okazji i zapytał:

–A co pani robiła, jeśli to nie tajemnica? Marion nie zdążyła nawet otworzyć ust, gdyż siostra Anne zganiała ostrym tonem

jowialną ciekawość zakonnika:

–Bracie Damienie! Twoje pytanie jest nie na miejscu...

–Ależ nie, proszę dać spokój – przerwała Marion. – Nic nie szkodzi. – Odwróciwszy się zaś do czterdziestolatka, któremu minęła cała wesołość, dodała: – Jestem... Albo byłam westchnęła – sekretarką w Zakładzie Medycyny Sądowej w Paryżu.

Przyglądała się z rozbawieniem ich twarzom, podczas gdy wyobrażenie o tym, na czym polega na co dzień jej praca, przenikało do ich umysłów.

–W Zakładzie Medycyny Są... – zaczęła siostra Gabriela.

–Tak, to miejsce, w którym znajdują się zwłoki czekające na sekcję. Siostra Luce uniosła brwi nad orlim nosem. Staruszka wpatrywała się w jedzenie, przełykając powoli.

–Dodam od razu, że sekretarka nie wchodzi do sal sekcyjnych, choć mnie akurat kilka razy się to zdarzyło. Ogólnie jednak moja praca jest mniej... tnąca, jeśli można tak powiedzieć.

–Ale ma pani względnie bezpośredni kontakt ze śmiercią – zauważyła siostra Gabriela.

–W pewnym sensie tak.

–Czy to nie jest zbyt ciężkie?

–To... Przyznaję, że na początku jest trudno. Z czasem człowiek się przyzwyczaja. Sądzę, że po wielu miesiącach i latach to przestaje być takie drastyczne.

–Pojęcie śmiertelnej jednostki rozmywa się w śmierci ogólnej, mniej osobistej, bardziej odległej? – podsunęła siostra Gabriela.

–Tak, to mi przywodzi na myśl pewną sentencję... – wtrącił brat Damien, odkładając widelec i zbliżając palec do oka. – „Jeśli zabije się jednego człowieka, jest się mordercą, ale jeśli zabije się wielu ludzi – zdobywcą”.

Marion zamrużyła oczami. Znała dalszy ciąg tej maksymy: „A jeśli zabije się wszystkich, jest się bogiem”. Nie była jednak ani w idealnym miejscu, ani w odpowiednim towarzystwie, aby powtórzyć to zdanie na głos.

–W pewnym sensie – zgodziła się w końcu.

–Mimo wszystko to trochę postawione na głowie – odparł zakonnik. – Dochodzi do tego, że bardziej porusza nas śmierć jednego człowieka niż ludobójstwo! Jeśli rozejrzeć się wokół, to gazety rozpisują się na pierwszych stronach o morderstwach, które zdarzają się obok nas, ale pomijają milczeniem to, co się dzieje na przykład w Afryce...

Siostra Luce tak gwałtownie odstawiła szklanę, że o mało jej nie stłukła.

–Nie wydaje mi się, żeby ustanawianie skali dramatyczności śmierci było zbyt pobożnym postępowaniem, bracie Da-mienie – skarciła go głosem ostrym niczym cięcie brzytwy.

–Oczywiście, że nie. Po prostu uważam, że śmierć nie zasługuje na różne stopnie odczuwania. Ona jest zawsze jednakowo tragiczna, bez żadnych rozgraniczeń...

–Dość! Zakonnik siedział przez chwilę z otwartymi ustami, zawiedziony, że nie może zareagować na ten pogardliwy ton. Spojrzał ukradkiem na Marion.

Wkrótce jedynym dźwiękiem poprawiającym nastrój stał się brzęk sztućców o talerze. Skończywszy swoją porcję, Marion zwróciła się do siostry Luce:

–Jak wygląda wasze życie codzienne?

–To zależy. W tej chwili trzeba przygotować Mont-Saint-Michel, aby zniosło nadchodzącą burzę. Proszę mi więc wybaczyć, ale mam jeszcze dużo pracy.

Zebrawszy sztućce i talerze, siostra Luce wstała, odłożyła wszystko na tacę i opuściła pomieszczenie.

Marion postukała nerwowo palcem wskazującym w szklanę.

–Nieźle się zaczyna... – szepnęła. Siostra Anne obdarzyła ją spojrzeniem, w którym czaił się niepokój.

–Marion... – zaczęła. – Pozwoli pani, że będę mówić do pani „Marion”? Dziś po południu chcę pani pokazać sąsiednią miejscowość i...

–Myślę, że są pilniejsze sprawy – przerwała Marion. – Jeśli ta burza rzeczywiście ma być taka groźna i trzeba jeszcze zrobić tyle rzeczy, żeby się przed nią uchronić, to może mogłybyśmy pomóc? – A z nutką złośliwości dodała: – Siostrze Luce chyba by się to spodobało. I przyznam, że odrobina ruchu dobrze mi robi.

Siostra Anne milczała przez chwilę, zaskoczona, po czym skinęła głową. Siedząca nieco dalej siostra Agathe parsknęła śmiechem, pospiesznie zasłaniając dłonią usta.

Marion wyjrzała przez okno na niebo.

Było szare, jednolicie szare, pozbawione jakiejkolwiek chmurki.

Jeśli burza naprawdę nadchodziła, robiła to bardzo powoli, skradając się niczym drapieżnik, który szykuje się do skoku na ofiarę.

Przez trzy godziny wykopywały z północnego ogrodu delikatniejsze rośliny zielne i krzewy, które umieściły następnie w glinianych doniczkach i przeniosły na kilka dni do obszernej

piwnicy kościoła. Marion związała włosy starą gumką i nie szczędziła wysiłku, aby wykonać jak najwięcej pracy. Gdy zaczęło zmierzchać, nie czuła palców.

Niekiedy podnosiła głowę, spoglądając na mury opactwa w poszukiwaniu śladów życia, nigdy jednak nie dostrzegła więcej niż jedną ukradkowo przemykającą postać. Mont-Saint-Michel zaczynało wyglądać jak dryfujący wrak bez załogi na pokładzie.

Pyszałkowaty, ale przepiękny dryfujący wrak.

Jedynym zwiastunem zbliżającej się burzy był coraz mocniej dmący wiatr. Uporczywy wicher, który przyprawiał o gęsią skórkę i smagał po całym ciele.

Postawiwszy ostatnią doniczkę obok pozostałych, Marion opadła na ławkę przed wejściem do piwnicy.

Na zewnątrz gasnący blask dnia spopieliał barwy ogrodu. Siostra Anne usiadła obok Marion z narzędziami ogrodniczymi w dłoniach.

–Przynajmniej tyle się uratuje – stwierdziła w końcu.

–Jak siostra uważa.

–Wahałam się, czy pani o tym powiedzieć, kiedy tam byliśmy – przyznała siostra Anne, wskazując głową okno. – Ale teraz... Wie pani, że przekopałyśmy „ogród na pełnym morzu”, który, zanim tak go nazwano, nosił miano „cmentarza mnichów”?

–To zabawne...

–Podczas rewolucji grzebano tam księży odmawiających złożenia przysięgi na konstytucję cywilną kleru. Ciągle tam leżą – dodała zakonnica, parszając cichym śmiechem. – Administrator Mont-Saint-Michel zamierza urządzać tutaj koktajle i przyjęcia weselne, wyobraża sobie pani?

–To w najlepszym guście.

–Prawda? Marion już miała dorzucić uwagę na temat wyraźnie większej żywotności rosnącej tu

zieleni, dodając zaprawione czarnym humorem zdanie o bogatszym podłożu, z którego czerpią korzenie roślin, ale się powstrzymała. Wszystko wokół było zresztą zdecydowanie w złym guście.

Wpatrywała się w kilkumetrowej długości rzędy doniczek.

–Siostra Luce będzie zadowolona... – powiedziała. – Zaoszczędziłyśmy jej dodatkowego wysiłku.

W kącikach ust rozbawionej siostry Anne ukazały się drobniutkie zmarszczki.

–Proszę nie mieć jej za złe pewnej rezerwy – odrzekła. – Ona nie chciała pani urazić.

Tworzymy małą społeczność, mamy swoje przyzwyczajenia, a pani wizyta narzuciła każdemu z nas jakieś zmiany. To tak, jakby stary kawaler miał nagle rozpocząć życie w małżeńskim stadle. Pani pobyt z pewnością będzie bardzo korzystny dla nas wszystkich. A jeśli nawet siostra Luce sprawia wrażenie trochę... szorstkiej na pierwszy rzut oka, to w gruncie rzeczy jest wyjątkową kobietą; sama się pani przekona.

–Skoro wymaga to od was wysiłku, dlaczego zgodziliście się mnie przyjąć? Uśmiech siostry Anne stał się nieco mniej szeroki, chociaż nie zniknął całkowicie.

–To trochę skomplikowane... Jesteśmy tylko lokatorami, bo Mont-Saint-Michel należy do państwa i zarządza nim administrator, my zaś płacimy czynsz i świadczymy pewne usługi. Tak jak dzisiaj, biegając po wszystkich zakątkach i przygotowując się na przejście burzy...

–Albo zgadzając się na ukrywanie osób powierzonych waszej opiece przez państwo. Narzucają wam...

Siostra Anne łagodnie pokręciła głową.

–Niczego nam nie narzucają. Zapytano nas o to cztery lata temu, my zaś po przedyskutowaniu tego problemu we własnym gronie zgodziliśmy się świadczyć tę usługę. Mont-Saint-Michel to nasze ustronie, a nie świątynia.

Marion przyjrzała się swoim dłoniom. Były pobrudzone ziemią i całe podrapane.

–Chodźmy; odprowadzę panią do domku, w którym będzie się pani mogła ogrzać i umyć. Wpadnę wieczorem i pójdziemy razem na kolację...

–Wolałabym wieczorem zostać sama, jeśli nie ma siostra nic przeciwko temu. Chciałabym się... zadomowić. Dopiero co przyjechałam.

Siostra Anne skinęła głową.

–Oczywiście, rozumiem. Zaopatrzyliśmy lodówkę, będzie więc pani miała co jeść. Gdyby czegoś pani potrzebowała, nasz numer telefonu jest na stoliku przy drzwiach.

Skrećwszy na północ, a później na wschód, zanim Marion zdążyła się zorientować w położeniu, zeszyły Grandę Rue aż do kościoła parafialnego, od którego prowadziły schody wzdłuż cmentarza. Naprzeciw stel wznosił się rząd niewielkich jednopiętrowych domów. Siostra Anne serdecznie pogładziła Marion po plecach na pożegnanie i zawróciła, zostawiając swoją protegowaną przed drzwiami do jej nowej kryjówki.

Marion pchnęła drzwi i oparła się o nie. Wydała długie westchnienie, zanim otworzyła oczy.

Przedpokój był wąski, a do sypialni prowadziły schody. Była u siebie.

Musiała się przyzwyczać do tej myśli. Co najmniej na kilka tygodni.

Nie zdążyła jeszcze nawet zwiedzić swojego nowego domu ani się z nim oswoić, postanowiła więc uczynić to tego wieczoru.

Położyła klucze na stoliku przy drzwiach i minawszy kuchnię, weszła do pokoju dziennego. Jej salonu.

W głębi pokoju niemal całą ścianę zajmowało wysokie okno z wąskimi szprosami, które nadawały mu średniowieczny wygląd. Pod parapetem stał narożnik, a naprzeciw niego umieszczono zamykaną szafkę z telewizorem i wieżą. Mieszkanie umeblowano tak, aby dostosować stare wnętrze do nowoczesnych wymagań, co nie wszędzie się udało. Z okna rozciągał się jednak ładny widok. Spiczaste dachy pokryte glinianą dachówką i kominy z czerwonej cegły schodziły łagodnie ku morzu, na południe, gdzie znajdowało się wejście do Mont-Saint-Michel, ku grobli, która ciągnęła się daleko, przecinając szary bezkres, aby na koniec połączyć się z lądem.

Na wszystkich mansardach i strychach o wąskich oknach było ciemno. Jedyne ze znajdującego się niżej w miasteczku komina ulatywała strużka białego dymu, którą natychmiast rozwiewał wiatr.

Położywszy płaszcz na kanapie, Marion usiadła obok z dłońmi splecionymi za głową. Gdy się zorientowała, że cała jest ubrudzona ziemią, zerwała się natychmiast, cmokając z rozdrażnienia.

Musiała dochodzić osiemnasta. Marion nie była głodna, po prostu zapragnęła się rozgrzać. Dlaczego nie miałyby poświęcić trochę czasu tylko sobie, skoro na piętrze znajdowała się wanna, w której mogła się odprężyć? Od jak dawna tego nie robiła? Rzadko udawało się jej wygospodarować wieczorem dwie godziny, aby usunąć defekty (krem), wykonać peeling (żel), pozbyć się tego, co zbędne (wosk), czyli smarować ciało, wcierać w nie kosmetyki i badać jego stan, poprawiając swój wygląd i samopoczucie.

Sprawić sobie nową skórę.

Właśnie tego potrzebowała, żeby się odnaleźć.

Marion zerwała się z miejsca i ruszyła po schodach, które skrzypiały pod przykrywającym je chodnikiem. Prowadziły prosto do sypialni bez drzwi. Na jej umeblowanie składało się szerokie łóżko, sofa z niskim stolikiem, szafa, kilka regałów i toaletka. W pokoju były trzy mansardowe okna; za dwoma z nich rozciągał się ten sam widok na południe co z parteru, trzecie zaś wychodziło na północ, na niewielki cmentarz.

Obie walizki stały na podłodze przy szafie, czekając, aż je ktoś rozpakuje. Przykucnąwszy,

aby wyjąć czyste majtki i szlafrok, Marion ruszyła do łazienki.

Na chwilę jednak się odwróciła, omiatając pokój szybkim spojrzeniem. Zerkając to w prawo, to w lewo, miała niejasne wrażenie, że coś jest nie tak.

Sofa... Niski stolik... Lampa... Stos czasopism (które znalazły się tutaj dzięki troskliwości siostry Anne)... Beżowa wykładzina... Stolik przy łóżku i lampka nocna... Łóżko... Kartka... Drugi stolik przy łóżku... Następna szafa... Wykładzina... i drzwi prowadzące do łazienki.

Marion zrobiła dwa kroki, po czym stanęła.

Kartka?

Tym razem spojrzała uważnie na kanapę.

To nie była kartka, ale koperta z papieru welinowego, na której widniało tylko jedno słowo: „Panna...”.

Serce zaczęło walić Marion jak młotem. Otworzyła usta, chciwie łapiąc powietrze. Jaka wiadomość kryła się w środku?

Zamknęła oczy i natychmiast się uspokoiła. Ludzie, którzy chcieli ją skrzywdzić w Paryżu, nie bawiliby się w zostawianie koperty, tylko od razu zadaliby cios.

Marion dotknęła rozciętej wargi koniuszkami palców.

Gdyby ją znaleźli, nie stałaby teraz o własnych siłach.

To siostra Anne zostawiła tę kopertę albo jeden z jej współtowarzyszy. Nic innego nie mogło wchodzić w grę.

Marion nerwowo odgarnęła za ucho kosmyk włosów. Nie podobało jej się to wszystko. Koperty nie było, kiedy się obudziła, a przed wyjściem posłała łóżko, tego była pewna. Jeśli miała tutaj spędzić kilka najbliższych tygodni, należało postawić sprawę jasno -będzie ich gościem, zgoda, ale musi mieć zapewnioną odrobinę prywatności, i to począwszy od własnego mieszkania. Nie chce, żeby ktoś tu wchodził, kiedy jej nie ma.

Wzięła do ręki kopertę i otworzyła ją.

W środku znalazła kawałek kartonu, na którym ktoś bardzo starannie napisał czarnym atramentem:

Lubi pani gry?

Dla ułatwienia powiem tylko jedno. Jest ich dwadzieścia pięć, chociaż można by dodać jeszcze jedną, która stanowiłaby krótszą wersję swojej następczyni; są ułożone w kwadracie, 12345 i 12345 na odciętej i rządnej.

Oddany Pani.

Marion zamrugała oczami i ponownie przeczytała liścik.

–Co to za bzdura? – mruknęła. W pierwszym odruchu podniosła głowę i zerknęła przez zasłony, czy nikt jej nie

podgląda ze znajdującego się naprzeciwko cmentarza. Zbudowano go bowiem na płaskim wzniesieniu terenu, dzięki czemu znajdował się na tej samej wysokości co piętro. Od domu oddzielała go jedynie wciśnięta między budowle uliczka i ogrodzenie.

Nikogo.

Było wyjątkowo ciemno.

Marion zapaliła lampę przy sofie w sypialni i usiadła na poduszkach.

Co to miało znaczyć? Te wszystkie cyfry...

–Dobrze, w porządku... Chcesz grać... Co to jest? Rodzaj rytuału powitalnego? Otrzęsiny?

Wypowiedziała te słowa na głos. Serce zaczynało bić normalnie. Odłożyła kartonik na stolik. „I co teraz?”

Przyjrzała się uważnie ciągowi cyfr.

„To jakaś cholerna zagadka. Zaszyfrowana wiadomość.”

Uświadomiła sobie, że przecież zawsze lubiła takie tajemnice, już od dzieciństwa. Fascynowały ją nawet krzyżówki – traktowała je jak swoiste zagadki semantyczne w kawałkach.

A więc te kilka liczb...

Tak, musiała przyznać to sama przed sobą – była zaintrygowana.

„No więc?”

Ciągle zdenerwowana, nie mogła się powstrzymać, żeby po raz kolejny nie obejrzeć dokładnie całego pokoju.

–Do cholery! Pewnie, że mnie to ciekawi... – rzuciła, wstając, żeby wyjąć z torebki notes i

ołówek.

W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, czy był to pomysł siostry Anne, czy też jednego z braci.

–Zobaczymy...

Nie wyglądało to jak współrzędne, bardziej jak zaszyfrowana wiadomość. Wszystkie cyfry były połączone w pary. Jedna para mogła oznaczać raczej literę niż

wyraz, to się wydawało najbardziej logiczne.

Marion zamknęła oczy, chcąc przypomnieć sobie słowo, którego nauczyła się jako młoda dziewczyna... Przez całe lata nie dawało jej ono spokoju... Słowo na „O”... „Dobry Boże, przecież to znane jak świat...”

–ESARINTULO! – zwołała. Porządek liter najczęściej używanych w języku francuskim. Najpierw „E”, później

„S”, następnie „A” i tak dalej. Mogła spróbować połączyć najczęściej powtarzające się liczby z najczęściej używaną literą.

–To nam daje... Marion zabrała się do liczenia. Najczęściej powtarzały się 11 i 15: jedna cztery razy,

druga trzy. Prawdopodobnie „A” i „E”. Liczba 34 kończyła wiadomość, podczas gdy w części środkowej dwukrotnie występowało 11. Dwa „A” w jednym wyrazie? Całkiem prawdopodobne. Marion zdecydowała się przyporządkować literę „A” liczbie 11 i literę „E” liczbie 15.

Dwukrotnie występowały także liczby 55 i 32.

Czyżby „Z” i „L”?

Marion zapisała w notesie pierwsze wnioski, zastępując iksem niewiadome:
xxEZAxAxxxExA/ZxLxxxAxxEx.

Nic oczywistego. Jedno słowo ma trzynaście liter, drugie jedenaście. Wiadomość była bardzo krótka. Może nawet zbyt krótka, żeby dało się użyć ESARINTULO.

W pierwszej chwili zdanie, które przypuszczalnie było dodatkową wskazówką, wydało się Marion niezrozumiałe, dlatego wyłączyła je ze swojego rozumowania; teraz jednak nadszedł czas, aby wykorzystać je w równaniu.

„Jest ich dwadzieścia pięć, chociaż można by dodać jeszcze jedną, która stanowiłaby krótszą wersję swojej następczyni; są ułożone w kwadracie, 12345 i 12345 na odciętej i rzędnej.”

Dwadzieścia pięć czego?

Marion oblizala wargi.

Narysowała w notesie tabelę. Poczynając od lewego górnego narożnika, napisała: 1, 2, 3,4 i 5 w jednakowej odległości w linii poziomej, jak dla odciętej. Następnie powtórzyła całą operację w linii pionowej, która stała się rzędną.

–I co teraz?

Miała dwadzieścia pięć kratek do wypełnienia, tylko czym? „Jest ich dwadzieścia pięć, chociaż można by dodać jeszcze jedną, która stałaby się

krótszą wersją swojej następczyni.” Opuściła dłoń, która uderzyła o kartkę.

–Co za idiotka! Musiała zastąpić liczby literami.

–Alfabet!

Krótsza wersja następczyni to „V”, następczyni to „W” a od 25 przechodzi się do 26. Wypełniła tabelę według ciągu rosnącego, który jest najbardziej logiczny.

1 2 3 4 5

Następnie przyjrzała się ponownie ciągowi liczb.

52 24 15 55 11 22 11 12 43 24 15 32 11 / 55 35 32 45 54 31 11 33 24 15 34

Wystarczy znaleźć punkt, w którym krzyżują się kolumny, a odcięta i rzędna dadzą literę.

Zgodnie z tą metodą, pierwsza liczba – 52 (5 i 2) – dałaby albo „W”, albo „J”. Ponieważ więcej wyrazów zaczyna się na literę „W”, pierwsza cyfra każdej liczby musi być rzędna, następna zaś odcięta. Marion zaczęła więc zastępować każdą parę wskazaną literą.

Miała czarne paznokcie, a pozostałe na nich resztki ziemi podkreślały każdą zmarszczkę na palcach. Co chwila ciemne drobinki odrywały się od skóry, pozostawiając brudne ślady na papierze.

WIEZAGABRIELA / ZOLTYKAMIEN

6

Teraz, gdy słońce zniknęło, do pokoju sączyło się niebieskie światło. Jedyne w okolicy sofy i stojącej obok lampki pozostał bursztynowy krąg.

–„Wieża Gabriela, żółty kamień” – przeczytała Marion, kładąc notes na kolanach.

Czego właściwie od niej chciano? Wyciągnąć ją na zewnątrz, na zabawę w tropienie?

Wyjrzała przez okno. Wraz z zapadnięciem zmroku cmentarz postarzał się o trzysta lat, krzyże stały się groźne, a porosty przybrały odpychający cielesny wygląd przemykającego po

kamieniach złodzieja. Domu zaś strzegł rozparty wysoko na skale kościół opacki.

Marion poszła po plan, który rano dała jej siostra Anne, i rozłożyła go na stoliku.

Wieża Gabriela to budowla stojąca nieco na uboczu, na zachodnim zboczu wzgórza.

Do tej okrągłej baszty wzniesionej nad samym brzegiem morza można było dotrzeć dwiema drogami. Jedna była nie do przebycia podczas przyływu, należało zatem pójść naokoło, opuszczając miasteczko przez główną bramę, aż do Fanils. Druga droga była trudniejsza dla nowicjusza, wymagała bowiem wdrapania się pod górę aż do murów opactwa, a następnie zejścia tak zwaną ścieżką do Fanils.

Komuś, kto – tak jak ona – dysponował planem, nie powinno to jednak nastęrczać żadnych trudności.

Marion złożyła mapę i zeszła po płaszcz.

Oczywiście, że tam pójdzie. I to właśnie teraz, kiedy jej ciekawość sięgała zenitu. Co innego miała do roboty? Wziąć kąpiel i zastanawiać się przez godzinę nad celem tej zabawy? Bez sensu.

Bez sensu i denerwujące.

Poprawiwszy poły ciepłego okrycia, wypila duszkiem szklanke wody i wyszła z domu, starannie zamykając drzwi na klucz.

Uliczka była ciemna jak ściek. Przypominała ponury średniowieczny zaułek – po jednej stronie wznosił się mur otaczający cmentarz, po drugiej rząd niskich domów, wszędzie zaś znajdowały się tylko stare kamienie, a zamiast latarni wisiała zgaszona lampa z kutego żelaza, zgrzytająca na wietrze. Marion uświadomiła sobie, że nie ma latarki, którą mogłaby sobie oświetlić drogę albo przynajmniej mapę. Na szczęście miała dość jasne wyobrażenie tego, którądy powinna się udać. Nie było mowy, aby iść dołem, po południu widziała bowiem, że morze się podnosi, a o tej porze woda musiała już pewnie sięgać murów.

Skręciła zatem w lewo.

Brukowana ścieżka była niewidoczna. Marion przedzierała się przez zasłonę ciemności przepuszczającą jedynie dźwięki.

Po prawej stronie ukazały się biegnące wzdłuż cmentarza schody, którymi można się było dostać na wzgórze.

Podniosła kołnierz płaszcza, żeby osłonić szyję przed chłodem, włożyła ręce do kieszeni i ruszyła po stopniach, przyciskając łokcie do ciała.

Wąska ścieżka skręcała wielokrotnie, wijąc się wśród popękanych murków i starych domów. Wkrótce Marion znalazła się nad miasteczkiem, skąd dochodziło niewiele światła.

Na uliczkach nie było żywego ducha.

Marion stanęła u stóp opactwa – wspaniałej, potężnej i górującej nad zatoką fortecy wiary. Idąc przez chwilę pod jej osłoną, odkryła szerokie schody wiodące do drogi, która wiała się między drzewami, a następnie schodziła do Fanils.

Wiatr przybrał na sile.

W dole ukazała się wieża Gabriela, częściowo zasłonięta roślinnością porastającą zachodni i północny stok. Dość wysoka, przede wszystkim jednak szeroka, stała z dala od pozostałych budowli Mont-Saint-Michel niczym parias.

Do żalösnej skargi wichru dołączyła fala przyboju.

Marion znalazła się przy otwartym przejściu, którym można się było dostać do bocznej części wieży.

Tymczasem z drugiej strony uderzyła zaciekle fala, rozbijając się o kamienie.

Gdy po kilku minutach przebywania na wzniesieniu górującym nad krajobrazem Marion znalazła się na poziomie morza, ogarnął ją niepokój. Utraciła poczucie bezpieczeństwa i kontroli, stając się bezbronna, dostępna.

Tak, to właściwe słowo. „Dostępna”.

Otoczający ją czarny bezkres widziany z góry wydawał się piękny i niegroźny jak namalowany obraz, tymczasem teraz morze mogło wysunąć swoją bardziej chciwą mackę i ją pochwycić. Wystarczył gwałtowny atak gniewu, aby ponieść Marion daleko od lądu.

Z powodu ciemności każdy dźwięk nabierał irytującej siły. Marion jeszcze bardziej wtuliła szyję w kołnierz płaszcza. Nie była przerażona. Czuła się nieswojo ze względu na bliskość morza w mroku, ale się nie bała.

Wreszcie dotarła do wieży Gabriela. Pozostało tylko odnaleźć żółty kamień.

Droga za nią zniknęła, schodząc łagodnie ku brzegowi.

Na jej końcu ukazała się niespodziewanie lśniąca fala. Gdy rozbiła się z hukiem, piana rozprysła się o skały. Morze zastygło na moment bez ruchu, po czym cofnęło się niczym koniuszek ogromnego języka, który właśnie polizał w tym miejscu ziemię, próbując jej smaku. W dole odbijał się nieśmiały półmrok nieba, mieniając się tysiącem odblasków.

Marion znajdowała się dwadzieścia metrów od końca świata. Chłoszczący wiatr zamienił jej

włosy w istne kłębowisko.

W ogóle nie żałowała, że zeszła na dół. Widok był tego wart.

„Żółty kamień. Pozostało ci znaleźć żółty kamień i przekonać się, dokąd nas zaprowadzi ta zabawa.”

Posuwała się krok za krokiem, wpatrując się uważnie w ziemię w poszukiwaniu rzadkich jaśniejszych plam. Wkrótce minęła wieżę, zbliżając się do morza, które znajdowało się zaledwie metr niżej.

Ono zaś kołysało się bez przerwy, roztrzaskując fale z hukiem o brzeg. Marion trzymała się od niego najdalej jak mogła, w nagrodę za swoją zuchwałość otrzymując słone krople morskiej wody.

Nigdzie ani śladu żółtego kamienia.

Jeśli był niewielkich rozmiarów i ukryty gdzieś w gęstych zaroślach, to bez latarki nie sposób go było zauważyć.

Marion dotarła do końca drogi. W oddali rozciągało się królestwo morza.

„Żółty kamień... Żółty kamień... Trzeba tylko sprawić, żeby stał się widoczny!”

Odwróciwszy się na pięcie, powędrowała z powrotem ku wieży.

Ziemia była usiana mnóstwem białawych punkcików.

Przy murze wieży Gabriela było widać większe i ciemniejsze halo – nieduży gład, prawdopodobnie żółtego koloru.

Marion pociągnęła go do tyłu. Był ciężki.

Blok przetoczył się na bok z chrzęstem, który zagłuszył huk fal.

Marion szybko chwyciła leżącą pod kamieniem kopertę, zanim porwał ją wiatr.

Na kopercie nie było żadnego napisu. Wsunęła ją do kieszeni. W górze rozległ się świst.

Najpierw cichy, przypominający wdech. Coś z wysiłkiem wciągało powietrze, jak jakieś olbrzymie stworzenie chore na astmę. Marion przyjrzała się z uwagą wieży i jej wierzchołkowi, skąd zdawało się dochodzić sapanie. Świst umilkł.

Ostatnie dźwięki zagłuszył dziwny odgłos, jakby zaworu zamykającego się raptownie w wodzie.

Nagle rozległo się potężne trzaśnięcie, bardziej suche i jednocześnie bardziej głębokie niż grzmot.

Wewnątrz wieży dało się słyszeć echo. Marion zrozumiała wszystko, widząc cofające się fale. U stóp wieży wydrążono niegdyś podłużne dziury przypominające poziome otwory strzelnicze, przez które wysoka fala mogła się czasem przedostać do wnętrza budowli, uderzając od środka w jej ściany. Cofająca się woda tworzyła ciąg powietrza, który wydawał długi syk.

Marion uznała, że zobaczyła już dostatecznie dużo, poza tym zaczęła marznąć. Jeśli do tej pory czuła się tylko nieswojo, to teraz musiała jednak przyznać, że straciła pewność siebie.

Po raz pierwszy ujrzała ów cień, idąc chodnikiem wzdłuż murów opactwa.

Jakąś postać w dole, na sąsiedniej uliczce leżącej kilka metrów niżej. Człowiek, którego właśnie spostrzegła, bez wątpienia musiał ją także zauważyć, co chwila bowiem przystawał, zadzierając do góry głowę. Niestety, był zbyt daleko, żeby mogła go rozpoznać.

Marion przyspieszyła kroku. Nie było wprawdzie późno, wiatr jednak wiał naprawdę mocno – wystarczająco mocno, aby ludziom nie chciało się wyściubiać nosa z domu. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżała się burza. Obecność tamtego człowieka w ogóle nie podziałała na nią uspokajająco.

Popychana porywami wichru postać szybko posuwała się naprzód, nie spuszczając Marion z oczu.

Ona zaś nie miała najmniejszej ochoty spotkać kogokolwiek, a tym bardziej nieznanego. Nie teraz.

Pokonawszy pierwszą serię stopni, zbiegła po następnej. Wąski korytarz skręcał w prawo, między dwoma pustymi domami, następnie w lewo, po czym znowu robił zwrot przed kolejnymi schodami. Marion dosłownie się po nich stoczyła.

Uszy bolały ją od ataków nadchodzącej burzy. Wreszcie, ledwie łapiąc oddech, dotarła do uliczki. Swojej uliczki.

Przebiegła kilka metrów w ciemnym zaułku. Po czym zatrzymała się nagle przed niespodziewaną przeszkodą – masą, o którą uderzały, odbijając się, żywioty. On tam był. Tuż przed nią.

Naraz w ciemności rozbłysło światło skierowane wprost na jej twarz. Cofnęła się o krok, zasłaniając ręką oczy.

–Ej! – zawołała. Nie było żadnej reakcji. Marion zdążyła tylko zauważyć, że nieznamy jest znacznie wyższy od niej i że ma

kwadratowe ramiona.

–Proszę opuścić lampę! – krzyknęła. – Oślepia mnie pan. Przestała go widzieć, słyszała jednak, jak się porusza. Jego buty skrzypiały, gdy szedł po bruku.

–Ej, mówię do pana! Lampa zastygła.

–Nie znam pani; kim pani jest? – zapytał mężczyzna z silnym północnym akcentem.

–Słucham? Jaja pan sobie robi? To pan mnie zaatakował!

–To moja praca, łaskawa pani. Jestem stróżem Mont-Saint-Michel. A pani? Marion poczuła ulgę. Opuściło ją napięcie, którego nawet nie podejrzewała o taką siłę.

–Zostałam... zaproszona przez braci i siostry, żeby...

–Tak też sobie pomyślałem. Jest pani gościem zakonników. Tak przypuszczałem, widząc, że pani twarz jest mi obca. Gael, brat Gael uprzedził mnie, że przyjedzie do nich na zimę jakaś kobieta. Proszę wybaczyć, jeśli panią przestraszyłem.

Marion poczuła irytację, ponownie tego dnia słysząc, że mogłaby tutaj spędzić całą zimę.

–Nie szkodzi; nie mówmy o tym – odrzekła. – Mam na imię Marion.

–A ja Ludwig. Przysunąwszy lampę do twarzy, oświetlił ją od dołu, aby Marion mogła go zobaczyć.

–Teraz już mnie pani rozpozna – roześmiał się. Rzeczywiście był wysoki – metr dziewięćdziesiąt. Był raczej tęgi, miał długie policzki i brodę okalającą usta. Jego oczy były równie czarne jak krótko obcięte włosy. „Okolo trzydziestki”, oceniła Marion.

–Nie powinna pani zostawać na zewnątrz, bo idzie burza – ostrzegł. – Zaraz będzie ostro walić.

–Właśnie wracałam z krótkiego spaceru.

–Tak. Cóż, niech się pani pospieszy. Zaraz kończę obchód i wracam do domu. Później na ulicach nie będzie już żywego ducha.

–Tutaj mieszkam – oznajmiła Marion, pokazując biegnącą za jej plecami uliczkę.

–O, proszę mi wybaczyć – powiedział, odsuwając się, aby ją przepuścić. – Jeszcze będziemy mieli okazję, żeby się lepiej poznać, skoro zamierza pani spędzić z nami zimę. Dobranoc pani.

Skinąwszy mu głową na pożegnanie, z radością otworzyła drzwi.

To „pani” w jego ustach nie przypadło jej do gustu. Brzmiało zbyt ostentacyjnie. W jakim był właściwie wieku? Pięć, sześć lat młodszy od niej? A wypowiedział to tak, jakby między nimi istniała prawdziwa przepaść. Tak, jakby Marion była... stara.

„Jesteś przeczulona.”

„Tak, i co z tego?”

Zamknąwszy drzwi na klucz, zapaliła lampę nad progiem.

Co ją napadło, żeby wyjść? Włożyła dłoń do kieszeni i wyjęła kopertę. Wolno pokręciła głową, zdegowana własnym postępowaniem.

Następnie położyła kopertę na stoliku przy drzwiach.

Nastał szary świt. I hałaśliwy.

Burza przypuściła pierwszy atak w nocy, wiele razy wyrywając Marion ze snu. Tymczasem jedyną pozostałością po nawałnicy był wiejący bezustannie i tłukący o mury wiatr, który pokrył całą zatokę szarym całunem, zacierając granicę między morzem a niebem.

Marion powoli otworzyła oczy.

Na nocnym stoliku leżała rozłożona kremowa kartka papieru dobrego gatunku. Ktoś napisał na niej eleganckim charakterem pisma następujące słowa:

Brawo.

Brawo i witam.

Kartka była świeżo pognieciona – gest zniecierpliwienia z poprzedniego wieczoru, kiedy Marion otworzyła kopertę przed położeniem się spać.

Wstała przed ósmą. Zeszła na dół w szlafroku, który „pożyczyła” sobie w pewnym londyńskim hotelu podczas międzynarodowego sympozjum patologów, gdzie towarzyszyła

dyrektor Zakładu Medycyny Sądowej w Paryżu. Na posadzce przy drzwiach leżała kolejna kartka, którą ktoś wsunął przez szparę skrzynki na listy. Marion podniosła ją z westchnieniem.

Na szczęście nie była to ani zagadka, która nie prowadzi do niczego, ani anonim.

Tym razem obyło się bez okultyzmu – to tylko siostra Anne dała jej znać, że przez cały dzień będzie w pomieszczeniach mieszkalnych opactwa, gdzie Marion może do niej dołączyć. Ponieważ piątek to dzień Męki Pańskiej, żaden członek wspólnoty zakonnej nie spożywa posiłku, będzie więc musiała zjeść sama. Na koniec siostra Anne wyraziła nadzieję, że burza nie zakłóciła jej zbytnio snu.

Marion uniosła brwi, upuszczając kartkę na podłogę.

Nie do końca jeszcze rozbudzona, otworzyła lodówkę, w której znalazła sok pomarańczowy. Zjadła herbatniki, siedząc na kanapie i wpatrując się z roztargnieniem w dachy widoczne za oknem.

Nie miała najmniejszej ochoty na towarzystwo braci i siostr, a zwłaszcza na wysłuchiwanie jakichkolwiek rozmów na temat Chrystusa, Boga, Kościoła czy religii jako takiej. Pragnęła wyłącznie spokoju i całkowitej prywatności.

Wzięła prysznic, włożyła dzinsy i gruby wełniany sweter, po czym zadzwoniła do pomieszczeń

mieszkalnych opactwa, których numer znajdował się na liście obok telefonu. Wyjaśniwszy siostrze Anne, że chce zostać sama, rozłączyła się. Nie wspomniała ani słowem o wieczornej zagadce, a tym bardziej o tym, że wyszła. Wszystko wyjaśni się samo, albo i nie.

Dzień minął jej szybciej niż przypuszczała.

Rankiem snuła się po Grande Rue, nie przejmując się wiatrem, który ani trochę nie stracił na sile. Oprócz restauracji hotelu M^{re} Poulard i jednego sklepiku wszystko było pozamykane. Garstka niez mordowanych zimowych turystów dała za wygraną na wieść o burzy. Marion była sama na ulicy.

Kiedy weszła do sklepu z pamiątkami, sprzedawczyni obdarzyła ją swoim najpiękniejszym uśmiechem, prosząc, żeby kupiła chociaż pocztówkę, dzięki czemu okaże się, że nie otwierała na próżno. Obie się roześmiały i od razu polubiły. Wypiły wspólnie kilka filiżanek kawy, nawiązując serdeczną znajomość. Sprzedawczyni miała na imię Beatrice, czterdzieści cztery lata i mieszkała w Mont-Saint-Michel z osiemnastoletnim synem Grégoire'em. Marion kilkakrotnie uświadamiała sobie podczas rozmowy, że ta piękna kobieta o rudych, zgrabnie wycieniowanych włosach i szczurzym nosie stanowiącym zwieńczenie wystających kości policzkowych marnuje się, żyjąc sama na tym pustkowiu na końcu świata.

Czarujący mężczyźni raczej nie pchali się tu drzwiami i oknami, jeśli więc szybko nie znajdzie sobie pary wśród stałych mieszkańców...

Beatrice nie omieszkała jej wyjaśnić, że jest rozwiedziona i od dawna samotna.

–A ty? Marion roześmiała się nerwowo.

–Nigdy nie byłam mężatką, nigdy nie miałam dzieci, nigdy się nie rozwiodłam; krótko mówiąc: bez ryzyka – wypaliła jednym tchem.

–Jesteś taką pracoholiczką czy nigdy nie spotkałaś właściwego faceta?

–Chyba jedno ma związek z drugim.

–Cholera, mówisz tak, jakby klamka już zapadła. Masz mnóstwo wdzięku, Marion. To nie pochlebstwo, ja naprawdę tak myślę. Ile masz lat?

–Trzydzieści dziewięć. Beatrice wypuściła kłęb papierosowego dymu, zerkając na nią z ukosa.

–I przyjechałaś właśnie do Mont-Saint-Michel, żeby szukać swojego Graala? Moja droga, nie da się polować na zalotnika, przepraszam, na księcia z bajki tam, gdzie nikogo nie ma...

–Jestem na urlopie. Mieszkam we wspólnocie. Marion powtórzyła dokładnie to, co kazała jej mówić siostra Anne. Wyjechała na

urlop na zimę albo przynajmniej na kilka tygodni, uciekając od wielkomięjskiego stresu, żeby się pozbierać i odzyskać spokój. Siostra Anne przykazała jej także, aby nie zdradzała żadnych szczegółów ze swojego prawdziwego życia, a w razie potrzeby wymyśliła sobie jakieś fałszywe nazwisko. Ze względów bezpieczeństwa nikt poza wspólnotą nie powinien znać jej prawdziwej tożsamości.

Dla Marion najgorsze było to, że kłamstwo przychodziło jej z łatwością, która wprawiała ją w zakłopotanie. Paryskie mieszkanie przy Gare de l'Est zamieniła na dom w Choisy-le-Roi, pracę w Zakładzie Medycyny Sądowej – na posadę dyrektora artystycznej w małej agencji reklamowej; podobnie potraktowała pozostałe szczegóły ze swojego życia. Najtrudniej było kłamać na temat duchowego aspektu pobytu w Mont-Saint-Michel. Marion nie była wierząca, nie obchodziły ją ani zen, ani feng shui, ani inne tego typu sprawy, całą duchowość odnajdywała bowiem w płytach Arethy Franklin, Janis Joplin czy Rickiego Lee Jonesa.

Beatrice zaprosiła ją na obiad do położonego nad sklepem mieszkania. Grégoire'a nie było w domu. Zakończywszy naukę rok wcześniej, szukał pracy w miejscowym małym biznesie. Pożyczył od matki samochód i większość dnia spędzał poza miasteczkiem.

Obie kobiety poznawały się wzajemnie, sporo żartując. Marion zaproponowała, że popilnuje sklepu przez dzień lub dwa, jeśli to w czymś pomoże Beatrice; ona zaś w zamian obiecała, że zabierze ją na wycieczkę na stały ląd, kiedy Marion poczuje, że się dusi za murami fortecy.

Wróciwszy do siebie późnym popołudniem, Marion przygotowała kolację ze świeżych warzyw, którymi była wypełniona lodówka. Siostra Anne objaśniła jej zasady robienia zakupów – co najmniej raz w tygodniu jeden z braci jeździ do Avranches po sprawunki, wystarczy więc przekazać mu listę.

Miała przynajmniej zapewnioną dostawę do domu.

Burza wróciła pod wieczór. Ulewa siekła dachy z imponującą zaciętością. Wkrótce kominy zniknęły w strugach szarawego deszczu, przecinanego co pewien czas przez odległe błyskawice.

Marion zaczynała się oswajać ze swoim nowym salonem. Pojęła, że długie okno to jego dusza. Bezpośredni widok na miejscowe życie, na okolicę, zatokę i znajdujący się w głębi stały ląd.

Zasnęła przed telewizorem, ale otworzyła oczy w środku nocy. Deszcz stracił nieco na sile, grzmoty zaś wyludniły kamieniste wybrzeże. Na horyzoncie było widać jedynie samotne błyski.

Marion podziwiała ten widok przez kilka chwil.

Podobnie musiało być podczas lądowania aliantów w 1944 roku. Widmowe błyski przecinające niebo i stłumione echo dział. I ani jednego ludzkiego krzyku, który dałby się słyszeć w tym chaosie.

Marion wyłączyła telewizor i poszła spać.

Weekend był taki sam. Ponieważ bracia i siostry odprawiali mszę dla grupy żarliwych wiernych, którzy nie zważając na paskudną pogodę przybyli do Mont-Saint-Michel, Marion wybrała samotność. Odwiedziwszy Beatrice, spędziła dwa dni na urządzaniu się w nowym domu.

W poniedziałek o świcie burza ustała.

Zgodnie z umową brat Damien przyszedł rano po Marion, żeby zabrać ją do Avranches, gdzie mieli dokonać inwentaryzacji starych zbiorów bibliotecznych. Leciwa simca powiozła ich daleko od Mont-Saint-Michel, aż na plac przed merostwem, gdzie zaparkowali między brunatnymi kałużami wypełniającymi dziury w jezdni.

Podczas gdy brat Damien witał się z każdym członkiem personelu po imieniu, Marion podążała za nim w milczeniu. Wspiąwszy się po schodach, nad którymi wisiały portrety wielkich postaci zasłużonych dla historii miasta, weszli do biblioteki.

Marion doznała wrażenia, że znalazła się w drewnianej katedrze.

Wznoszące się na ogromną wysokość regały przekształciły książki w zwartą ścianę wiedzy, do której można się było dostać jedynie po pochyłych drabinkach. Wąskie i ciasne przejście w kształcie litery „U” obiegało niemal całe pomieszczenie dookoła, umożliwiając dostęp do półek znajdujących się pięć metrów nad podłogą.

Głos brata Damiena wyrwał ją z zamyślenia.

–Wie pani, że wśród przechowywanych tu manuskryptów znajduje się niekompletna Biblia z ósmego wieku? To niesamowite, prawda?

–To doprawdy wstrząsające – mruknęła Marion. Podłoga skrzypiała pod ich stopami niczym pokład starego trójmasztowca.

–Jest przechowywana w pokoju obok, w ogromnym sejfie podobnym do tych, które mają w bankach. Wie pani, można jej dotknąć tylko w białych rękawiczkach!

–Wyobrażam sobie... Brat Damien zamienił kilka słów z kustoszem – niewysokim i równie jowialnym jak

on człowiekiem z połówkami szkieł na nosie – po czym ruszyli krętymi schodami, które prowadziły do górnego przejścia.

Rzędy książek ciągnęły się tak wysoko, że z daleka sprawiały wrażenie cienkich i małych jak paznokieć. Marion pochylała się nad poręczą, żeby dotknąć jej dłońmi. Już w okresie dorastania stworzyła sobie teorię, według której wszystkie klucze do wszechświata kryły się w rozmaitych

punktach na ziemi – w bibliotekach. Człowiek, który przeczytałby wszystkie książki z kilku bibliotek, byłby w stanie zrozumieć wszechświat z jego najskrytszymi, najbardziej pierwotnymi cząsteczkami. Przeczytać wszystko, aby móc się przekonać, co umknęło – niekiedy w głupi lub przypadkowy sposób – ludziom nauki. Większość informacji jest już wprawdzie dostępna, ale rozproszona; chodzi o to, żeby jeden umysł zdołał przyswoić sobie całość wiedzy. Każda dziedzina nauki ma swoich ekspertów, żaden z nich nie ogarnia jednak wszystkich dziedzin naraz. Wystarczy zatem odpowiednio wybrać kilka bibliotek, być może dziesięć, rodzaj materialnych sefirot absolutu, a umysł stanie się posiadaczem Mądrości, będzie dokonywał rozmaitych analiz i dochodził do wniosków, które prowadzą do prawdziwej wiedzy. Niemożność wykonania takiego zadania przez jeden mózg w ciągu jednego życia odzwierciedla całą prawdę na temat tego ostatecznego poznania – ono nie jest w zasięgu człowieka. Marion często się nad tym

zastanawiała. Dlaczego nie pogodzić się z myślą, że po prostu nie jesteśmy w stanie rzeczywiście pojąć całego wszechświata? To, że nie można sobie wyobrazić, żeby kot mógł studiować doniosłość teorii względności, nie oznacza jeszcze wcale, że nie jest on zdolny do myślenia na swoim poziomie i w miarę swoich możliwości. Z rozumowania tego nie wynika, rzecz jasna, że człowiek przestaje chcieć zrozumieć, tylko że staje się pokorniejszy, mniej chciwy, a jego pojęcie wiedzy skłania się nie ku pogwałceniu, ale ku refleksji, gdyż – prędzej czy później – ziemia wystawi nam rachunek.

Dłonie Marion zacisnęły się na poręcz.

Od dawna już nie miewała takich myśli. Pseudoekologia, oszołomstwo w stylu podstarzałego hipisa. Nic, co darzyłaby szacunkiem. A jednak... Zawodowa rutyna, potrzeba zdobycia pozycji w społeczeństwie, posiadania konta w banku, płacenia rachunków, prowadzenia życia towarzyskiego – wszystko to z roku na rok oddalało ją coraz bardziej od tego, kim była w młodości; od ekstremistycznych, nonkonformistycznych przekonań. To, co niektórzy nazywali dojrzałością, jej wydało się nagle praniem mózgu. Z kolei fakt, że niespodziewanie znalazła się sama, z dala od nielicznych przyjaciół, zamknięta w czterech ścianach, nie mając do roboty nic poza myśleniem, obudził w niej tę część osobowości, o której zapomniała albo sądziła, że zniknęła.

–Ostrożnie! – krzyknął z dołu kustosz. – Niech się pani tak nie opiera o poręcz, bo może nie wytrzymać!

Marion wyprostowała się, kiwając mu przepaszająco głową. Brat Damien tymczasem się rozplątał.

Ruszyła jedyną drogą wiodącą do narożnika, gdzie znajdowały się maleńkie uchylone drzwi, do których prowadziły cztery stopnie schodów.

–Proszę wejść, śmiało – zachęcił brat Damien z typową dla siebie poczciwością. Przekroczywszy próg poddasza, Marion znalazła się w prostokątnym, nisko

sklepionym pokoju zastawionym regałami, które ugięły się od książek, starych czasopism, miejscowych periodyków, map, a także szkiców ornitologicznych. Lufciki na obu jego końcach wpuszczały odrobinę światła: akurat tyle, żeby człowiek nie potknął się o stopy encyklopedii albo roczników gazet, które leżały bezładnie na podłodze.

–Oto nasze biuro na najbliższe dni – zażartował zakonnik.

–To wszystko stanowi część spuścizny Mont-Saint-Michel?

–Absolutnie nie; to należy do miasta Avranches. Przyjeżdżamy tutaj, żeby sporządzić inwentaryzację, a zostaliśmy zatrudnieni przez merostwo. Każdy brat i każda siostra z naszej wspólnoty otrzymuje wynagrodzenie, ale oczywiście nie po to, żeby się wzbogacić, tylko po to, żeby móc się utrzymać. Na ogół pracujemy na pół etatu. Cóż, mamy mnóstwo roboty!

Brat Damien wręczył jej notes i pióro, przydzielając całą partię tomów znajdujących się z lewej strony pomieszczenia. Jej zadaniem było sporządzenie dokładnej listy dzieł, odręcznie i z zastosowaniem takich samych kryteriów podziału, według których już zostały ułożone.

Widząc setki piętrzących się przed nią zużytych grzbietów książek, Marion ochoczo zabrała się do pracy.

Stwierdziwszy, że mają tutaj spędzić co najmniej kilka dni, zaproponowała bratu Damienowi, by nazajutrz przywieźli ze sobą radio, żeby chociaż posłuchać muzyki. Zakonnik skrzywił się na ten pomysł, przypominając Marion zalety pracy w ciszy, która umożliwia rozmyślanie i modlitwę.

To, że brat Damien ma zawsze dobry humor, nie przeszkadza mu być członkiem wspólnoty religijnej, uprzytomniła sobie Marion.

Przez ponad trzy godziny przeglądała i inwentaryzowała periodyki z różnych dziedzin, dzienniki i przeglądy aktualności, wszystkie z drugiej połowy XIX wieku, oraz tomy roczników z lat dwudziestych i trzydziestych, a także pojedyncze numery z lat czterdziestych XX wieku. Okładki tchnęły zapomnianą atmosferą kolonii, szalonych lat, fokstrota i podróży statkiem pasażerskim lub sterowcem. A także śmierci.

I przemysłu zbrojeniowego.

Przed południem cudowna fascynacja starymi widokami i kulturą przodków wywołała u Marion mizantropijną melancholię.

O dwunastej brat Damien zaciągnął ją do piwiarni na rynku, dokąd udali się w towarzystwie kustosa i kilku urzędników merostwa. Marion, którą zakonnik przedstawił jako osobę spędzającą urlop we wspólnocie, prawie się nie odzywała. Zostawiwszy ich przy deserze, poszła kupić „Ouest-France” do kawiarni naprzeciwko, gdzie usiadła przy kontuarze i zabrała się do

czytania.

Skandal, który zmusił ją do opuszczenia Paryża, ciągle był tematem numer jeden.

Nie mówiło się o niczym innym.

Przejrzawszy pobieżnie gazetę, zatrzymała wzrok na aparacie telefonicznym wiszącym w pobliżu toalet. Usilnie zapragnęła zadzwonić do matki. Usłyszeć jej głos; zapewnić, że wszystko w porządku, że nie musi się o nią martwić.

Człowiek z kontrwywiadu stanowczo jej tego zabronił. Dla bezpieczeństwa jej samej i osób, które kochała. Marion miała zaledwie kilka godzin, żeby pożegnać się z bliskimi i

powiedzieć im, że musi się ukryć, dopóki wszystko nie ucichnie; być może aż do procesu. Jeśli to w ogóle możliwe.

Oprócz karty kredytowej, którą dostała od kontrwywiadu wraz z przykazaniem, by nie posługiwała się własną aż do odwołania, miała w portfelu kartę telefoniczną. Na koncie było niewiele – w sam raz tyle, żeby zaspokoić podstawowe potrzeby.

Tylko jedna krótka rozmowa telefoniczna... żeby usłyszeć jej głos...

„I żeby wszystko spieprzyć!”

Zapłaciła za kawę i wyszła. Brat Damien i pracownicy merostwa nadal siedzieli przy stole.

Marion przeszła na skos przez rynek i weszła do budynku merostwa. Wdrapawszy się na poddasze, zabrała się z powrotem do pracy, nie potrafiła jednak znaleźć włącznika, żeby włączyć jarzeniowe lampy. Między regałami panowały ciemności. Trudno jej było rozpoznać tytuły najbardziej zniszczonych książek, dlatego musiała je wyjmować i przewracać wklejkę, aby odczytać zawartość strony tytułowej. Postępując w ten sposób przez kwadrans, dotarła w końcu do najniższej półki.

Aby ulżyć kolanom, Marion usiadła na podłodze, trzymając w ustach koniec pióra. Tutaj książki były mniejsze, za to poukładane byle jak, jedna na drugiej, i pokryte warstwą kurzu. Do ścianki regału przyczepiono kartonik z napisem: „Dar biblioteki opactwa Mont-Saint-Michel – 1945 lub 1946 – do zinwentaryzowania i skatalogowania”.

Kartonik był pożółkły; prawdopodobnie tkwił tam od piętnastu lub dwudziestu lat.

Wszystko, co znajdowało się w tej sali, było tak zwanym odrzutem z biblioteki. W księgozbiornie na dole umieszczono najpiękniejsze i najciekawsze dzieła, a egzemplarze o niewielkiej wartości składowano tutaj przez lata.

Uwagę Marion przyciągnął właśnie ten dar opactwa.

Okolo pięćdziesięciu dzieł, na pierwszy rzut oka – wszystkie w obcych językach.

Podczas pobieżnego przeglądu okazało się, że przeważają książki po angielsku; było także kilka publikacji po holendersku i po niemiecku.

Marion miała słabość do starych wydań, które było czuć kurzem, pleśnią i starzyzną, szczególnie zaś do książek dla dzieci. Ponieważ biegle czytała po angielsku, natychmiast zaciekały ją tomy wydane w tym języku.

Nieznani jej autorzy.

Nagle trafiła na dzieło Henry’ego Jamesa. Marion wyciągnęła książkę, chwytając ją za grzbiet i napawając się zapachem papieru i druku. Zamknęła oczy.

Odłożyła książkę na miejsce, sięgając po następną. Wśród podręczników dobrego zachowania zaplątała się powieść Virginii Woolf.

Po chwili uwagę Marion przykuł wyróżniający się czarnym kolorem tom *in folio*. Był uszkodzony – w dolnej części otwartej tylnej okładki zwisały poskręcane nitki. Litery tworzące imię i nazwisko autora częściowo przesłaniały dwa sznury grzbietowe nadgryzione zębem czasu.

Marion zdołała odczytać tytuł, ponieważ był złocony.

Gdy wydostała książkę, na podłogę opadły białe drobinki, znikając w szparach między deskami.

Była to historia, którą uwielbiała.

***Opowieść Artura Gordona Pyma* Edgara Allana Poe.**

Jedyna znana jej powieść bez zakończenia, zwieńczona urwanym zdaniem w połowie rozdziału, bez rozwiązania. Marion przyłożyła nos do kart książki, wyczuwając charakterystyczną woń starzyzny. Będąc kilkuletnią dziewczynką, często odwiedzała dziadka, który miał wspaniałą bibliotekę, a w niej sporą liczbę starych książek. Marion uwielbiała ich zapach – wyobrażała sobie, że na tę upajającą woń składa się zapach palców tysiąca poprzednich czytelników.

„Poe miał równie dobrą pamięć co Proust” – przypomniała sobie Marion.

Okładka książki była nieco wybrzuszona, pokrywająca ją zaś skóra mocno splekana.

Marion otworzyła tom na pierwszej stronie. Zaczęła przewracać kartki. Uniosła brwi. Otworzyła szeroko oczy.

Stronice książki rzeczywiście były zapisane po angielsku. Nie było na nich jednak ani jednej

drukowanej litery. Były wypełnione wyłącznie odręcznym, prostym i równym pismem.

h

March, 10. I asked Azim to fetch...

Marion przerzuciła kartki. Cały tom wyglądał tak samo. Trafiała na pierwsze strony czegoś, co prawdopodobnie było prywatnym dziennikiem.

March, 1928, Cairo.

Ponieważ w pomieszczeniu było dość ciemno, musiała niemal wsadzić nos między kartki, żeby dokładnie obejrzeć szycie.

Ktoś usunął oryginalne strony i zastąpił je tym notatnikiem, starannie zszywając go z okładką.

Trzymała w dłoniach napisany w Kairze w marcu 1928 roku dziennik, który ktoś usiłował ukryć. Marion zamknęła go z powrotem i położyła sobie na kolanach.

O lufcik zaczęły uderzać grube krople deszczu.

Padło coraz mocniej, aż na całym poddaszu rozbrzmiała ich smutna muzyka.

Drzwi na poddasze zamknęły się, skrzypiąc.

Marion chwyciła pospiesznie powieść z ukrytym dziennikiem i odłożyła na stos. Czuła się przyłapaną na gorącym uczynku, jak dziecko, chociaż nie zrobiła nic złego. Uczucie to było dziwne, zbijające z tropu i zarazem podniecające.

–Pani już tutaj! – zdumiał się brat Damien, stawiając parasol przy drzwiach. – Co za zapal do pracy, gratuluję!

Marion już miała odpowiedzieć, że ponad dwadzieścia lat temu przestała być szesnastolatką, ale ugryzła się w język, chwilę wcześniej poczuła się bowiem rzeczywiście jak podłotek.

Oboje zabrali się do pracy, której przez całe popołudnie towarzyszył bębniący o szyby deszcz.

Okolo siedemnastej, gdy brat Damien powiedział, że wkrótce skończą, Marion podeszła cicho do regału z książkami obcojęzycznymi.

Tom z czarnym grzbietem leżał na wierzchu.

Upewniwszy się, że zakonnik nie może jej zobaczyć, chwyciła książkę.

I wsunęła ją pod sweter.

–Dlaczego ją zabrałaś? – zapytała Beatrice, wypuszczając obłok papierosowego dymu.

–Nie wiem. Chyba przez ciekawość.

–Co to jest? Stary dziennik?

–Na to wygląda. Z 1928 roku, napisany po angielsku przez kogoś, kto mieszkał w Kairze.

–Zapewne przez angielskiego osadnika. Zastanawiam się tylko, jakim cudem ten twój dziennik znalazł się w Avranches.

Marion upiła łyk kawy.

–Mam swoją teorię na ten temat.

–Nawet go nie czytałaś!

–Stanowił część darowizny opactwa Mont-Saint-Michel z roku 1945 lub 1946. Wystarczy, że bracia podczas wojny udzielili schronienia angielskiemu żołnierzowi, który umarł albo zostawił im swój dziennik, a wtedy umieścili go wraz z pozostałymi angielskimi książkami ze swojej

biblioteki, po czym w chwili wyzwolenia wszystko przekazali do Avranches, być może po to, żeby zyskać trochę miejsca.

–Nie przekonuje mnie to. Od 1928 roku jeszcze jednak daleko do wojny. Nie wyobrażam sobie, żeby ten twój Anglik włóczył się z dziennikiem w kieszeni przez ponad dziesięć lat!

–To tylko taki pomysł... Gré goire, leżący kilka metrów dalej na kanapie z czasopismem w ręku, wstał.

–Nudzę się, mamó. Przejadę się do miasta, do Pontorson. Kiedy przeciągnął się, ziewając bez skrępowania, zatrzeszczały mu stawy.

„Ładny chłopak”, pomyślała Marion, widząc go po raz pierwszy Mimo osiemnastu lat ciągle jeszcze miał na policzkach różową i miękką skórę niemowlęcia. Jego krótko obcięte włosy były potargane, a niesforne kosmyki układały się według własnego widzimisie. W uchu lśnił diament.

–Nie wracaj późno.

–W porządku.

Włożywszy skórzaną kurtkę, wyszedł z kluczykami od samochodu w dłoni. Po chwili milczenia Marion skinęła głową w kierunku drzwi, za którymi dopiero co

zniknął.

–Musi mu być trudno mieszkać na takim odludziu, z dala od świata, od przyjaciół.

–Greg to samotnik, ale bez wątplenia to nie jest raj. Prędzej czy później przeniesie się na stały ląd.

–Zaraz, zaraz. Mówisz tak, jakby Mont-Saint-Michel leżało na wyspie!

–Bo tak jest, przynajmniej z punktu widzenia jego mieszkańców. Sama się przekonasz, że mają mentalność prawdziwych wyspiarzy! Jeśli trzeba, pomagamy sobie wzajemnie, zaciskamy zęby i potrafimy dochować tajemnicy, która nie powinna wyjść poza mury.

Marion spojrzała głęboko w oczy swojej rozmówczynie.

–Dlaczego to mówisz?

–Bo to prawda – wzruszyła ramionami Beatrice. – Powiadają, że wyspiarze żyją poza kontynentem, że wiodą wyjątkowe życie, i tak rzeczywiście jest. Poza tym to bardzo małe miasteczko, jest nas zaledwie garstka i przyjeżdża tu mnóstwo turystów, ale wyobraź sobie tych, którzy mieszkają na przykład na Jersey!

–Mówisz tak, jakbyś to znała z własnego doświadczenia. Mam rację?

–Dorastałam na Belle-Ile – skrzywiła się Beatrice. – Wierz mi, to stan ducha. Beatrice wstała od kuchennego stołu, żeby zapalić plafoniere.

–Nie miałaś być dziś na kolacji u braci? – zapytała.

–Nie; brat Damien wyjaśnił mi, że w poniedziałki jest tam całkowita pustka. Wyjątkowo tylko on wyjeżdża tego dnia do pracy, ale reszta nie opuszcza swoich cel.

–Co za życie!

–Na dodatek od kiedy tu jestem, starają się specjalnie dla mnie, bo normalnie jedzą posiłki w milczeniu albo czytając Biblię...

Marion uderzyła dłonią w czarną okładkę książki.

–To ja się zbieram.

–Nie zostaniesz na kolacji?

–Nie, już i tak nadużyłam twojej gościnności, a poza tym mam coś do przeczytania -odrzekła Marion, wymachując dziennikiem. – Zamierzam zaspokoić własną ciekawość, zanim odłożę go na miejsce.

Kilka minut później ruszyła Grandę Rue w kierunku kościoła parafialnego, z książką pod pachą i z rękami w kieszeniach, delektując się wilgotną mgiełką, która kładła się jej na twarzy.

–Znowu na spacerze? – rozległ się nagle za jej plecami męski głos. Odwróciwszy się, spostrzegła Ludwiga, nocnego stróża, który mierzył ją wzrokiem z

wysokości swojego metra dziewięćdziesiąt.

–Nie, tym razem wracam do siebie.

–Jeszcze raz przepraszam, że napędziłem pani strachu wczoraj wieczorem. Marion skinęła głową. Rozbawił ją silny skandynawski akcent Ludwiga. W tej jego

osobliwości językowej wyczuwało się wołanie o solidarność.

„To ty tak myślisz, ponieważ on ma inną wymowę, i tyle...”

–Aha – dodał – w razie, gdyby mnie pani szukała po nocy, urzęduję na samym dole, na placu przed wjazdem do miasteczka. Drzwi są zawsze otwarte, a jeśli akurat robię obchód, może pani zadzwonić na komórkę. O, tutaj jest numer.

Podał jej przygotowaną wcześniej wizytówkę.

–Dziękuję, Ludwigu. W takim razie dobranoc i powodzenia. Marion oddaliła się, skinąwszy mu głową na pożegnanie. Nie miała nastroju na

pogawędkę. Gdy wróciła do domu, postawiła na kuchence patelnię i już miała usmażyć na niej pierś kurczaka z odrobiną świeżej śmietany, gdy ktoś zapukał do drzwi.

–Słowo daję... – mruknęła. W progu stał brat Damien.

–Dobry wieczór. Przepraszam, że przeszkadzam. Zajmę dosłownie chwilę; chciałem tylko przypomnieć, że wpadnę po panią jutro rano o dziewiątej. I proszę, to dla pani.

Podał jej pudełko xanaksu. Leku przeciwłękowego.

–Siostra Anne przypuszczała, że to się może pani przydać, biorąc pod uwagę okoliczności... A do tego ten silny wiatr wiejący po nocy... Jednym słowem, to mogłoby pani pomóc zasnąć.

Marion wzięła pudełko i podziękowała.

Pochwyciła spojrzenie zakonnika, który wpatrywał się w coś za jej plecami. Przypomniała sobie wówczas, że położyła skradzioną książkę na stoliku przy drzwiach, który znajdował się tuż za nią.

–To ja się pożegnam. Tak czy inaczej nie powinno mnie tu być; dziś jest poniedziałek, wszędzie pusto. Życzę pani miłego wieczoru, do jutra.

Nawet jeśli rozpoznał książkę, co było mało prawdopodobne, nie dał tego po sobie poznać.

–Dobranoc, bracie Damienie. Zamknąwszy za nim drzwi, rzuciła lekarstwo na stolik obok książki w czarnej

okładce.

Zjadła obfitą kolację, siedząc w salonie przy włączonej wieży stereo i słuchając muzyki, dzięki której poczuła się trochę jak w domu. Następnie ułożyła się wygodnie na kanapie i otworzyła dziennik. Na pierwszej stronie przeczytała po angielsku:

Dziennik spisany przez Jeremy ego Mathesona w marcu roku 1928.

Przewróciła kartkę.

March, 11.

I decided to... Marion przymknęła oczy. Znała język angielski bardzo dobrze; wystarczyło tylko,

żeby przypomniała sobie słownictwo.

II marca Postanowiłem chwycić za pióro nie po to, aby oczyścić sumienie przez wyznanie, albo po to, aby relacjonować moje codzienne życie, lecz – wyjątkowo – aby opisać tę niesłychaną historię, która mnie ostatnio pochłonęła.

Ćwiczenie to, jeśli można je za takie uznać, rozpoczyna się wyłącznie po to, aby zaspokoić moje pragnienie przelania na papier tych osobliwych godzin; nie jestem nawet w stanie przewidzieć, jaki będzie jego koniec, o ile w ogóle nastąpi. Postaram się być jak najbardziej obiektywny i zrelacjonować wydarzenia, nie poddając się rutynie, empatii czy choćby zwykłej subiektywnej interpretacji.

Dziennik ten to moja opowieść. O tej ponurej historii, która nie daje mi spokoju.

Marion podniosła wzrok. Salon oświetlała tylko jedna lampa, stojąca obok niej, pozostawiając pozostałą część pomieszczenia na pastwę nocy.

Lubiła tę przynoszącą wytchnienie atmosferę. Po chwili wróciła do lektury.

First of all, I would like to introduce... przedstawić się. Nazywam się Jeremy

Matheson. Jestem detektywem „występującym w imieniu imperium Jego Królewskiej Wysokości Jerzego V”, jak się powinno powiedzieć, przydzielonym do służby w jednej z kolonii brytyjskich – w Egipcie, a ściślej w Kairze. Mam trzydzieści trzy lata i...

Tak zaczynała się historia Jeremy’ego Mathesona. Opowieść pochłonęła Marion już po kilku pierwszych słowach.

Karmiąc swoją wyobraźnię tym, co przeczytała w dzienniku, zanurzyła się w odległym świecie...

Wytarłszy plamę atramentu z palca wskazującego, Jeremy Matheson powrócił do pisania.

Nad biurkiem w wagonie paliła się, zawieszona u belki, lampa naftowa.

Ziarenka piasku usypały na wykładzinie przy drzwiach lśniące, bursztynowe smugi. Zwyczaj otrzepywania butów w tym samym miejscu, zanim się je zdejmie, sprawił, że na podłodze pozostało mnóstwo rozgałęzień, które utworzyły coś w rodzaju powitalnej delty.

Do ściany przy wejściu był przymocowany metrowej długości termometr, który pokazywał, w skali Fahrenheita, nadmiernie wysoką temperaturę, mimo że na zewnątrz zdążył już zapaść zmierzch.

W miarę jak wzrok zapuszczał się coraz dalej, światło w wagonie stawało się słabsze i bardziej nieśmiałe, jakby nie chciało odsłonić prywatności Jeremy'ego Mathesona. Dobrej jakości materiały, jakimi wykończono wnętrze, odbijały lub pochłaniały blask płomienia. Lakierowane drewno było zużyte, za to mocne, a aksamit, którym zostały obite ściany, nadal zachował swoją miękkość.

Za drzwiami, za szerokim biurkiem, przy którym pracował detektyw, umieszczono naprzeciw siebie dwie kanapy pokryte popękana skórą, zniszczone od długiego stania w gorącym i wilgotnym klimacie, przedzielone niskim stolikiem ozdobionym mozaiką. Na siedzeniach piętrzyły się stosy pogniecionych kartek zapisanych na maszynie i opatrzonych nagłówkiem policji w Kairze. Z nagrzaných od upału teczek wystawało kilka zdjęć.

Były czarno-białe.

Pierwsze z nich ktoś przekreślił czerwonym atramentem, jakby chciał je skazać.

Widać było na nim białą ścianę i ubranego w garnitur mężczyznę, którego twarzy nie dało się rozpoznać, ponieważ pochylał się, przytrzymując się jedną ręką szczeliny w murze. Z ust ciekły mu na ziemię strużki śliny, przypominające sieć tkaną właśnie przez pajaka.

Po lewej stronie fotografii otwierała się owiana mgłą boczna aleja. Szerokie cienie sprawiały, że ludzkie postaci otaczające jakiś kształt na ziemi były niemal niewidoczne.

Drugie zdjęcie przedstawiało dalekie ujęcie prymitywnej, nieco podniszczonej słomianej lalki, gotowej się rozlecieć przy pierwszym nieostrożnym ruchu.

Ktoś namalował jej niezdarnie coś na kształt sukienki.

Była to farba albo plama.

Ciemna i mokra.

Trzecia fotografia ukazywała buty do chodzenia po mieście; buty zachodniej produkcji, świeżo wypastowane, chociaż pokryte warstwą kurzu – otaczały coś, co leżało na ziemi. Można się było domyślić, że na zdjęciu uchwycono wielu stojących mężczyzn, choć w kadrze zmieściły się tylko ich stopy i łydki.

Obiektów skupił się bowiem na małej, pulchnej rączce leżącej na ubitej ziemi czegoś, co zapewne było zaułkiem.

I na otwartej dłoni.

Skóra nie mogła być stara, gdyż była zbyt gładka.

Nadgarstek pokrywała ta sama lepka karminowa substancja, która znajdowała się na lalce.

Na kanapie leżało w nieładzie jeszcze dziesięć innych fotografii. Wszystkie odwrócono obrazkiem do dołu.

Płomień lampy prawie nie sięgał dalej – tam, gdzie cień gęstniał, tworząc wejście do łazienki. Z prawej strony było widać wiodący w głąb korytarz, który prowadził do sypialni.

Ogromne lustro odbijające najdalsze zakamarki nadawało temu ostatniemu pokojowi wyraz głębi. Naprzeciw toaletki zawalonej numerami „Picture Show Magazine”, obok wolterowskiego fotela, na którym leżała sterta ubrań, stało duże łóżko przykryte pogniecioną pościelą. Przy nim na wykładzinie poniewierała się drewniana miska, z której wysypywał się stos niedopałków zatopionych w morzu popiołu.

Stolik nocny ozdabiała fotografia kobiety. Żadne z obu okien nie przepuszczało aż tyle nocnej poświaty, aby dało się rozpoznać jej rysy.

Na drugim krańcu wagonu rozległ się gwizd czajnika stojącego na żeliwnej kuchence.

Jeremy wstał i złapał brudną szmatę, aby podnieść czajnik i nalać sobie herbaty. Wkrótce obszerne pomieszczenie wypełnił aromat zaparzonej mięty.

Rozparty wygodnie Jeremy delektował się wrzącym napojem. Wyjątkowo nie zdjął butów. Jego stopy kisiły się w środku.

Ciągle miał na sobie koszulę z mnóstwem kieszeni, rozpiął ją tylko na piersi. Był nieogolony. Rano nie miał czasu, żeby to zrobić. Dzięki temu dobrze wyglądał, zarost zakrywał bowiem trochę jego nadmiernie zapadnięte policzki, łagodząc wrażenie pełnych ust.

Jeremy przejechał dłonią po twarzy.

Miał wąski, orli nos.

I hebanowe brwi.

Odsłonięte czoło, które otaczały czarne, gładko zaczesane do tyłu włosy, lśniło miedzianą barwą.

Zdaniem kobiet plotkujących na tarasach przed klubami, które niekiedy odwiedzał, i popijających *sahlib*, Jeremy Matheson był „niezmiernie ponętny”.

W jednym człowieku spotykały się afrykańskie bestialstwo i brytyjska elegancja.

Wszyscy wiedzieli, że jest detektywem i znakomitym myśliwym, który zdążył już wyjechać na wielkie, dzikie Południe na zuchwałę safari.

Wszyscy również wiedzieli, że żadna kobieta w Kairze nie mogła się pochwalić tym, że dzieliła łożę z Jeremym Mathesonem.

Szeptano, że jest zaborczy.

Powiadano, że jest tajemniczy.

Chodziły słuchy...

Odstawione na stół szkło brzękło. Jeremy Matheson rozprostował długie, ruchliwe palce dłoni, na widok których niejedna dama z kolonialnej elity Kairu trzepotała rzęsami, i otworzył drzwi wagonu.

Pod przylegającym do ściany daszkiem znajdowały się trzy stopnie schodów. Na piasku leżał dywan, na którym stały leżaki, drewniany maszt oraz mnóstwo skrzyń ze sprzętem i zapasami żywności, opatrzonych napisem „Własność armii”.

Odsunąwszy niedbale jeden z leżaków zagradzających przejście, Jeremy usiadł przed namiotem.

Po nastaniu nocy upał wreszcie zelżał, zrobiło się więc znacznie przyjemniej. We wnętrzu wagonu temperatura miała się jednak obniżyć dopiero po godzinie lub dwóch.

Przed oczyma Jeremiego szyny kolejowe tworzyły pejzaż, który bardzo lubił -procesję długich larw, które wiją się w świetle księżyca ku nieskończoności, przypominając pasmo życia.

Niżej zaś, za budynkiem, w którym mieściło się muzeum kolejnictwa, pod masywnym wejściem z pomarańczowego kamienia, pod sklepieniem dworca głównego kryły się stalowe węze i anonimowi pasażerowie.

W odległości stu metrów od wagonu, w którym mieszkał Jeremy Matheson, przejechał, podskakując, tramwaj. Niebieskie iskry wydobywające się z pantografu tworzyły na jego dachu koronę. Linia ta obsługiwała piękne dzielnice Heliopolis położone na obrzeżach miasta. Kobiety i mężczyźni podróżowali osobno.

Widać było uśmiechnięte twarze; jedna młoda kobieta wręcz tryskała wesołością. Można się było doliczyć wielu młodych ludzi z Zachodu.

Jeremy przyglądał im się, dopóki po tramwaju nie pozostała zaledwie lśniąca smuga czerwonych światełek.

Zacisnął usta, które stawały się coraz bielsze.

Głośno przełknął ślinę.

Sięgnął do kieszeni płóciennych spodni.

Wyciągnął z niej zmiętą kartkę, której górną połowę zapełniały linijki wytworzonego pisma. Dłoń Jeremiego zasłaniała ich treść.

Widoczny był jednak ostatni wiersz:

Sarnin 5 lat.

Jeremy zacisnął pięść.

Mimo całej siły woli, z jaką starał się zdusić rosnącą mu w gardle bolesną kulę, jego oczy napełniły się łzami.

Pod gładką skórą policzków poruszały się zaciśnięte szczęki.

Miliony gwiazd, niczym niebiańscy cyklopi, wycelowały weń swoje pojedyncze, drżące, nieskalane oczy. Obok imienia Samira upadła kropla. Papier natychmiast ją wchłonął.

Kropla urosła, rozszerzając się coraz bardziej i bardziej. Aż dosięgnęła imienia.

Rankiem brat Damien zastał Marion wystrojoną i w wyśmienitym humorze.

Na dzinsy i sweter włożyła płaszcz z białej wełny, na głowę wełniany beret w tym samym kolorze, przez ramię zaś przewiesiła torebkę. Ponieważ tym razem gęstą czupryną Marion zasłaniało nakrycie głowy, brat Damien przyjrzał się uważnie jej twarzy, czego właściwie nie uczynił wcześniej. Dostrzegł zieleni tęczówek, które jaśniały pod wpływem zimna. Zaokrąglone policzki nadawały kobiecie słowiański wygląd.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, skąd wzięła się ta rana na dolnej wardze, pohamował jednak swoją ciekawość.

Przyjechawszy do Avranches przed wpół do dziesiątej, od razu wspięli się na poddasze.

W milczeniu katalogowali książki i czasopisma aż do południa, kiedy zakonnik zaproponował przerwę na posiłek. Marion miała nadzieję, że zdoła się uwolnić od grupy biesiadników i zaszyć gdzieś, gdzie będzie mogła poczytać dziennik, który przyniosła ze sobą w torebce, nie miała jednak szczęścia. Kustosz biblioteki uparł się, żeby ich zaprosić, chciał bowiem opowiedzieć Marion szczegółową historię rękopisów z Mont-Saint-Michel.

Nie była pewna, czy to z powodu wytężania wzroku przy odczytywaniu tytułów w półmroku, czy też z powodu kurzu, ale gdy wróciła do siebie późnym popołudniem, poczuła, że zaczyna się jej migrena.

Znalazłszy efferalgan w łazienkowej apteczce, położyła się na łóżku, czekając, aż ból minie.

Leżąc w ciemnościach, zapadła w odrętwienie, a obraz przed jej oczami spowila mgła.

Pogrążyła się w nieświadomości.

Nie widziała nic oprócz otwartej szafy.

Różnobarwnych fragmentów jej poukładanych w stosy ubrań.

Kolory zaczęły się mieszać...

Ostrość widzenia wróciła samoistnie. Nagle Marion zaczęła dokładnie rozróżniać własne rzeczy.

Rękawy jej bluzek nie leżały idealnie złożone, ale wystawały po bokach. To było do niej niepodobne.

Pod tym względem była prawdziwą maniaczką. Wszystko musiało być równo poukładane, żeby rano nie musiała niczego od nowa prasować. Na dodatek pamiętała, jak klęła z powodu braku

wieszaków w szafie, następnie zaś wyjątkowo starannie poukładała bluzki jedną na drugiej, zręcznie wsuwając pod spód rękawy.

Teraz zaś wystawały. Nie wszystkie, ale kilka tak.

Wystarczająco, aby nabrała pewności, że ktoś poprzekładał jej ubrania. A przynajmniej pod nie zaglądał.

Marion wyskoczyła z łóżka. Zbyt szybko. Zakreśliło się jej w głowie.

Przystanąła, czekając, aż wirowanie ustanie.

Kiedy doszła do siebie, obejrzała dokładnie cały pokój. Sofę, łóżko, łazienkę. To samo uczyniła na dole.

Z trudem chwyciła powietrze, przetrząsając każdy zakamarek, gotowa podnieść wrzask lub uderzyć, gdyby spostrzegła jakiś podejrzany kształt.

Co chwilę wracała do drzwi, uważnie przyglądając się aparatowi telefonicznemu, aby się upewnić, że ciągle tam jest.

Nie знаła jeszcze dokładnie mieszkania, nie miała bowiem czasu, żeby przyswoić sobie jego układ i wyposażenie, nie była więc pewna, czy ruszono również inne przedmioty. Jednak uparte przeczucie podpowiadało jej, że tak właśnie było.

Czy powinna natychmiast porozumieć się z kontrwywiadem?

Dom był pusty, nie było w nim żywego ducha, nie istniało zatem bezpośrednie zagrożenie.

Ktoś zakradł się do mieszkania podczas jej nieobecności.

Usiłowała spokojnie oddychać.

Przecież nikt nie wie, że ona tu jest. Nikt. Nic jej nie grozi. Kontrwywiad to sprawdził. To ich praca, a oni są zawodowcami, nie ma się więc czego obawiać.

Powoli bicie serca wracało do normalnego rytmu.

Nikt nie wyłamał zamka.

To musiał być któryś z zakonników. Ktoś, kto ma klucz do domu.

Tym razem miarka się przebrała. Chwyciwszy telefon, wystukała jeden z numerów, które zapisała jej siostra Anne. W słuchawce odezwał się śpiewny głos siostry Gabrieli.

–Sostro Gabrielo, tu Marion; czy mogę rozmawiać z siostrą Anne? Nie musiała długo czekać:

siostra Anne podeszła do telefonu niemal natychmiast.

–Czym mogę służyć? Czy zje pani z nami kola...

–Kto ma klucze do mojego domu? – zapytała Marion.

–Jak to? Coś nie t...

–Kto ma klucze?

–No cóż... My, to znaczy wspólnota. W pomieszczeniach mieszkalnych opactwa są przechowywane duplikaty wszystkich kluczy. Większość braci i sióstr używa ich na co dzień; znajdują się wśród nich klucze do wszystkich drzwi, w tym także do budynków przyległych, jak ten, w którym pani mieszka. Co się dzieje, Marion? Wyczuwam pani zdenerwowanie. Czy coś się stało?

Marion zastanawiała się nad odpowiedzią: nie tego się spodziewała.

–Marion?

–Tak... Nie, nic się nie stało. Ja... Miałam atak paranoi, przepraszam...

–W takim razie proszę wpaść do nas na kolację, my...

–Nie, dziękuję; zostanę u siebie, mam coś do zrobienia. Dziękuję, dobranoc.

Odłożyła słuchawkę.

Wszyscy zakonnicy mieli dostęp do jej mieszkania.

I co z tego? Co się stało? Nie chodziło o rozpoznanie podejrzanego; nie znalazła się również w sercu spisku.

Ktoś jednak wszedł do domu i grzebał w jej rzeczach.

„Siostra Anne lub inna zakonnica – pomyślała. – Może chciała się upewnić, że nie mam nic niebezpiecznego... Broni... Jest odpowiedzialna za moje bezpieczeństwo, ma mnie pilnować, upewnia się więc, że w razie załamania nie zrobię żadnego głupstwa... Też bym tak postąpiła na jej miejscu.”

A list? A zagadka?

„To gra.”

Kto ją prowadzi? W jakim celu?

„Dla rozrywki; żeby dać mi jakieś zajęcie...”

Marion nie była jednak przekonana.

To wszystko było niejasne; czuła zamęt w głowie. Na razie była pewna jednego: że nie należy się za bardzo angażować. Bez względu na to, czy miała do czynienia z zabawą zakonników, którzy pragnęli w ten sposób mieć ją na oku i dostarczyć jej zajęcia, czy też z wytworem jednego umysłu, który działał w osobistym celu, Marion powinna pozostać na uboczu, obserwując, aby zareagować w odpowiednim momencie.

Nie oznaczało to jednak, że musi czekać bezczynnie.

Nie mogła wezwać ślusarza, bo zaraz wszyscy by się dowiedzieli. Mogła za to podkreślić swoją prywatność.

Usunąwszy zdobiące stolik przy wejściu bibeloty, popchnęła go do samych drzwi, po czym wyprostowała się, oddychając głęboko. Teraz miała przynajmniej gwarancję, że nikt tędy nie przejdzie, gdy ona będzie w domu.

„Przesadna ostrożność”, pomyślała.

Jeśli naprawdę coś jej groziło, to stolik nie zapewni jej bezpieczeństwa. Trzeba natychmiast dać znać ludziom z kontrwywiadu. Z kolei jeśli rzeczywiście sądziła, że to wszystko ma na celu chronienie jej, nie było powodów do obaw, a ów zaimprovizowany „zamek” jest całkowicie zbędny.

„Jest potrzebny. Mnie samej. Dla własnego spokoju. Żebym mogła zasnąć.”

Przecież to nikomu nie szkodzi.

Tego wieczoru Marion zjadła niewiele, większość czasu spędziła bowiem na pilnowaniu drzwi, siedząc na kanapie i oglądając w roztargnieniu telewizję.

Uparcie wracała myślami do dziennika Jeremy’ego Mathesona. Opowiadał w sobie tylko właściwy sposób o swoim życiu; opisywał miejsce, w którym mieszkał: ów niegdyś luksusowy, źle sprzątny wagon. Określał samego siebie jako urodziwego mężczyznę, bez cienia skromności; na dodatek zwierzał się z dręczącej go melancholii z bezwstydną bezpośredniością, która zdziwiła Marion. Dobór słów miał kapitalne znaczenie, co ujawniało się podczas lektury. Matheson poświęcił sporo czasu na zredagowanie dziennika. Jak sam przyznał, co zresztą od razu dało się zauważyć, nie było w tym ani trochę egocentryzmu, tylko pragnienie pozostawienia śladu po tragedii, która wyłaniała się już z pierwszych stron.

Wieczorne odkrycie stłumiło zapal Marion do czytania, a później nie miała już do tego głowy.

Teraz jednak wróciła jej ochota.

Ciekawość.

Kim był Jeremy Matheson?

Jakiego rodzaju mężczyzną mógł być?

I skąd wzięła się ta ponura opowieść o dzieciach, w której wyznał, że płakał nad listą ofiar?

Marion poszła po książkę w czarnej okładce.

Napoczęła butelkę ginu, robiąc sobie drinka z sokiem pomarańczowym. Usiadła wygodnie na kanapie. Za oknem miasteczko powoli układało się do snu. Otworzyła dziennik na stronie, na której ostatnio skończyła czytać.

Detektyw Jeremy Matheson miał swoje dojścia w Kairze.

Nie tylko ze względu na zajmowane stanowisko, ale także z tego powodu, że spora część europejskiej śmietanki towarzyskiej Kairu wiedziała o jego istnieniu. Albo dlatego, że miał dobrą reputację, albo dlatego, że zabiegała o jego względy.

Matheson nie miał sobie równych w wyjaśnianiu nieporozumień dotyczących czy to zabląkanej kochanki, czy to bakszyszu, który zamienił się w łapówkę i który należy wymazać z pamięci. Wykazywał się również zręcznością w zdobywaniu informacji.

Było o nim coraz głośniej w salonach, w prywatnych klubach i na przyjęciach, a jego nazwisko powtarzano sobie na ucho niczym nazwę cudownego lekarstwa. Nie było bowiem w Mathesonie niczego, co pozwalałoby przypuszczać, że należy do towarzystwa. Nie miał w

sobie nic ze światowca – ani aparycji (wyglądał niemal jak dzikus), ani zachowania (był zbyt zamknięty w sobie). Przychodzono do niego na paluszkach, z nieufnością i drżeniem na myśl, że trzeba tego nieprzeniknionego osobnika poprosić o przysługę. Zawsze spoglądał na proszącego spod oka, wysuwając wargi, na koniec zaś mawiał: „Zobaczę, co się da zrobić”.

Po czym zręcznie rozplątywał supły.

Jego największą zaletą była, rzecz jasna, dyskrecja, ale duże znaczenie miał notes z adresami. Jego nazwisko było dobrze znane na wielu ławkach w *kahwach*, u stóp fontann starego Kairu, a także wśród portierów z dużych hoteli czy sekretarzy w ministerstwach.

Matheson przebywał w Kairze od dziewięciu lat. Przyjechał tutaj na własną prośbę, tuż po uzyskaniu dyplomu z prawa i wstąpieniu do policji. Kair kojarzył mu się z egzotyką, przygodami, słońcem; przede wszystkim zaś z mniej sztywną hierarchią, dzięki której łatwiej mu będzie awansować do stopnia wywiadowcy. Rzeczywistość pokazała, że się nie mylił.

Poza tym cieszył się tutaj swobodą działania, o której w Londynie czy gdziekolwiek indziej w Anglii mógłby jedynie pomarzyć. Po dziewięciu latach smażenia się w słońcu piramid nigdy nie poprosił o przeniesienie z powrotem do kraju. Przeciwnie: robił wszystko, żeby jego akta tkwiły zapomniane w archiwach. Za jego kadencji zmieniło się trzech brytyjskich nadkomisarzy; był również świadkiem manifestacji antykolonialnych, fal przemocy, odzyskania niepodległości przez Egipt i odkrycia grobu Tutanchamona – niemal całego obfitującego w chwałę i dramaty dziesięciolecia, które go urzekło. Kair zaś go porwał.

Miejsce Jeremygo było wśród rzędów minaretów na powierzchni dachów, w śpiewie muezinów, którzy wyznaczali pory dnia w mniej żołnierski sposób niż Big Ben, w wystawnym życiu, jakie wiedzie Anglik wśród Arabów; także w codziennym zapachu pustyni, który unosił się nad głowami wszystkich, w tej groźbie niebezpieczeństwa, które może się pojawić w każdej

chwili, w każdej możliwej postaci. Tak oto toczyło się życie Mathesona w mieście *Tysiąca i jednej nocy*. Londyńska mgła i przewidywalność egzystencji nad brzegiem Tamizy utraciły dlań jakże brytyjski urok.

Tutaj wszyscy przybysze z Zachodu mieli prawo do noszenia broni, nocą bowiem w mgnieniu oka mogło się zrobić gorąco za sprawą nacjonalistów. Każdy posiłek miał starodawny smak. W Kairze nie uczono się już historii, ale wytyczano jej kierunek, traktując ją jak towarzyszkę życia. Tutaj tajemnice odznaczały się cielesnością, jakiej nie spotykało się nigdzie indziej; legendy stawały się rzeczywistością; piasek i słońce nadawały miastu gorzki smak, który zachęcał do coraz intensywniejszego życia.

Kair był jak leżąca między wzgórzami Mokattam a Nilem zwinięta kobra, której jad doprowadzał nie tyle do śmierci, ile do całkowitej zależności, bez możliwości uwolnienia się.

Policja egipska pod dowództwem Russela Paszy prowadziła najważniejsze czynności dochodzeniowe, przy czym Anglicy nadal piastowali niektóre wyższe stanowiska strategiczne. Jeremy Matheson zajmował się głównie sprawami, w które byli zamieszani przybysze z Zachodu lub które dotyczyły ich mienia, odgrywał jednak przede wszystkim rolę polityczną. W Egipcie o dwóch twarzach siłą rzeczy funkcjonowała podwójna władza, przytłoczona koniecznością zaspokajania kolonialnych kaprysów jednych i niepodległościowych zapędów drugich.

Podobnie jak gwizdał na awans teraz, gdy został detektywem, Jeremy Matheson kpł sobie z tych demagogicznych dążeń, powtarzając sobie, że przede wszystkim służy interesom policji, a nie narodu. Prowadził swoje dochodzenia, wykorzystując obie strony niczym prawdziwy żongler.

Tak samo przykładał się do śledztwa w sprawie śmierci włóczęgi, jak do wyjaśnienia kradzieży u bogatej Angielki.

Wiedział aż za dobrze, jak jego kairscy koledzy po fachu potrafili ocenić wagę danej sprawy w zależności od wchodzących w grę interesów, warstw społecznych, których dotyczyła, albo po prostu swojej dobrej woli. Matheson uważał zaś za swój święty obowiązek siać niezgodę w tym świecie pozbawionym za grosz prawości. I to nie dlatego, żeby był jedynym sprawiedliwym – wiele mu do tego brakowało – ale po prostu po to, aby od czasu do czasu wymierzyć porządnego kopniaka w to gniazdo żmij i patrzeć, jak wiją się w konwulsjach.

Matheson ustanowił wąską i płynną granicę między pracą oficjalną a tą, którą wykonywał prywatnie, chcąc oddać komuś przysługę. Za przysługi te zresztą niezmiernie rzadko otrzymywał pieniądze, poszerzał jednak notes z adresami, tworzył kartotekę biograficzną, zastrzegając sobie jednocześnie prawo do prośby o zrewanżowanie się kolejną przysługą. Tak powstawała rozległa sieć jego znajomości.

Kiedy pod koniec lutego w komisariacie zaczęto rozmawiać o zwłokach dziecka znalezionych

w opuszczonym domu w północno-wschodniej części dzielnicy Al-Abbasijja, Jeremy Matheson przystanął, żeby posłuchać.

Sama informacja, chociaż makabryczna, nie była niczym nadzwyczajnym, ta część Kairu stanowiła bowiem siedlisko melin, gdzie śmierć uderzała nader często. Niezwykły był za to stan, w jakim znajdowało się ciało w chwili znalezienia.

Matheson wyszedł z gabinetu, żeby dołączyć do dwóch oficerów policji. Ten, który dopiero co wrócił z miejsca zdarzenia, ciągle był jeszcze blady niczym płótno żagla na feluce. Nie chciał zdradzać szczegółów; wyjawiał jednak, że dziecko zostało przepołowione w

okolicach miednicy tak, jakby było manekinem z lekkiego drewna: przełamane pod strasznym kątem, z klatką piersiową odrzuconą do tyłu, ze skórą poprzebijaną kośćmi bioder.

Wprawdzie gwałt nie wchodził w grę, odkryto jednak ślady nasienia.

Śledztwo powierzono inspektorowi nazwiskiem Azim Abd el-Dajim, rodowitemu kairczykowi, który dobrze znał dzielnicę Al-Abbasijja – inaczej zresztą być nie mogło, jeśli ktoś chciał pracować w takim miejscu bez ryzyka, że zostanie rozszarpany na kawałki. Nie znalazł on jednak żadnego świadka zdarzenia ani żadnego przekonującego tropu.

Drugiego marca w ponurym zaułku Al-Husajnijja znaleziono sześćioletnią dziewczynkę. Jej ciało nie zostało przepołowione, ale i tak było w przerażającym stanie. Pięciu mężczyzn podchodziło kolejno do zwłok, żaden z nich jednak nie potrafił zachować zimnej krwi – wszyscy zalewali się łzami; niektórzy wymiotowali, inni zaś mieli koszmarne sny przez wiele następnych nocy.

Trzecią zgładzoną niewinną ofiarą był Samir. Jego głowa leżała na płycie grobowca na cmentarzu Bab el-Nasr.

Nie było żadnych wątpliwości, że wszystkie te zbrodnie coś łączy. Rodzaj zastosowanej przemocy był w każdym wypadku inny, mordy odznaczały się jednak okrucieństwem, które kazało wątpić w ludzką naturę sprawy.

Wszystkie dzieci pochodziły z ubogich dzielnic, z rodzin pozbawionych środków do życia.

Wszystkie dzieci były mniej więcej w tym samym wieku.

Wszystkie dzieci zostały zamęczone na śmierć, podrapane i pogryzione do tego stopnia, że brakowało im kawałków ciała.

Wszystkie dzieci zostały zbrukane.

W ciągu niecałych dwóch tygodni.

Jeremy Matheson odłożył słuchawkę i wyszedł. Postanowił przerwać śledztwo w sprawie morderstwa archeologa, który prowadził wykopaliska w podziemiach Kairu. I tak zresztą utknęło ono w martwym punkcie.

Następnie przejął dochodzenie w sprawie zabitych dzieci.

Azim Abd el-Dajim został jego współpracownikiem, gdyż mówił po arabsku i miał inny kolor skóry.

Trzy dni później, 14 marca 1928 roku, zadzwonił telefon.

Odtąd życie Jeremyego Mathesona nie było już takie samo.

Marion położyła książkę na kolanach i wypila ostami łyk ginu z sokiem pomarańczowym, po czym nalala sobie następną szklanę.

Alkohol ciągle palił ją w gardło, pozostawiając gorzki posmak, który doskonale pasował do podobnych wrażeń, jakie wywoływał czytany przez nią dziennik.

Jej palce zaczęły gładzić okładkę książki.

Jak na dziennik, lektura była przyjemna, przynajmniej na początku.

Autor powrócił do pisania tuż po nastąpieniu zdarzeń, o których opowiadał. To zagłębienie się w materię śledztwa było swego rodzaju długą retrospektywą.

Już z pierwszych zdań wyzierał smutek. Jeremy Matheson był człowiekiem zranionym, który uzewnętrzniał swoje cierpienie za pośrednictwem słów na papierowych bandażach. W przeciwieństwie do tego, co twierdził we wstępie, wyczuwało się w jego narracji coś o wiele głębszego niż można się spodziewać po zwykłym sprawozdaniu z wydarzeń. Przelewał na papier to, co przepeśniało mu duszę.

Następną rzeczą, która zaniepokoiła Marion, było to, że bardzo rzadko używał zaimka „ja”, starając się raczej wtopić między inne osoby, żeby móc napisać „my” (policja, Anglicy, Arabowie, grupy mężczyzn).

Za to treść ostatnich przeczytanych stron stanowczo nie przypadła jej do gustu. Morderstwa dzieci.

Nie była już pewna, czy chce się dowiedzieć więcej.

Męczyła ją jednak ciekawość.

Przysunęła twarz do budzika, żeby sprawdzić godzinę.

Dwudziesta trzecia dwanaście.

Nie czuła szczególnego zmęczenia. Wtargnięcie intruza do mieszkania zbyt mocno ją rozbudziło. Strach i złość ulotniły się zaś podczas lektury.

Rzuciła okiem na spadziste dachy miasteczka.

Po chwili otwarta książka sama znalazła się w jej dłoniach.

Odłożywszy słuchawkę, Jeremy Matheson przywołał swojego kolegę Azima i obaj pojechali na ulicę Muhammada Alego, a następnie skręcili na wschód pod murami cytadeli. Opuścili miasto, przejeżdżając przez stary cmentarz, aby dotrzeć do grobów kalifów.

W samochodzie przeanalizowali ponownie ustalenia śledztwa, które prowadził Azim. Ponieważ wszystko było na jego głowie, zlecał co się tylko dało innym pracownikom, aby zyskać na czasie. Jedni policjanci spisywali zeznania wszystkich rodzin, inni zaś chodzili od drzwi do drzwi, pytając mieszkańców, czy w nocy, gdy dokonano morderstw, słyszeli lub

widzieli coś niezwykłego. Azim dokładnie czytał raporty, usiłując wyłuskać z nich jakiś trop, ale bez powodzenia. Nie posunął się nawet o krok, choć miał świadomość, że wykonał swoją pracę najlepiej jak potrafił.

Trzy ofiary, teraz może nawet cztery.

Wszystkie dzieci miały nie więcej niż dziesięć lat, wszystkie mieszkały w tym samym rejonie – w północno-wschodniej części Kairu, wszystkie pochodziły z bardzo biednych rodzin. Tylko tyle wiedzieli.

Równoległe do cmentarza biegła asfaltowa szosa. Zaparkowawszy obok innych samochodów, resztę drogi tam, gdzie zaczynała się pustynia, pokonali piechotą.

Tamtego późnego poranka temperatura sięgała około trzydziestu stopni Celsjusza, a gorąco zdawało się wydobywać wprost z ziemi, napełniając powietrze obłokami pary, które ulatywały ku niebu, zamazując horyzont. Wysokie minarety grobowców rzucały cień na piasek, kreśląc szlak chwilowego wytchnienia i zapraszając zarazem do kroczenia tą drogą, jakby dawały religijne przesłanie.

Mury bez dachów ciągnęły się na kształt fal, a ich różnobarwne cegły tworzyły różowe, czerwone i białe wnęki. Wszędzie wznosiły się kopuły i wieże, na kształt uli brzęczących pod jedynym okiem Ra.

U wejścia w ślepą uliczkę, na niewielkim kamieniu siedział policyjny fotograf Richard Pallister, trzymając kapelusz na kolanach, a walizkę zawierającą sprzęt pod stopami. Ocierał czoło płócienną chusteczką nie tyle z powodu gorąca, ile wstrząsu.

A przecież na dworze panował niezwykły o tej porze roku upał.

Pallister podniósł głowę, spoglądając na przybyszów błędnym wzrokiem zapuchniętych, zaczerwienionych oczu.

Szukał jakiegoś drogowskazu. Czegoś, co odróżnia człowieka od zwierzęcia. Drogowskazu, który świeci bezustannie niczym czerwony słup na granicy świadomości i który staje przed nią, gdy myśli pobiegną zbyt daleko.

Twarz Pallistera pokrywała przezroczysta powłoka, która skapywała stopniowo z włosów aż do brody słonymi kroplami, odsłaniając pasy sinej skóry. Drżały mu wargi.

Kiedy Jeremy się zbliżył, z ust fotografa wydobył się szept. Widząc malujące się w jego oczach przerażenie, detektyw zrozumiał przesłanie – tamten błagał go, by nie szedł dalej.

Kiedy mimo to Jeremy ruszył w głąb wąskiego zaułka, usłyszał szloch Pallistera.

Po prawej stronie wznosiła się ściana grobowca przypominającego biały dom z płaskim dachem i bez okien. Z przodu mur był znacznie starszy – od dawna obłaził z niego tynk, a ceglany szkielet był czarny niczym zwapniona kość. Między kamieniami widniały

spoiny w purpurowym odcieniu pustyni, podobne do zaschniętej krwi. Budowla była już tylko geologicznym trupem, nadającym alejce przytłaczający wygląd i wydzielającym zapach kurzu.

Alejka miała dwadzieścia metrów długości. Na jej końcu stało z rękami na biodrach dwóch kairczyków w tanich garniturach i tarbuszach. Obaj milczeli, starając się nie patrzeć na ziemię.

Ledwie spostrzegli Jeremy'ego Mathesona, ruszyli mu na spotkanie, aż nadto szczęśliwi, że mogą choć na chwilę opuścić tę przeklętą strefę.

–Znalazł go dziś rano przewodnik *, kiedy przygotowywał trasę do zwiedzania -zameldował pierwszy z nich, wymawiając gardłowo „r”. – Od razu pomyśleliśmy, żeby pana zawiadomić. To za bardzo przypomina poprzednie...

Matheson bez słowa położył dłoń na ramieniu swojego rozmówcy, żeby go odsunąć. Następnie podszedł do źródła płam na ubitej ziemi i ścianach zaułka.

Było to może dziesięcioletnie dziecko.

Zakrwawione i powykręcane, jakby przez supersilnego olbrzyma, który znalazłszy tę osobliwą zabawkę, bawił się nią tak długo, aż ją popsuł, ugniatając, łamiąc, rozrywając. Dziecko leżało teraz niczym bezkształtna paczka. Jedyłą ludzką rzeczą, jaka mu pozostała, były kończyny i obrzęknięta głowa z posiwiałymi ze strachu włosami.

Matheson przełknął ślinę, która z trudem przeszła mu przez gardło.

Nogi mu drżały. Zamknął oczy, żeby skupić się na oddychaniu. Po chwili poczuł przyspieszone bicie własnego serca. „Opanować się. Oddychać.”

Azim chwycił go delikatnie za ramię.

–Wszystko w porządku? – zapytał kojącym, niemal matczynym tonem. Jeremy spojrzał nań błędnym wzrokiem. Azim nosił tradycyjny turban, zachodnioeuropejską koszulę i spodnie. Nad jego

wystającą górną wargą widniał starannie przystrzyżony kruczoczarny wąsik. Mimo okazałej tuszy Azim miał zwinne, kocie ruchy i był zawsze pogodny.

–Panie Matheson? – nie dawał za wygraną. – Jest pan pewien, że chce tu zostać? Jeremy odetchnął głęboko i pokiwał głową.

–Tak – szepnął. – Tak. Chcę zostać. Obaj mężczyźni w tarbuszach, sami głęboko wstrząśnięci, przyglądali mu się bez

zdziwienia. Jeremy również wbił w nich wzrok.

–Chodźmy – powiedział, opanowując się nieco i starając się nadać swojemu głosowi pewniejsze brzmienie. – Znaleźliście jakieś szczególne ślady?

–Nie – odrzekł pierwszy z nich. – Było ich za dużo na piasku. Nie sposób określić, które są stare, które świeże; nie mówiąc o śladach pozostawionych przez przewodnika i przez nas samych. Ale nie przeprowadziliśmy jeszcze dokładnych oględzin miejsca zbrodni – dodał, zataczając ręką koło wokół zwłok.

–A co z przewodnikiem? Gdzie on teraz jest?

–Spisaliśmy jego dane i... – I? Przeczuwając kłopoty, mężczyzna dostał tiku nerwowego. Czując się niezręcznie,

uniósł jednocześnie brew i wzruszył ramionami.

–I go puściliśmy... Jeremy otworzył usta, tymczasem trzymający go jeszcze ciągle za ramię Azim zwolnił

uścisk.

–Proszę nie nalegać – szepnął. – To i tak nic nie da. Co się stało, to się nie odstanie. Jeremy westchnął głęboko, nie spuszczając wzroku ze stojących przed nim mężczyzn.

–Doskonale – oznajmił. – Zostańcie przed wejściem do alejki i czekajcie na sanitariuszy.

Po czym odwrócił się na pięcie, aby ponownie przyjrzeć się miejscu zbrodni.

–Nie ruszać ciała – rozkazał po chwili milczenia. – Lekarz sądowy się tym zajmie. Przeczesać piasek i całą resztę w poszukiwaniu śladów.

Podzieliwszy między siebie strefę wokół zwłok, on i Azim zaczęli posuwać się powoli do przodu, oglądając uważnie każdy centymetr ziemi i murów.

Ponieważ cień rzucany przez grobowce chronił przed słońcem, płyny ustrojowe nie zdążyły jeszcze wyparować ani całkowicie wsiąknąć w podłoże, musieli jednak ostrożnie stawiać stopy,

na ziemi bowiem pozostało mnóstwo strużek brunatnej cieczy.

Jeremy rozpiął kilka guzików koszuli, aby dopuścić trochę powietrza do klatki piersiowej. Oddychał z trudem.

Policjanci, którzy znaleźli się tutaj przed nim, nie zdążyli zdeptać długiego śladu, na który składało się dziesięć równoległych bruzd biegnących przez dwa metry od narożnika do zwłok.

Chłopiec wbił paznokcie, a nawet całe palce w piasek, chcąc się przytrzymać, podczas gdy ktoś ciągnął go do tyłu.

„Ku chciwym ustom.”

Jeremy wymazał ten obraz ze swojego umysłu. Nie chciał go. To był pasożyt dla myśli. Skupić się na tym, co jest tu i teraz – tylko to się liczyło. Nic innego. Nie potrzebował żadnych szalonych obrazów.

Powrócił do oględzin miejsca zbrodni, badając je wolno i metodycznie, żeby nie przeoczyć żadnego szczegółu. Na piasku było tyle różnych śladów, że niczego nie można było wywnioskować – prawdziwy chaos.

–Chyba coś mam – odezwał się nagle śpiewnym głosem Azim. Jeremy podszedł do starego, odrapanego muru. Azim uczepił się ściany metr nad

ziemią, znalazłszy oparcie dla stóp w dwóch większych otworach.

Pokazał mu palcem świeżą rysę w cegle, tuż pod swoim nosem, na szczycie, niecałe trzy metry nad ziemią. Niezbyt głęboka rysa miała około trzech centymetrów długości i centymetr szerokości.

–Jak pan to znalazł, Azimie? – zawołał angielski detektyw.

–To moja praca – odparł jego towarzysz bez cienia radości. – Wygląda na zadrapanie. Azim wykrzyknął coś po arabsku.

–Tutaj jest jeszcze jedno – zauważył po chwili. Druga, podobna rysa znajdowała się dwadzieścia centymetrów dalej. Obie widniały na szczycie muru.

Słońce zaczęło właśnie oświetlać tę część ściany, zalewając ją swoim jaskrawym światłem. Jego promienie były tak czyste i gorące, że uwypuklały cienie, przyćmiewając zarazem blask kolorów.

Nagle wzrok Jeremy ego przyciągnął blask kwarcu lub gipsu na krawędzi rysy.

–A co to takiego? – zapytał.

–Też to zauważyłem. Chwileczkę... Przytrzymał się jedną ręką, Azim uwolnił drugą, aby ostrożnie wyjąć lśniący przedmiot. Twarz mu spochmurniała.

–Co to? – dopytywał się zniecierpliwiony Matheson.

–Nie wiem... Wygląda jak zaostrowany... kawałek kości słoniowej.

–Niech pan pokaże.

Azim zeskoczył na ziemię i podał mu białą drobinę. Miała kształt trójkąta i była ostro zakończona. Przypominała nieco uszkodzony róg.

Jeremy zadarł głowę, spoglądając na zadrapania w cegle.

Coś z rogiem dwukrotnie rozorało szczyt muru mniej więcej w ten sam sposób w odległości dwudziestu centymetrów.

Nagle Jeremy przyłożył dłoń do brzucha Azima, aby go zatrzymać. Rozejrzał się uważnie po ziemi.

Wśród maleńkich wydm, które się tam potworzyły, wkrótce wypatrzył dziurę głębszą niż pozostałe.

Zbagatelizowawszy w pierwszej chwili swoje odkrycie, pokazał Azimowi dwa dołki znajdujące się tuż pod jego nogami.

–Proszę spojrzeć.

–To ja dopiero co je zrobiłem, proszę pana – odrzekł Azim. – Zeskakując z muru. Moje stopy wyłobily wgłębienia.

–Przecież wiem, ale o to właśnie chodzi! A teraz proszę się przyjrzeć tamtej dziurze. Wycelował palec w dołek, który przed chwilą zauważył.

–A ta górka piasku tam obok, dwadzieścia centymetrów dalej, musiała oznaczać identyczną dziurę, zanim ktoś ją zasypał.

Azim dał znak, że rozumie. Ktoś zeskoczył ze szczytu muru – sądząc po głębokości, osoba dorosła.

–W chwili, gdy skoczył, trzymał się na tej wysokości – wyjaśnił Jeremy, wskazując dołki. – Oparł się o cegłę, żeby się odepchnąć, i ją podrapał, ponieważ miał, prawdopodobnie w obu dłoniach, wykonaną z rogu broń, która zostawiła te ślady.

–W obu dłoniach? Niezbyt praktyczne.

–To prawda. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mógł zrobić takie rysy paznokciami! Jeremy zaczął się szybko wspinać po ceglach.

–Sądząc po kolorze włosów chłopca, ktoś musiał go zaskoczyć, a nawet przerazić. Prawdopodobnie zobaczył napastnika w ostatniej chwili, stojącego albo kucającego w tym miejscu – usiłował odtworzyć wydarzenia, wdrapując się po murze.

Odzyskawszy równowagę, wstał powoli, aby spojrzeć na zaułek z wysokości prawie trzech metrów. Następnie odwrócił się, żeby popatrzeć w drugą stronę i sprawdzić, co kryje się za wielobarwnym ogrodzeniem.

–Widzi pan coś? – dopytywał się Azim. – Proszę zaczekać, idę do pana...

–Nie trzeba! Mógłby pan skrócić kark; cegły słabo się trzymają, są bardzo stare. Ziemia znajduje się metr niżej.

Zanim Azim zdążył go przestrzec, żeby zachował ostrożność, Jeremy już zeskoczył na drugą stronę. Stojąc tak, że sięgał ramionami ponad murem, pochylił się, by dać koledze znak, że wszystko w porządku. Po czym zaczął szukać.

Znajdujący się po drugiej stronie muru Azim widział z tyłu jedynie górne partie ciała krzątającego się Anglika, który zniknął niekiedy całkowicie, gdy przykłękał na ziemi. Detektyw Matheson zacisnął szczęki, kręcąc głową z ponurą miną i przeczesując dach czegoś, co najpewniej było mauzoleum.

Po kilku minutach nagle przerwał. Pochylił się, po czym wyprostował gwałtownie, przytykając dłoń do ust. Poglądził się po brodzie.

–Ma pan coś? – zapytał Azim. Anglik skinął potakująco głową.

–Chce pan, żebym wszedł na górę? – upierał się Azim. – Nie. To obsesowe słowo zostało wypowiedziane z zaskakującą łagodnością.

–Nie. Sądzę, że może pan sobie darować – dodał Jeremy bardzo cicho tym samym, poufałym tonem.

–No więc, co tam jest na górze? Jeremy wyprostował się, żeby mieć widok na całą okolicę. Spoglądał na wieże,

fortyfikacje i kopuły, które nadawały temu miejscu tak oryginalny wygląd. Z powodu słońca musiał wykrzywić twarz, jeśli chciał cokolwiek zobaczyć, nie zamykając całkowicie oczu.

Odezwał się tak cicho, jakby mówił do siebie, Azim zrozumiał więc jego słowa z wielkim trudem:

–Mamy do czynienia z myśliwym, Azimie. Z myśliwym bez żadnej litości; z myśliwym, którego trofea stanowią dzieci...

Dalszy ciąg, jeśli w ogóle był jakiś dalszy ciąg, zginął na zawsze wśród grobowców.

Minęła północ.

Marion odłożyła dziennik na kanapę. Gin z sokiem pomarańczowym zaczynał jej mącić w głowie.

Rozejrzała się po słabo oświetlonym pokoju, zastanawiając się, co tutaj robi. Po chwili przypomniała sobie, gdzie jest.

Popołudniowe wtargnięcie do jej domu w miasteczku było już tylko złym wspomnieniem, zamglonym przez alkohol.

Po tym, co przeczytała, czuła się rozbita, zupełnie zdezorientowana.

Jeśliby się dobrze zastanowić, to wcale nie przeczytała, i w tym tkwił cały problem. Ona przeżyła znalezienie martwego dziecka. Potęga słów.

One są drzwiami.

One są czarodziejskim zaklęciem.

Źródłem przeznaczenia.

Bramą do wyobraźni.

Wciągnęły ją do filmu z przeszłości, a ona się w nim zagubiła.

Marion przeciągnęła się, mrucząc. Była zmęczona.

–A ty jesteś trochę wstawiona, moja kochana – stwierdziła na głos.

Weszła na górę, żeby się położyć, ale kiedy zamierzała się rozebrać, przypomniała sobie, że zostawiła na dole książkę w czarnej okładce. Zawahała się przez chwilę, nie miała bowiem w ogóle ochoty schodzić ponownie na dół, pragnęła jednak trzymać dziennik jak najbliżej siebie. Z westchnieniem ruszyła więc po schodach, by go przynieść.

Za ogromnym oknem noc kołysała miasteczko do snu.

Marion przystanęła nieruchomo w ciemnym salonie, podziwiając dachy i martwe okna. Po chwili wróciła do sypialni i zaczęła się rozbierać. Kiedy układała ubrania w małej łazience obok, jej uwagę przykuło własne odbicie w lustrze.

Ciągle miała wspaniałe nogi. Odwróciła się.

„Tyłek też nie jest zły”, pomyślała.

Brzuch, który jeszcze nie tak dawno był płaski, zaokrąglił się lekko z powodu łakomstwa. Piersi utraciły nieco jędrność, stwierdziła jednak, że nadal są piękne. W gruncie rzeczy najbardziej nie podobały jej się ramiona. Ta miękkość pod tricepsem, ten odrobinę sflaczały pasek skóry pod bicipsem...

Znała tę listę na pamięć.

Lustro nie było jej bardziej potrzebne niż sufler w teatrze.

Wcale nie to ciało, które dojrzewało wbrew i na przekór wszystkiemu, mimo że prawie nie uprawiała seksu, mimo wyjątkowo higienicznego trybu życia czy mimo tego, że nigdy nie służyło do zapoczątkowania i noszenia nowego życia, było jej najtrudniej zaakceptować. Nie, największy problem stanowiła twarz.

Bruzdy, które pojawiały się wraz z upływem lat; kolor skóry, który przygasał bez wyraźnej podpory w postaci aplikowanych u kosmetyczki promieni UV; piaskowy blond jej włosów, który ustępował pola pełnej rezygnacji siwiźnie.

Mimo wszystko ogólne wrażenie nie było złe. Marion nie miała powodu do narzekania – właściwie nadal była piękną kobietą. Miała łagodne rysy, zmarszczki zaś jedynie podkreślały zdobytą już życiową mądrość...

Marion parsknęła śmiechem. Co za brednie; przecież najwyższy czas położyć się spać, zapomnieć o własnym ciele i związanych z nim wątpliwościach. Inne kobiety przeraża myśl, że gdy przywidnie ich uroda, utracą miłość mężów lub pokrzepienie, jakie dają spojrzenia oglądających się za nimi na ulicy mężczyzn, ona zaś bała się tego, że nigdy nie zdoła pokonać samotności. Zanim jednak zacznie się mieć nadzieję, że się coś zachowa, trzeba to najpierw zdobyć.

–Głupstwa pleciesz – szepnęła, uświadamiając sobie, że jej oddech pachnie alkoholem. – Jesteś pijana.

Wsunęła się pod chłodne prześcieradła, nie zadawszy sobie nawet trudu, by włożyć piżamę lub koszulę nocną, i zamknęła oczy.

Jej dłonie powędrowały wzdłuż boków. Jedna z nich zsunęła się po biodrze i dotknęła wzniesienia łonowego.

Palce ledwie musnęły wgłębienie.

Marion przewróciła się na bok, naciągając kołdrę aż pod brodę. Nie dzisiaj. Była zbyt zmęczona.

Egipskie słońce świeciło nadal w jakimś zakamarku jej myśli.

Upał kołysał ją do snu.

Jeremy Matheson położył jej ręce na ramionach i czule gładził po włosach.

Tak ładnie pachniał... Był męski, niemal dziki. Przyciągał ją z jakąś neodpartą siłą. Magnetycznym urokiem.

Marion ujrzała, jak jego wargi zbliżają się do jej ust.

Mocniej zacisnęła dłoń na kołdrze.

Spała.

*** * ***

Przez całą środę Marion razem z bratem Damienem katalogowała książki na poddaszu biblioteki w Avranches. Były to ich ostatnie godziny pracy w magazynie.

Już miała zapytać o to, co każdy członek społeczności robił poprzedniego dnia po południu, aby spróbować odkryć intruza, który się do niej zakradł, postanowiła jednak milczeć, nie chcąc rozbudzić ciekawości zakonnika.

Kiedy wróciła około siedemnastej, niemal natychmiast zadzwonił telefon. Oczekiwano jej w pomieszczeniach mieszkalnych opactwa, gdzie miała być przedstawiona zwierzchnikowi wspólnoty, bratu Serge'owi.

Wspiąwszy się po Grand Degré Extérieur, Marion minęła Châtelet i stanęła przed długą, imponującą fasadą budynku, w którym znajdowały się pomieszczenia mieszkalne.

W progu czekała na nią siostra Agathe. Zakonnica była od niej młodsza, ale nijaki wygląd i skromność czyniły ją niemal niewidzialną. Poprowadziła Marion przez labirynt korytarzy i schodów, po czym zapukała w drewniane, zwieńczone łukiem drzwi.

Otworzył im brat Serge, który zaprosił Marion do środka. W pokoju znajdowała się także siostra Anne.

Mężczyzna dobiegał pięćdziesiątki. Miał równie ogromny, co krzywy nos i usypaną czarnymi pieprzykami twarz. Widniejące pod szerokimi ciemnymi brwiami oczy, w których nie odbijały się żadne emocje, przypominały dwa spokojne jeziora o podłużnym kształcie. Natychmiast skojarzył się Marion z Robertem De Niro, tylko w mniej charyzmatycznej i bardziej niemrawej wersji.

–Cieszę się, że mogę wreszcie panią poznać – oznajmił na wstępie. – Jest tu już pani od tygodnia, a ja nie miałem nawet chwili, żeby się z panią zobaczyć. Proszę, niech pani siada.

Marion zajęła miejsce w pobliżu siostry Anne, która spoglądała na nią z życzliwością. Głos zakonnika wydawał się jej znajomy, chociaż nie potrafiła dokładnie określić, gdzie go słyszała.

–Przywykła pani do otoczenia? – dopytywał się brat Serge.

–Tak, przyzwyczajam się we własnym tempie. Zaczynam się czuć spoko, jak mówi teraz młodzież.

–Doskonale. Pani zamieszkanie tutaj budziło moje obawy; to trochę delikatna sprawa. Jak mi wiadomo, siostra Anne zaopiekowała się panią, jestem więc pewien, że znalazła się pani w dobrych rękach.

Udawał, że właśnie się o tym dowiedział, chociaż, jak przypuszczała Marion, wszystko na pewno zostało dokładnie ustalone na długo przed jej przybyciem. Zastanawiała się, ile osób powierzonych wspólnocie przez kontrwywiad mogło trafić za te mury przed nią. Czy był to dobrze naoliwiony mechanizm? Mało prawdopodobne – zbyt duża częstotliwość i wielka liczba gości zakłóciłyby sprawność działania systemu. Nadmierna przewidywalność także nie wyszłaby na dobre tego rodzaju misji, która polegała przecież na tym, aby umożliwić człowiekowi zniknięcie na określony czas. Nikt nie mógł odnaleźć jego śladu.

Marion postanowiła przestać udawać.

–Jest brat w stałym kontakcie z kontrwywiadem? – zapytała. Brat Serge ukrył uśmiech pod szeroką dłonią. Spojrzawszy na siostrę Anne, która

podzielała jego rozbawienie, odparł:

–Wręcz przeciwnie. Raczej zachowujemy milczenie. Mam tylko jeden numer telefonu, pod który mogę zadzwonić, gdyby to było absolutnie konieczne. Jesteśmy jedynie wspólnotą duchową, Marion. Pozwoli pani, że będę się do niej zwracał „Marion”?

Zainteresowana niedbale skinęła głową, pragnąc zachęcić go, żeby mówił dalej.

–Nie ma tutaj żadnych tajnych agentów – dodał.

–To zwykła ciekawość. Tylko się zastanawiałam.

–Wyświadczamy przysługę. Pewnego dnia poproszono nas o to i zgodziliśmy się; później podjęliśmy się tego zadania drugi raz, ale to coś wyjątkowego. Ot i wszystko.

–Ot i wszystko – powtórzyła Marion, wpatrując się uważnie w zwierzchnika wspólnoty.

–Jak pani mijają dni? Jeśli dobrze zrozumiałem, pomaga pani bratu Damienowi.

–Tak. Nie jest to pasjonujące zajęcie, ale pozwala zabić czas. Niestety, katalogowanie dobiegło końca i od jutra znów zacznie się bezczynność.

–Przekazuję pani ten komplet kluczy, ale proszę, żeby pilnowała ich pani jak oka w głowie. Dzięki nim będzie pani mogła pójść, dokądkolwiek zechce.

Chwycił metalowe kółko, na którym wisiał tuzin dużych kluczy

–Proszę zachować jak najdalej posuniętą dyskrecję. Administracja Mont-Saint-Michel myśli, że spędza pani u nas urlop; nie spodobałoby im się to, że pozwalamy pani omijać przepisy w takim stopniu.

–Pokażę pani, które drzwi otwiera każdy z tych kluczy – powiedziała siostra Anne, pochylając się ku Marion.

–To będzie taki sam dobry sposób na rozrywkę jak każdy inny. Muszę przyznać, że najgorszym pani wrogiem tutaj będzie nuda. Możemy dotrzymywać pani towarzystwa najczęściej jak się da, nie będę jednak ukrywał, że nasza wspólnota musi się trzymać pewnych zasad. Nie możemy zaoferować pani oficjalnej posady w Mont-Saint-Michel; to nie byłoby rozsądne.

–Czy powiedziano bratu, jak długo tu zostanie? Brat Serge podrapał się w tył głowy.

–Nie, tego mi nie powiedziano. Nie mam pojęcia. Poproszono nas, byśmy się panią zaopiekowali przez zimę, do czasu, aż „sprawy się ułożą albo posuną się do przodu”. Nawet nie wiem, co to są za sprawy – wycelował palec przed siebie. – I nie chcę wiedzieć. To może potrwać równie dobrze trzy tygodnie, jak i trzy miesiące.

Po chwili milczenia dodał:

–Skoro i pani tego nie wie, proszę się przygotować, że spędzi pani tutaj najbliższe miesiące.

Marion złapała pęk kluczy.

–Tymczasem, jeśli mógłbym być pani w czymkolwiek pomocny... – powiedział, starając się dodać jej otuchy.

Marion podziękowała.

Już wiedziała, gdzie słyszała ten głos.

W noc przyjazdu. Kiedy zasypiała, rozległ się niski męski głos o starannej wymowie. Pierwszego wieczoru brat Serge stanął nad jej łóżkiem razem z siostrą Anne.

Kiedy zaproponowano jej, żeby zjadła kolację z pozostałymi członkami wspólnoty, podczas której brat Gilles – ze swoim orlim profilem – miał czytać święte teksty, Marion odmówiła. Wróciła do siebie bardziej zaciekawiona niż zaniepokojona, chcąc się przekonać, czy miała kolejną tajemniczą wizytę. Obeszła wszystkie pomieszczenia, nie znalazła jednak niczego, co

pozwalaloby tak sãdzić.

Może się skończyło... Ktoś się zabawiał, podrzucając jej zagadkowy list, po czym upewnił się, że nie ukrywa żadnego niebezpiecznego przedmiotu, a teraz dadzą jej spokój.

Marion przyrzãdziła sobie zupę z torebki, tego wieczoru była bowiem zbyt leniwa, żeby gotować.

Postawiwszy na stole w salonie miseczkę z zupã, butelkã wody mineralnej i jogurt, wyjęła z wełnianej torby czarnã ksiãzkã.

Marion zasiadła do kolacji i otworzyła dziennik w miejscu, w którym przerwała czytanie.

Jeremy Matheson i Azim Abd el-Dajim przeciskali się przez tłum na deptaku w dzielnicy Al-Musky. Poruszano się tam wyłącznie piechotą, wyjątkowo na grzbiecie osła, gdyż tłok i ogromna liczba straganów nie pozwalały na nic innego.

Pod wysokimi, odrapanymi fasadami z wystającymi balkonami głębokie kramy wylewały się aż na środek ulicy, tworząc długą procesję pstrych kolorów i oparów egzotycznych zapachów.

Jeremy przeszedł pod ogromnym dywanem z wielbłądziej skóry, rozłożonym wysoko jak namiot, który wydierał kwaśny, mdlący odór. Sprzedawca jedwabiu przywołał Anglika, ale na widok Azima, który odprawił go w jego własnym języku, natychmiast się cofnął.

Bele jedwabiu w kolorze czerwonym, zielonym, niebieskim, żółtym i ich odcieniach kolejno ustępowały miejsca labiryntowi koszy pełnych słodko pachnących daktyli i fig.

Wszyscy rozmawiali i krzyczeli po arabsku, wymieniając monety na towary. Mężczyźni śmiali się szeroko, odsłaniając bezzębne dziąsła. Śledzono się wzrokiem i pożądan nawzajem pod niskimi rantami fezów, tarbuszy czy turbanów, szukając schronienia przed słońcem pod daszkami z wygarbowanej skóry, płóciennymi markizami i innymi relikami dawnej architektury.

–Dlaczego z „myśliwym”? – zapytał Azim. – Przed chwilą mówił pan o mordercy jak o myśliwym. W ostateczności może to być zwierzę albo szaleniec, którego powinno się zabić, ale dlaczego nazwał go pan „myśliwym”?

–Bo polował. Kiedy jadę na safari, włóczę się całymi godzinami po sawannie, z daleka wypatrując zdobyczy, cicho się do niej zbliżając. Jeśli to możliwe, staram się mieć nad nią przewagę, na przykład wysokości, a jeśli mnie zauważy, próbuję ją zwabić tam, gdzie chcę, osaczyć ją w naturalnym dole albo uwięzić w ślepym zaułku. Gdy jednak mogę ją zobaczyć z góry, nie pozostaje mi nic innego, jak rzucić się na nią, po czym szybko uśmiercić.

–To z pewnością chory psychicznie człowiek, proszę pana. Trzeba być szaleńcem, żeby zabić dziecko. I nie dość, że zabił, to jeszcze je zmasakrował. On jest obłąkany! – zagrzemiał Egipcjanin.

–Nie tylko, Azimie. Tu chodzi o coś więcej. On nie tylko zabił tego chłopca; on go tropił. Polował na niego. W polowaniu zaś cała przyjemność nie sprowadza się do momentu, kiedy człowiek naciska spust broni, nawet jeśli stanowi to uwięźczenie łowów. Wszystko polega na poprzedzającym je rytuale: powolnym i skrupulatnym czajeniu się, aby wytropić zdobyczą, podążać za nią krok w krok, manipulować nią na odległość, osaczyć. W tym kryje się prawdziwa przyjemność. I właśnie to zrobił zabójca: zapolował, odczuwając przyjemność w urządzaniu obławy.

Azim machnął ręką na znak protestu.

–A jednak – ciągnął Jeremy – morderca schował się za murem, na dachu mauzoleum, czyhając na nadejście ofiary. Czekał, żeby nagle się na nią rzucić, nie dając jej najmniejszej szansy. Następnie się z nią zabawił... To perwersyjny umysł myśliwego. Lubi to, co robi.

–Dlaczego pan tak mówi? Siedział pan w jego głowie?

–Ślady pozwalają nam to stwierdzić.

–Czy w końcu mi pan powie, co pan znalazł tam, na górze? – uniósł się fałszywym gniewem Azim.

Przechodzili właśnie między workami pełnymi przypraw, które zwisały z wysokiego sklepienia. Błony śluzowe policjantów zostały nagle zaatakowane przez kolejne fale zapachów.

–To, co pozwala mi mówić o nim jak o perwersyjnym myśliwym. Nasienie.

–Co?

–Dobrze pan zrozumiał. Jego nasienie, jestem tego pewien. Był tak podniecony, że nie mógł się powstrzymać. Wie pan, krążą słuchy, że to się przytrafia największym myśliwym; że

w najlepszych momentach obławy mają... erekcję. On nie potrafił nad nią zapanować. To się nawet dobrze składa.

–„Dobrze się składa”? Co z pana za Brytyjczyk, żeby mówić takie rzeczy? Opowiada pan o myśliwym, o aktach seksualnych i... Dobrze się składa?

–Jeśli pan woli, ujmę to tak: nasienie jest dla nas bogatym źródłem informacji -poprawił się Jeremy Matheson, nie zważając na zdumienie kolegi. – Po pierwsze, dzięki temu możemy lepiej określić osobowość mordercy. Po drugie, wiemy, że to mężczyzna, a nie na przykład kobieta, która uciekła z zakładu dla umysłowo chorych. Możemy również przyjąć, że nosi tunikę albo dzellabę, bo inaczej jego nasienie nie spadłoby na ziemię, trudno mi bowiem sobie wyobrazić, żeby myśliwy, który za chwilę rzuci się na ofiarę, miał rozpięte spodnie. I na koniec z pewnością najistotniejsza rzecz. Wiemy, że rozkład codziennych zajęć chłopca może zawierać jakiś trop.

Azim przystanął na środku ulicy, mimo że panował tam nieustanny ruch. Co chwila ktoś go potrącał, nikt jednak nie protestował.

–Nie nadążam za panem – wyznał.

–Niech się pan zastanowi, przyjacielu... Skoro mężczyzna był na miejscu, gotów do polowania, to oznacza, iż wiedział, że ktoś będzie tamtędy przechodził. Stan takiego podniecenia wymaga

przygotowania. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło się ono zrodzić zniemacka. Nie; on myślał o tym przez jakiś czas, zanim się rzucił na chłopca. Chyba się pan ze mną zgodzi, że groby kalifów to nie miejsce, gdzie spotyka się dużo dzieci! Zabójca wiedział, że jego ofiara wkrótce nadejdzie. A wiedział albo dlatego, że ją tam zwabił, albo dlatego, że znał jej rozkład zajęć. I właśnie tym tropem musimy podążać.

Jeremy otarł rękawem pot z czoła.

–Pozostaje jeszcze strach chłopca – dodał ponuro.

–Ma pan na myśli siwe włosy?

–Nie rozumiem, jak chłopiec mógł się aż tak przerazić, nawet jeśli ktoś go zaskoczył. Poszukawszy w myślach odpowiednich słów po angielsku, Azim rzekł:

–Fizjonomia zabójcy. Być może jest równie brzydki na zewnątrz jak w środku.

–To możliwe, to możliwe... Azim wysunął podbródek, kiwając głową.

–W każdym razie ta lekcja dedukcji zrobiła na mnie wrażenie. Pański wywód był nieco szalony, trzeba przyznać, ale całkowicie logiczny. I rzeczywiście to nas naprowadza na pewien ślad; brawo. Ponadto do hipotezy o zabójcy-myśliwym możemy dodać jeszcze jeden element, który nie daje mi spokoju od początku śledztwa: instynkt terytorialny. Proszę

zwrócić uwagę, że zawsze zabijał swoje ofiary w konkretnym rejonie: we wschodniej części Kairu. Między murami cytadeli a dzielnicą Al-Abbasijja. Wyznaczył granicę strefy polowań.

–Tak, rzeczywiście. Prawdopodobnie warto pójść tym tropem, ale najpierw trzeba uczynić coś pilniejszego: zidentyfikować chłopca.

Jeremy włożył do ust daktyla, którego ukradł ze stoiska kilka chwil wcześniej.

–Ma pan znakomity zmysł analizy – zauważył Azim. – Kiedy przemawia przez pana detektyw, śledzenie toku pańskiego rozumowania to prawdziwa przyjemność.

Jeremy wpatrywał się w niego przez moment, po czym sprostował:

–Nie przemawiał przeze mnie detektyw, Azimie. Detektyw nie doświadczyłby takich uczuć. Nie. To był myśliwy.

*

Znajdowali się w podziemiach starego budynku. Były one wystarczająco głębokie, aby mimo wysokiej temperatury, jaka panowała na zewnątrz, nie przepuszczać ciepła i zatrzymywać chłód.

Pomieszczenie o niskim, łukowo sklepionym suficie oświetlały jednocześnie zawieszane na ścianach lampy gazowe i olejowe, które wydzielały tłusty, uporczywy zapach, mieszający się z okropniejszym od niego odorem mięsa. Była to woń zepsutej szynki przemieszana ze smrodem stęchlizny, zupełnie jakby ktoś włożył do torby jedzenie, odczekał, aż skisnie, po czym nagle ją otworzył.

Pod dwiema ogromnymi czarnymi tablicami stały cztery drewniane stoły przykryte sztucznym pergaminem. Wzdłuż stołów znajdowały się wózki, na których ułożono ostre i tnące narzędzia, jedno straszniejsze od drugiego: ostrza cienkie, karbowane, zębate, tnące szczypcy, piły, a nawet młotki. W kącie stała oparta o ścianę półmetrowej długości żółta linijka upstrzona czerwonymi kółkami.

W jedynym, za to imponującej wielkości zlewie spoczywało kilkadziesiąt wysmarowanych lepką substancją instrumentów chirurgicznych, a w bordowej wodzie pływały jeszcze bardziej gęste, włókniste substancje.

Na stoliku przy wejściu leżał stos notesów, których kartki pożółkły od wilgoci.

Jeremy Matheson stał naprzeciw mężczyzny około pięćdziesiątki, o siwych włosach i brodzie. W blasku lampy jego czarny fartuch połyskiwał osobliwą wilgocią.

–Ostatni raz pracuję w takim pośpiechu – zapowiedział.

–Przecież pan wie, że to ważne, doktorze. I co? – zapytał Jeremy. Starszy mężczyzna odwrócił się ku leżącemu na najbliższym stole kształtowi

przykrytemu prześcieradłem.

–Biedny dzieciak; przeżył naprawdę przykre chwile, może mi pan wierzyć. Został ciężko pobity. Całe jego ciało jest pokryte wybroczynami. Ma złamaną lewą rękę w trzech miejscach, łokieć też, kilka żeber...

Odwrócił się na pięcie, żeby spojrzeć na jedną z ogromnych tablic, na której zapisano rozmaite spostrzeżenia.

–Dokładnie cztery. Jednym słowem: pominę resztę. Wszystko znajdzie się w szczegółowym raporcie, który wkrótce panu przekażę. Przejdźmy do tego, co pana interesuje. Śmierć nastąpiła przez uduszenie gołymi rękami, jestem tego niemal pewien. Chociaż na widok tych

wszystkich ran jego biedny ojciec z miejsca padłby trupem. Najbardziej niepokojący jest wygląd śladów na szyi ofiary.

Przysiadł na brzegu stołu.

–Wie pan, detektywie, kiedy człowiek kogoś dusi, potrzeba takiej siły, aby zatrzymać dostęp powietrza i (lub) krwi, że musi piekielnie mocno ścisnąć... Na ogół wpycha palce w skórę; zostawia ślady paznokci, zadrapania lub otarcia. W tym wypadku mamy do czynienia dosłownie z otworami, z krwawiącymi ranami, i to dość głębokimi.

–Co one oznaczają? Że morderca miał białą broń?

–Nie, niezupełnie. Widoczne są ślady palców; krwiaki mają prawie kształt dłoni. Nie, to znaczy, że zabójca tego chłopca ma bardzo twarde i bardzo długie paznokcie, które niemal tną.

Doktor wziął do ręki porcelanową nerkę, w której znajdował się trójkątny kawałek rogu znaleziony kilka godzin wcześniej przez detektywów.

–Jeśli chce pan znać moje zdanie, to coś może być z powodzeniem takim paznokciem. Jeremy przysunął się bliżej, pochylając głowę. Nic nie rozumiał.

–Jak to?

–Powiedziałem tylko, że ten kawałek może być paznokciem.

–To? Pan chyba nie mówi poważnie?! Jest zbyt duży! Zabójca musiałby być monstrualnym olbrzymem!

–Proszę posłuchać: wyciąganie wniosków to nie moja działka; moja praca polega na czym innym i właśnie ona nasuwa mi przypuszczenie, że to może być koniec paznokcia. Szpiczasty, gruby, twarde, zgoda, ale właściwie dlaczego nie? W każdym razie pasuje do rodzaju obrażeń dzieciaka. Ach tak! Te ślady występują nie tylko na szyi, ale na całym ciele albo prawie; wszędzie tam, gdzie był trzymany, widać te nacięcia, jakby chwyciła go czyjaś dłoń o bardzo długich palcach.

–Chciał pan powiedzieć: pazurach...

–Biorąc pod uwagę wielkość i głębokość ran, rzeczywiście można mówić o pazurach.

–Czy... czy został zgwałcony? Doktor zawahał się przez chwilę.

–Nie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Podobnie jak poprzednie ofiary, ma na sobie ślady spermy, ale nie penetracji.

–Coś jeszcze?

Doktor przeczesał brodę palcami. Pod paznokciami miał zaschniętą krew.

–Szczegóły natury biologicznej; nic, co dotyczyłoby aspektu kryminalnego. Kiedy otworzyłem chłopca, stwierdziłem, że jest to przypadek *situs inversus*, czyli że ma odwrotnie ułożone narządy, a więc serce po prawej stronie zamiast po lewej. Normalnie u dorosłego da się to zauważyć jeszcze przed sekcją zwłok, ponieważ prawe jądro jest niżej niż lewe, natomiast u mężczyzn, którzy mają serce z lewej strony, teoretycznie powinno być odwrotnie.

–Czy to coś zmienia?

–Absolutnie nic; to tylko taka ciekawostka. Jeszcze jedno: był chory na hemofilię. Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, ale wydaje mi się to dość oczywiste. Przewód pokarmowy i stawy noszą ślady obrażeń związanych z hemofilią. A co do ran, to nastąpił zbyt szybki upływ krwi jak na skaleczenia tego typu; prawie nie ma śladów krzepnięcia.

Jeremy zerknął na zeszyt, który leżał wśród użytych skalpeli. Na zabazgranych notatkami kartkach widniała konstelacja czerwonych kropek.

–Dziękuję, doktorze.

–Ostatni raz pracowałem w takim pośpiechu – powtórzył lekarz sądowy. – Następnym razem będzie pan musiał poczekać.

–Wiem...

–Nie, nie wie pan – ciągnął ze złością, która zaskoczyła Jeremyego. – Praca w pośpiechu oznacza ryzyko, że ręka się omsknie i człowiek się skaleczy. Zna pan te wszystkie choroby, którymi można się tak zarazić? Niedawno dwóch lekarzy umarło w ten sposób: jeden tej zimy w Aleksandrii, drugi tutaj, w zeszłym roku. Słyszał pan o róży? Nie? To choroba, która dziesiątkuje lekarzy od kilku lat. Jedno małe draśnięcie i jest za późno... Zaczerwienienie, obrzęk, wysoka gorączka i odjazd. Nie po to przeżyłem wojnę we Francji, żeby tak głupio umrzeć! To był ostatni raz.

Doktor odruchowo chwycił czystą ściereczkę, żeby wytrzeć ręce. Oblizwał wargi i przeczesał palcami brodę, poruszając szczęką. Następnie spojrzął na Jeremy'ego Mathesona, który wpatrywał się w przykryty prześcieradłem niewielki kształt leżący na stole.

–Smutne, prawda? – powiedział lekarz. Podszedł do detektywa ze ściereczką w dłoni.

–Wie pan, czasem, kiedy grzebię w ludzkich wnętrznościach, zdarza mi się przerwać na chwilę i przyglądać się dziełu, jakim jesteśmy. Do jakiego stopnia się między sobą różnimy. Jedni mają odporne, szerokie tętnice, które niełatwo się zatykają. U innych z kolei są one delikatne i wąskie. Dlaczego? Nie ma tu żadnych reguł. Prawdopodobnie nie jest to kwestia dziedziczności, ale ślepego trafu. Rodzimy się z silną predyspozycją do wczesnej śmierci albo nie. W wypadku tego biednego dzieciaka nastąpiło to znacznie szybciej niż sobie wyobrażał. Jego serce zdążyło

uderzyć raptem miliard razy, nim umilkło. Mniej więcej tyle. Miliard wołań o życie na próżno. Nikt go już nie usłyszy. Właśnie obraca się w proch.

–Dobija mnie pan, doktorze. Jeremy poklepał lekarza po przyjacielsku po ramieniu i ruszył do wyjścia, na brudne

schody.

–Złapie pan tego, kto to zrobił? – zapytał doktor za jego plecami. Jeremy zatrzymał się na pierwszym stopniu. W ogóle się nie spodziewał objawów

takiego zainteresowania u człowieka, który od samego początku zdawał się traktować całą sprawę z zawodowym dystansem. Wówczas lekarz dodał w drgającym świetle lamp:

–Jeśli go pan złapie, detektywie, niech mi pan zrobi przyjemność i pośle mu kulkę ode mnie.

Jeremy dołączył do Azima nieco później, przed wieczorem. Egipcjanin obszedł wszystkie posterunki policji, aby sprawdzić, czy nie wpłynęły jakieś zgłoszenia o zaginięciu dzieci. Szukał mniej więcej dziesięcioletniego chłopca, którego rysopis mógł odpowiadać -przynajmniej w tym, co byli w stanie stwierdzić – rysopisowi dziecka znalezionego rankiem w zaułku.

Bez powodzenia.

Było bardziej niż prawdopodobne, że chłopiec pochodził z ubogiej dzielnicy. W tym środowisku mieszkańcy zazwyczaj starali się najpierw rozwiązać problemy we własnym zakresie, a dopiero później zwracali się o pomoc do władz. Mogło więc upłynąć wiele dni, zanim wywieszono by zawiadomienie o zaginięciu.

Jeremy sporządził szczegółowy raport na temat wszystkiego, czego dowiedział się od lekarza sądowego, nie pomijając żadnego drobiazgu. Uczynił to głównie dla Azima, który nie robił notatek, zapamiętując informacje i jednocześnie nie zdradzając żadnych emocji.

–Azimie, zajrzę do szpitala dla umysłowo chorych, aby się upewnić, czy jakiś dawny gwałcieł dzieci nie uciekł lub nie został wypuszczony. Jednocześnie trzeba sprawdzić we

wszystkich szpitalach, czy w ostatnim czasie nie trafiło do nich dziecko po brutalnym napadzie tego rodzaju. Nigdy nie wiadomo, może zdarzyły się już podobne chybione próby.

–Doskonale, ale jeśli mogę się ośmielić, proszę nie zapomnieć zajrzeć do Ibn Tulun, dawnego meczetu. Chcą go odnowić jeszcze w tym roku, ale na razie ciągle przyjmuje zniedołężniałych starców. Podobno jego pacjenci bywają niebezpieczni. To równie dobry trop jak każdy inny.

Matheson przytaknął i podziękował, po czym obaj mężczyźni się rozdzielili. Angielski detektyw udał się na ulicę Abbas, gdzie spędził trzy godziny, zdobywając potrzebne informacje. Leżało tam ponad pięć tysięcy pacjentów w warunkach urągających zasadom higieny.

Kiedy zmierzch spłynął na Kair, Jeremy Matheson zaszył się jak zwykle w *kahwie*, małej, pozbawionej ozdób knajpce obok dworca centralnego. *Kahwagi*, właściciel, od razu podał mu kawę *ar-riha* z kardamonem, upodobania Anglika były tu bowiem dobrze znane.

Nieco dalej starcy grali w *mankaleh*, rozmawiając, podczas gdy bazarz opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, jedną z wielu arabskich legend.

Powietrze gęstniało od kłębow dymu z fajek wodnych, które napępniały je oleistą wonią jablek lub zatruwały obłokami *maassil*.

Jeremy pozwolił się ukołysać przerywanemu głosowi bazarza, wyobrażając sobie nieskończoną liczbę baśniowych obrazów pochodzących wprost z pustyni lub z dawnych czasów.

Po pewnym czasie zamówił alkohol. W tej *kahwie* nie wahano się go podawać, od kiedy jednak zaczęły wzrastać wpływy najbardziej ortodoksyjnych sekt muzułmańskich, zdarzało się to coraz rzadziej. Matheson wypił kilka koniaków miejscowej produkcji ze źle wróżącym pośpiechem, wrzucając systematycznie pod stół lód, który właściciel z uporem wkładał mu do kieliszka.

Wrócił do swojego wagonu, zataczając się i z zamglonym wzrokiem, po czym opadł na rozgrzebane łóżko.

Ledwie się położył, wyciągnął rękę w stronę stolika nocnego. Poprzewracał mnóstwo stojących na nim przedmiotów, zanim wreszcie chwycił ramkę, w której znajdowała się czarno-biała fotografia kobiety.

– Jezabel... – mruknął. – Jeza... bel... Gdzie się podziały czasy twoich zmysłowych nocy... Jezab...

Ramka wysliznęła mu się z dłoni i upadła na wykładzinę, był jednak za bardzo zamroczony, aby ją podnieść.

Wcisnął głowę w puchową poduszkę, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

Nagle oślepiający błysk rozwiął jego marzenia o minionych rozkoszach.

Obraz trwał zaledwie sekundę. Obraz ciała.

Ciała dziecka.

Krucze kości obojczyków sterczały przez cienką skórę klatki piersiowej.

I wszystkich potworności tego dnia.

Sam chciał tego śledztwa. I jego straszego brzemienia.

Teraz zaś będzie musiał je dźwigać, aby przedostać się do ściśle zamkniętego kręgu prawdy.

Aby się do niej zbliżyć, zatańczyć z nią. Czy był do tego zdolny? Nie robiąc fałszywego kroku. Jak ten, kto stąpa po śliskiej ścieżce i zanurza się w ciemności.

Jeremy przycisnął poduszkę do ust.

Wrzasnął z całych sił.

CZEŚĆ DRUGA 15

Kiedy Marion obudziła się w czwartek rano, całe miasteczko spowijała mgła.

Wzięła prysznic, a wychodząc z łazienki, spostrzegła, że mleczne obłoki pod jej oknem zaczynają rzednąć. Dywan niewinności odpływał ku morzu.

Włożyła dzinsy i sweter z golfem, na to trencz, i wyszła zaczerpnąć powietrza.

Na zewnątrz ściany domów i uliczny bruk nadal pokrywała wilgoć. Większość sklepów była jeszcze zamknięta. Nagle usłyszała za plecami dyszenie biegnącego człowieka. Odsunęła się, aby go przepuścić, i ze zdziwieniem ujrzała ubranego w dres brata Damiena, który mknął po Grandę Rue. Na jego twarzy nie było śladu zwykłej poczciwości, lecz dzika determinacja. Pozdrowiłszy ją przelotnie, zniknął za zakrętem.

Marion przystanąła przed sklepem Beatrice, jednej z tych niewielu nieuleczalnych dusz kupieckich, które prawie nigdy nie zamykają interesu.

–Sportowiec z tego brata Damiena – rzuciła, wchodząc do środka.

–O tak! – roześmiała się Beatrice. – Mógłby odbyć biegiem pielgrzymkę do Compostelle! Prawdziwy z niego maratończyk, niemal codziennie biega po grobli. A co u pięknej paryżanki?

Marion oparła się o ladę.

–Korzystam ze świeżego powietrza...

–Jeśli tutaj ktoś tak mówi, to znaczy, że nudzi się jak mops. Marion uśmiechnęła się z rozbawieniem w odpowiedzi.

–A jak tam twoja książka? – zainteresowała się Beatrice.

–Jest intrygująca.

–Intrygująca? Zdaje się, że to dziennik? W czym więc może być intrygujący?

–Przede wszystkim w samym sposobie narracji. To opis policyjnego śledztwa.

–Beż żartów! – parsknęła śmiechem Beatrice.

–Albo raczej jest to punkt widzenia kogoś, kto prowadził śledztwo.

–I?

–I to na razie wszystko. Właśnie poznaję Jeremy ego.

–A, Jeremygo! No, no... To już mówicie sobie po imieniu? Marion puściła do niej oko i się wyprostowała.

–Coś mi się zdaje, że dzisiaj sobie poczytam. Znasz jakieś odpowiednie miejsce w Mont-Saint-Michel? Wiesz, jakiś przyjemny kącik z czarującą atmosferą?

Beatrice spojrzała na sufit w poszukiwaniu natchnienia, po czym zaproponowała:

–Możesz się ulokować na jakimś nasłonecznionym murku, ale najlepsze byłoby opactwo na samej górze. W którejś z sal będziesz się mogła przyjemnie schronić przed wiatrem. Jeśli poprosisz przy bramie, może pozwolą ci przejść.

Marion już miała odpowiedzieć, że jeśli o to chodzi, ma wszędzie dostęp dzięki kluczom, coś ją jednak powstrzymało. Przecież nie była stąd, obawiała się więc, że przechwalanie się na prawo i lewo, jakie to ona ma przywileje, mogłoby zostać źle odebrane.

Poplotkowały jeszcze godzinę i Marion wróciła do siebie po dziennik. Chwyciwszy magiczny pęk kluczy, wdrapała się po niekończących się schodach prowadzących na szczyt. Za – I nim dotarła do Chatelet, znalazła czarne drzwi stanowiące część budowli. Powodowana ciekawością, podeszła do nich i spróbowała je otworzyć kilkoma kluczami, nim wreszcie zamek ustąpił.

Żarty się skończyły – teraz miała już własny wytrych.

Uradowana z sukcesu, Marion wśliznęła się do środka z wesołością dziecka, które robi coś niedozwolonego, po czym starannie zamknęła za sobą drzwi. Przemierzywszy salę, której część zajmowały stojaki z mapami przeznaczonymi na wizyty turystów, dotarła aż do północnego zbocza, gdzie odkryła na zewnątrz stromą ścianę w całości porośniętą roślinnością, bez przerwy smaganą przez wiatr.

Marion obeszła Merveille, chcąc dostać się do ogrodów po zachodniej stronie, następnie wspięła się po wijącej się ku nim ścieżce, aż znalazła drzwi prowadzące do Merveille od najniższego poziomu, tam, gdzie kopała z siostrą Anne.

Trafiła do piwnicy – ogromnej sali poprzedzielanej kolumnami. Wszystkie kwiaty i krzewy, które wykopały z ziemi, nadal tam stały, świeżo podlane. Stwierdziwszy, że to zbyt ciemne i zimne miejsce, żeby tam usiąść, Marion ruszyła po krętych schodach, chcąc się dostać piętro wyżej, do sali rycerskiej. Pamiętała, że przechodziła tamtędy wraz z zakonnicej podczas zwiedzania. Niespodziewanie zatęskniła za tą starą kobietą.

„Nie możesz jej nazywać starą! Ile ona ma lat? O piętnaście więcej od ciebie? To śmieszne... To przez jej skórę... Kiedy tylko siostra Anne przeżywa jakieś emocje, jej twarz pokrywa się siateczką zmarszczek...”

Przywołała w pamięci niebieskie oczy zakonnicy. Niespodziewanie doznała wrażenia, że jest

w nich ogromna mądrość.

Co się z nią dzieje? Czy to z powodu otoczenia, w jakim się znalazła? Marion przemierzyła baśniowy kamienny las, a następnie zaczęła błądzić po krętych korytarzach, schodzić i wspinać się po schodach, otwierać drzwi prowadzące do krypt albo na zewnątrz, aż wkrótce stwierdziła, że już nie wie, gdzie jest.

Wkroczyła zatem do Belle-Chaise, dawnego sądu opactwa. Naprzeciw długiego stołu przypominającego ołtarz stały w zwartym szyku rzędy ławek z oparciami. Spoglądając na wysmukłe okna i wysoki drewniany sufit w kształcie odwróconego kadłuba statku, uznała, że mogłaby tu spędzić w spokoju kilka chwil, tym bardziej że dostrzegła w kącie krzesło z poduszką. Podniosła je więc, aby wcisnąć się za olbrzymi komin, w pobliżu szyby, przez którą sączyło się szare światło, typowe dla tego ponurego dnia.

Kiedy zajęła miejsce, przyszedł jej na myśl jeden z tych strażników, których mijala w Luwrze, siedzących w przejściach między salami. Usiłowała znaleźć wygodną pozycję, po czym wstała, żeby przysunąć sobie ławkę, która zazgrzytała straszliwie, roznosząc ten dźwięk po całej sali. Marion wstrzymała oddech, usłyszawszy jednak tylko świst wiatru w korytarzach, podciągnęła jeszcze trochę ławkę i usiadła na krześle, opierając o nią nogi.

Tym razem wreszcie było jej wygodnie.

Kiedy otworzyła dziennik, ogarnęło ją pragnienie, żeby się dowiedzieć, co właściwie łączyło tę całą Jezabel i Jeremiego.

Marion zadrżała, czując na ramionach gęsią skórę.

Gdy przeczytała kilka pierwszych linijek w miejscu, gdzie ostatnio przerwała, następne wersy rozplynęły się przed jej oczami, tworząc wyraźny obraz. Dźwięki, zapachy... Jej oczarowane zmysły sprawiły, że wszystkie postaci nabrały życia.

Detektywi Azim i Jeremy spotkali się w porze śniadania na tarasie kawiarni naprzeciwko ogrodów Al-Azbakijja. Miasto zdążyła już ogarnąć fala potwornego upału, pokrywając czoła ludzi warstwą słonego potu. Obaj policjanci zrezygnowali z jedzenia, zadowolając się parującą herbatą. Za ich plecami grupa pracowników hotelowych, zatrudnianych od przypadku do przypadku przewodników i rozmaitych innych osób pozostających na usługach białych czekała w kolejce po bilety na najbliższy koncert Oum Kalsoum.

Popijający herbatę mężczyźni omawiali rezultaty poszukiwań prowadzonych poprzedniego dnia, które okazały się ze wszech miar bezowocne.

–Nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedział lekarz sądowy na temat tego kawałka rogu – przyznał Azim. – Jego zdaniem to paznokiec. Jak to możliwe? Jak można mieć takie paznokcie?

–Zgadzam się z panem: stary doktor się myli. Wydaje mi się, że może to być część przebrania...

Azim wyprostował się na krześle. W padających na jego okrągłą twarz promieniach porannego słońca wąsy i włosy błyszcząły mu od nowej pomady z Ameryki Południowej, *gomina argentina*.

–Rozumiem, dokąd pan zmierza. Mnie też przyszło do głowy, że morderca musi być Arabem – oznajmił. – Te dzieciaki nie znały języka angielskiego, a nawet gdyby jeden z waszych mówił trochę po arabsku, to i tak nie zdołałyby wzbudzić w nich wystarczającego zaufania, żeby za każdym razem zwabiać je w tak ponure miejsca.

–Chyba że skusiłby je obietnicą korzyści – sprostował Jeremy. – Ale przyznam, że mam takie samo zdanie na ten temat. Anglik prędzej zwróciłby czyjąś uwagę. Za to Murzynowi z Sudanu mogłoby się udać.

–Dlaczego?

–Ponieważ jest ich w Kairze wielu, znają arabski i są wystarczająco zasymilowani z miejscową ludnością, żeby nie rzucać się w oczy. Poza tym niektóre plemiona zachowały tradycyjne stroje. Na ten ślad znów naprowadził mnie drzemiący w zabójcy myśliwy Idąc na

polowanie, wojownicy wielu południowych szczepów wkładają plemienne stroje, łącznie z amuletami, na przykład z kości słoniowej lub z rogu...

Azim obdarzył go smutnym uśmiechem.

–Dalej ten pomysł z myśliwym, co? Ale to wydaje się logiczne; gratuluję. To całkiem logiczne.

Tylko w jednym niezupełnie się z panem zgadzam, mianowicie w sprawie asymilacji Murzynów. Może pan patrzy na to inaczej – pochylił się ku Anglikowi – ale w oczach kairczyka Sudańczyk zawsze pozostanie Sudańczykiem. Oczywiście popytam trochę w dzielnicach, w których mieszkały ofiary. Nigdy nic nie wiadomo.

Wyruszyli w drogę około dziesiątej, uznawszy, że nie jest już zbyt wcześnie, aby odwiedzić rodziny poprzednich ofiar i zadawać im pytania. Ponieważ Jeremy nie znał arabskiego, tym razem Azim miał grać pierwsze skrzypce. Anglik pragnął być jednak obecny, żeby pokazać zaangażowanie władz brytyjskich, przede wszystkim zaś po to, by samemu ocenić zachowanie ludzi i otoczenie, w jakim żyją.

Zaczęli od dzielnicy Al-Husajnija, górującej nad cmentarzem Bab el-Nasr. Zostawiwszy z konieczności samochód u wejścia na ulicę Nigm el-Din, zagłębili się pieszo w labirynt uliczek pokrytych ubitą ziemią i zacienionych zniszczonymi fasadami domów. Wiele budynków stało tutaj od setek lat, choć nigdy nie były remontowane.

Odnalezienie niewielkiego domu, w którego ciasnocie żyła ośmioosobowa rodzina znalezionej na pobliskim cmentarzu Samira, zabrało policjantom ponad trzy kwadransy.

Poproszono ich, żeby usiedli na stosie poduszek i poczęstowano gorącą, bardzo słodką herbatą.

W pokoju usytuowanym pośrodku domu bawiła się, wrzeszcząc, spora gromadka dzieci w łachmanach.

Azim rozmawiał z patriarchą rodziny, doszczętnie wyniszczonym mężczyzną o skórze jak pergamin, który sprawiał wrażenie siedemdziesięcioletniego starca, chociaż musiał mieć dwadzieścia albo nawet trzydzieści lat mniej. Kiedy Azim wymienił imię jego syna, na twarzy mężczyzny odmalował się smutek.

Niski stoliczek, na którym jego żona postawiła okrągłą tacę, okazał się odwróconą do góry dnem klatką na kury. Na ten widok Jeremyemu jeszcze trudniej było przełknąć słodką herbatę, tym bardziej że dla tych biednych ludzi taki napój musiał stanowić nie lada luksus.

Rozmawiając z ojcem Samira, Azim przerywał co pewien czas jego wypowiedź, prawdopodobnie po to, żeby uzyskać jakieś wyjaśnienie.

Jeremy wiele razy dostrzegł wyraz przerażenia na twarzy pani domu, która z trudem starała się go ukryć. Azim zdawał się skupiać całą uwagę na ojcu.

Niekiedy w drzwiach do kuchni pojawiała się czyjaś ciemna buzia, ale nigdy ta sama i zawsze należąca do osobnika w innym wieku. Z brzmienia głosów, pisków i przenikliwych wrzasków, jakie wydawały bawiące się obok dzieci, Jeremy wywnioskował, że musi się tam znajdować co najmniej jeden piętnastoletni młodzieniec i liczna gromadka malców od pięciu do dziesięciu lat. Ledwie się taki pojawiał, natychmiast znikał, powracając do hałaśliwej hordy, której nie zdołała

uciszyć nawet śmierć jednego z rodzeństwa.

Jeremy z trudem zachowywał milczenie, bariera językowa i kulturowa nie pozwalała mu jednak na jakiegokolwiek działanie. Zdawał sobie sprawę, że koniecznie trzeba przesłuchać również kobietę. Usłyszeć, co ma do powiedzenia. Wejrzeć w jej duszę zrozpaczonej matki. I zrozumieć jej lęk.

Kiedy kończył parzyć sobie usta gorącą herbatą, stało się coś nieoczekiwanego. Azim odwrócił się nagle do kobiety i przemówił. Jej mąż już miał odpowiedzieć, ale policjant powstrzymał go władcym gestem.

Biedna kobieta, znalazłszy się między młotem a kowadłem, ledwie odważyła się otworzyć usta. Azim dodał coś jeszcze.

Wówczas zaczęła się jąkać.

Podobnie jak otwierają się nagle śluzy w tamie na południowym odcinku Asuanu, słowa wypłynęły nieprzerwanym potokiem. Powstrzymywała lzy, dopóki nie wyrzuciła z siebie wszystkiego.

Jeremy'emu zdawało się, że uchwycił ostatnie słowo, wymówiła je bowiem po pewnej chwili i niemal bezgłośnie, sparaliżowana strachem: „ghul”.

–Ghul? – powtórzył Azim zaskoczony. Wkrótce wyproszono ich grzecznie, ale stanowczo za drzwi. Wychodząc, Jeremy

zwrócił się do Azima:

–Proszę im powiedzieć, że to podziękowanie za współpracę. Jeremy podał pani domu kilka funtów egipskich. Dostrzegł w jej wilgotnych oczach

rezerwę, wzięła jednak banknoty z zdecydowanym ruchem.

Po kilku chwilach obaj detektywi wracali śmierzdzącą ulicą do samochodu.

–Czego się pan dowiedział? – dopytywał się Jeremy.

–Zadałem kilka rutynowych pytań, co zostało już zresztą zrobione na początku śledztwa, i otrzymałem te same odpowiedzi. W dniach poprzedzających zniknięcie ich syna nie działo się nic szczególnego, żaden dziwny osobnik nie kręcił się w okolicy; nic z tych rzeczy. Wspomniałem z naciskiem o czarnoskórym mężczyźnie i nic. Ich syn był grzeczny i nie miał żadnego powodu, żeby pójść za nieznanym. W noc, kiedy został zabity, powinien

był się znajdować w swoim pokoju razem z braćmi. Wyszedł bez trudu, gdy wszyscy spali. To bardzo stary dom, można tam wchodzić i wychodzić, nie robiąc hałasu.

–Widziałem, jak przesłuchiwał pan matkę. Co powiedziała?

–Cóż... Właściwie nic takiego. Sporo rozmawia z sąsiadkami, które zmieniają się przy jej łóżku po śmierci chłopca.

–I plotkują. Tak się mówi: plotkują? Tak?

–Tak, Azimie – odparł Jeremy, którego to nagłe zejście z tematu nieco rozdrażniło.

–Jedna z nich jest przyjaciółką przyjaciółki matki dziewczynki zamordowanej na początku miesiąca. Nadąża pan?

–Tak, chyba tak.

–Plotki zacieśniają więzy, w tym środowisku zaś kobiety to sumienie dzielnicy, a także jej oczy i uszy. Niektóre z nich sporo widziały. Jedne tutaj, inne w Al-Abbasijja, w strefie biedaków. I wydaje im się, że wiedzą, kto zabija ich dzieci.

Jeremy przystanął, spoglądając na Azima szeroko otwartymi oczami.

–Tak?

–Och, to się nie spodoba takiemu Anglikowi jak pan.

–Mimo wszystko proszę mówić.

–Nie mieszka pan tutaj wystarczająco długo, żeby wierzyć w nasze baśnie, prawda?

–Nawet nie mówię po arabsku, Azimie...

–Kobiety uważają, że to ghul zabija ich dzieci. Nie prosząc, żeby powtórzył, Jeremy pokręcił głową na znak, że słucha, ale nie potrafi

uwierzyć w tę hipotezę.

–Zła czarownica, zgadza się? Gdzie ja to czytałem? Zdaje się, że u Brama Stockera... Co to takiego, rodzaj wampira?

–Ghul to demon rodzaju żeńskiego; złośliwy stwór, taki jak na przykład džinn. W *Księdze tysiąca i jednej nocy* często jest o nim mowa. To potwór trupojad, który może przybrać postać zarówno wstrętnej, jak i czarującej.

–Azimie, te kobiety opowiadają fascynujące bajki. Wzajemnie napędzają sobie strachu i odgrzebują stare przesady. A ten im pasuje, ponieważ stanowi metaforę tego, czym naprawdę jest zabójca. Z wyglądu człowiekiem, który może oczarować dzieci, w środku zaś potworem, który jest zdolny je torturować.

Azim szybko przyglądał wąsy.

–Jeśli wierzyć temu, co mówią, to nie metafora – sprzeciwił się. – Są bowiem naoczni świadkowie. Widziano dziwnego osobnika, który krążył po nocy, obwąchiwał suszące się na

dachach dziecięce ubrania, zakradał się do sypialni dzieciaków przez okno, na szczęście bez powodzenia. Ktoś lub coś ubrane w czarną szatę i ogromny kaptur zasłaniający jego okropną twarz. Ma haczykowate dłonie, porusza się bezszelestnie, mało kto zdołał go zobaczyć. Krążą nawet słuchy, że przerażone zwierzęta przed nim uciekają.

–Przecież doskonale pan wie, że nie znajdziemy żadnego świadka, to znaczy żadnego konkretnego nazwiska. To mit, istnieje zaś mnóstwo ludzi złej woli, którzy będą utrzymywać, że widzieli tę bestię, ale podczas śledztwa i tak nigdy się nikogo nie znajdzie.

–Bo Kair właśnie taki jest: zbudowany z cienia i światła, z wiedzy i ignorancji, na mitach i obietnicach. I niech pan zobaczy rezultat! To największe miasto świata arabskiego! Dumne i upragnione! Wy, biali, przyjeżdżacie tutaj ze swych kontynentów tylko po to, żeby podziwiać piramidy.

–Niech mi pan oszczędzi tej wojowniczej przemowy, Azimie. Nie ma nic poza tą opowieścią o ghulu?

Azim wydawał się urażony oschłością kolegi. Napięcie minęło w jednej chwili, ustępując miejsca uśmiechowi.

–Nie; dziś wieczorem umieszczę w raporcie wszystkie drobne szczegóły dotyczące chłopca, które sobie zanotowałem, i wszystko to, co powiedzieli mi jego rodzice.

Wrócili w milczeniu do samochodu, aby odwiedzić pozostałe rodziny. Spędzili na tym cały dzień.

Za każdym razem natrafiali na liczną i bardzo biedną rodzinę. Przed zniknięciem dziecka żadna z nich nie zauważyła niczego niezwykłego. Jeremy uparł się, żeby ofiarować każdej z nich po kilka banknotów. Na oczach równie zdumionego, co pełnego podziwu Azima pozbył się w ten sposób sporej sumy pieniędzy.

Pod wieczór obaj detektywi się rozdzielili: Azim udał się na posterunek, żeby sporządzić raport, Jeremy zaś jak zwykle do *kahwy*, by znaleźć wytchnienie po kolejnym męczącym dniu.

Siedział tam zaledwie od godziny, gdy nagle wszedł z czołem mokrym od potu Azim. Omiótł wzrokiem salę, trzymając w dłoni jakąś kartkę. Spostrzegłszy Jeremy'ego, rzucił się do jego stołu i położył na blacie dokument.

–Ta sama szkoła! Jeremy rozsiadł się wygodniej.

–Osiół ze mnie! – zagrmiał Azim. – Nie skojarzyłem tego, kiedy rodzice udzielali mi informacji, moi ludzie zaś nie pomyśleli, żeby zapytać o to podczas dochodzenia. Zabite

dzieci uczęszczały do tej samej fundacji. Keoraza. Nie jest to prawdziwa szkoła, ale chodziły tam, żeby zdobyć wykształcenie. To jest właśnie cecha wspólna, która je łączy!

W obłokach tytoniowego dymu wzrok Jeremy’ego stał się nagle nieobecny jak u ślepcy.

–Dobrze się pan czuje? – zaniepokoił się Azim, upewniając się ukradkiem, że stojące przed Anglikiem naczynia zawierają resztki po kawie, a nie po alkoholu.

W końcu Jeremy pokiwał głową.

–Znam kogoś w tej fundacji. Położył dłoń na kartce.

–Niech pan będzie tak miły i pozwoli mi się zająć tą częścią śledztwa. Po czym wsunął notatkę do kieszeni.

Marion nagle zatrzasnęła z hukiem dziennik.

Nie mogła się doczekać, żeby czytać dalej, ale musiała pójść do łazienki. Z ciekawości przewróciła jednak kilka stron, dostrzegając zdumiewające słowa, opis jakiejś sceny pod piramidami... Ożywioną rozmowę...

Marion już miała odłożyć książkę na krzesło i wyruszyć na poszukiwanie toalety, powstrzymała się jednak. Postanowiła zabrać dziennik ze sobą, podobnie jak pęk kluczy.

U wejścia do Belle-Chaise zaskrzypiały drzwi.

Marion obejrzała się, gotowa udzielić wyjaśnień, ale nikogo nie było. Drzwi były zamknięte.

Wiatr gwizdał co chwila w szparach, zupełnie jakby coś oddychało, sycząc w całym opactwie. Czy to on był winien?

„Nie zaczynaj sobie wyobrażać różnych rzeczy...”

Marion wyszła. Wkrótce minęła niewielki warzywnik górujący nad częścią miasteczka i zatoki.

Z dala od ludzkich spojrzeń i żywiołów znajdowało się małe zagłębienie w piasku.

Tak bardzo chciało jej się siusiu, że przeszło jej przez myśl, by się tu załatwić. Czym prędzej jednak odrzuciła ten pomysł, czując nie tyle oburzenie z powodu bezwstydnosci samego czynu w takim miejscu, ile obawę, że mógłby ją ktoś przyłapać.

Marion zeszła po schodach i znów zgubiła się w korytarzach bez końca.

Przez wąskie rozety, otwory strzelnicze i ostrołukowe okna z trudem przebijało się widmowe światło.

Za jednym z filarów stanęła jak wryta i gwałtownie odwróciła się na pięcie, uświadamiając sobie, że już tędy przechodziła.

Wówczas spostrzegła nagle jakiś ruch w oddali. Ledwie jednak zdążyła skupić wzrok na tym cieniu, postać zniknęła.

To, co zdołała dostrzec, przypominało gruby wełniany habit noszony przez mężczyznę ze wspólnoty. Nic więcej nie udało jej się rozpoznać: ani budowy ciała, ani sposobu poruszania się, ani tym bardziej twarzy.

Czy ten ktoś ją zauważył?

„Gdyby tak było, zakonnik z pewnością by się zatrzymał, przynajmniej po to, aby się przywitać”, pomyślała.

„On nie będzie miał za złe, że tu jesteś, i na pewno wskaże ci toaletę” – szepnął jakiś cichy wewnętrzny głos.

Marion rzuciła się naprzód. Dopadłszy schodów, wspięła się na granitową kładkę, na której zniknęła tajemnicza postać, i weszła pod łuk.

Przebiegła szybko przez kolejną salę, kierując się ku jedynym schodom, którymi mógł pójść uciekinier.

W drodze po kręconych schodach przystanęła na chwilę przed oknem i ujrzała położony poniżej podłużny dziedziniec.

Postać przemierzała go właśnie szybkim krokiem. Nie sposób było ją rozpoznać, gdyż miała na sobie czarną szatę z kapturem nasuniętym na głowę. Strój ten z daleka wyglądał jak mnisi habit.

Marion przyspieszyła kroku i po chwili znów znalazła się na dworze, ciężko dysząc.

Po uciekinierze nie było już jednak śladu.

Im dłużej bowiem się nad tym zastanawiała, tym bardziej wydawało jej się oczywiste, że tamten nie szedł, ale po prostu uciekał.

„Bredzisz... To ta policyjna historia pomieszala ci w głowie...”

Marion głośno nabrała powietrza. Ale przygoda! Tak, w gruncie rzeczy „przygoda” to właściwe słowo...

Naraz przypomniał jej się ojciec Serge. On i ta jego troska, by Marion się czymś zajęła, żeby się zbyt mocno nie nudziła.

„Cóż, trzeba dostrzegać dobre strony; jeśli zaraz nie zrobię siku, nie nastąpi przecież koniec świata...”

Dziedziniec wychodził na salę strażników, którą Marion przemierzyła, ciesząc się na widok pustego okienka – pewnie kasjerka rozgrzewała się właśnie nad filiżanką kawy w

towarzystwie jednego lub kilku przewodników, zmuszonych czekać przez cały dzień na bardziej niż wątpliwe pojawienie się turystów. Minąwszy barbakan, wróciła do siebie.

Po wyjściu z toalety zaparzyła sobie herbatę, którą zaniósła do narożnej sofy, żeby kontynuować lekturę.

Widok uciekającego osobnika w tajemniczym przebraniu nie dawał jej jednak spokoju.

Czyżby braciszkanie mieli w zwyczaju błąkać się w kapturach nasuniętych na oczy? Nie odniosła takiego wrażenia... Należało jednak wszystko brać pod uwagę.

Tak czy inaczej, zagadka, którą podsunęto jej zaraz po przyjeździe, tajemnicze odwiedziny w jej mieszkaniu i ten dziwny osobnik mogły zmusić do zastanowienia! Z pewnością zagadka to była jedynie dziecinada, a wtargnięcie do mieszkania było podyktowane życzliwością i troską o jej bezpieczeństwo, Marion uznała jednak ten zbieg okoliczności za przytłaczający.

„To wina tego miejsca. Ono sprawia, że stajesz się paranoiczką. To znaczy: jeszcze większą paranoiczką niż dotychczas.”

Wcześniej czy później na pewno odkryje, że zakonnik, za którym pobięła, nie miał z nią nic wspólnego, że znalazł się tam przez przypadek i że po prostu się spieszył.

„Skrzypnięcie drzwi... W wielkiej sali, w której właśnie czytałam. Drzwi zaskrzypiały wtedy, gdy wstałam, tak jakby ktoś mnie śledził i cofnął się, żebym go nie zobaczyła.”

Hipoteza ta nasuwała z kolei przypuszczenie, że ktoś szedł za nią po korytarzach i ją szpiegował... Ale w jakim celu? Wspólnota zgodziła się ją ukryć, a nie otaczać nieustanną ochroną. To nie leży w kompetencjach zakonników; nie należy popadać w przesadę. Marion pokręciła głową – posuwała się za daleko.

Nadszedł czas, żeby zająć się czymś innym: żeby powrócić do Egiptu lat dwudziestych.

Siedząc na sofie, szybko przejrzała w myślach zawartość lodówki i przypomniała sobie, że na półce stoi pełna patelnia warzyw na obiad. Wszystko załatwione – miała cały dzień dla siebie.

Żeby czytać.

Zanim zdążyła przeczytać choćby trzy słowa, wstała i zastawiła drzwi wejściowe stolikiem.

–Proszę bardzo – powiedziała. – W ten sposób mojej paranoi stanie się zadość.

Marion wyciągnęła się pod oszkloną ścianą z filiżanką herbaty w jednej dłoni i dziennikiem w drugiej.

Podczas gdy Azim usiłował zidentyfikować czwartą ofiarę, Jeremy Matheson kołysał się w trzeszczącym tramwaju, który wiozł go do Gizy.

Poza ledwie dostrzegalnymi miejscowymi wyniesieniami terenu pustynia prezentowała się jako jednostajnie płaski krajobraz.

Jeremy odkrył kilka szerszych i węższych wyrw na tym morzu piasku, w którym bezkresna linia horyzontu, składająca się z szafranowych wydm, oślepiła wzrok, kontrastując z niewiarygodnie głębokim niebem w kolorze indygo. Pustynia to nieskończoność w zasięgu ręki człowieka. Cisza staje się tutaj natarczywa; całkowity brak jakichkolwiek dźwięków po paru dniach zamienia się w nieustające brzmienie, dopóki uszy i mózg nie przywykną do tej skwarnej martwoty.

Zbliżając się do płaskowyżu Gizy, Jeremy przyłożył dłoń do szyby.

Trójkąty piramid przytłaczały go swoim ogromem, jakby chciały mu uświadomić kruchość i przemijalność ludzkiego życia. Nie wylaniały się jednak z piasku; przeciwnie – to cała pustynia rozwinęła się dla nich jak niekończący się dywan, składając im tyle hołdów, ile było ziarenek piasku.

Piramidy pobudzały ciekawość już od samego Kairu. Ledwie człowiek stanął u ich stóp, już zaczął drżeć zarówno z zachwytu, jak i z bojaźliwego szacunku.

Linia tramwajowa numer czternaście kończyła się osiem kilometrów od centrum Kairu, przed hotelem Mena House, karawanserajem cenionym przez przybyszów z Zachodu.

Mimo że sezon turystyczny powoli się kończył, piramidy nadal przyciągały tłumy zwiedzających. Chociaż słońce weszło zaledwie dwie godziny wcześniej, po stopniach Wielkiej Piramidy wspinało się już około trzydziestu białych osobników w dziwacznych kapeluszach, widocznych na tle błękitnego nieba jako plamy uginające się pod brzemieniem wysiłku.

Egipt był miejscem cenionym przez europejską arystokrację i wszystkie koronowane głowy świata oraz ich niezliczoną świtę.

Hotel Mena House, oaza luksusu na progu pustyni, dysponował licznymi tarasami, na których można było odpocząć pod okiem ogromnych grobowców.

Jeremy wiedział, że zastanie ją tutaj, spożywającą śniadanie w obliczu cudów. Jeszcze tego samego poranka o bardzo wczesnej porze zadzwonił do willi w Heliopolis, gdzie poinformowano go, że „pani nie ma”. Jeśli była w hotelu o tej godzinie, musiała spędzić w nim noc.

Uwielbiała tutejsze pokoje.

Jeremy przypomniał sobie jej twarz w cieniu wachlarza i oczy błyszczące z pożądania. I ich oboje na obiedzie w Gezira Sporting Club. I jej usta szepczące zza wachlarza, jak uwielbia igrać z nim pod osłoną piramid.

Jej brak szacunku i arogancja słowna w takim miejscu niezmiennie rozpałały Jeremiego. Nie miała sobie równych, co zaś do swobody w stosunku do mężczyzn, to okazywała ją zawsze z tak ujmującym i pełnym seksapilu wdziękiem, że nikt nie ośmielił się nigdy zwrócić jej uwagi. Kiedy postanawiała prowokować, zabawić się, mężczyznom pozostawało tylko się roześmiać, spuścić wzrok albo wypiąć pierś, ona zaś czyniła to z wystarczającą delikatnością, żeby nikt inny tego nie zauważył.

Żar wydobywał się zarówno z ziemi, jak i lał z nieba szerokim strumieniem.

Jeremy z trudem przełknął ślinę. Miał coraz silniejsze pragnienie.

„Pragnienie czego? Kogo?”

Zamknąwszy oczy, aby zapomnieć o tych idiotycznych słowach i odgonić niepotrzebne myśli, wszedł do hotelu.

Zawsze zajmowała ten sam pokój, nieco na uboczu, „żeby nie musieć powstrzymywać się od krzyku”, jak mawiała w chwilach zuchwałości.

Jeremy zdjął okulary przeciwsłoneczne i zastukał do drzwi.

W ciszy, jaka później nastąpiła, powróciła mu jasność umysłu i zdał sobie sprawę, że nie ma tu nic do roboty. To było niebezpieczne. Niebezpieczne dla niego.

Jedna jego część żywiła nadzieję, że nikt nie otworzy.

W drzwiach stanął mężczyzna w biało-złotej liberii i czerwonym fezie.

–Pan sobie życzy?

–Chciałbym porozmawiać z panną Leenhart. Służący zmarszczył brwi.

–Pan się myli, tutaj nie ma żadnej pan...

–Wpuść go – odezwał się za jego plecami damski głos. Kiedy mężczyzna spełnił polecenie, Jeremy znalazł się w apartamencie o ogromnych oknach, które wpuszczały do obszernego salonu całe światło płaskowyżu.

Wzdłuż pokoju biegł drewniany taras. Z hotelowych ogrodów przez otwarte drzwi przedostawał się odurzający zapach jaśminu.

Jeremy wyszedł wprost na nakryty stół osłonięty płóciennym parasolem. Na haftowanym

obrusie, między miseczkami z konfiturą, stała najpiękniejsza porcelana.

Siedząca w trzcinowym fotelu kobieta wyprostowała się, ocierając brzeg ust serwetką.

Choć doskonale wiedział, że jest piękna, jej uroda po raz kolejny zwała go z nóg.

Jej długie włosy na alabastrowej skórze.

Jej wielkie zielone oczy ocienione firanką nieprawdopodobnie długich rzęs.

Wystające kości policzkowe, na samym środku zaś podkreślający je znak piękności. I także delikatne, smukłe ramiona.

Miała na sobie zieloną sukienkę z rozcięciami na bokach, której Jeremy nigdy wcześniej nie widział, z ogromnym węzłem przy dekolcie. Sukienkę, której nigdy dotąd nie dotknął ani nie rozpiął. Na tę myśl poczuł ukłucie w sercu.

Jej wargi w odcieniu nieśmiałego różu rozciągnęły się w uprzejmym uśmiechu.

–Zapomniałeś? Teraz jestem panią Keoraz.

–Proszę cię... Skłoniła głowę, pozwalając, aby hebanowy kosmyk opadł jej na czoło. Potrafiła być

zarówno elegancka i piękna, jak i chłodna i daleka. W jednej chwili pokazała drugie oblicze.

–Skoro przychodzisz zabierać mi czas, uszanuj to, kim jestem – ucięła. Uśmiech całkowicie znikł z jej twarzy.

Wzięła kromkę chleba i posmarowała konfiturą z róży.

–Dobrze wiesz, że nigdy nie będę cię tak nazywał – powiedział, przysuwając sobie krzesło i stawiając je na wprost niej. – Potrzebuję cię.

–Bez wzajemności. Czego chcesz? „Ciągle ta sama hardość, zdolna zamienić słodki szept w syk węża”, pomyślał z

goryczą Jeremy. Aluzja ta przywołała falę wspomnień, które ścisnęły go za serce.

–No więc? – nalegała. Jeremy westchnął głęboko, zanim wyrzucił z siebie to, co miał do powiedzenia.

–Potrzebuję twojej pomocy. To dotyczy twojej fundacji.

–Chcesz powiedzieć: fundacji Francisa. Jeremy zacisnął szczęki, przez co w jego i tak wychudłych policzkach utworzyły się

dołączki.

–Tej, którą się zajmujesz – wycedził przez zęby. – Nie baw się ze mną w te gierki, Jezabel.

–W jakie gierki?

–Dobrze wiesz, w jakie! W „ciepło – zimno”. Nie ze mną; za dobrze cię znam. Odłożyła kanapkę, żeby mu się przyjrzeć.

–I co z tego? Czyżby to nie działało? Spróbuj powiedzieć, że to nie robi na tobie żadnego wrażenia. Potrafię zadawać ból mężczyznom; nie lekceważ moich zdolności z tym związanych. Nie macie przede mną żadnych tajemnic. Zaspokajałam swoją ciekawość,

kochałam was, kolekcjonowałam, przyglądałam się wam pod wszystkimi możliwymi kątami widzenia, aż wreszcie mnie to zmęczyło. Nie macie przede mną żadnych tajemnic. Czytam w tobie jak w otwartej księdze, podobnie jak w pozostałych. Nie przychodź więc tutaj, żeby mnie błagać, twierdząc, że w ogóle na ciebie nie działałam. Inaczej dlaczego miałbyś taką minę?

Jeremy wyprostował się, uświadomiwszy sobie, że za bardzo schylił głowę. Traktowała go na równi z innymi, pozbawiając całego znaczenia. Stał się dla niej tylko kolejnym imieniem, kolejną przyjemnością, to zaś, kim jest, przestało być istotne.

Tak, miała rację – potrafiła zadać mu ból. To było właśnie to. Nie zwracać na niego uwagi i zachowywać się tak, jakby to, co ich łączyło, było dla niej zaledwie jeszcze jedną kostką domina.

–Jez... – powiedział cicho po chwili milczenia. Nie był w stanie dokończyć. Kobieta zabrała się ponownie do jedzenia, nie ułatwiając

mu niczego, czekając na słowa wywołane przez dręczący go ból.

Jeremy zrobił coś, co, jak doskonale wiedział, było błędem w stosunku do niej -spuścił wzrok. Uciekł przed palącym spojrzeniem jej szmaragdowych oczu, zerkając na oszklone drzwi wychodzące na taras. Znajdujące się za nią drzwi prowadziły do sypialni. Było przez nie widać ogromne, miękkie łóżko, którego prześcieradła opadały aż na podłogę. Jeremy przełknął ślinę, a rysa w jego sercu zamieniła się w otchłań.

–Czy... Czy on tu jest? – zdołał wykrztusić.

–Kto? Mężczyzna, który daje mi rozkosz? Jeremy zapragnął znienawidzić ją tak bardzo, żeby wymazać tę kobietę ze swojego

życia.

Nie powiedziała „pan Keoraz” albo „mój mąż”, co byłoby dla Jeremy’ego i tak wystarczająco

bolesne; nie, posłużyła się nim dla własnej przyjemności. Co było jeszcze gorsze. Ona zaś o tym wiedziała. Wiedziała, że Jeremy kochał ją bardziej niż sercem i umysłem, do tego stopnia, że traktował ich wspólną rozkosz jak jedyne ucieleśnienie tej wielkiej miłości. Miłość fizyczna była wszystkim. W takich chwilach bowiem przestawała grać; był to jedyny moment zawieszenia broni; jedyny moment, kiedy była sobą, naga, do żywego. Ten zaś, kto zdołał ją osiąść w czasie orgazmu, mógł zobaczyć jej prawdziwą duszę.

Zazdrość ta przewyższała wszelkie drobne zazdrości utraconego dnia codziennego. Ona zaś o tym wiedziała. I naigrawała się z niego.

–Pokazuje okolicę swoim londyńskim przyjaciołom – odparła. – Dlaczego pytasz? Może chcesz z nim porozmawiać?

–Przestań. Potrzebuję twojej pomocy. Tu nie chodzi o mnie. Ale o dzieci. Widząc ledwie dostrzegalną zmianę w wyrazie jej twarzy, domyślił się, że trafił

celnie.

–O dzieci z twojej fundacji, które znikają. Odłożyła nadgryziony kawałek chleba wprost na obrus i zmrużyła oczy, które zamieniły się w długie ciemne szparki.

Tymczasem Azim wydeptywał bruki i ubitą ziemię wschodnich dzielnic Kairu. Pewien rysownik, z którego usług policja niejednokrotnie korzystała, zgodził się wykonać jak najwierniejszy portret ostatniej ofiary, dbając jednak o to, aby nie uwiecznić na nim ran szpecących twarz zabitego chłopca. Detektyw Matheson poprosił Azima o przekazanie mu śledztwa w sprawie fundacji, która zajmowała się nauczaniem dzieci, nie prosił jednak, aby trzymał się od niej z daleka.

W drodze do siedziby fundacji egipski policjant zidentyfikował czwartą ofiarę. Rozmawiał z wieloma świadkami, aż wreszcie jeden z nich od razu rozpoznał wizerunek dziecka.

Selim Jahja, dziesięć lat.

Azim natychmiast przekazał tę wiadomość do komendy policji. Aby dzieci mogły trafić pod skrzydła fundacji, należało je zapisać wraz z umieszczeniem jak największej liczby informacji na ich temat. Począwszy od adresu, pod którym można je było znaleźć. Stare dzielnice Kairu charakteryzowały się tym, że nie wszystkie ulice miały nazwy, a tym bardziej numery. Kiedy więc człowiek pytał o drogę, na ogół musiał się kierować takimi drogowskazami jak fontanna, dom z niebieskimi okiennicami czy skrzyżowanie pięciu szlaków... Adres Selima został zapisany takim właśnie szyfrem.

Azim odnalazł rodziców chłopca przed południem, stając się posłańcem żałobnej wieści.

Przesłuchawszy ich krótko wśród łkań i okrzyków wściekłości, oddalił się ponurą ulicą, przy której mieszkali.

Selim miał wiele wspólnego z poprzednimi ofiarami. Był to spokojny, żywiołowy i ciekawy świata chłopiec (stąd jego obecność w fundacji), który nie szukał kłopotów.

Przed wszystkim jednak scharakteryzowano go jako posłuszne dziecko.

W jaki sposób mordercy udało się wyciągnąć grzeczne dzieci z domów w środku nocy i na dodatek sprawić, żeby poszły z nim dobrowolnie?

Azim nie mógł się doczekać, żeby się dowiedzieć czegoś więcej o fundacji. Obiecał jednak detektywowi Mathesonowi, że nie będzie nic robił na własną rękę, tylko zaczeka.

Azim przeczuwał, że kluczem do rozwiązania zagadki jest metoda, jaką posługiwał się morderca, żeby zwabić dzieci do siebie.

W jaki sposób można oczarować chłopca lub dziewczynkę? W jaki sposób można skłonić ich, aby w środku nocy wyszli z domu bez hałasu, nie mówiąc nic nikomu?

Biały z Zachodu był w stanie wzbudzić taką ciekawość za pomocą pieniędzy lub oryginalnych

przedmiotów przywiezionych z kraju. Zgodnie z tym przypuszczeniem, musiałby to być mówiący po arabsku Anglik, który potrafiłby wprawdzie wzbudzić zaufanie dzieci, istniało jednak ryzyko, że zostanie prędzej zauważony w takiej dzielnicy niż Arab. Chyba że chodziłby w džellabie. Albo że znałby okolicę wystarczająco dobrze, by omijać ruchliwe ulice. Właściwie wszystko było możliwe.

Azim nie przestawał zadawać sobie podobnych pytań.

Wpadł mu do głowy pewien pomysł, był jednak nie do przyjęcia.

Czary.

Złe czary, jakich używają ghule, wabiąc swoje ofiary za pomocą demonicznych sztuczek, kłamstw i podstępów.

Rzecz jasna, to się nie trzymało kupy.

Nie bardziej niż krążące po wschodnich dzielnicach pogłoski. O tym, że zabójca jest ghulem.

Jednakże... to mogło wiele wyjaśnić. Wyjątkowa brutalność – żaden człowiek nie byłby zdolny do takiej brutalności w stosunku do dziecka, chyba że szaleniec, który zamienił się w zwierzę. Ślady ogromnych pazurów – jak na razie nie sposób było logicznie wytłumaczyć ich występowania. Nikt, z wyjątkiem tamtego starego zblazowanego doktora, nie był w stanie uwierzyć, że to paznokcie zostawiły takie nacięcia, zwłaszcza że lekarz sądowy nie doszedł do tego wniosku na podstawie posiadanej wiedzy medycznej, tylko z braku innych pomysłów. Czary – które wyjaśniałyby, dlaczego dzieci przyszły z własnej woli do zabójcy. Przede wszystkim zaś zeznania świadków – w gruncie rzeczy hipoteza wzięła się właśnie stąd: z zeznań świadków, którzy widzieli bestię.

Zeznania świadków.

–Skoro na tym opiera się przeświadczenie, że ten potwór istnieje, właśnie tu trzeba szukać, żeby mieć czyste sumienie! – powiedział głośno Azim, idąc jedną z ulic Darb el-Ahmar, starej dzielnicy miasta.

Przystanąwszy przed fontanną, ugasił pragnienie i ochlapał sobie twarz i szyję, po czym ruszył do Al-Abbasijja, aby porozmawiać jeszcze raz z rodziną, którą odwiedził wraz z detektywem Mathesonem poprzedniego dnia.

Po drodze ze zdziwieniem uświadomił sobie, że jego angielski kolega nie polemizował z hipotezą na temat ghula. Był tak zamknięty na wszystko, co irracjonalne, że nawet nie starał się go wysłuchać.

Azim powiedział mu, że ghule to demony rodzaju żeńskiego. Tymczasem na każdej z ofiar znaleziono ślady spermy. Anglik nie okazał się zbyt uważny.

Kwestia ta dręczyła Azima już od jakiegoś czasu. Rzecz jasna, opowieści o ghulu to tylko legenda, która ma budzić strach... Ale kto, a może co ukrywało się w takim przebraniu, krążąc nocą po ulicach? Azim bowiem nie wątpił, że jest coś takiego. Chociaż znał skłonność swoich rodaków do upiększania faktów, wiedział też, że nigdy nie ma dymu bez ognia. Za opowieściami o ghulu kryła się prawda.

Kiedy Azim odnalazł dom w żałobie, dzieci w nim nie było. Został jedynie ojca rodziny i jego żonę. Przesłuchiwał ją kilka minut, wypytując o nazwiska wszystkich kobiet, które mogłyby udzielić jakichkolwiek informacji, oraz o ich adresy. Następnie ruszył na poszukiwania.

Odnalazł dwie z trzech. Pierwsza z nich wymieniła swojego wuja jako świadka, który widział potwora na własne oczy, Azim zaprzagnął więc się z nim spotkać. Mężczyzna mieszkał w dzielnicy Gamalijja.

Druga z kolei wspomniała o jeszcze innej kobiecie, której mąż utrzymywał, jakoby siedł za ghulem. Serce podskoczyło Azimowi do gardła, gdy usłyszał, że para ta mieszka obok cmentarza Bab el-Nasr, również w Gamalijji. I że nie są to te same osoby. Dowiedziawszy się, jak tam trafić, Azim podziękował.

Godzinę później znalazł się w towarzystwie starca o siwych węsach i skórze spalonej od przebywania dziesiątki lat w piekielnym słońcu, noszącego niebieską dzellabę typową dla Tuaregów, czyli „niebieskich ludzi pustyni”. Azim wyjawiał powód swojej wizyty, dodając, że siostrzenica przysłała go w sprawie „bestii”, którą tamten podobno widział.

Szli blisko siebie tak wąską ulicą, że wznoszące się po bokach stare domy czyniły ją podobną do głębokiej przepaści.

–Niech mi pan opowie, w jakich okolicznościach to się wydarzyło – poprosił detektyw.

–Było późno. Spędziłem wieczór u przyjaciela, który prowadzi jeszcze *ghoraz**. Palarnia haszyszu. Wie pan, teraz przez tych Anglików nie jest już tak jak dawniej. Mówią, że jesteśmy niezależni, ale chcą pozamykać wszystkie palarnie. Kim oni są, żeby nam narzucać coś takiego, co?

–Oczywiście. Ale wróćmy do tamtego wieczoru. Powiedział pan, że był w *ghomzie*. Dużo pan wypalił?

–Nie więcej niż zwykle.

–I właśnie wracał pan do domu, kiedy to się stało?

–Tak; to było trochę niżej, zaraz tam dojdziemy. Szedłem powoli, umysł miałem lekki od dymu. I nagle poczułem, że coś jest nie tak. Najpierw to było drżenie karku. Wydawało mi się, że włosy same stanęły mi dęba! Niewiele myśląc, przykleiłem się do ściany. Trzeba przyznać, że było dość ciemno – tutaj nie ma gazowych lamp jak w pięknych dzielnicach!

Starzec zaczął mówić coraz głośniej, niemal krzyczał.

–Rozumiem – uspokoił go Azim, podkładając mu pod łokieć dłoń, jakby chciał go prowadzić.

–Naprawdę przykleiłem się do ściany, wie pan? Własne ciało podpowiedziało mi, co robić; uratowało mi życie! A wie pan, dlaczego? Bo haszysz otworzył mi umysł, pozwalając lepiej zrozumieć świat. Mój umysł stał się otwarty na sprawy nie z tego świata! On wyczuł, co się zbliża, i ostrzegł moje ciało, ono zaś przekazało mi to ostrzeżenie, abym ja, zwyczajny człowiek, zrozumiał, że nadciąga coś nieludzkiego.

„Należy potraktować to zeznanie z najwyższą ostrożnością”, pomyślał Azim, niemal zawiedziony. Tamtego wieczoru starzec znajdował się prawdopodobnie pod zbyt silnym wpływem narkotyku, by móc zachować trzeźwość umysłu. Trzeba oddzielić to, co mogło być podkoloryzowaną prawdą, od tego, co było jedynie owocem majaków.

–Wtedy wyłonił się z ciemności ghul okutany czarną szatą w ogromnym kapturze na głowie, zasłaniającym mu twarz. Posuwał się powoli, był bardzo wysoki, prawie na dwa metry, i wszedł w ślepy zaułek w dole.

Tymczasem dotarli do rozwidlenia, które było tak wąskie jak odchodzące od niego drogi. Starzec wskazał miejsce, w którym znajdował się tamtego wieczoru, po czym wycelował palec w zaułek, do którego wskoczyła bestia.

–Chociaż własne ciało mnie powstrzymywało, nie przekonałbym się, kim naprawdę jest, gdyby nie podniósł głowy, odchodząc. Chciał spojrzeć w górę, a wtedy zobaczyłem w

świecie księżyca jego demoniczne rysy. On nie ma twarzy, tylko samo ciało i zęby! Od tej pory co noc śnią mi się koszmary.

Azim przechylił się, żeby dokładnie obejrzeć wnętrze ślepej uliczki. Nie była zbyt głęboka ani wysoka w porównaniu z resztą ulic w dzielnicy. Ciągnął się wzdłuż niej rząd jednopiętrowych domów, z których część znajdowała się w tak oplakany stan, że nie sposób było sobie wyobrazić, aby ktoś mógł w nich mieszkać.

–Długo pan jeszcze tu został po tym zdarzeniu? – zapytał detektyw.

–Co najmniej pięć minut. Byłem jak sparaliżowany, wie pan, naprawdę się bałem. A później pobiegłem wzdłuż domów jak mogłem najszybciej i wróciłem do siebie.

–A zatem mijał pan zaułek?

–Tak. Niewiele dało się zobaczyć, ale wydaje mi się, że był pusty. W każdym razie, kiedy go mijałem, potwór już stamtąd nie wyszedł.

Azim pokiwał głową, omiatając wzrokiem fasady budynków. Naliczył trzynaścioro drzwi.

Można było jednak uciec także przez niezbyt wysoki mur znajdujący się w głębi.

–Zna pan dobrze tę dzielnicę? – zapytał starca, tamten zaś przytaknął. – Może więc pan wie, co jest po drugiej stronie muru, tam, na końcu?

–Podwórze pełne gruzu. Oznaczało to, że można było pójść we wszystkich kierunkach. Azim z trudem ukrył

rozczarowanie.

–Widział go pan potem?

–O nie! I wcale mi na tym nie zależy! Podziękowawszy mężczyźnie, Azim wyruszył na poszukiwanie kolejnego świadka,

którym był handlarz ubrań. Zastał go w sklepie, gdy ten modlił się w najlepsze. Muezin wezwał właśnie wiernych do *asr*, popołudniowej modlitwy. Azim zczekał w progu, aż dobiegnie końca. Jednocześnie wyrecytował bezgłośnie modlitwy z Koranu. Przyjmując tak ważne stanowisko w policji, zgodził się tym samym zawiesić praktyki religijne na czas pracy. Handlarz widział tego samego potwora. Wysoką postać okutaną czarną szatą z kapturem.

–Jak wysoką?

–Nie wiem; o głowę wyższą niż ja. Mężczyzna miał blisko metr siedemdziesiąt wzrostu. Mimo wszystko nie była to więc

ta przesadna wielkość odmalowana przez starego palacza haszyszu, który widział dwumetrowego ghula. Metr osiemdziesiąt pięć, metr dziewięćdziesiąt, jak przypuszczał Azim.

–Byłem akurat na tarasie – ciągnął świadek – i widziałem, jak przechodzi dołem, po dachu sąsiada. Zaciekawili go suszące się dziecięce ubrania; później przeskoczył na sąsiedni dach, gdzie spędził trochę czasu przed okienkiem, usiłując przedostać się przez nie do środka. Prowadzi ono do sypialni dzieci mojego sąsiada. Zamierzał tam wejść, ponieważ jednak nie zdołał otworzyć okna, poszedł sobie. Jestem pewien, że to właśnie on zabija dzieci. Dlatego włóczy się po nocy.

–Przeskakiwał z dachu na dach?

–Tak, i to z dużą zręcznością. Porusza się bezszelestnie.

–Widział pan jego twarz? Między mężczyznami zapadło milczenie.

–Tak. – Handlarz nabrał powietrza i przemówił dopiero po dłuższej chwili. – Często oglądał się za siebie. A kiedy mnie mijał, podszedł bliżej i zanim przeskoczył do sąsiada, odwrócił głowę.

Mężczyzna usiadł na taborecie ze wzrokiem utkwionym w dal.

–Allanowi niech będą dzięki, że nie widziałem jego oczu, bo chyba by mi odebrało rozum. Nie miał...Przejechał dłonią po policzkach, nosie, następnie po podbródku i wargach.

–Nie miał w sobie nic z człowieka. Ani skóry, ani żadnych wypukłości, tylko ścięgna, krew i zęby. Zęby, które lśniły aż po końce szczęk, prawie po uszy. Nigdy nie zdołam go zapomnieć.

Opowieść tak urzekła Azima, że zapomniał, gdzie jest i co robi wśród tych wszystkich tkanin wiszących u sufitu.

–A jego ręce... Jego ręce też widziałem i mimo że była noc, poznałem, że nie są to ludzkie dłonie. Miał zbyt długie palce i... I olbrzymie pazury, groźniejsze nawet niż szpony orła.

Azim zamrugł oczami, całkowicie odzyskując jasność myśli. Po zadaniu handlarzowi jeszcze kilku pytań dowiedział się, że mieszkał on w odległości co najmniej pięciuset metrów od miejsca, w którym ghul został zauważony przez starego palacza haszyszu.

–Ma pan dzieci? – zapytał Azim.

–Czworo.

–Niech więc nie pozwala im pan spać na dachu, nawet jeśli będzie gorąco. Mężczyzna podszedł do Azima.

–Oszalał pan? Ja widziałem tego potwora. Nigdy nie zrobiłbym czegoś podobnego! Poza tym moje dzieci już nie wychodzą same.

–Mądry pomysł. Chociaż moim zdaniem istnieją niewielkie szanse, żeby to... coś znów pojawiło się w tej okolicy...

–Nic panu nie powiedzieli? – zdziwił się handlarz. – On tutaj nie przyszedł tylko ten jeden raz. Widziałem go wielokrotnie.

Szaleństwo.

Marion wstała, żeby rozprostować ścierpnięte mięśnie.

Cała ta historia z krążącym po nocy potworem, z jakimś ghulem, to czyste szaleństwo.

Przyjrzała się uważnie czarnemu grzbietowi dziennika.

Co to był za tekst? Na co ona się natknęła? Po raz pierwszy od chwili, gdy zaczęła czytać, ogarnęło ją zakłopotanie. Na wieść o morderstwach dzieci poczuła się nieswojo, stanowiły one jednak część opowieści, część śledztwa. Ale cała ta historia z potworem świadczyła o pewnej naiwności, co do której Marion nie była pewna, czy powinna ją przypisać człowiekowi, czy też epoce.

Autor, Jeremy Matheson, opisywał w pierwszej osobie to, co przeżywał lub odczuwał, jednocześnie nie skąpiąc długich dygresji o poczynaniach swojego kolegi Azima i dając do zrozumienia, że wspólnie o tym rozmawiali. Co ciekawe, jego opisy odznaczały się niekiedy ogromną dokładnością, miejscami przypominając niemal powieść. Zdarzyło się nawet, że przypisał Azimowi konkretne uczucia, które miały tak osobisty charakter, że istniało niewielkie prawdopodobieństwo, aby rzeczywiście o nich rozmawiali. Nie; Jeremy tylko się tego domyślał, tylko o tym wnioskował albo tylko to sobie wyobrażał.

Tak czy inaczej, trudno było przełknąć teorię na temat ghula.

Marion stłumiła ziewnięcie.

Był środek popołudnia, ona zaś zrobiła jedynie krótką przerwę na obiad, ale po długich godzinach spędzonych na czytaniu czuła się jak pijana.

Pogoda była ponura – niebo odsłaniało całą gamę szarości, a na popielatym horyzoncie oblekało się w złamaną biel.

Włożywszy ciepły sweter, Marion wybrała się na spacer. Ponieważ od dwóch dni było coraz zimniej, postanowiła otulić się płaszczem. Noszenie w kieszeni dziennika działało na nią niemal uspokajająco.

Chociaż historia ghula przerastała wyobrażenia Marion, musiała przyznać, że opowieść trzymała ją w napięciu i że bardzo podniecała ją ciekawość, jakie jeszcze wydarzenia zostały spisane na tych pożółkłych kartkach. Od chwili, gdy znalazła swój cenny

skarb, niemal w ogóle się z nim nie rozstawała. Dziennik rzucił na nią jakiś perwersyjny urok. Wywołał chęć podglądania, której nie potrafiła powstrzymać.

Minąwszy niewielki cmentarz, obeszła drzwi kościoła parafialnego pod wezwaniem Świętego Piotra i znalazła się na Grandę Rue. Następnie przez zaułek między dwiema starymi budowlami dotarła do murów obronnych. Wędrowała od wieży do wieży, czując silne podmuchy wiatru. Widoczne w dole morze, wyciągając ramiona na piasek, pozostawiało po sobie kałuże o barwie piołunu. W niektórych z nich odbijał się zniekształcony obraz nieba.

W oddali sterczała samotna Tombelaine, otoczona chmarą bernikli. Ta zagubiona skała napawała Marion smutkiem, jawiąc się jej jako kawałek Francji na wygnaniu, na zawsze przeklęty wśród mgieł i wysokich fal zatoki.

„Przeklęty albo uprzywilejowany”, sprostowała.

Na widok nagiej sylwetki skały ogarnęła ją jeszcze większa melancholia.

Po przekątnej między Mont-Saint-Michel a Tombelaine przesuwiała się ciemna plama. Wyteżywszy wzrok, Marion znalazła potwierdzenie swoich wcześniejszych przypuszczeń - zbliżał się do niej powoli jakiś mężczyzna.

Kiedy zatoczył szerokie koło, w pierwszej chwili pomyślała, że zupełnie niepotrzebnie, zaraz sobie jednak przypomniała opowieści krążące o zatoce. Ruchome piaski zdążyły zebrać spore żniwo śmierci. Gryzły w kostki i wsysały się w łydki, przeżuając swój pokarm powoli, dopóki fala przyływu nie zatopiła wszystkiego, co zostało na powierzchni.

Spacerowicz, który najwyraźniej znał drogę, zbliżał się do murów.

Kiedy dystans między nimi zmalał, Marion przyjrzała mu się dokładnie. Był to niemłody, wysoki i smukły mężczyzna, wcale nie brunet, wbrew temu, co najpierw pomyślała – siwe włosy przykrywała mu marynarska czapka. Prezentował się elegancko, idąc z rękami w kieszeniach granatowej marynarskiej bluzy.

Delikatnie pomachał jej dłonią na powitanie.

Z początku ją to zdziwiło, po chwili uprzytomniła sobie jednak, że jest jedyną osobą na całej długości murów, że obserwuje go już od pewnego czasu i że on z pewnością to zauważył.

Odpowiedziała mu tym samym gestem.

Ku własnemu zdumieniu ruszyła wzdłuż murów, posuwając się równolegle do trasy marszu spacerowicza i schodząc w stronę bramy do miasteczka.

Spotkali się pod łukiem Porte du Roy.

Nieznajomy zdjął czapkę, odsłaniając białe jak śnieg włosy, po czym skłonił się lekko z dłońmi za plecami.

–Madame. Był znacznie starszy niż sądziła. Co najmniej osiemdziesięcioletek, oceniła. Twarz

prysłał mu tygodniowy zarost, równie lśniący jak włosy, na policzkach zaś widniały dwie głębokie pionowe bruzdy. Mimo że jego oczy były ledwie widoczne spod półprzymkniętych powiek, biła z nich zaskakująca energia: dosłownie przewiercały ją na wylot. Mężczyzna trzymał się idealnie prosto, i to bez żadnego wysiłku, ponadto odznaczał się pewną charyzmą. W młodości musiał być oszalamiająco przystojny, gdyż nawet teraz Marion uznała go za bardzo pociągającego.

–Zdaje się, że nie miałem zaszczytu poznać pani; mimo to chyba wiem, kim pani jest. To małe miasteczko, wieści szybko się rozchodzą; szybciej nawet niż w tym całym internecie, o którym wszyscy mówią. Spędza pani urlop we wspólnocie, prawda?

–Zgadza się.

–Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Joe.

–Joe? – powtórzyła.

–Tak, to moje imię. Witam w naszych progach, pani...

–O, przepraszam: Marion. Podała mu rękę, którą uściskał serdecznie. Miał pergaminową skórę. „Być może z

powodu zimna”, pomyślała.

–Miło mi panią poznać. Zimą nie mamy tu zbyt wielu gości, a tym bardziej zatrzymujących się na dłużej.

Mówił z lekkim akcentem, którego pochodzenia Marion nie potrafiła określić. „Alzacja”, stwierdziła bez przekonania.

Zdecydowanie Mont-Saint-Michel to prawdziwa wieża Babel – większość mieszkańców, z którymi się stykała, nie pochodziła stąd, ale przybyła ze wszystkich możliwych zakątków kraju.

–Widziałem panią przed chwilą na murach. Są wspaniałe. Ale jeśli wolno mi coś doradzić, proszę na nie wejść o zachodzie słońca, a nie będzie pani mogła oderwać oczu od pięknego widoku. Z daleka trawy przybierają odcienie pomarańczy i fioletu; to niesamowite.

Marion zawinęła za ucho kosmyk włosów.

–Zapamiętam sobie, dziękuję. Doszedł pan aż do Tombelaine?

–W rzeczy samej.

–To musi być piękne miejsce.

–Rzeczywiście jest piękne. Jeśli pani sobie życzy, zabiorę tam panią przy okazji. W tę i z powrotem to zaledwie sześć kilometrów. Proszę jednak nie próbować szczęścia na własną rękę, bo ruchome piaski zatoki są zdradliwe. Trzeba znać drogę, żeby tam pójść.

–Też tak słyszałam. Będę zachwycona, mogąc panu towarzyszyć następnym razem. Pan... Pan tu mieszka, jeśli dobrze zrozumiałam...?

–Tak, trochę wyżej. Może wpadnie pani na herbatę, jeśli nie jest pani zbyt zajęta? Skinąwszy potakująco głową, Marion ruszyła za starcem, który jął się wspinać w górę po Grandę Rue.

–Czy gościna wspólnoty przypadła pani do gustu? – zapytał.

–Tak, wszyscy są mili – odrzekła Marion. – I mam tyle spokoju, ile dusza zapragnie.

–Spokój! Dokonała pani słusznego wyboru, decydując się na Mont-Saint-Michel, jeśli szuka pani właśnie spokoju. Medytacja w opactwie to coś wyjątkowego! Żadne inne miejsce nie nadaje się do tego lepiej.

–Z pańskich słów wnioskuję, że jest pan tu od dawna.

–O tak. Ale to nic w porównaniu z tą... skałą – powiedział, podnosząc głowę w kierunku sterczącego ku niebu masywnego wierzchołka.

Idąc w górę ulicą, Marion ze zdziwieniem stwierdziła, że Joe jest znacznie wyższy od niej; musiał mieć prawie metr dziewięćdziesiąt.

–Gdzie pani mieszka? – zapytał. – Jak przypuszczam, naprzeciwko cmentarza?

–Tak. Wiadomości tak szybko się tutaj rozchodzą?

–Szybciej niż pani myśli – roześmiał się. – Wspólnota ma zwyczaj umieszczać swoich gości w mieszkaniach na poddaszu, niżej, w miasteczku, jeśli jest ich wielu, i w tamtym domu, jeśli jest tylko jeden.

Pochyliwszy się ku niej, uśmiechnął się porozumiewawczo i dodał:

–Już pani mówiłem, jestem tu od dawna... W Mont-Saint-Michel wszyscy znają zwyczaje wszystkich.

–Widzę... Różnie, ile osób mieszka tutaj teraz?

–No cóż... Jest Beatrice, sklepikarka, z synem. Urzędnik pocztowy tylko dojeżdża do pracy, podobnie jak personel hotelu i restauracji Mère Poulard w tym sezonie... A, mieszka z nami nocny stróż, Ludwig... Członkowie wspólnoty i ja. To będzie razem... trzynaścioro! Mój Boże,

nigdy nie zwróciłem na to uwagi. Teraz witamy panią podwójnie serdecznie! Czternasta mieszkanka Mont-Saint-Michel, żeby odegnąć zły los!

–O, proszę nie obarczać mnie tak poważną funkcją, bo mogliby mi nie pozwolić stąd odjechać... – zażartowała Marion.

–Jesteśmy na miejscu. Weszli do średniowiecznego domu o wysokich sklepieniach, szerokich oknach i z

podłogą, która skrzypiała przy każdym kroku. Pomieszczenie wypełniał zapach wilgoci przemieszany z wonią wosku. Joe zaprowadził Marion do ogromnego salonu, gdzie kominek zajmował więcej miejsca niż szafa normandzka.

–Proszę się rozgościć, zaraz przyjdę. Wrócił po kilku minutach, niosąc tacę, a na niej gorącą herbatę i ciasteczka maślane.

–A więc, jak to się stało, że pani tu skończyła, jeśli mogę się tak wyrazić? – zainteresował się Joe.

–Przez przypadek. Mężczyzna kiwnął głową.

–Tak po prostu? Przez przypadek?

–Prawie. Poczulałam ochotę... potrzebę, żeby odpocząć. Odzyskać siły. Zasięgnęłam informacji na temat wszystkich możliwości i rozmaitych miejsc, w których dałoby się spędzić urlop. Ponieważ śluby milczenia, nawet tymczasowe, to nie moja specjalność, zrezygnowałam z klasztoru w Sabaudii, następny na liście zaś był Mont-Saint-Michel. Niewiele myśląc, spróbowałam szczęścia – skłamała z przekonaniem.

Joe wpatrywał się w nią uważnie, zatrzymując wzrok na widniejącej na wardze ranie, która zaczęła się zablizniać. Następnie spojrzał jej głęboko w oczy. Marion również zaczęła go obserwować. Zdawał się gotów wysłuchać jej zwierzeń, wyobrażając sobie, że ma przed sobą maltretowaną żonę uciekającą przed mężem albo ofiarę napaści, która przyjechała tutaj, aby odzyskać spokój wewnętrzny. Bez względu na to, jakie było jego zdanie, Marion zorientowała się, że nie jest naiwny i że domyśla się bardziej dramatycznych powodów jej urlopu.

–Co by pani powiedziała na porządny ogień? – zapytał z niespodziewanym zapalem. Po czym wstał, żeby umieścić w palenisku polano i kilka gałązek.

–Co do mnie, jestem tu od wojny, ot co! Marion podniosła do ust filiżankę z gorącą herbatą i delikatnie podmuchała.

–A więc, jak przypuszczam, zna pan wszystkich mieszkańców i każdy zakamarek? Joe chwycił starą gazetę i podarł na strzępy, po czym zgniótł w kulki i wsunął pod stos

drewna.

–Mam nadzieję! Marion powstrzymała się przed zadaniem mu pytania, które nie dawało jej spokoju.

Upiła łyk herbaty.

Okna salonu wychodziły na małeńki ogród na ugorze, nad którym górowały mury obronne. Światło dnia tworzyło na poszarzałym niebie ogromną kopułę.

Joe potarł zapałką draskę, żeby podpalić papierowe kulki w kominku.

Pozwoliwszy wreszcie ciekawości zwyciężyć nad powściągliwością, Marion zapytała:

–Skoro jest pan tu od lat czterdziestych, to może słyszał pan coś o pewnym Angliku, który podobno mieszkał wtedy w Mont-Saint-Michel...Joe stracił zainteresowanie rosnącym płomieniem.

–Angliku? – powtórzył. – Dlaczego Angliku?

–Bo... Bez powodu; po prostu ktoś mi opowiadał różne rzeczy, chciałam więc sprawdzić, czy mówił prawdę, czy też chciał ze mnie zakpić – zmyśliła.

–Kto to pani opowiedział? Brat Gilles? Marion z trudem umiejscowiła brata Gillesa na tle całej wspólnoty. To był ten

najstarszy, niezbyt sympatyczny, o orlim profilu. „Stary zręda”, przypomniała sobie natychmiast. Był zbyt blisko, jeśli więc nie chciała, aby jej kłamstwo wyszło na jaw, musiała wymyślić coś innego.

–Nie, nie – odparła. – To było w Avranches. Grupa mężczyzn, która chciała sobie pożartować, jak przypuszczam. Powiedzieli mi, że pewien Anglik przyjechał do Mont-Saint-Michel, żeby tu pomieszkać przez jakiś czas...

Joe potrząsnął głową.

–Ach, miasto... Oni nie zasługują na zaufanie. Tak czy inaczej, o ile wiem, nie było tu żadnego Anglika. To miało dla pani jakieś znaczenie?

Ku swojemu zdziwieniu Marion stwierdziła, że kłamstwo przychodzi jej z upajającą łatwością. Słowa nasuwały się same, spontanicznie, bez cienia wahania czy strachu, a wraz z nimi pewność siebie; dłonie wcale nie były wilgotne, nie drżały jej też wargi. Uznała, że w pewnym sensie jest zatwardziałą kłamczucha na usługach kontrwywiadu.

Myśl ta przypadła jej do gustu. Oto bowiem rozpoczęła właśnie na swój sposób nową karierę – karierę szpiega.

–Dlaczego interesuje panią obecność Anglika? – zapytał Joe. – W historii opactwa można znaleźć setki bardziej zabawnych i tajemniczych rzeczy, skąd więc akurat to?

–Po prostu. Słyszałam, że przebywał tu kiedyś pewien Anglik i że przed wyjazdem zostawił swój dziennik. Tak się tutaj nudzę, że ta historia mnie zaintrygowała.

Joe rozłożył ręce w geście bezradności.

–Przykro mi, ale nigdy nie słyszałem podobnej opowieści, chociaż należę do tych starych poczciwców, których wszyscy pytają o zdanie. Jestem oczami i uszami tej samotnej

skały. Jeśli mogę coś doradzić, proszę nie brać sobie zbyt do serca tego, co gadają w mieście. Na temat Mont-Saint-Michel krąży wiele plotek, ale rzadko kiedy są prawdziwe.

Za jego plecami strzelało drewno lizane przez wznoszące się powoli płomienie.

Napiwszy się herbaty, Marion delektowała się herbatnikiem, ogrzewając dłonie przy kominku.

–Przed chwilą zapytał pan, czy to nie brat Gilles opowiedział mi tę historię o Angliku... Dobrze go pan zna?

Joe ugryzł ciastko, po czym otarł usta papierową serwetką.

–Tak; obaj jesteśmy trochę jak ten stary kamień. Tkwimy niemal nieruchomo pośrodku zatoki.

–Wydaje mi się, że on mnie nie lubi – wyznała Marion.

–Proszę się tym nie przejmować. On nikogo nie lubi: ani pani, ani mnie, ani przyjeżdżających tu turystów. W każdym razie nikogo, kto nie jest bezpośrednio związany z Mont-Saint-Michel. Jeśli ktoś się tutaj nie urodził, w jego oczach jest tylko pasożytem na „jego” opactwie, robakiem gotowym stoczyć to stare dziedzictwo.

–Dlaczego więc pana też nie lubi? Przecież jest pan tutaj znacznie dłużej od niego, prawda?

–Od brata Gillesa? Nie, on tu przyjechał rok przede mną, razem z siostrą Luce, na którą na pewno zwróciła pani uwagę.

Marion przypomniała sobie bardzo starą kobietę, z profilu zadziwiająco podobną do brata Gillesa, równie milczącą i szorstką jak on.

–Rzeczywiście...

–I od tamtej pory są spadkobiercami ducha Mont-Saint-Michel, a przynajmniej tak im się wydaje! Joe roześmiał się cicho, ale szczerze.

–Brat Gilles i siostra Luce pochodzą... z tej samej rodziny? – zdumiała się Marion.

–To złożone zagadnienie! Nie wiem. Są tak jednakowo surowi i nieufni, że wydaje mi się to prawdopodobne. W gruncie rzeczy nie jestem pewien, czy wyglądali tak samo już wtedy, czy też upodobniła ich do siebie ta cierpkość. Nie potrafię sobie przypomnieć, jacy byli w młodości. Właśnie na tym polega starość, moja droga, że człowiek zapomina albo mu się wszystko miesza. Albo że nie ma już siły, żeby sięgać w głąb pamięci. Wobec tego powtarza w kółko to, co mu jeszcze zostało.

–Jak na kogoś, kto mówi takie rzeczy, wydaje się pan w doskonałej formie.

–Pozory mylą, Marion, a tutaj jeszcze bardziej niż gdzie indziej. Podsunął jej talerz z herbatnikami, po czym sam się poczęstował.

–Poznała pani już wszystkich? – zapytał.

–Tak; wszystkich, których pan wymienił.

–To porządni ludzie.

–Tak mi się właśnie wydawało. To zabawne, że ja, z natury osoba nieufna, żeby nie powiedzieć mizantropka, ku mojemu zdziwieniu lubię wszystkich mieszkańców tego... tej w pewnym sensie wyspy. Chociaż tak słabo ich znam. Wie pan, często myślałam – przyznaję, to głupie – że tylko ludzie skrywający jakieś tajemnice mogliby chcieć mieszkać na tej kamiennej pustyni z dala od świata.

Joe złączył dłonie i wsparł na nich podbródek, wpatrując się w ogień.

–Wszystkie rodziny świata mają swoje tajemnice – powiedział. – Wszystkie. I strzegą ich lepiej lub gorzej. To nie tajemnice przywołują tutaj ludzi, lecz odpowiedzi. Ci, którzy tu żyją, przybyli do opactwa dlatego, że ich dusze są jak Mont-Saint-Michel: niekiedy skrywane przez mgły, niekiedy odsłonięte przez słońce. Tkwimy w tym zakątku, ponieważ jesteśmy stworzeni przez wspomnienia, które przychodzą i odchodzą niczym fala. Żadne inne miejsce tak by nam nie pasowało.

–Ma pan na myśli samego siebie? – zdobyła się na odwagę Marion.

–Chyba nie. Raczej wszystkich mieszkańców Mont-Saint-Michel. Joe wycelował w nią zakrzywiony palec.

–Widzę, że pani zbladła – roześmiał się. – Proszę się nie obawiać, to przerośnięcie; Mont-Saint-Michel nie jest schronieniem dla melancholików. Ja się zadowalam... rozszyfrowywaniem dusz. Co oznacza, że często się myślę.

Mówiąc to, wybuchnął radosnym śmiechem.

–Mam nadzieję, że pani nie wystraszyłem?

–Nie; to za mało, żeby mnie wystraszyć. A od kiedy tu jestem, przestałam podskakiwać z byle powodu.

–Naprawdę? Tym lepiej. Miasteczko jest pełne różnych dziwnych dźwięków, zwłaszcza w nocy. Jeśli się więc pani przyzwyczai...

–Nie boję się hałasów, ale dowcipnisiów. Joe zmarszczył brwi. Marion przełknęła ślinę. Skoro zaczęła, musiała brnąć dalej.

Poza tym ten starzec wzbudzał zaufanie.

–Nazajutrz po przyjeździe znalazłam u siebie, to znaczy w domu, który zajmuję, kopertę. Ktoś miał ochotę się zabawić. W zagadki. To nie było nic innego jak gra na powitanie... i żeby mnie sprawdzić, jak sądzę.

–Sprawdzić? Skąd ten wniosek?

–Zwykły dowcipniś włożyłby powitanie prosto do koperty, zadowolając się podrzuceniem jej w moim mieszkaniu. W tym wypadku jednak musiałam złamać szyfr i wejść na Mont-Saint-Michel, żeby zrozumieć prawdziwe znaczenie wiadomości.

–To oryginalne – przyznał Joe. – A pani wykazała się wystarczającym uporem, żeby dojść do samego końca. Moje gratulacje.

–Nie mam nic innego do roboty. Jej słowa zabrzmiały niczym świst gilotyny przecinający powietrze. Na chwilę

zapadło milczenie. Wreszcie Marion odstawiła filiżankę i wstała.

–Dziękuję za wszystko.

–Jeśli mogę sparafrazować tego dowcipnisia: witam serdecznie w moich progach. Teraz, skoro pani wie, gdzie mieszkam, proszę mnie odwiedzać.

Pożegnawszy się, Marion wyszła na chłodny wiatr hulający po Grandę Rue. Dotarła do schodków okalających kościół parafialny, minęła cmentarz i znalazła się przed drzwiami swojego mieszkania.

Po drodze myślała o Joem. O jego miłym sposobie bycia, uśmiechniętej i ufnej twarzy, a także o jego wieku. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego budzi w niej tak wielką sympatię. Miał co najmniej osiemdziesiąt lat, nawet jeśli wyglądał na pięćdziesiąt.

Powiesiwszy płaszcz w przedpokoju, zapaliła lampę w salonie.

Wystarczyła zaledwie chwila, żeby ją dostrzegła. Zajmowała honorowe miejsce, jakby chciała pogwałcić jej prywatność.

Gruba koperta leżąca na sofie.

Ten sam papier, na którym napisano pierwszą wiadomość.

Tym razem nie było żadnej zagadki. Ani żadnej gry.

Tylko prośba. Niemal ostrzeżenie.

Ponieważ jest Pani pierwszą osobą, która złożyła nam wizytę po wielu latach, przyszła mi ochota, żeby się z Panią zabawić. Ku mojemu zdziwieniu stwierdziłem, że przywłaszczyła sobie Pani coś, co należy do mnie. Tego w ogóle nie przewidziałem w naszej niewinnej grze, której jedyny cel stanowiło to, żebyśmy zażyli trochę wspólnej rozrywki na tej nazbyt spokojnej skale. Ledwie się jednak zaczęła, od razu dobiegła końca. Zabierając bowiem to, co moje, zirytowała mnie Pani. Wiem, że nie chciała Pani tego, dlatego jestem skłonny puścić to w niepamięć. Pod warunkiem jednak, że odda mi Pani moją własność. Proszę ją położyć dziś wieczorem tam, gdzie znalazła pani list powitalny, pod wieżą Gabriela. Wówczas będziemy

kwita. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi, gdy tylko to nieporozumienie się wyjaśni. Marion nie miała żadnych wątpliwości, że własnością autora listu jest dziennik. Od chwili przyjazdu nie stała się bowiem właścicielką niczego innego.

Podeszła do płaszcza i wyjęła z kieszeni książkę. Jej okładka z chropowatej skóry była zimna w dotyku. *Narrative of Arthur Gordon Pym* – głosił oryginalny tytuł napisany starodawnymi złotymi literami. Przy bliższym poznaniu był jeszcze bardziej osobliwy niż powieść Edgara Allana Poe.

I, jak stwierdziła Marion, dziwactwa zawarte w treści dziennika przenosiły się na świat rzeczywisty. Zupełnie jak z książką, którą znalazł bohater powieści Endea *Niekończąca się opowieść*. Któż z nas nie marzył, żeby mieć książkę, która naprawdę wprowadziłaby go do innego świata?

Marion otworzyła okładkę i przerzuciła zniszczone kartki.

Magia tego tekstu działała od 1928 roku, a napisane atramentem znaki potrafiły wpłynąć na zimę, która zaczynała się siedemdziesiąt lat później.

Kto wiedział, że znalazła dziennik?

Beatrice.

Marion nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Beatrice przebrała się za tajemniczego spiskowca. Przyjaźniły się jednak od niedawna, dlatego nie mogła powiedzieć, że dobrze ją zna.

„To kwestia wyczucia... Nie sądzę, żeby była zdolna zrobić coś podobnego...”

Kto jeszcze mógł wiedzieć o dzienniku?

Brat Damien.

Odwiedził ją tamtego dnia, kiedy znalazła książkę. Dziennik leżał na stoliku przy drzwiach, on zaś rzucił na niego okiem. Mimo że nic nie mówił, być może go rozpoznał. W takim razie mogła się dowiedzieć cała wspólnota.

Pozostawał jeszcze Ludwig, stróż nocny.

Kiedy spotkała go, wracając od Beatrice, niosła książkę pod pachą, mógł ją więc zauważyć.

W gruncie rzeczy każdy mógł być autorem tych listów.

Marion poszła do kuchni i nalała sobie szklankę wody.

Gdyby musiała kogoś wyeliminować, mogła skreślić Joego z listy podejrzanych. Tego popołudnia był w Tombelaine, a później pili herbatę w jego domu. List zaś podłożono wtedy, gdy przebywali razem. Mont-Saint-Michel było dostatecznie małe, żeby dało się zauważyć

wszystko, co Marion robi – jeśli ktoś widział, że wychodziła, mógł się z łatwością zakraść do jej mieszkania.

To pewnie było rozwiązanie problemu.

Autor listów miał klucz. Z tego zaś, co mówiła siostra Annę, wspólnota dysponowała duplikatami wszystkich kluczy.

Skoro musiała zawęzić krąg podejrzanych, Marion postanowiła skupić się tylko na męskiej części wspólnoty. Ostatni list nie był napisany w rodzaju żeńskim – autor użył form „stwierdziłem” i „jestem skłonny”, zamiast „stwierdziłam” i „jestem skłonna”. Oczywiście mogła to być próba zmylenia. Na razie jednak Marion nadal rozumowała tak jak poprzednio.

Zostało jeszcze pięć osób.

Damien, „brat Udławek”, wiecznie egzaltowany i najwyraźniej wysportowany.

Brat Gaël, najmłodszy w grupie. Bojaźliwy.

Christophe, „brat Anemik”. Bezustannie powolny i zdyszany.

Nieprzyjemny i stary brat Gilles, a wreszcie wielki Manitou jednych i drugich – brat Serge, z tym jego niemal strasznym wyglądem.

Tak czy inaczej, podejrzewała przedstawicieli Kościoła.

Czy byli oni jednak wolni od wszystkich niedoskonałości i przywar?

Marion energicznie potrząsnęła głową. Autor listów ukrywał się wśród tej piątki.

I co teraz? Co powinna zrobić?

–Jeśli chcesz odzyskać książkę, nie wystarczy podłożenie listu za moimi plecami, bratku... – rzuciła na głos.

Drażniło ją to tchórzostwo skrywane pod płaszczkiem tajemniczości.

Nie tylko nie zostawi dziennika pod kamieniem, ale nie będzie się z nim rozstawać ani na chwilę.

Wieczorem zaś, podczas gdy ten tchórz będzie czekał na zimnie, aż Marion odniesie książkę, ona rozsiądzie się wygodnie i podejmie przerwana lekturę.

A jeśli on zechce odzyskać dziennik, będzie musiał poprosić ją o to z odsłoniętą twarzą.

Wówczas Marion się zastanowi, jak należy postąpić.

Miała już dość zabawy w chowanego i kłamców.

Na początku list z zagadką, wtargnięcie do jej mieszkania i przeszukanie jej rzeczy - wszystko to wydawało się prawie zabawne. Teraz jednak ktoś posunął się trochę za daleko.

Była obca w Mont-Saint-Michel, zgoda, ale muszą się pogodzić z jej obecnością.

Nikt nie miał wyboru, a już najmniej ona.

Jeremy Matheson i Azim zjedli razem kolację we włoskiej restauracji przy bulwarze Sulejmana Paszy.

Azim pałaszował z apetytem, rozpierała go bowiem duma z wyraźnych postępów poczynionych w śledztwie.

–To przestało być wreszcie legendą; teraz wiadomo już, że to prawda! – oświadczył z pełnymi ustami.

–Azimie, chyba nie zamierzamy uwierzyć w majaczenie dwóch... nawiedzonych, żeby prowadzić dochodzenie! Przecież sam pan mówił, że jeden z nich był pod wpływem narkotyków, kiedy rzekomo zobaczył tego... ghula!

–Przyznaję, że trzeba potraktować jego zeznania z ostrożnością, ale tamtego wieczoru on coś widział. Dostrzegłem w jego oczach strach; poza tym opisy podane przez nich obu są zgodne.

–To powszechne ludowe wyobrażenia. Mieszkańcy Kairu mają te same punkty odniesienia; wierzą w te same mity. Kiedy jeden z nich bierze kalekę, który ucieka po rabunku, za potwora, inni robią to samo.

–Niech pan posłucha! Być może uda nam się złapać tego kogoś... to coś... czy cokolwiek to jest, jeśli postawimy w dzielnicy naszych ludzi. Sklepikarz powiedział, że widział go trzykrotnie w ciągu trzech tygodni: za każdym razem, gdy wychodził w nocy na dach, aby zapalić. On cierpi na bezsenność.

Jeremy dopił swoje wino jednym haustem i potrząsnął głową.

–Nie wyślę w teren trzydziestu ludzi na całą noc przez tydzień lub dwa tygodnie tylko dlatego, że jakiś cierpiący na bezsenność melancholik widzi rzekomo pod oknem potwora ze swojego dzieciństwa. Mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

–Na przykład co?

–Jutro rano mamy spotkanie z dyrektorem fundacji Keoraza. Azim milczał, przelękając rozczarowanie.

–Skąd pan zna tę fundację? – zapytał wreszcie. Jeremy uśmiechnął się dobrodusznie, wycierając talerz kawałkiem chleba. Azim odnosił wrażenie, że jego angielski kolega czeka na to pytanie od początku kolacji. Przełknąwszy bez pośpiechu, Jeremy odsunął talerz i odrzekł łagodnie:

–Z powodu kobiety, przyjacielu.

Azim miał właśnie podnieść do ust kieliszek z wodą, zastygł jednak w bezruchu z dłonią na kryształowej stopce.

–Zakochałem się kiedyś w kobiecie, która jest teraz żoną założyciela tej fundacji.

–Pana Keoraza? Jeremy, mówiąc, cały czas bawił się serwetką. Na dźwięk nazwiska Keoraza zacisnął na niej palce z taką siłą, że aż pobiełały mu knykcie.

–We własnej osobie. To on finansuje działalność fundacji, ale ma swojego dyrektora, pana Humphreysa.

–I nadal utrzymuje pan kontakty z tą kobietą?

–Jeśli w ogóle można to nazwać kontaktami. Ale znam tę fundację, ponieważ Jezabel pracowała w niej jako ochotniczka, i przyznaję, że ze względu na nią sam także działałem na rzecz tej instytucji.

–Pan? Powszechnie znany wizerunek detektywa Mathesona – samotnika i milczka – klócił się z obrazem zakochanego Jeremy’ego, który pracuje społecznie na rzecz pokrzywdzonych kairskich dzieci.

–Tak... To trwało kilka miesięcy, aż do przełomu jesieni i zimy 1926 roku. Później się rozstaliśmy.

Wypowiedział te słowa niższym głosem niż zwykle, z mniejszą pewnością siebie, po czym pochylił się do przodu, opierając łokieć na stole.

–Jak dawno rozstał się pan z tą kobietą? – zapytał Azim.

–W styczniu ubiegłego roku, a więc ponad rok temu. Podczas kolacji sylwestrowej zorganizowanej przez dobroczyńcę fundacji dla wszystkich ochotników, na której poznała swojego przyszłego męża.

–Pan też tam był? Jeremy przytaknął, mrugając powiekami. Azim w odpowiedzi zacisnął usta tak, że

przestały być widoczne.

–Tak czy inaczej, to zbieg okoliczności, który nam się przyda – oświadczył.

–Prawdę mówiąc, angielska społeczność Kairu wcale nie jest taka duża. To oczywiste, że prędzej czy później człowiek będzie musiał prowadzić dochodzenie wśród swoich. Ja nie nazywam tego zbiegiem okoliczności, ale „przewidywalną koniecznością”. Aha, gratuluję identyfikacji chłopca. Właśnie się dowiedziałem, kiedy zajrzałem na komendę.

–Odwiedziłem rodzinę, żeby powiadomić ich o zgonie. Wracając jednak do fundacji, stanowi ona ogniwo łączące wszystkie ofiary, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Jeremy dotknął dłonią twarzy. Miał ściągnięte rysy Kiedy mijał ich kelner, zatrzymał go i ponownie zamówił wino.

–Czy mogę pana prosić o przysługę, Azimie? Byłbym panu wdzięczny, gdybyśmy nie mówili o tym więcej aż do jutra rana.

Azim potraktował jego prośbę jak smagnięcie batem. Przecież to była ich praca; na dodatek Jeremy sam się domagał, żeby poprowadzić śledztwo.

Przysięgłby, że przyczyną tej nagłej niedyspozycji było pojawienie się Jezabel.

–Jak pan sobie życzy – odrzekł.

Jeremy nalał sobie spory kieliszek wina i wypił duszkiem połowę. Przez chwilę Azim był przekonany, że Anglik jeszcze coś przed nim ukrywa. Równie

szybko jednak jak się pojawiła, pewność ta zmieniła się w wątpliwość, aż wreszcie zupełnie się rozwiąła.

*

Siedziba fundacji Keoraza mieściła się przy długiej i szerokiej ulicy Abbas, w sąsiedztwie kościoła katolickiego i budynku kompanii telegrafów i telefonów.

Od samego rana panował duży ruch; liczne samochody lawirowały między tramwajami, napełniając w miarę jeszcze chłodne powietrze rykiem swoich imponujących silników.

Po raz kolejny Jeremy'ego uderzył kontrast.

Kontrast między zachodnią – bogatą i z europeizowaną – częścią miasta a jego wschodnią odnogą, w której panował znacznie większy chaos. Jedną tworzył przestronny labirynt krzyżujących się ulic z zabudową o kontynentalnej architekturze i chodnikami obsadzonymi ozdobnymi krzewami, pełnych równie wysokich co nowoczesnych budynków i eleganckich sklepów godnych Paryża, Londynu czy Mediolanu. Z kolei druga część miasta wiała się wśród bazarowych straganów, ślepych zaułków i wąskich uliczek, gdzie domy nie zmieniły się od wieków, stanowiąc odbicie rozmaitych kultur muzułmańskich, które następowały po sobie w Kairze. Pierwsza była czysta, bezwonna i charakteryzowała się bogatą różnorodnością, gdy wraz z nadejściem wieczoru stłumiony śmiech młodych Anglików mieszał się z hałaśliwą wesołością Francuzów i Włochów. Druga część była zakurzona i wydzielala zapach skóry, egzotycznych wonności, potu ściśniętej masy ludzkiej, a po zapadnięciu nocy od dachów, które rozciągały się wszędzie jak wzburzone morze, odbijał się pochodzący z tysięcy minaretów śpiew muezinów. Jedna część była ekonomiczna i polityczna, druga mistyczna i historyczna.

Dyrektor fundacji Keoraza przyjął obu detektywów w swoim gabinecie na ostatnim piętrze wielkiego gmachu. Był to czterdziestoletni Anglik o potężnym torsie i gęstej brodzie. Z wyjątkiem charakteru, we wszystkim przypominał profesora Challengeera, którego wyczyny opisywał w swoich powieściach Arthur Conan Doyle.

Nie pytając ich o zdanie i nie zważając na wczesną porę, nalał dwie brandy: jedną dla siebie i jedną dla Jeremyego; Azim zaś dostał szklankę wody.

–A więc proszę mi powiedzieć, co mogę dla panów zrobić – zapytał, siadając za zawalonym papierami biurkiem.

–Jak już wyjaśniłem przez telefon, sprawa dotyczy dzieci z pańskiej fundacji.

–To, co mi pan opowiedział, jest straszne. Twierdzi pan, że tu, w Kairze, grasuje morderca dzieci? Ma pan jakieś ślady?

Jeremy wykonał dłonią gest pokazujący, że nie wyjawi nic więcej.

–Dochodzenie jest w toku – odrzekł wymijająco. – Czy znalazł pan akta tych dzieci, tak jak prosiłem wczoraj?

Dyrektor położył palec wskazujący na cienkim stosie dokumentów.

–Wszystko, co dotyczy tych czworga malców, jest tutaj.

–Jak sędzę, sprawdzał pan te informacje? Czy ma pan jakieś uwagi? Szukamy ewentualnych powiązań między nimi albo jakichkolwiek niecodziennych elementów.

Humphreys zacisnął dłoń, która wydała serię suchych trzasków. Jego palce były zniekształcone przez artrozę.

–Nie, nic. To znaczy... kilka szczegółów, wie pan. Przysunął kawałki brystolu w stronę angielskiego detektywa.

Humphreys chwycił kieliszek i delektował się przez chwilę zapachem brandy, zanim wlał sobie spory łyk do gardła.

Stanąwszy przy oknie, zaczął się wpatrywać w kościelną dzwonnice.

–Wprawdzie nie spotkaliśmy się nigdy w tamtym okresie, pamiętam jednak, że należał pan do naszych ochotników, detektywie.

Jeremy podniósł głowę znad kartonowych fiszek i spojrzał uważnie na dyrektora, który mówił dalej.

–Ja... Nie wiem, jak to panu powiedzieć, ale... No cóż, być może pan sobie tego nie przypomina, ale wszystkie dzieci, których akta właśnie przeglądamy, uczęszczały do pańskich klas, panie Matheson.

Azim zmarszczył brwi. Wpatrywał się w swojego kolegę, który otworzył oczy szerzej niż to było konieczne.

–Słucham? – wyjąkał angielski detektyw.

–Tak – potwierdził Humphreys. – Spodziewałem się, że nie zwrócił pan na to uwagi. Wszystkie przeszły przez pańskie ręce, kiedy zaproponował pan swój udział w naszych seansach czytania. Widzę, że pan nie pamięta. Doskonale to rozumiem; jest ich tak wiele, na dodatek dla większości z nas wszystkie są do siebie podobne.

Jeremy trochę zbyt gwałtownym ruchem otworzył teczki, aby przejrzeć znajdujące się w nich pojedyncze strony zapisane na maszynie. W miarę jak analizował akta poszczególnych dzieci, robił się coraz bardziej nerwowy.

–Czy to istotny szczegół? – zapytał dyrektor. Jeremy wyprostował się, patrząc mu w oczy.

–A jak się panu zdaje? – odparł zimno. W ciągu kilku sekund jego czoło zrosił pot. Azim przysunął się z krzesłem tak blisko,

że oparł łokcie o biurko, po czym poprosił grzecznie:

–Czy mógłby pan sporządzić listę wszystkich dzieci, które uczęszczały do klas detektywa Mathesona?

Przyjrząwszy się młodemu Egipcjaninowi w turbanie, Humphreys obserwował teraz swojego rodaka, czekając na jego potwierdzenie lub zaprzeczenie. Azim zauważył, że dyrektor najwyraźniej nie darzył szacunkiem miejscowych. Było to niepokojące u człowieka zarządzającego fundacją, która pomaga dzieciom ulicy. „Jeszcze jeden polityk, który przyjął stanowisko powodowany nie pragnieniem czy umiłowaniem swojej pracy, lecz chęcią zapewnienia sobie lepszej przyszłości.”

Jeremy skinął palcem na znak, że pochwała pomysł Azima.

–Dobrze; będę mógł panom dostarczyć listę w poniedziałek lub we wtorek. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, myślę, że to może mieć związek. W styczniu nasza fundacja złożyła skargę z powodu kradzieży i... Najciekawsze jest to, że nic nie zginęło. Ktoś włamał się przez tylne drzwi, aby dostać się do lokali i biur. Zapewne złodziej spodziewał się zdobyć sporo gotówki, pamiętam bowiem, że sforsował drzwi do pomieszczenia, w którym znajduje się sejf.

–Czy ukradziono dużo pieniędzy? – zapytał Jeremy.

–Nie; najwyraźniej sejf przewyższał jego możliwości, bo nawet go nie otworzył! Pokonał dwa zamki w drzwiach i nic!

–Czy w tej sali nie ma nic innego? – upewnił się Matheson.

–Znajdują się tam nasze archiwa, w których przechowujemy akta personelu i dzieci.

–I dopiero teraz pan to mówi? – oburzył się angielski detektyw.

Azim zaczął się obawiać o stan swojego partnera.

–To informacja, która może mieć istotne znaczenie – wtrącił, widząc strapioną minę dyrektora. – Co zawierają akta dzieci?

Tym razem Humphreys nie stroił fochów przed Egipcjaninem, ale odpowiedział od razu:

–To samo co notatki, które panowie przeglądają. Wszystko, co trzeba wiedzieć na temat danego dziecka: nazwisko, datę urodzenia, jeśli jest znana, adres miejsca zamieszkania rodziców, diagnozę medyczną i całą dokumentację pedagogiczną. Każdemu dziecku jest przydzielony nauczyciel, który regularnie sporządza raport na temat postępów swojego pupila, wraz z ewentualnymi uwagami dotyczącymi dalszego postępowania.

–Diagnozę medyczną, mówi pan? – powtórzył Azim.

–Oczywiście. Tak na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo. Większość tych dzieci pojawia się u nas na prośbę rodziców, którzy chcą dać im szansę, aby mogły zdobyć oglądę i wiedzę. Wybieramy dzieci po wywiadzie środowiskowym i po rozmowie. Kiedy zaś zostają przyjęte, naszym pierwszym zadaniem jest wysłanie ich na badania lekarskie, czego nigdy przedtem nie robiono.

–Dokąd?

–Do szpitala imienia lorda Kitchenera, który obok szpitala angielsko-amerykańskiego jest najlepszy; z tym, że ten pierwszy jest większy i znamy pracujących tam lekarzy.

–Imienia lorda Kitchenera? – zdziwił się Azim. Po czym zapytał, zwracając się do Jeremy ego: – Jak się nazywa doktor, który dokonał sekcji zwłok ofiar?

–Benjamin Cork.

–A, doktor Cork! – zawołał dyrektor. – Oczywiście, to jeden z lekarzy, którzy badają nasze dzieci.

Azim uniósł brwi, wyciągając przed siebie otwartą dłoń na znak przerażenia.

–Za dużo tych zbiegów okoliczności!

–Nie; wszystko jasne – pokręcił głową Jeremy, który ciągle był w ponurym nastroju. – Szpital Kitchenera specjalizuje się w leczeniu kobiet i dzieci, a doktor Cork jest świetnym pediatrą, dlatego też powierzono mu wykonanie sekcji. Nie ma w tym nic niezwykłego, Azimie. Anglofoński Kair jest równie mały co arabofోński ogromny

–Dobrze... Niech będzie – ustąpił Azim. – A co do tych dzieci, tych czterech ofiar, czy w ich aktach jest coś szczególnego?

–Nie; sprawdziłem, nic więcej nie ma – zapewnił Humphreys. – One... One były uważne; dwoje z nich było trochę hałaśliwych, ale nic poważnego. Wszystkie cechowała

olbrzymia ciekawość; wszystkie zgodziły się na zajęcia dodatkowe. I tyle. Pozwalam panom zabrać te notatki, ale proszę je oddać po zakończeniu śledztwa.

–Czy wasz dobroczyńca ma klucze do budynków? – zapytał Jeremy.

–Francis Keoraz? Nie, nie ma takiej potrzeby, to... To dobra dusza fundacji, a co do reszty, to ja tu jestem za wszystko odpowiedzialny. Od czasu do czasu nas odwiedza, żeby przywitać się z dziećmi; nic więcej.

Jeremy potarł płatek ucha, uśmiechając się nieznacznie.

Dyrektor złapał swój kieliszek i wypił całą brandy, oblizując wargi. Kilka minut później obaj

detektywi znajdowali się już na ulicy.

–Naprawdę pan nie pamiętał, że miał te dzieci w swoich klasach? – usiłował wybadać Azim.

Jeremy siedł zapatrzony w dal.

–Nie – odrzekł wymijająco.

–Dawał pan lekcje czytania, zgadza się?

–Tak. Raczej seanse czytania po angielsku. Niczego ich nie uczyłem; nie mam do tego kwalifikacji. Czytałem im różne opowieści, których większość z nich nawet nie rozumiała -nie znały języka na odpowiednim poziomie, najlepsi potrafili zaledwie wydukać kilka słów po angielsku, ale to był sposób na to, żeby się osłuchały z brzmieniem angielszczyzny Przecież już o tym rozmawialiśmy, Azimie; powiedziałem panu, że zrobiłem to dla tej kobiety. To ona nalegała, żeby fundacja mnie przyjęła. Nie znajdowałem w tym żadnej przyjemności; dzieci mnie nie interesowały, jak więc mógłbym pamiętać ich twarze...

Azim przyglądał wąż z lekkim zakłopotaniem.

–Bo... To zaczyna nabierać bardzo osobistego charakteru – powiedział. – Najpierw pańskie powiązania z fundacją, a teraz związek z tą czwórką biednych dzieciaków. Moim zdaniem byłoby lepiej, gdyby... Jeremy stanął w miejscu.

–Gdyby co? Anglik wpatrywał się wściekłym wzrokiem w oczy Azima. Egipcjanin pojął, że nie warto drażnić dalej. Bez względu na to, jak bardzo osobisty wymiar przybiera śledztwo, i tak nigdy nie zdoła przemówić Jeremy’emu Mathesonowi do rozumu. Z kolei odwołanie się do hierarchii mogłoby przynieść katastrofalne skutki. Matheson miał zbyt mocną pozycję, żeby pozwolić się odsunąć od śledztwa, które chciał prowadzić za wszelką cenę, jedynym zatem osiągnięciem Azima byłoby wykluczenie jego samego z całej tej ponurej sprawy. On zaś pragnął skończyć to, co rozpoczął.

–Nic... Nic.

Azim podniósł ręce na znak kapitulacji. Na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie, co uśmierzyło gniew Jeremy’ego, który dodał spokojniej:

–Przepraszam pana, Azimie. To wszystko zaczyna być bardzo osobiste i właśnie dlatego nie zamierzam uciekać ani czekać, aż inni detektywi opowiedzą mi, co się dzieje. Sam muszę zrozumieć i rozwiązać ten problem.

Azim skrzywił się. „Rozwiązać problem”? Matheson mówił tak, jakby wiedział, co się święci; co łączy go z tymi morderstwami. Azim postanowił na razie powstrzymać się od jakiegokolwiek działania, gdyż okoliczności nie były sprzyjające. Zadowolił się więc podtrzymywaniem

rozmowy:

–Szef kazał mi dziś sporządzić szczegółowy raport, ja zaś nie mogę tego przed nim zataić.

–Wiem. Tak czy inaczej nie odsunie mnie od śledztwa. Mam zbyt wielu przyjaciół, którzy mogliby mu zaszkodzić. Proszę spokojnie robić swoje.

Obaj policjanci ruszyli ulicą, na której panował duży ruch. Po pewnym czasie Azim zmienił taktykę, dzieląc się głośno swoimi wnioskami:

–Jak sądzę, zgodzimy się chyba ze stwierdzeniem, że włamanie do fundacji, które nastąpiło pod koniec stycznia, wiąże się bezpośrednio z naszymi zabójstwami. Jestem skłonny przypuszczać, że morderca wszedł po to, żeby przejrzeć kartotekę dzieci, i z nieznanego nam na razie powodu wybrał malców, którzy uczęszczali na pańskie zajęcia. Równie dobrze mógł określić charakter swoich przyszłych ofiar na podstawie fiszek sporządzonych przez nauczycieli.

–Zgadzam się z panem. Oceniał charakter i osobowość każdego z nich na podstawie bilansów pedagogicznych. Zna ich najważniejsze cechy, niektóre wady, a co za tym idzie -wie, czym ich zwabić.

–Tym bardziej że, zdaniem pana Humphreysa, wszyscy byli bardzo ciekawscy. A propos, jak się panu podobał dyrektor?

–Nie lubię go.

–Miło mi to słyszeć. Podzielam pańską opinię. Przykro mi, że do tego wracam, ale dlaczego tamten lekarz, doktor Cork, nic nie powiedział, kiedy robił sekcję zwłok tego dzieciaka? Chyba go znał, nie? W końcu to przecież jeden z pediatrów, którzy badają dzieci z fundacji, z pewnością go więc rozpoznał, czyż nie?

–Myślę, że go rozpoznał – odpowiedział Jeremy, spoglądając ponurym wzrokiem. – I dał mi to do zrozumienia na swój sposób. Ale przede wszystkim to zawodowiec.

Azim wpatrywał się w detektywa przez kilka sekund, po czym uniósł brwi.

–Jaki mamy plan na dzisiejsze popołudnie? – zapytał wreszcie. Jeremy kroczył do przodu, obserwując mijające ich samochody.

–Niech pan napisze raport. Chcę trochę pobyć sam, żeby się zastanowić. Azim otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zaraz jednak się rozmyślił. Pożegnali się pod coraz bardziej piekącym słońcem. Zatrzymawszy się naprzeciw dworca centralnego, aby zjeść obiad, Jeremy przyjrzał

się szynom, które mijał, kierując się do wagonu.

Przeszedł pod daszkiem, zadowolony, że znalazł odrobinę cienia, i nagle stanął jak wryty ze wszystkimi zmysłami w pogotowiu.

Włosy zjeżyły mu się na karku. Jako myśliwy potrafił rozpoznać znaki, które wysyłały mu na przemian własne ciało i intuicja.

Znajdował się w niebezpieczeństwie.

Które było tuż, tuż.

Marion przeczytała ostatnie linijki otwartej strony dziennika:

Natychmiast znieruchomiałem. Wiedziałem, co znaczą dreszcz na karku i napięcie za uszami. Polując na terenach łowieckich afrykańskich drapieżników, rozwinąłem w sobie tę intuicję typową dla istot, które żyją, wsłuchując się w odgłosy przyrody. Potrafiłem rozpoznać sygnały wysyłane przez własne ciało, kiedy łączyło się z dziką częścią mojego umysłu -zapowiedź groźby. Skupiwszy w najwyższym stopniu zmysły, wyłowiłem ledwie uchwytnie zmiany otoczenia; możliwość grożącego mi za chwilę niebezpieczeństwa.

Opis śledztwa był coraz bardziej intrygujący, a zapowiedź, że coś się zaraz wydarzy, dodawała mu pikanterii. Marion nie mogła się od niego oderwać.

Ten cały Humphreys, dyrektor fundacji, wydawał się jakiś dziwny. Oczywiście musiała wziąć poprawkę na to, że wszystko, co czytała, przechodziło przez filtr subiektywizmu Jeremy ego Mathesona, w końcu jednak jej własne wnioski były bardziej niż tendencyjne, żeby nie powiedzieć: podyktowane opiniami samego detektywa. Tak czy inaczej, wszystkie zamordowane dzieci miały bezpośredni związek z fundacją i nie był to zbieg okoliczności, ale raczej relacja łącząca zabójcę z jego ofiarami. Pozostawało jedynie go odnaleźć.

Nagle Marion spojrzała z niepokojem na zapisane zwartym pismem kartki.

Ile w nich było prawdy?

Jaką część stanowiła inwencja, a jaką rzeczywistość? Czy w 1928 roku w Kairze w ogóle były jakieś morderstwa dzieci?

Marion rozejrzała się po salonie. Wystarczyło podłączyć się do internetu, żeby móc trochę poszperać. Zaklęła pod nosem.

„Ci zakonnicy nie potrafią się zdobyć nawet na odrobinę technologii...”

U Beatrice także nie widziała komputera.

Może w jednym z licznych pomieszczeń mieszkalnych opactwa?

Inaczej będzie musiała spędzić sporo czasu w jakiejś bibliotece dobrze zaopatrzonej w stare czasopisma, a przy odrobinie szczęścia może zdoła wyszperać kilka artykułów na temat tej sprawy. Była wystarczająco ohydna, aby przekroczyć Morze Śródziemne nawet w ówczesnych gazetach... Przynajmniej należało mieć taką nadzieję.

Czasopisma z tamtych czasów.

Klasnęła w dłonie na znak triumfu.

Leżą na poddaszu biblioteki w Avranches; sama widziała całe ich stopy, zachwycając się przestarzałym urokiem okładek pachnących kurzem. Możliwe, że odpowiedzi, których szuka, znajdują się na ich stronach.

Wyprostowała się na sofie.

Nadeszła pora kolacji, było więc już trochę zbyt późno, aby poprosić kogoś z Mont-Saint-Michel o podwiezienie, a tym bardziej pukać do drzwi merostwa Avranches.

Westchnęła ciężko.

Jej ciekawość musi poczekać do następnego dnia. „Na razie mam co robić”, pomyślała, wążąc w dłoni czarną książkę.

Zaczął jej doskwierać głód, dlatego postanowiła przedłużyć napięcie i odłożyć lekturę na później. Zajrzawszy do lodówki w poszukiwaniu natchnienia, postawiła na ogniu rondel z wodą. Omlet z ziemniakami i boczkiem.

Jeśli nie chce przytyć, będzie musiała bardziej uważać na dietę i zapytać brata Damiana, czy nie potrzebuje towarzystwa podczas joggingu. Bieganie po grobli początkowo będzie pobudzające, dopóki Marion nie oswoi się z krajobrazem, później zaś, gdy pozna na pamięć każdy centymetr kwadratowy trasy, stanie się żałosne. Wówczas pozostanie zapierający dech w piersiach widok na Mont-Saint-Michel.

Już postanowione: rozpocznie w poniedziałek. Jeszcze trzy dni odpoczynku i zabierze się do pracy nad jędrnością ciała i zgrabną figurą.

Marion delectowała się omletem w przyćmionym świetle salonu, bez muzyki, za jedyne towarzystwo mając ponure i monotonne wycie hulającego po dachach wiatru.

**–I pomyśleć, że o tej godzinie jakiś pacan czeka na dworze, aż odłożę dziennik u stóp wieży...
– mruknęła w przerwie między dwoma kęsami. – A to kretyn...**

Ciągle zadawała sobie pytanie, co łączy tajemniczego autora listów z dziennikiem, który sobie przywłaszczyła. Czyżby należał do niego? To mało prawdopodobne. Jeremy Matheson w 1928 roku miał trzydziestkę, dzisiaj więc musiałby mieć około setki. Trudne do osiągnięcia.

Ale możliwe.

Tym bardziej że w Mont-Saint-Michel było niewiele starych mężczyzn. Brat Gilles. No i ten cały Joe!

Obaj wydawali się bardzo starzy, ale żeby zaraz dawać im po sto lat...

Na dodatek Jeremy był Anglikiem.

Tyle, że mówiąc po francusku przez ponad siedemdziesiąt lat, mógł stracić akcent...

Nie, posuwa się za daleko. Autor dziennika na pewno gnije w grobie w jakimś zakątku świata. Ktoś z Mont-Saint-Michel jednak wiedział o istnieniu czarnej książki i zamierzał ją odzyskać. Czyżby ktoś, kto ją zgubił?

Albo po prostu umieścił (a może ukrył?) w bibliotece, aby pewnego dnia jego wyznania nie wyszły na jaw... Marion nie wiedziała, co o tym myśleć.

Po zjedzeniu na deser jogurtu zawahała się, czy nie uwieńczyć posiłku szklaneczką alkoholu. Od poniedziałku zacznie się pilnować, mogła więc sobie pozwolić na ten luksus...

Nalała sporą szklaneczkę ginu z sokiem pomarańczowym i wyciągnęła się na sofie z czarną książką pod pachą.

Kimkolwiek jesteś, ty, który czekasz na mnie daremnie na zewnątrz, będę czytać bez ciebie, a może za jakiś czas... Może nawet do ciebie dołączę...

Jeremy stał bez ruchu, czekając na najmniejszy ruch wokół siebie. W oddali przejechał pociąg, zagłuszając wszystkie możliwe odgłosy.

Wiedział, że ktoś tu był, a może nawet nadal jest. Ktoś węszył po wagonie podczas jego nieobecności.

W stale rosnącej i pieczołowicie pielęgnowanej warstwie kurzu, której pozwolił narastać w swoim bałaganie, kilka przedmiotów zmieniło miejsce.

Były to ledwie widoczne, za to w jego oczach istotne szczegóły. Nie miał do czynienia z regularną rewizją; ot, czyjaś ciekawska, zabłąkana dłoń przebiegła po jego rzeczach.

Podszedł do wagonu i chwycił maszt namiotu, który leżał wśród innych przedmiotów rozrzuconych w nieładzie, po czym odsunął z hukiem drzwi.

Przez okna wpadało światło dzienne, częściowo pochłaniane przez obite aksamitem ściany. Przeskoczywszy trzy schodki, rozejrzał się po salonie.

Nikogo.

Nic się nie zmieniło.

Poszedł do łazienki i otworzył drzwi końcem masztu. Pusto.

Następnie obezwładnił go zapach. Wpadłszy przez nozdrza, rozpełzł się po całym ciele, rozniecił wspomnienia i ześliznął się do serca z bolesną pieszczotą piórka, które tnie niczym brzytwa.

Dobrze znał ten zapach. Był tak słodki i zarazem tak chłuszczący.

Odłożywszy zaimprovizowaną broń, Jeremy usiadł na łóżku.

Był to niemal męski zapach o owocowej nucie. Jej zapach.

Kiedy zamierzała się kochać, zawsze nakładała odrobinę perfum w zagłębienie między piersiami.

Wówczas Jeremy uświadomił sobie, że ze stolika nocnego zniknęło zdjęcie. Zabrała je. Jego dłoń natrafiła na ostry róg. Napisany ręcznie bilecik.

Twoje zaproszenie na przyjęcie w Shepherds dziś wieczorem. „Syngaleskafeeria”. Stroje wieczorowe. Jedyna okazja, żeby wypytać mojego męża na temat śledztwa. Baw się dobrze.

Igrała z nim. W równie okrutny sposób jak kot, który bawi się myszą przez całe godziny, zostawiając ją przy życiu, aby przedłużyć wyłącznie dla własnej uciechy jej agonię.

*

Nad miastem zapadła noc. Na ulicy Ibrahima Paszy lampy gazowe zaczęły mocniej świecić, otaczając fasady domów niebieskim i pomarańczowym nimbem.

Słynny w całym świecie hotel Shepheard's był przygotowany na coś, co miano później nazwać „balem dziesięciolecia”. Pod szeroką markizą przy głównej fasadzie, u szczytu przykrytych czerwonym chodnikami schodów, wejścia strzegły dwie palmy. W ostatniej chwili do lampionów dołożono mnóstwo świec na powitanie gości.

Minąwszy albańskich portierów, Jeremy, który całą drogę od dworca pokonał piechotą, stanął przed wejściem do holu. Gdy pokazał zaproszenie, wskazano mu restaurację główną. Przed otwartymi drzwiami ogromnej sali jakaś para rozdawała mężczyznom turbany, kobietom zaś bransoletki w kształcie zwierząt.

Jeremy zdjął nakrycie głowy, przeświadczony, że jego strój do safari wystarczy, aby został wpuszczony na przyjęcie.

O hotelu było głośno w całej Europie, a nawet w Stanach Zjednoczonych. Po raz kolejny Jeremy stwierdził, że jego sława nie była ani trochę przesadzona.

Ściany pokrywały długie i gęste liany, palmy stały przy murach niczym roślinne kolumny, a olbrzymie wentylatory poruszały liśćmi, niemal nie robiąc przy tym hałasu. Gdzieś w głębi wśród roślinności wyłaniały się straszne maski postaci mitologicznych, oświetlone od wewnątrz gigantycznymi świecami. Na rzeźbionych podestach wśród gości huśtała się cała galeria różnobarwnych ptaków. Jeremy odruchowo zauważył tygrysa, nieco dalej zaś lwa, oba z kłami na wierzchu. Preparator zwierząt wykonał znakomitą robotę. Między okrągłymi stolikami wyłaniały się z listowia kolejne ssaki. Stoły nakryto obrusami w jaskrawych kolorach; na każdym z nich stał masywny świecznik, wokół którego owijał się lśniący w blasku płomieni wąż.

Wzdłuż głównej alei tu i ówdzie ustawiono starannie uplecione szalasy tubylców, które wskazywały drogę w głąb sali, gdzie na tancerzy czekała scena w kształcie świątyni na cześć Kali. Posąg bogini wznosił się na wysokość wielu metrów, uważnie spoglądając na osłupiałą publiczność oczami, w których płonęły świece. U stóp Kali horda syngaleskich muzyków wygrywała jednostajny rytm na perkusji.

Powietrze wibrowało od odgłosu bębnów, a czerwone światło podrygiwało w takt muzyki jak zaczarowane.

Ponad setka osób w połyskujących strojach poszturchiwała się grzecznie z kieliszkami szampana w dłoniach. Jeremy natychmiast dostrzegł wśród nich wysoko postawionych polityków i przemysłowców, jak choćby Abuda Paszę, właściciela siódmej co do wielkości fortuny na świecie.

Świętowano właśnie spektakularne zwycięstwo konia dyrektora hotelu, Charlesa Behlera, odniesione w ciągu dnia podczas Allenby Cup. Całą salę aż po sufit przepełniały radość, zachwyt i szacunek.

–Widzę, że znalazłeś moje zaproszenie.To była Jezabel. Odwróciwszy się, Jeremy ujrzał ją w lekkiej sukni całej w perłach. Cienka warstwa krepy pod spodem ledwie przysłaniała jej piersi. Tylko Jezabel mogła sobie pozwolić na taką nieprzyzwoitość, nie wywołując przy tym głośnego skandalu.

–Weszłaś do mnie bez pytania – rzucił Jeremy na powitanie.

–Był czas, że ci to nie przeszkadzało. Natychmiast padła oschła odpowiedź:

–Rzeczywiście, był taki czas.

–O, wielki kot zmienił się w żmiję! Jeśli chcesz się spotkać z moim mężem, jest tam, w towarzystwie szefa policji...

Wyciągnęła rękę w kierunku stojącego nieco na uboczu stolika. Jeremy omiół spojrzeniem idealnie zarysowaną linię jej ramion, delikatną szyję, drgające pod wpływem emocji żyłki.

„Albo pod wpływem ich braku”, pomyślał.

Jej długie czarne włosy były ułożone w skomplikowaną fryzurę, w którą wpleciono pączki różowych i fioletowych kwiatów.

–Dziękuję ci – szepnął Jeremy.

Odwróciwszy się na pięcie, podszedł prosto do obu mężczyzn. Szef policji wstał na jego widok.

–Cóż za miła niespodzianka, detektywie! Spodziewam się, że przybył pan tutaj, żeby połączyć przyjemność z pracą. To cudowna mieszanka; gratuluję!

Jeremy uściśnął mu dłoń, odpowiadając wymuszonym uśmiechem.

Siedzący naprzeciwko pan Keoraz okazał mu mniejszą serdeczność. Ten zbliżający się do pięćdziesiątki mężczyzna z siwiejącymi włosami, rozdzielonymi idealnie prostym przedziałkiem, miał na twarzy surowość typową dla ludzi o małej wyobraźni. Jego podbródek nosił ślady zbyt pospiesznego, zbyt gwałtownego golenia, usta były wąskie, niemal niewidoczne, nos zaś ostry jak u Pinokia.

–Detektywie... – przywitał się.

–Przedstawiam panu pana Keoraza – wtrącił szef policji. – *Gentlemen*, zostawiam was, żebyście się bliżej poznali; muszę się przywitać z maharadzami Kapurthali i Majsuru.

Jeremy został sam z potężnym mecenasem fundacji.

–Właściwie już się kiedyś spotkaliśmy – uściślił. – Na kolacji sylwestrowej, jakiś rok temu.

–Wiem. Jego głos był równie ostry jak profil.

–Chciałbym panu zadać kilka pytań, a ponieważ jest pan człowiekiem zajęтым, korzystam z każdej możliwej okazji.

–Słusznie pan postępuje. Sam jestem człowiekiem zorganizowanym, co stanowi klucz do wszelkiego sukcesu.

Mówiąc to, Keoraz wskazał leżące na stole dokumenty. Wyciągnąwszy szyję, Jeremy stwierdził, że to kopia raportu sporządzonego przez Azima po południu.

–Chyba pan nie...

–Mój przyjacielu – uciął Keoraz. – Pański przełożony zechciał mi dostarczyć, zdaje się jeszcze ciepłą, kopię sprawozdania z postępów, jakie poczynił pan w śledztwie. Dla kogoś takiego jak ja świadomość, że dochodzenie prowadzone jest sprawnie i wydajnie, ma ogromne znaczenie. W końcu tu chodzi o moją fundację.

„Demonstracja władzy”, pomyślał Jeremy. Keoraz chwalił się swoją potęgą, dając jednocześnie do zrozumienia, że nie warto mu szkodzić ani cokolwiek narzucać. To on prowadził w tańcu, nikt inny.

Nagle za plecami milionera Jeremy dostrzegł doktora Córka i jego siwą brodę.

Spuściwszy wzrok, ujrzał, jak Keoraz kiwa na kogoś, żeby podszedł. Po chwili u jego boku pojawił się dyrektor fundacji, Humphreys.

–Dobry wieczór, detektywie. Jak pan się czuje? A, przecież pan nie zna mojego zastępcy, Pierrea Berneila!

Dyrektor odsunął się, aby przepuścić niższego od siebie mężczyznę, który chodził o lasce. Tamten przywitał się z Jeremym z czystym francuskim akcentem.

Keoraz wykorzystał tę chwilę, żeby wstać i zabrać ze sobą policyjny raport.

–To ja zmykam; mam tyle rzeczy do zrobienia... Detektywie, proszę wpaść do mnie jutro wieczorem do naszej willi w Heliopolis; wie pan, gdzie to jest, prawda? Z tego, co zrozumiałem,

swego czasu pan i moja żona byliście sobie bliscy. Jeśli widywaliście się później, musiała panu o niej wspomnieć.

Jeremy skinął głową w milczeniu. Nie miał nic więcej do powiedzenia – to Keoraz rozdawał karty.

–W ten sposób będę miał czas, żeby przejrzeć raport i przekonać się, co pan dotąd zrobił – oświadczył Keoraz. – Czas ucieka, detektywie; za nic w świecie nie chciałbym, żeby zginęło kolejne dziecko...

Pożegnawszy się niedbale z pozostałymi gośćmi, wmieszał się w wystrojony tłum.

*

Azim wyciągnął się na polowym łóżku ustawionym obok biurka. Był wykończony. Zabrakło mu energii, żeby dokończyć zadania, jakie sobie postawił. Otworzywszy jedno oko, zerknął na wiszący na ścianie zegar. Tak czy inaczej, było już zbyt późno.

Odpuścić choć trochę – oto, co powinien zrobić. Po to, aby nazajutrz zabrać się z zapalem do roboty.

Czworo martwych dzieci.

Otworzył oczy. Jak można spać, wiedząc, że być może gdzieś umierają kolejne dzieci? Zaklął po arabsku.

Co mógł jeszcze zrobić? Było już czworo zabitych i... Azim podniósł się powoli.

Jeśli się dobrze zastanowić, wszyscy myśleli, że jest ich czworo, ale stwierdzono to dopiero wówczas, gdy morderstwa zaczęło coś łączyć. Skąd pewność, że zabójca nie grasował już wcześniej? Ze nie było odosobnionej sprawy, którą zajęto się w pośpiechu i bez rozgłosu?

Chwyciwszy turban, Azim włożył go na głowę i wypadł na schody. Wbiegł na trzecie piętro, gdzie znajdowały się archiwa. Z powodu zbyt późnej pory nikogo w nich jednak nie było.

–Cholera! – rzucił przez zęby. Nie wiedząc, czego właściwie szuka, nie był w stanie poradzić sobie z niezliczoną

ilością dokumentów zajmujących czternaście ogromnych regałów.

Zszedł więc na dół i zaczął zaglądać do poszczególnych pokoi, aż wreszcie ujrzał znajomą twarz.

–Inspektorze Dogdson! Mam do pana pytanie.

–Niech pan strzela, stary.

–Nie przypomina pan sobie przypadkiem jakiejś sprawy, która dotyczyłaby zabójstwa dziecka? Morderstwa popełnionego ze szczególnym okrucieństwem? Gdzie zwłoki nosiłyby ślady niewiarygodnej wściekłości?

Dogdson wypuścił trzymaną w ustach fajkę.

–Aha, to pańskie dochodzenie. Dzieciaki przełamane na pół. Wpatrywał się w małego Egipcjanina z okularów w grubych brązowych oprawkach.

–Mój Boże, nie – odrzekł. – Przed pańskim śledztwem nie. Ale to nie mnie powinien pan pytać,

tylko starego Nicholasa; to on ma najlepszą pamięć w policji. Pół roku temu odszedł na emeryturę i cierpliwie czeka na przeniesienie do kraju. Chce pan, żebym do niego zadzwonił? Mam numer.

–Może już trochę późno.

–Ależ skąd! To nocny marek; będzie mu przyjemnie, że prosimy o pomoc. Niech pan siada, stary, a ja poszukam numeru.

Po niespełna trzech minutach Nichols już był na linii.

–Nie? Tobie też to nic nie mówi? – powtórzył Dogdson, nieco zawiedziony – Trudno, szkoda. Dbaj o siebie i do niedzieli przy kartach.

Odłożył słuchawkę, sięgając po wygasłą fajkę.

–Przykro mi, stary, ale dziś nie ma pan szczęścia. Nie pamięta żadnego morderstwa dziecka, które byłoby równie okrutne jak te. Z drugiej strony, jak można być aż tak

pokręconym, żeby przełamać biednemu dzieciakowi rdzeń kręgowy, co? Jeśli go pan złapie, mam nadzieję, że go rozstrzelają i że świst kul będzie słyhać aż tutaj!

Poklepawszy przyjaźnie inspektora po plecach, Azim wyszedł na korytarz.

–Proszę pana! Przed Azimem stała kobieta trzymająca walizkową maszynę do pisania. Była to jedna

z sekretarek. „Ta to pracuje do późna”, pomyślał detektyw.

–Czym mogę służyć?

–Właściwie to chyba ja mogę zrobić coś dla pana. Słyszałam pańską rozmowę z inspektorem i... Przypomniałam sobie pewną sprawę sprzed niecałych dwóch miesięcy.

Azim oparł się o ścianę, zapominając o manierach.

–To było morderstwo w ubogiej części Szubry, na północy miasta – ciągnęła. – Mężczyzna... jak to powiedzieć? Przełamany na pół? To ja przepisywałam raport z dochodzenia, dlatego pamiętam. To było... potworne. Naprawdę. Mężczyzna został zmasakrowany: miał połamane kończyny i przepołowiony kręgosłup.

Położyła dłoń na piersi, starając się złapać oddech.

–Mój Boże, to było nieprawdopodobne. Na dodatek... ktoś wyrwał temu biedakowi język.

Tym razem Azim spostrzegł, że kobieta ma łzy w oczach, dlatego podszedł do niej.

–Już dobrze, już dobrze... – powiedział niezdarnie.

–O, to jeszcze nie wszystko. Była w tym prawdziwa perwersja, ponieważ na jego ciele znaleziono coś jeszcze, wszędzie.

Powstrzymała mdłości.

–Na... nasienie. Ludzkie, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Azima przeszedł dreszcz. Tym razem dostrzegł wyraźne podobieństwo. Takie samo

okrucieństwo, taka sama zaciekłość i równie wielkie pragnienie zniszczenia ludzkiego ciała. I wreszcie ten sam akt perwersyjnej lubieżności: morderca pobrudził ofiarę własnym nasieniem.

Tymczasem sekretarka zdążyła wyjąć chusteczkę, którą otarła wilgotne oczy.

–Powinien pan porozmawiać z detektywem, który prowadził dochodzenie. Z detektywem Mathesonem.

Tym razem dreszcz przemienił się w zimny pot.

W piątkowy poranek Marion dość wcześnie otworzyła oczy.

Poprzedniego wieczoru czuwała do późna, czytając dziennik, jednak pragnienie, żeby zasięgnąć informacji w Avranches okazało się skuteczniejsze niż budzik.

O dziewiątej szła już uliczkami miasteczka z czarną książką w kieszeni płaszcza, mijając zamknięty o tej porze sklep Béatrice. Kiedy Marion zadzwoniła do sąsiednich drzwi, rudowłosa przyjaciółka wpuściła ją na piętro.

–Ranny ptaszek z ciebie! Nalej sobie kawy, ja muszę wysuszyć głowę – rzuciła przez ramię Béatrice.

Marion otworzyła kilka szafek w poszukiwaniu filiżanki, a znalazłszy naczynie, naląła do środka płyn o barwie ropy naftowej.

–Brakuje tylko papierosa, a będę miała poranny koktajl pod tytułem „świeży oddech” – szepnęła do siebie.

W progu stanęła Béatrice, wycierając włosy ręcznikiem.

–Bezsenność czy neodparta potrzeba pogadania? – zapytała. – Zaczekaj, sama zgadnę! Skończyły ci się wszystkie numery „lei Paris” i nie masz skąd wziąć najnowszych plotek, pomyślałaś więc sobie: „Moja mała Béa na pewno coś na to poradzi”...

–A co, stało się coś w miasteczku?

–Przestań marzyć; już sama twoja obecność jest prawdziwym wstrząsem. Więc jak, wszystko w porządku?

Marion skinęła głową, przelękając łyk kawy

–Mam do ciebie prośbę – oświadczyła, oddychając głęboko. – Pożycz mi samochód na kilka godzin.

–Kiedy tylko chcesz, byle nie dziś rano. Grégoire go wziął, żeby załatwić parę rzeczy dla nas i dla starego.

–Jakiego starego? Masz na myśli Joego?

–Tak. Widzę, że się poznaliście. Greg robi mu większe zakupy, a on w zamian daje mu trochę pieniędzy. Jednym słowem: dziś rano nici z samochodu. Czy to coś pilnego?

–Pilnego? Nie... Po prostu jestem niecierpliwa. Béatrice zabrała się do zaplatania warkocza.

–To ta twoja słynna książka, przyznaj się.

–To zaczyna mnie wciągać – przytaknęła Marion. Przez chwilę wahała się, czy nie powiedzieć o epizodzie z poprzedniego dnia, kopercie i tajemniczej prośbie, powstrzymała się jednak. Obiecała sobie, że nic nikomu nie wyjawia, dopóki nie wyjaśni tej sprawy.

–No to opowiedz mi, co tam jest takiego w tej książce – nalegała Béatrice. Marion dopiła kawę, unosząc do góry brwi.

–Wszystko ci opowiem, ale muszę lecieć, bo chciałabym znaleźć jakiegoś kierowcę jeszcze przed południem. Dziękuję za kawę.

Kiedy Marion wybiegła na ulicę, natychmiast dopadł ją typowy dla miasteczka wilgotny chłód.

Musiała zwrócić się z prośbą do wspólnoty.

A tego właśnie wolałaby uniknąć. Jeśli autor listów jest jednym z jej członków, prędzej czy później się dowie, że spędziła tego dnia kilka godzin w Avranches, w magazynach biblioteki. Równie dobrze mogła zatem poczekać do popołudnia, aż wróci Grégoire.

Nie wytrzyma tak długo. Wspiąwszy się po schodach tak wysoko, że znalazła się ponad dachami, przekroczyła granicę dzielącą świat świecki od świata wiary. Kiedy weszła do pomieszczeń mieszkalnych opactwa, zanurzyła się w labiryncie wąskich korytarzy i krętych schodów, aż wreszcie dotarła do sali, w której zakonnicy spożywali posiłki. Nikogo jednak nie zastała.

Nagle zza sąsiednich drzwi dobiegł ostry głos brata Sergea.

–...znaczenia; to jest polityka. Martwi mnie tylko jedno: w jaki sposób mogliby się do nas dostać? Nie dam się wygryźć tym intrygantom.

–Proszę się uspokoić; za bardzo brat dramatyzuje. Nie ma mowy o... Drugi głos należał do siostry Anne, Marion rozpoznała go od razu. Nie chcąc przerywać czegoś, co wyglądało na poważny spór, zawróciła. Na parterze

dostrzegła surowy profil siostry Luce, która właśnie wieszała pranie w dużej sali.

–Przepraszam – zagadnęła cicho Marion. – Nie przeszkadzam? Rysy siostry Luce stężały – ta zmiana wyrazu twarzy skojarzyła się Marion z leżącym

na plecach pajakiem, który podciąga nogi do brzucha (niezbyt zachęcająca reakcja obronna) - po czym zakonnica spojrzała na intruza.

–Czego pani chce?

–Szukam kogoś, kto mógłby mnie podwieźć do Avranches.

–Do Avranches? Tylko tyle? Marion zmeła w ustach przekleństwo. Nie powinna dać się sprowokować. „Pozwól

starej wiedźmie się wygadać.”

–Właśnie, aż tak daleko – odrzekła z szerokim uśmiechem.

–Niech pani zapyta brata Damiena, on się najlepiej nadaje do jazdy samochodem. „Brat Udławek, znowu on”, pomyślała Marion. Stara kobieta chwyciła płócienne

spodnie od pizamy i rozwiesiła na suszarce.

–A może siostra wie, gdzie go mogę znaleźć? – zapytała Marion. Choć niektórzy członkowie miejscowej wspólnoty religijnej cieszyli się obecnością

Marion, to jednak inni upatrywali w niej jedynie źródła kłopotów, traktując ją jako trochę niezwyklego, narzuconego gościa, który zakłóca ich spokój i duchowość.

–Z pewnością w dolnej części miasteczka, na poczcie. Mamy listy do wysłania -poinformowała siostra Luce, nie przerywając pracy.

Pożegnawszy się, Marion błędziła jeszcze przez pięć minut, zanim w końcu odnalazła wyjście i ruszyła w dół Grandę Rue. Na poczcie rzeczywiście spotkała brata Damiena. Grzecznie odmówił z właściwą sobie nieustanną dobrotliwością („Dziś jest dzień Męki Pańskiej poświęcony postowi, refleksji, modlitwie i medytacji”). Marion nalegała, twierdząc, że bardzo jej na tym zależy, po czym przyrzekła, że będzie miał mnóstwo czasu na swoją aktywność duchową, ponieważ wróci wczesnym popołudniem. W końcu ustąpił na widok duszyczki w potrzebie, chociaż nie obyło się bez westchnień.

Kiedy siedzieli w simce, brat Damien zawołał ze śmiechem:

–Wiozę panią do Avranches, ale nie mam najmniejszego pojęcia, co będziemy tam robić!

Właśnie w tym tkwił cały problem. Jak zataić przed nim prawdę, jednocześnie zapewniając sobie wstęp do znajdującej się na poddaszu biblioteki? I znaleźć jakiś pretekst, żeby trzymać go z daleka.

–Mam coś do zrobienia w bibliotece – odparła wreszcie.

–Wyobrażam sobie, tylko co to jest? Teraz, gdy wiedziała, że codziennie lub prawie codziennie rano biega, jego wygląd

fizyczny wprawiał ją w zakłopotanie. Miał typową dla amatorów dobrej kuchni okrągłą, sympatyczną twarz, za to sylwetkę atlety – między górną częścią ciała a resztą istniała dysproporcja, która zaskakiwała Marion. Brat Damien należał do tej grupy nieco pulchnych

mężczyzn, którzy zaczęli intensywnie uprawiać sport, przerabiając tłuszcz w mięśnie, ale u których twarz pozostała bez zmian.

–Proszę mi powiedzieć: czy miałby brat coś przeciwko temu, żebyśmy wspólnie uprawiali jogging? – zmieniła temat.

Zaskoczony brat Damien otworzył leżące na kierownicy dłonie, kilkakrotnie rozprostowując palce niczym kot, który napawa się własnymi pieszczotami.

–Pani ze mną? No... cóż, dlaczego nie. Po prostu zazwyczaj biegam sam.

–Jeśli to bratu przeszkadza, nie będę nalegać.

–Nie, nie – odrzekł bez zapału. – Ale musi pani wiedzieć jedno: ja dużo biegam...

–Chyba rozumiem. Przyłączę się do brata na początku trasy, a dalej brat będzie biegał we własnym tempie. Wystarczy, że wyruszymy razem, żebym nie była sama na starcie. To mnie bardziej zmobilizuje.

Zakonnik zaczął się kiwać na fotelu, nie odrywając wzroku od drogi.

–To pewne. Na początek tak jest lepiej.

–Zaczynam w poniedziałek.

–O nie, nie w poniedziałek, to dzień modlitwy. I tym razem nie będzie wyjątków. Wpadnę po panią we wtorek rano.

Marion chętnie się zgodziła.

–Co więc będziemy robić? – nie dawał za wygraną.

–Prowadzić poszukiwania.

–To wspaniale! Na dodatek w bibliotece! Wie pani, uwielbiam gry słowne, jestem zapalonym krzyżówkowiczem. Kiedy tylko mam trochę czasu, od razu przymierzam się do małej krzyżówki. Wszystkie te zabawy intelektualne mają na mnie szalenie dobry wpływ! W czym zatem będę pani pomocny?

Marion miała ochotę odpowiedzieć, że najlepiej zrobi, trzymając się od niej z daleka aż do wieczora, ale ugryzła się w język. Powstrzymała się również przed przyznaniem, że ona także jest miłośniczką krzyżówek, nie uśmiechały jej się bowiem przechwałki na temat tego, kto w czym jest mocny.

–Skoro mam tutaj spędzić jakiś czas – znalazła wreszcie odpowiedź – chciałabym się czegoś dowiedzieć o tym regionie. Pomyślałam więc, żeby poczytać coś na temat historii tych terenów,

znaleźć jakieś anegdoty...

–W takim razie trzeba pójść nie do biblioteki, ale do muz...

–A właśnie, że nie! – przerwała. – Na poddaszu widziałam czasopisma pochodzące z początku dwudziestego wieku. Chciałabym je przejrzeć.

Chociaż brat Damien najwyraźniej nie podzielał tej opinii, to jednak na widok determinacji Marion skapitulował.

Po kilku minutach weszli do słabo oświetlonej sali, w której wszystko, co znajdowało się na półkach, zostało przez nich wcześniej skatalogowane. Marion przypomniała sobie, że położyła gazety po lewej stronie, na samym dole.

–Gdyby brat był tak dobry i odszukał wszystkie magazyny, dzienniki i roczniki z... aż do lat pięćdziesiątych – poprosiła, aby uwolnić się od zakonnika. – Wszystko na temat historii tego regionu.

Wprawdzie brat Damien nie ukrywał swojej dezaprobaty dla pomysłu, aby przyjeżdżać tutaj i w taki właśnie sposób zabierać się do zdobywania wiedzy o okolicy, wykonał jednak polecenie.

Marion znalazła bez trudu gazety zawierające codzienne wiadomości. Były to „La Gazette de la Manche”, „Le Petit Journal” i „L’Excelsior”. Z „La Gazette” od razu zrezygnowała, pismo to poruszało bowiem jedynie lekkie tematy.

Przeniosła na podłogę ciężkie stosy gazet, aby przerzucić artykuły z interesującego ją okresu, czyli pierwszego kwartału 1928 roku. Odłożyła na bok wszystkie numery od stycznia do kwietnia tego roku. Siedząc po turecku między dwiema wysokimi ścianami książek, oddzielała to, co zamierzała później dokładnie przestudiować.

Następnie nadszedł czas właściwych poszukiwań. Przejrzała strona po stronie wszystkie egzemplarze piętrzące się między jej nogami. Od czasu do czasu brat Damien pokazywał jej jakiś artykuł, pytając, czy ją interesuje i czy ma go odłożyć na bok. Marion grzecznie kiwała głową, po czym wracała do lektury.

Część dotycząca wydarzeń na świecie była poświęcona głównie polityce, okraszonej kilkoma sensacyjnymi plotkami, i wielkim odkryciom naukowym. Cały poranek minął na lekturze żółknących przez dziesiątki lat kartek zadrukowanych bardziej lub mniej podobnymi słowami.

Kiedy po trwających trzy godziny poszukiwaniach Marion wreszcie podniosła głowę, uświadomiła sobie, że znajduje się tuż obok regału, który zajmowały książki obcojęzyczne i gdzie odnalazła osobisty dziennik Jeremy’ego Mathesona.

Wówczas upewniła się, czy książka leży w kieszeni płaszcza, z niepokojem matki pilnującej dziecka, które bawi się nieopodal w parku. Dotyk szorstkiej okładki dodał jej otuchy.

O wół do pierwszej opuściła brata Damiana, który z uporem powtarzał, że właśnie pości, i udała się do kawiarni naprzeciw merostwa na sałatkę z owoców morza. Jedząc, czytała „Ouest-France”, gdzie nadal na pierwszej stronie była mowa o jej sprawie.

O tej szalonej historii, która skazała ją na zesłanie tutaj.

Z dala od domu, od rodziny, od nielicznych przyjaciół.

Minęło dziewięć dni, odkąd przyjechała do Mont-Saint-Michel. Tak naprawdę za nikim nie tęskniła. Z wyjątkiem matki. A dokładniej za telefonami od niej. Za wymianą najświeższych wiadomości i opinii na temat tego, co się wokół dzieje. Za brzmieniem jej głosu.

Koledzy z pracy nie byli jej potrzebni do szczęścia, z czego od dawna już zdawała sobie sprawę. Nigdy nie zdołali się zaprzyjaźnić. Jedni byli zbyt pedantyczni, drudzy zbyt powierzchowni, jeszcze inni zbyt jajogłowi – nie, nigdy nie czuła się wśród nich swobodnie. Z kolei większość przyjaciół z dzieciństwa została w Lyonie, jej rodzinnym mieście. Z biegiem lat stracili się nawzajem z oczu.

Marion dotknęła górnej wargi – blizna stawała się coraz mniej widoczna; wkrótce będzie jedynie wspomnieniem.

Wspomnieniem po oślepiających światłach parkingu przed jej domem.

I tego mężczyzny, który przejeżdżał na motorze tamtego wieczoru, gdy wracając z kina, szła sama przejściem podziemnym. Zahamował tuż przed nią.

Silnik zawył kilkakrotnie, jakby ją ostrzegał. Znajdujący się niecały metr dalej mężczyzna przyglądał się jej zza ciemnej szyby kasku. Prawą dłonią ciągle kręcił manetką, aby wywołać ryk silnika.

Marion ujrzała, jak podnosi rękę. Niemal w zwolnionym tempie. Mimo to nie zdołała uciec.

Pięść opadła na jej twarz, rozcinając wargę o zęby.

Przewróciła się na wznak, czując większy szok niż ból.

Motor zaczął krążyć wokół niej. Zataczając coraz mniejsze koła, muskając chropowatymi oponami kostki i palce.

Marion nie była w stanie się podnieść. Skuliła się więc.

Maszyna zawyla jej wprost do ucha, rycząc, wymyślając jej, grożąc, zapowiadając najgorsze męki.

Nagle przednie koło uniosło się do góry i opadło kilka centymetrów od jej głowy.

Marion rozplakała się.

Nie miała siły, żeby poderwać się na nogi.

To było najgorsze ze wszystkiego. Właśnie ta słabość.

Marion poczuła wstrząs nie tyle z powodu samej napaści, co własnej reakcji. Czystego strachu, pozbawiającego zdolności działania.

Koło przygniatające włosy i coraz natarczywiej ryczący silnik zdominowały ją całkowicie.

Po czym powoli się cofnęły.

Aby w końcu zniknąć, strzelając niczym petarda.

Marion potrzebowała kwadransa, żeby usiąść, i kolejnych dziesięciu minut, by dotrzeć do windy i wjechać na górę. Kiedy motocykl zatrzymał się przed nią, od razu pojęła, że to nie jakiś przypadkowy szaleniec, lecz posłaniec.

Posłaniec przynoszący ostrzeżenie, chociaż ona spodziewała się śmierci.

Jak poinformował ją kontrwywiad, ona tylko „przeszkadzała, wywołała poruszenie”. I nie omieszkało dać jej tego do zrozumienia.

Kontrwywiad był gotów jej pomóc pod warunkiem, że zniknie. Ludzie, którym stała na drodze, nie przebierali w środkach.

Albo ona zamilknie, albo oni zmuszą ją do milczenia.

Dopóki nie odda się pod opiekę kontrwywiadu, dopóty będzie w niebezpieczeństwie.

Marion nie bez bezczelności zapytała oficera kontrwywiadu, dlaczego jej nie sprzątną, skoro są tacy zdeterminowani.

Mężczyzna tylko się uśmiechnął. „To nie film – odrzekł. – Zabicie kogoś to skomplikowana sprawa. Ryzyko zaś jest tak duże, że nie warto.”

Tylko że jej przypadek jest inny. Być może ktoś próbuje ją nastraszyć.

I... to może zajść daleko. Najpierw będą telefony w środku nocy – nikt się nie odezwie, będzie słycać tylko dyszenie w słuchawce. Następnie ktoś będzie się włamywał regularnie do jej skrzynki na listy, wybierając całą pocztę. Innym razem ktoś okradnie jej samochód. Później z kolei mieszkanie. Niewykluczone nawet, że zapłacą jednemu lub dwóm opryszkom za dokonanie gwałtu. Takie rzeczy już się zdarzały. Ci, którym przeszkodziła, są potężni. I gotowi na wszystko.

I chociaż wydaje się to nieprawdopodobne, morderstwo może być ostatnim narzędziem ich polityki milczenia.

Co prawda kontrwywiad ich zna, jest jednak bezsilny. Aby zapewnić Marion bezpieczeństwo, potrzeba całej potęgi systemu. Wymiaru sprawiedliwości, policji, opinii publicznej i mediów. Najłatwiejsze do osiągnięcia było pozyskanie tych ostatnich. Reszta będzie wymagała więcej czasu. Kilku tygodni. Kilku miesięcy Nie potrafią odpowiedzieć. Lecz nawet wtedy powinna zachować ostrożność, bo przecież wszystko jest możliwe. Ludzie sławni też bowiem niekiedy znikają. Ujawnienie sprawy przez prasę może ją ochronić jedynie wówczas, gdy będzie mu towarzyszyć najdalej posunięta ostrożność. Ilu ludzi zginęło w tajemniczych okolicznościach w ciągu ostatnich lat? Czy Pierre Bieriegowej rzeczywiście popełnił samobójstwo? W takim razie co się stało z jego cennym notesem, z którym nigdy się nie rozstawał? W jaki sposób Francois de Grossouvre strzelił sobie prosto w głowę w samym środku Pałacu Elizejskiego i nikt tego nie usłyszał, chociaż sekcja zwłok wykazała

„zwichnięcie lewego stawu barkowego i krwawe wybroczyny na twarzy” u mężczyzny, którego znaleziono siedzącego za biurkiem? A czy Jean-Edern Hallier sam spadł z roweru i roztrzaskał sobie głowę w rynsztoku?

Wszystko jest możliwe.

Marion zawsze uważała się za kobietę silną, o mocnym charakterze i wiedzącą, czego chce. Tymczasem w decydującym momencie życia, kiedy powinna była pokazać swoją siłę, uderzyć tamtego motocyklistę i czym prędzej uciec, aby ratować życie, załamała się.

Nazajutrz zadzwoniła do człowieka z kontrwywiadu, mówiąc, że zgadza się na ochronę i zniknięcie. „To najlepsze, co można zrobić – zapewnił ją. – I najpewniejsze.”

Nie miała dość pieniędzy, żeby zapewnić sobie ochroniarza; zresztą kontrwywiad nie postępował w ten sposób. Ich metoda była szybsza i pewniejsza – powinna zniknąć na czas, kiedy oni będą przygotowywać jej powrót i przyszłe bezpieczeństwo.

Marion złożyła „Ouest-France”, uregulowała rachunek i dołączyła do brata Damiena, który, zamysłony, siedział w kącie.

–Właśnie medytowałem – oznajmił.

Nie chcąc wdawać się w rozmowę i nie oczekując wyjaśnień, Marion obdarzyła go uśmiechem i od razu wróciła na swoje miejsce wśród stosów gazet. Rozpoczęła poszukiwania od numeru „L’Excelsiora” z marca 1928 roku i jego nie zawsze wyraźnych fotografii.

Przejrzała całą stertę w ciągu półtorej godziny, a następnie zajęła się „Le Petit Journal” i jego dodatkiem ilustrowanym. Od chwili, gdy wróciła po przerwie na obiad, brat Damien był wyjątkowo milczący. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem go nie uraziła, unikając jego towarzystwa. Wkrótce jednak uzyskała odpowiedź w postaci regularnego, lekko świszczącego

oddechu. Zasnął.

Około piętnastej słowa zaczęły się zlewać, nagłówki przestały cokolwiek znaczyć, ona zaś uświadomiła sobie, że poświęca każdej stronie znacznie mniej czasu niż w wypadku poprzednich egzemplarzy.

Właśnie wtedy jej wzrok przykuł sporo mówiący tytuł:

Potworne odkrycie w Egipcie – zamordowane dzieci!

Zacisnąwszy dłonie na papierze, przysunęła gazetę pod sam nos.

Znalezione przed dwoma dniami zwłoki kairskiego chłopca to już czwarta ofiara ohydneho potwora, który terroryzuje piękne miasto egipskie. Miejscowa policja przy współpracy brytyjskiego inspektora usiłuje za wszelką cenę schwycić żadnego krwi szaleńca, który grasuje po wschodnich przedmieściach. Zdaniem rzeczniczki miejscowego modnego klubu kobiecego, „jak na razie szaleniec atakuje tylko dzieci z odległych dzielnic, ale kto wie,

czy jutro nie napadnie na nasze skwery i najsłynniejsze ulice Kairu!”. Ta smutna sprawa zaczyna budzić lęk wśród angielskich i francuskich rodzin, których, jak wiadomo, jest wiele, dlatego też gubernator, lord Lloyd, mógłby wreszcie wydać oficjalne oświadczenie w najbliższych dniach, aby je uspokoić. Po raz kolejny uroki kraju faraonów łączą się z rozlewem krwi i tajemnicami, które w cieniu piramid wydają się nierozłączne.

Poza napauszonym tonem, w jakim został napisany artykuł, Marion przygnębiła wyzierająca zeń obojętność i brak współczucia. Szczególnie ze strony kobiety, która w ogóle nie przejęła się śmiercią dzieci, martwiąc się jedynie o to, że potomkowie kolonistów mogliby się stać następnymi ofiarami. Marion nie potrafiła uwierzyć, że można być aż tak bezdusznym. To musiało być zdanie wyrwane z kontekstu albo zniekształcone z powodu odległości... Marion usiłowała przekonać samą siebie, że to prawda.

Pomijając to stwierdzenie, miała wreszcie przed sobą dowód, że dziennik Jeremyego Mathesona to nie majaki szalonego umysłu.

„Wiedziałaś o tym. To zbyt osobiste, zbyt złożone, żeby było zmyślone...”

Artykuł umożliwił jej wreszcie skupienie uwagi na czymś konkretnym. Z każdej linijki dziennika bił jeszcze mocniej zapach życia, które odeszło bezpowrotnie.

Jeremy Matheson istniał naprawdę.

I kto wie, może nadal żył w jakimś miejscu.

MARZEC 1928 ROKU

W pokoju ciągle unosiły się odurzające i przyprawiające o mdłości opary alkoholu. Jeremy otworzył jedno oko. Jego świadomość usiłowała wyrwać się za wszelką cenę z lepkiej otchłani snu. Krok po kroku światło torowało sobie drogę do jego umysłu.

Odór okazał się szybszy.

Żołądkiem detektywa wstrząsnął gwałtowny skurcz.

Jeremy Matheson przechylił się czym prędzej, żeby zwymiotować na podłogę, a nie na własne ubranie; z jego drewnianych ust nic się jednak nie wydostało.

W skroniach poczuł ciężkie, uporczywe walenie serca.

Miał wrażenie, że cały alkohol, który wlał w siebie poprzedniego dnia, zgromadził się tuż za gałkami ocznymi, wysuszywszy uprzednio całe ciało, wirując, jakby chciał je wchłonąć wraz z mózgiem w niekontrolowanym ruchu.

Chwycił się za włosy, bełkocząc.

Naprzeciw okna, gdzie spodziewał się ujrzeć ogromną płynną biel, pojawiła się czarna plama. Zaczął więc mrugać oczami, tak długo, aż odzyskał ostrość widzenia. Jakiś mężczyzna wpatrywał się weń od dłuższego czasu. Jeremy oparł się na łokciu. Widziana pod światło twarz nabrała wyraźnych rysów.

–Azim? – zapytał Anglik grobowym głosem.

–Niech się pan ubiera, musimy pogadać. Jeremy zaklął pod nosem.

–Jazda, wstawać! – rozkazał Azim, nie bawiąc się w ceregiele.

–Która godzina?

–W sam raz na rozmowę. Jeremy uniósł jedną brew, po czym się wyprostował. Następnie zniknął w łazience,

skąd jęły dobiegać jego narzekania, podczas gdy brał zimny prysznic.

Kilka minut później Jeremy cesał się niezdarnie, obserwowany przez siedzącego przy biurku kolegę.

–A więc?

–Dlaczego mi pan o tym nie powiedział? Jeremy zastygł bez ruchu z grzebieniem we włosach.

–O czym?

–Och! Niech mnie pan nie traktuje jak idiotę tylko dlatego, że nie jestem Anglikiem. Albo gorzej; dlatego, że jestem Arabem! Wiem, dlaczego chciał pan za wszelką cenę dostać to śledztwo! Wiem!

–O nie, Azimie; nic pan nie wie...

–Morderstwo z Szubry. Ten sam rodzaj przemocy, ta sama nieludzka wściekłość i te same przejawy perwersyjnej rozkoszy. Pan tam był; prowadził pan to dochodzenie! Czytałem pański raport.

Jeremy rzucił grzebień na polakierowany stół. Powoli się odwrócił, chwycił paczkę papierosów i zapalił jednego.

–Proszę mi powiedzieć, dlaczego się pan złości – zapytał Jeremy, nagle spokojniejszy.

–Miał pan w ręku coś, co mogłoby nam pomóc w śledztwie. Powinien mnie pan o tym powiadomić!

–Nie były to żadne niezbite dowody. Nie miałem nic, co mogłoby się nam przydać. Powiedziałbym panu o tym, tylko potrzebowiałem trochę czasu.

Odzyskawszy spokój, Anglik wpatrywał się w Azima przez chmurę otaczającego go dymu, próbując wy badać egipskiego policjanta.

–Jesteśmy partnerami czy wrogami? – wybuchnął Arab. – Skoro pracujemy razem, wołałbym, żebyśmy o wszystkim sobie mówili. Ja nie waham się dzielić z panem moimi najbardziej szalonymi wnioskami, czego dowodem jest historia z ghulem. Ale oczekuję w zamian takiej samej szczerości, panie Matheson.

Jeremy wydmuchał nosem dwie smugi dymu.

–Przykro mi. Nie chciałem pana urazić. Dłonią, w której między palcem wskazującym a środkowym trzymał papierosa,

wskazał Azimowi kanapę. Obaj mężczyźni usiedli naprzeciw siebie. Jeremy pomasaował sobie kark drugą dłonią, szukając odpowiednich słów.

–Morderstwo z Szubry to była masakra, której ofiarą padł biedak, włóczęga. Kiedy przybyłem na miejsce, to wyglądało... gorzej, niż gdyby pocisk artyleryjski trafił w batalion. Włóczęga został dosłownie przełamany na pół. Ktoś wyłamał mu szczękę, żeby móc powybić zęby i wyrwać język. Był w kawałkach. Tego dnia mieliśmy mało ludzi, musiałem więc wszystko robić

sam. Z zabranie trupa z tej nędznej dziury, z tej nory, włącznie.

Jeremy zamilkł na chwilę, zaciągając się dymem.

–To była zbrodnia przechodząca wszelkie wyobrażenie. Barbarzyństwo, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Morderstwo bez żadnego motywu. Przesłuchałem sąsiadów; ledwie znali ofiarę z widzenia. To był miejscowy włóczęga, którego nic z nikim nie łączyło. I który z pewnością nie miał żadnej własności wzbudzającej pożądanie. Został rozerwany na strzępy dla czystej przyjemności. Tymczasem ja po prostu wykonałem swoją pracę: szukałem śladów, świadków, i... nic. Wszystko odbyło się całkowicie anonimowo. Nic nie znalazłem. Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Zaciągnął się po raz ostatni, po czym zgasił niedopałek w brudnej szklance, która stała na stole jeszcze od poprzedniego dnia, następnie zaś dodał:

–Kiedy usłyszałem, jak dwaj policjanci rozmawiają na korytarzu o morderstwie jakiegoś chłopca, opisując mniej więcej to samo, co widziałem na własne oczy miesiąc wcześniej, ogarnęła mnie dzika furia. Dzieciak musiał znosić te same niewyobrażalne cierpienia tylko dlatego, że ja nie umiałem wpaść na trop tamtego... szaleńca.

Jeremy spojrział prosto w oczy Azima po raz pierwszy, odkąd zaczął swoje wyznanie.

–Złapanie tego, kto to robi, należy do mnie. Muszę jak najszybciej zakończyć tę sprawę; ja, nikt inny, tylko ja. Gdybym dał radę przymknąć tę kanalię zaraz po zabójstwie włóczęgi, ta czwórka dzieci nadal by żyła.

Długą ciszę, jak nastąpiła po jego słowach, przerwał metaliczny odgłos przejeżdżającego w pobliżu pociągu.

–Dorwiemy go – powiedział w końcu Azim. – Obiecuję, że go dostaniemy. Twierdzi pan zatem, że po pierwszej zbrodni nie znalazł absolutnie nic, co mogłoby nam pomóc?

–Zupełnie nic.

–Dobrze... Jeremy, który stopniowo odzyskiwał pewność siebie, wyjął kolejnego papierosa i trzymał go w palcach, nie zapalając.

–Jesteśmy zaproszeni na dzisiejszy wieczór przez dobrodzieja fundacji – oznajmił. – Ten lajdak zdobył kopię pańskiego raportu i wie wszystko na temat naszego dochodzenia.

Wiadomość ta najwyraźniej nie przypadła Azimowi do gustu.

–Ma więc aż takie wpływy?

–Jest bogaty. Na dodatek od dawna mieszka w Kairze. To dwa atuty, które zapewniają

zwycięstwo we wszystkich rozgrywkach.

–Obawiam się, że będzie pan musiał iść sam, ponieważ zaplanowałem już dla siebie coś innego. Skoro uważa pan, że cała historia z ghulem jest niedorzeczna, pozwoliłem sobie sam się nią zająć i trochę w tej sprawie pogrzebać.

–To znaczy? – dopytywał się Anglik.

–Mam dwie lub trzy drobne hipotezy do sprawdzenia. Wolę jednak zachować je dla siebie, tym bardziej, że to i tak do niczego nie prowadzi.

–Azimie, niech pan nie traci czasu na ten fałszywy trop.

–Postawmy sprawę jasno. Chwilowo nic nie mamy, a ja i tak nie jestem panu do niczego potrzebny, zrobię więc to, co uważam za słuszne.

Jeremy otworzył usta, żeby zaprotestować, ale na widok determinacji kolegi zrozumiał, że nie warto.

–Niech będzie, skoro i tak nie ma pan nic lepszego do roboty...

–A pan? Jak zamierza pan spędzić dzień?

–Grzebiąc w przeszłości Keoraza. * Podczas gdy Azim szlifował bruki wschodnich dzielnic, Jeremy obszedł po kolei

wszystkie swoje źródła, poczynając od kilku dziennikarzy, do których miał całkowite zaufanie. Następnie udał się do ambasady brytyjskiej, gdzie został wpuszczony do archiwów bez konieczności uciekania się do notesu z adresami...

Zgromadził metodycznie wszelkie możliwe informacje na temat Francisa Keoraza.

Keoraz pochodził z bogatej rodziny londyńskiej. Po ukończeniu studiów w Oksfordzie przejął rodzinne przedsiębiorstwo zajmujące się importem. Nie brał udziału w pierwszej

wojnie światowej. Podczas gdy inni ginęli na froncie, on poznał właśnie swoją pierwszą żonę, która stała się jedną z ostatnich ofiar grypy hiszpanki w 1919 roku, mimo że dopiero co powiła syna. Keoraz czym prędzej wyjechał wraz z niemowlęciem do Kairu, uciekając od Anglii i smutku. Stanąwszy na czele banku swojego ojca, przez wiele lat przysparzał mu zysków.

Keoraz był znany z niebywałych ataków złości oraz żądzy władzy i dominacji. Nieliczni głupcy, którzy dobrowolnie stanęli mu na drodze, zostali zmieceni, rozdeptani, a Keoraz, w którym brak ślepego posłuszeństwa budził wściekłość, zrobił wszystko, żeby pozbawić ich nie tylko majątku, ale nawet dobrego imienia.

Należał do tego typu ludzi, którzy robią sobie zaciekłych wrogów.

Powtórne małżeństwo uciszyło liczne plotki o tym, jakoby był homoseksualistą – i to mimo tego, że miał syna – od chwili przybycia do Egiptu nie dokonał bowiem żadnego podboju wśród kobiet. Wystarczyło, że spotkał Jezabel Leenhart.

Jeśli tylko Keoraz wyraził takie życzenie, miał przy swoim stole wszystkie wpływowe osobistości miasta, z członkami rządu włącznie.

Lubił (czy też raczej: kiedyś lubił) grę w polo, którą uprawiał aż do znudzenia; podobnie zresztą było ze wszystkimi jego hobby. W dziedzinie upodobań Keoraz był prawdziwym nomadą – określenie się raz na zawsze, stałość w nastrojach, ulubionych zajęciach czy w życiu w ogóle nie była w jego stylu. Każda rzecz, którą posiadał i opanował, przestawała działać na jego zmysły.

Jeremy uświadomił sobie, że właśnie to zafascynowało go w Jezabel.

Nikt nie był równie zmienny jak Jezabel.

I nikt nie dawał się mniej oswoić niż ona.

Stanowiła wyzwanie, które nigdy mu się nie znudzi.

Keoraz należał do osób znieawidzonych przez ogół śmiertelników. Urodził się w dostatku i potrafił wywalczyć sobie wysoką pozycję w świecie elity, wszystko zaś, czego się tylko tknął, kończyło się powodzeniem. I choć wielu za jego plecami nazywało go „bogaczem” lub „szczęściarzem”, on znajdował tylko jedno usprawiedliwienie dla swoich sukcesów – była to praca.

Mając wszystko, Keoraz utracił zdolność radowania się codziennością. Mogło to stanowić wytłumaczenie tego, że zajął się działalnością charytatywną i finansowaniem fundacji. Człowiek, który osiągnął to, czego zapragnął, przeżywszy wiele lat skupiony wyłącznie na sobie, zwracał się teraz ku innym.

Szukał nowych źródeł zadowolenia.

Nowych przyjemności.

Jeremy przeczytał swoje notatki, żeby uporządkować zdobyte informacje. Mimo wybuchowego charakteru i nadmiernego upodobania do dominacji, Keoraz mógł stanowić wzór do naśladowania.

Jeremy przeczytał jeszcze raz ostatnie zdania.

Na jego twarzy pojawił się szydrczy grymas.

„Wzór do naśladowania.”

Albo lepiej: „Człowiek, który przekroczył ostatnią barierę, jaka została na ziemi. Bariere moralności”.

Żądza władzy, tyranii i nieustannych sukcesów popchnęła go zbyt daleko, odbierając mu kontrolę nad własnymi pragnieniami i ambicjami. Posłuchał głosu ostatniego oblicza swojej osobowości, którego nigdy dotąd nie zaspokoił – drapieżnika. Jedyne raz w życiu stracił całkowitą kontrolę nad sobą, pozwalając, aby wzięła nad nim górę bestia, myśliwy!

Opuścił swoją luksusową willę, by krążyć po anonimowych uliczkach ubogich dzielnic otulony czarną peleryną.

Pierwszy napotkany włóczęga stał się jego świątynią.

To w niej mógł wyznać wiarę w upodobanie do przemocy, które tłumił w sobie przez tyle lat.

Świątynią, w której mógł uwolnić swoją wściekłość.

Przenośną świątynią, której doskonałość polegała na tym, że znikwała, w miarę jak znajdował ujście dla swoich utajonych namiętności; świątynią, która rozpadła się, zabierając ze sobą to, co nie mogło, nie powinno tam pozostać. Wstydliwą ofiarę.

I po raz pierwszy w życiu Keoraz dał się wciągnąć w grę. Zamiast sytości lub ulgi czuł w sobie potrzebę. Konieczność rozpoczęcia na nowo.

Tym razem przekroczył ostatnią granicę, dotykając samej istoty potworności, kwintesencji zniszczenia. Dzieci.

Ponieważ jednak to nie on dowodził, ponieważ jego żądzami kierował drzemiący w nim potwór, nie mógł już przestać. To się nie mogło skończyć. Nigdy.

Chyba że we krwi.

Jeremy zamknął oczy, zastanawiając się nad jasnością swojego rozumowania. Jak można było tego nie zauważyć? Czyżby on sam znalazł się w stanie łaski, żeby dostrzec, jak poszczególne elementy układanki do siebie pasują? Nie, nikt, absolutnie nikt nie mógł mu zarzucić, że zaślepią go zazdrość. Logika tego rozumowania była aż nadto wyraźna.

Jedno popołudnie.

Oto, czego było mu trzeba, żeby ujawnić, kim naprawdę jest Francis Keoraz.

Na parapecie ćwierkał ptak.

Marion otworzyła oczy.

Nagle w dole lędźwi, między udami poczuła ciepło. Opuściwszy jej ciało, duch mężczyzny wśliznął się pod prześcieradło i rozplynął w ostatnich oparach nocy.

Marion zamrugała kilka razy.

Miała nabrzmiałe piersi i czuła się tak samo odurzona, jakby dopiero co uprawiała seks. Jej ciało było głodne z pożądania. Napięła pośladki i zakołysała nimi lekko, szukając utraconej rozkoszy.

Śniła. O nim.

Jeremy złożył jej wizytę.

Żeby się z nią kochać.

Przywołała w pamięci wspomnienia ostatnich przeczytanych stron.

Wnioski, jakie wyciągnął detektyw na temat osobowości Francisca Keoraza.

Na temat tej perwersji podsycanej przez życie na krawędzi, przez nieustanne sukcesy.

Mięśnie Marion rozluźniły się, podniecenie minęło. Odrzuciła prześcieradło, wystawiając nagie ciało na powiew porannej świeżości.

Potrzebowała porządnego prysznica. Takiego, który by ją rozgrzał, rozbudził i zatarł ślady po nocnym błędzeniu, wraz z jego słonym smakiem na skórze.

Siedząc nad filiżanką kawy i grzanką posmarowaną miodem, Marion znów towarzyszyła angielskiemu detektywowi w jego poszukiwaniach.

Miał z dolność kryminalnej dedukcji. „Umysł myśliwego” – jak mawiał. Marion uznała jednak jego wniosek, jakoby to Keoraz był mordercą dzieci, za zbyt pochopny. Wprawdzie sadyzm, jaki Jeremy przypisywał jego osobowości, mógł jedynie potwierdzić to podejrzenie, jej zdaniem jednak detektyw za bardzo się pospieszył. Czyż mimo jego zapewnień nie było w nim pewnej chorobliwej zazdrości, która świadomie lub nieświadomie kazała mu widzieć w Keorazie idealnego winnego?

Chociaż z drugiej strony, jego argumenty na temat tego, jaki milioner był w głębi duszy, miały sens.

Marion często rozmawiała z policyjnymi detektywami, którzy wpadali do Zakładu Medycyny Sądowej. Doskonale pamiętała rozmowę z pewnym młodym gliną rozmiłowanym w historiach policyjnych i kryminalnych. Wyjaśnił jej, jak olbrzymich postępów dokonała w

ciągu trzydziestu lat kryminologia dzięki komputerom, kartotekom odcisków palców, które można przeglądać, będąc w jakimkolwiek zakątku kraju, oraz nauce i DNA; nie mówiąc o ekspertyzach na podstawie śladów zapachowych, które miały się wkrótce pojawić. Dzisiaj śledztwo opiera się na konkretach, na namacalnych dowodach, podczas gdy dawniej zdarzało się, że sprawę umarzano z powodu niestałej alchemii wewnętrznego przekonania i „zbioru zgodnych czynników mających udowodnić, że...”. Abstrakcji, która posyłała mężczyzn i kobiety do więzienia, skazując ich niekiedy na śmierć.

Dawniej podczas prowadzenia śledztwa opierano się przede wszystkim na zeznaniach świadków. W razie ich braku jedynie logiczna dedukcja inspektora pozwalała przycisnąć podejrzanego.

Właśnie tak postępował Jeremy. Skoro nie miał materialnych wskazówek, musiał polegać na własnym rozumowaniu, aby znaleźć winnego i jak najprędzej powstrzymać go przed dalszym mordowaniem dzieci. Z braku namacalnego dowodu musiał zebrać fakty, uzbrojony wyłącznie w intuicję i doświadczenie, aby znaleźć sprawcę.

Jeremy chwycił się kurczowo hipotezy o winie Keoraza, gdyż jak na razie było to jedyne rozwiązanie – a może miał „nosa” wielkich detektywów, który tak szybko wskazał mu właściwy trop?

Marion nie mogła się doczekać dalszego ciągu.

–Idź się najpierw przewietrzyć – powiedziała głośno. – To ci dobrze zrobi. Otuliła się płaszczem, pamiętając jak zwykle o zabraniu ze sobą czarnej książki. Już postanowiła – nigdy się z nią nie rozstanie.

Ptak, którego słyszała rano, ciągle tu był. Siedział dwa metry nad nią, na murze okalającym cmentarz. Nie miała pojęcia, jak się nazywał. Był biało-czarny, a może biało-niebieski... W każdym razie musiał być to odważny ptak, skoro nie bał się zimy w Mont-Saint-Michel.

„Chyba raczej zagubiony ptak, który powinien był stąd odlecieć dawno temu.”

–Stan, w jakim znajduje się nasza planeta, ocenia się właśnie po ich zachowaniu -powiedział czyjś męski głos za jej plecami.

Ten spokojny i ciepły głos mógł należeć tylko do Joego. Marion odwróciła się, chcąc się przywitać.

–Dzień dobry, Marion.

–Dzień dobry.

–Kiedy z ziemią jest źle, jej dzieci zaczynają robić osobliwe rzeczy. Ptaki przestają odlatywać o właściwej porze, samice przestają karmić małe; niekiedy zaś z samych trzewi

planety rozlega się ryk, a potem następuje atak na naszą cywilizację. Proszę zauważyć, że nigdy nie towarzyszy mu nienawiść. Jest to jedynie lekkie napomnienie, niewinne ostrzeżenie. Nienawiść jest typowa dla człowieka.

–Napomnienie, które zabija niekiedy tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci.

–Dla nas to dramat, wstrząs. W skali całego życia to zaledwie prztyczek w nos. Człowiek jako jednostka w swojej indywidualności, tu i teraz, tworzy silne emocje. Śmierć jednego człowieka wydaje się czymś potwornym, kiedy zaś mówimy o dziesięciu tysiącach zgonów w ciągu piętnastu wieków lub więcej, staje się ona mniej straszna. Na pozór... Wszystko jest kwestią skali odniesienia.

–Jak widzę, jest pan nastawiony filozoficznie od samego rana.

–Bo natknąłem się na panią niespodziewanie w drodze do kościoła.

–A więc bywa pan w naszej słodkiej wspólnocie! Jak zawsze wielki i pełen charyzmy, Joe splótł dłonie za plecami.

–Pudło, moja droga. Obrócił się, żeby rzucić okiem na wznoszący się za nim kościół parafialny.

–Byłem na porannym spacerze, a później miałem się pomodlić właśnie tutaj do naszego Pana. Zostawiam msze w opactwie turystom i miłośnikom wielkości religijnej.

Marion skrzywiła się, dając mu do zrozumienia, że ją pokonał.

–Ale może sprawi mi pani przyjemność, jedząc dziś kolację przy moim stole -zapropował. – Podeszły wiek daje mi chyba prawo, żebym zaprosił panią prosto z mostu, nie wydając się grubiański.

Marion obdarzyła go swoim najczarowniejszym uśmiechem.

–Co mogę przynieść?

–Och, nic pani nie znajdzie na tych kamieniach, proszę więc przynieść dobry humor. On panią odurzy znacznie bardziej niż drogie wino. O dwudziestej przed moimi drzwiami. Miłego dnia, Marion.

Marion przyglądała się, jak wchodzi bocznymi drzwiami do kościoła Świętego Piotra, a następnie ruszyła w stronę bramy do miasteczka. Po raz pierwszy od przybycia tutaj zdumiał ją widok turystów podążających średniowiecznymi ulicami. Był koniec tygodnia. Wkroczywszy na

groble, Marion rozpoczęła długą wędrówkę u stóp świątyni. Korzystając z odpływu, minęła Fanils, okrążyła wieżę Gabriela, która przywiodła jej na myśl zagadkę, aż wreszcie dotarła do kaplicy Świętego Auberta, położonej w północno-zachodniej części Mont-Saint-Michel. Drzewa, огоłocone z liści przez późny listopad, skrzypiały na wietrze, ciasno stłoczone na zboczu pod Merveille.

Widoczna nieopodal dzwonnica onieśmiała swoją potęgą. Jej wyczelowane okna górowały nad zatoką z większą siłą niż duchowa latarnia morska, dyktując każdemu, jak powinien postępować w zgodzie z przykazaniami religijnymi i przypominając ze swojej wysokości karę, jaka czeka nieposłusznych.

Jej cień przytłaczał Marion.

Ona zaś usiadła, żeby podziwiać morze mokrego piasku i poldery widoczne w oddali, po lewej stronie. Po chwili ruszyła z powrotem.

Przemierzając plac u wejścia do miasteczka, Marion przeżyła radość na widok dziewczynki, która wpadła na nią niechcący, przepraszając niezdarnie. Mała miała nie więcej niż dziesięć lat, teraz zaś jej czerwone okulary się przekrzywiły. Marion przykucnęła, żeby je poprawić, kiedy zaś zrobiła zeza, dziewczynka obdarzyła ją szczerym uśmiechem. Rodzice stali tuż za nią, pilnie bacząc na reakcje obu stron. Marion pozdrowiła ich, odchodząc.

Gdy zaczerpnęła powietrza, tlen nabrał nagle gorzkiego posmaku. Posmaku osobistej sytuacji. Samotności. Życia bez pary. Wieku. Kontakt z dziećmi był niczym balsam dla serca. Zarazem jednak przywoływał ją do rzeczywistości z wyjątkowym okrucieństwem.

Zazwyczaj unikała takich myśli, gdyż prowadziły donikąd. Do niczego przyjemnego.

W Młre Poulard siedziało pół tuzina turystów. Ich obecność podziałała na Marion odświeżająco, weszła więc do środka, aby się do nich przyłączyć. Zamówiwszy słynny omlet, z lubością wsłuchiwała się w toczące się wokół rozmowy, nie bacząc na to, jak były banalne.

Wypiła cztery herbaty i pozwoliła sobie na dwa kawałki placka z jabłkami, przeciągając tę chwilę wytchnienia aż do późnego popołudnia. Kiedy wyszła na Grande Rue, spotkała siostrę Gabrielę, młodą zakonnice o melodyjnym głosie. Po kilkuminutowej pogawędce Marion zaofiarowała jej swoją pomoc w rozlepianiu plakatów głoszących, że w poniedziałek wieczorem w opactwie odbędzie się koncert. Sama przyjęła tę wiadomość ze zdumieniem i zarazem z przyjemnością – przynajmniej będzie miała jakieś zajęcie na jeden wieczór.

Pod koniec dnia wróciła do swojego domu, aby wziąć gorącą kąpiel, jednocześnie słuchając muzyki ryczącej z wieży, która znajdowała się na parterze.

Problem pojawił się wówczas, gdy musiała zdecydować, co włożyć na kolację. Nie miała zbyt wielkiego wyboru, zostawiła bowiem w Paryżu niemal całą garderobę. Nie powinna się ani zbyt wystrój, aby nie wprawić Joego w zakłopotanie, ani ubrać zbyt swobodnie, by go nie

urazić. W końcu wybrała czarne spodnie z zaszewkami, top, za który zapłaciła fortunę w dniu zakupowego szaleństwa, oraz najbardziej klasyczną z możliwych

węlnianą kamizelkę. W lustrze ujrzała odbicie ciągle jeszcze pięknej kobiety o gładkiej skórze, wypiełgnowanych rysach i ponętnej figurze.

„Nie na długo, jeśli nadal będziesz się tak obzerać...”

Kobiety zadbanej.

Odbicie kobiety zbliżającej się do czterdziestki...

„Samotnej.”

Zagryzła dolną wargę.

Siwe pasemka wśród blond włosów wcale nie razily; przeciwnie, nadawały jej oryginalny, niemal egzotyczny wygląd, który doskonale pasował do dźwięcznego śmiechu i kpiących grymasów.

Marion wzięła spinkę i odgarnęła włosy, chcąc je upiąć nad karkiem. Odrobina makijażu i będzie gotowa.

Jak na randkę.

Z mężczyzną co najmniej osiemdziesięcioletnim...

„Przecież każdy pretekst jest dobry, żeby chociaż od czasu do czasu poczuć się piękną...”

Dokładnie o dwudziestej zapukała do drzwi Joego.

Starzec włożył na tę okazję beżowy garnitur i koszulę z wykrochmalonym kołnierzykiem, pod którym zawiązał bordową apaszkę – za to się nie ogolił.

Marion wręczyła mu butelkę czerwonego wina.

–Znalazłam to w szafie. Prezent od wspólnoty na rozpaczliwe samotne noce -zażartowała. – Na wypadek, gdyby opuścił mnie dobry humor...

Odebrawszy prezent, zaprosił ją do środka.

–Mam nadzieję, że apetyt pani dopisuje – uprzedził. – Zdaje się, że mimo wieku nadal nie umiem utrafić z ilością. Nagotowałem jak dla pułku wojska!

Marion zauważyła, że specjalnie na kolację wyjął piękną porcelanę i nakrył stół haftowanym obrusem.

–To dlatego, że jest sobota wieczór – wyjaśnił, podążając za jej spojrzeniem. – Proszę, niech pani siada.

Z braku ginu Marion pozwoliła sobie nalać kieliszek wódki.

Na stoliku w salonie leżała szachownica. Układ figur wskazywał na to, że partia jest w toku.

–Gra pani? – zapytał Joe.

–Bardzo chętnie, ale obawiam się, że byłabym kiepskim graczem.

–No to trzeba spróbować! Brakuje mi tu partnerów.

–Kto był dzisiaj pańskim przeciwnikiem? Joe zatarł ręce.

–Grégoire, syn Béatrice. Znakomity gracz.

–On? Nie przypuszczałam, że gra w szachy...

–A jednak. To dobry chłopak. Mam wrażenie, że on się marnuje w Mont-Saint-Michel. Potrzebuje męskiej ręki i tego, żeby coś się działo. Pod tym względem raczej się nie mylę.

Marion przyjrzała się uważnie twarzy starca. Nie spuszczał szachownicy z oka, niemal zasmucony.

–Bardzo go pan lubi, prawda? Joe skinął głową.

–Grégoire’a? Często przychodzi do mnie zagrać; dyskutujemy na różne tematy. To chłopak, któremu brakuje ojca, ot co. Życie tylko z matką i z dala od świata jest dla niego trudne. Béatrice dokonała tego wyboru dla siebie, takie było jej osobiste pragnienie, Grégoire jednak radzi sobie z samotnością gorzej niż ona.

Joe wyprostował się nagle, po czym jego jowialność powróciła.

–Chodźmy jeść, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Podał małże, które zjedli z apetytem, dowcipkując na temat tego, że mieszkając w

takiej małej mieścinie, człowiek nie może mieć żadnych tajemnic. Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

–Właśnie na tym polega pułapka – stwierdziła Marion. – Tutaj można ukryć niewygodną przeszłość w szarej codzienności, pod maską, którą człowiek nakłada z biegiem czasu. Ale dlatego, że wszyscy myślą, że wiedzą wszystko o innych, tajemnice nigdy nie wychodzą na jaw.

Twarz Joego rozjaśnił szeroki uśmiech.

–Widzę, że zaczyna pani odkrywać ducha Mont-Saint-Michel – powiedział z dumą.

–To duch małych społeczności. A także wyspiarzy. Rozmawiałam już na ten temat z Béatrice.

Podniósł palec na znak, że rozumie, skąd wzięły się jej wnioski.

Zajadając okonia i domowe puree z ziemniaków z porami, poznawali się bliżej, zgłębiali swoje życie prywatne. Zanim pozwolił jej się zwierzyć, Joe wyznał Marion, że zawsze był kawalerem. W miarę jak w butelce ubywało wina, Marion zaczęła odczuwać działanie alkoholu. Stopniowo ogarniała ją jakaś euforia; towarzystwo starca sprawiało jej przyjemność, kolacja była wyśmienita, toteż chętnie poddała się upojeniu.

W końcu odmalowała samą siebie jako kobietę trochę za bardzo „zamkniętą w swojej skorupie”, zbyt wymagającą, wiecznie niezadowoloną. Ledwie angażowała się w poważny związek, z miejsca zaczynała szukać wad partnera, by wreszcie nie dostrzegać nic innego i czym prędzej się go pozbyć. W pracy nie była zbyt towarzyska i nie darzyła kolegów specjalną sympatią. W gruncie rzeczy żyła zatem nieco na uboczu, mając dwie lub trzy „przyjaciółki”, z którymi wychodziła od wielkiego dzwonu, gdy udało im się uwolnić od mężów i podzucić komuś dzieci...

Już miała wspomnieć o Jeremym Mathesonie, wskazując podobieństwo istniejące między nim a samą sobą, ale w porę ugryzła się w język.

Przy deserze Joe przedstawił w niezbyt korzystnym świetle członków wspólnoty, których znał osobiście. Jego ulubionym celem był brat Gilles – w tym mężczyźnie o wyglądzie drapieżnika widział jeszcze groźniejszego sokoła niż ci, którzy zamieszkują obecnie w Białym Domu. Ten manipulant stał się jeszcze bardziej złośliwy, od kiedy jego wysiłki, żeby wspiąć się wyżej, spełzły na niczym, przelżeni odkryli bowiem, że jego ambicje są większe niż wiara. Jedyna przyjemność, jaka mu pozostała, polegała na przechwalaniu się swoją rzekomą władzą przed członkami wspólnoty.

Brat Serge wcale nie był lepszy. Zdaniem Joego, nadawał się w sam raz na ojca chrzestnego. Pilnował swoich owieczek i miał opinię bardzo władczego i nieco zbyt sztywnego, ale obaj z Joem zawsze schodzili sobie nawzajem z drogi, gdyż Joe darzył szczerą sympatią dawnego przeora, który odszedł blisko dziewięć lat wcześniej.

Następnie Joe przedstawił brata Christophea – dla Marion „brata Anemika” – jako lekko nawiedzoną dużą sowę; wyznając zaś, że wcale by się nie zdziwił, gdyby przyłapał go całego w kabalistycznych tatuażach, jak czci diabła, rozśmieszył Marion... Miał zbyt pocziwy wygląd, żeby mówić szczerze.

Sprytna i przebiegła siostra Luce stanowiła żeński odpowiednik swojego kompana, brata Gillesa. Joe użył w stosunku do niej określenia „nieczułe serce”, a Marion zaczęła się zastanawiać, czy nie kryje się za tym przypadkiem wspólna przeszłość. Wyobraziała sobie zaraz historię platonicznej miłości łączącej Joego i siostrę Luce pod zazdrosnym spojrzeniem brata

Gillesa, która tłumaczyłaby dystans dzielący dziś obu mężczyzn.

Joe przyznał, że nic nie wie na temat brata Damiena, który przyłączył się do wspólnoty niedawno, z wyjątkiem tego, że ma wypisaną na twarzy „prostoduszność głupca”. O najbliższej Marion siostrze Anne mówił jako o dobrej, inteligentnej kobiecie godnej zaufania. Pozostali, czyli brat Gael oraz siostry Gabriela i Agathe, byli w jego oczach jedynie „młodymi, obiecującymi zakonnikami, jeszcze pełnymi nadziei”.

Ośmielona tymi zwierzeniami, Marion wyjawiała gospodarzowi swoją manię nadawania żalobnych przezwisk, Joe zaś z trudem się opanował, słysząc o „bracie Udławku i współnikach”. Uspokoił się jednak, gdy się dowiedział, że sam nie ma tego typu przydomka.

Marion wróciła do siebie około dwudziestej trzeciej nieco chwiejnym krokiem, obiecawszy przedtem solennie, że wkrótce złoży Joemu kolejną wizytę, aby znów się tak szaleńczo pośmiać.

Położyła się do łóżka w dobrym humorze, z płonącym wzrokiem.

Pragnienie poczytania przed snem zmieszało się z oparami wina. Zeszła więc na dół i wyjęła dziennik z kieszeni płaszcza, po czym prędko wróciła do ciepłego łóżka.

Wkrótce w sypialni paliła się tylko lampka nocna. Ledwie Marion zdążyła otworzyć książkę, gdy cmentarz za oknem zalało światło błyskawicy.

Po chwili zaczęły spadać powoli, z wahaniem, pierwsze krople deszczu.

Umościwszy się wygodnie w łóżku, Marion powróciła do lektury.

Każdy wiedział, co ma robić.

Jeśli udałoby się skoordynować działania, plan mógłby się powieść.

Azim ponownie rozważył wszystko, aby się upewnić, że niczego nie pominął.

Ochotnicy mieli stanąć na swoich miejscach za niecałą godzinę. Nie na darmo krążył przez cały dzień po Al-Gamalijja. Stary palacz haszyszu zgodził się natychmiast, mimo paralizującego go ciągle strachu. Sklepikarz ustąpił, gdy Azim przypomniał mu, że robi to dla bezpieczeństwa dzieci. Obaj zabrali się szybko do werbowania następnych ochotników. Połowę ludzi potrzebnych do przeprowadzenia akcji znaleziono wśród krewnych ofiar. Drugą połowę zebrano zaś jeszcze przed końcem dnia, w porze przedwieczornej modlitwy.

Ogólnie rzecz biorąc, pomysł Azima był bardzo prosty i opierał się w równej mierze na umiejętności przeczesywania okolicy przez ochotników, co na szczęściu.

Ghula widziano cztery razy na ograniczonym obszarze w dzielnicy Al-Gamalijja. Azim miał nadzieję, że jeśli potwór będzie przechodził po którejś z tamtejszych ulic, zauważy go jeden z mężczyzn zajmujących strategiczne pozycje na dachach. W tym celu należało jednak obstawić kilka hektarów uliczek i chaotycznie porozmieszczanych domów. Przy wydatnej pomocy starca i handlarza ubrań, własnych świadków, Azim zdołał znaleźć i przekonać do czuwania około trzydziestu osób. Rozstawił je kolejno na tarasach, przykazując, aby nie ruszały się stamtąd pod żadnym pozorem. Pojawienie się wśród nich imama zamknęło usta żartownisiom, a ponadto upewniło Azima, że wszyscy potraktują poważnie swoje

zadanie, powodowani raczej bojaźnią religijną niż poczuciem obowiązku. Kiedy duchowy przywódca usłyszał, co się święci, z miejsca przyłączył się do ochotników. Krążyły słuchy, że po okolicy grasuje ghul i że jeszcze tej nocy go złapią.

–A co zrobią, jeśli wierny stanie z nim twarzą w twarz? – wykrzyknął imam, zanim kazał się zaprowadzić do ochotników. – Jedyne modlitwy do Allaha mogą przepędzić potwora – oświadczył wpatrzonemu weń z szacunkiem tłumowi. Jeśli po ulicach krąży jakieś monstrum, to on musi je przegnać.

Azim, który zdawał sobie sprawę, że jego policyjna odznaka niewiele znaczy w porównaniu z władzą imama, odrzekł tylko, że jeśli ktoś zauważy ghula, to on pierwszy będzie musiał udać się na miejsce, aby się upewnić, że istotnie mają do czynienia z demonem, a wtedy tylko imam będzie mógł go przepędzić. Gdy natomiast się okaże, że to przestępca z krwi i kości, wówczas policja przystąpi do działania i go zaaresztuje.

Azim wiedział, że sporo ryzykuje. Jeśli rzeczywiście zdołają złapać winnego, będzie musiał wykazać się szybkością i zręcznością. Ochotnicy z pewnością zechcą bowiem sami się nim

zająć, nie czekając na żadne sądy i wyroki.

Co właściwie spodziewał się zobaczyć? Człowieka czy... ghula? Znalazł się w tej sytuacji z powodu zeznań dwóch świadków, którzy twierdzili kategorycznie, że to, co widzieli, nie było istotą ludzką. Azim sam nie wiedział, co ma o tym myśleć. Wszystko wskazywało na słuszność mitologicznej hipotezy... Tymczasem już w szkole policyjnej walec drogowy zachodnioeuropejskiej edukacji i jej racjonalne aksjomaty rozpoczęły swoją krecią robotę. Nie mógł zatem zaprzeczyć, że w głębi duszy wierzy w przyziemne, ludzkie wyjaśnienie dramatu.

O zachodzie słońca, wzięwszy zapas jedzenia i koc, aby przetrwać czekającą go długą noc, każdy zajął wyznaczone stanowisko.

Pewien handlarz z Chan al-Chalili, którego bratanek znajdował się wśród ochotników, zgodził się pożyczyć wszystkim lampy, mające im służyć do sygnalizacji. Jeśli ktoś zauważy jakąś zakapturzoną postać, powinien natychmiast zapalić świeczkę w swojej lampie i pomachać nią w kierunku najwyższego punktu obserwacyjnego, gdzie będzie czuwał Azim.

Nad miastem zapadła noc.

Podczas gdy zapalały się nieliczne latarnie oświetlające ulice, okiennice zaczęły się zamykać jedna po drugiej.

Upał powoli ustępował, a wraz z nim setki krążących po Al-Gamalijja zapachów odpływały ku pogrążonym teraz w ciszy, zamkniętym kramom, oborom i strydom.

Za starymi murami umilkły rozmowy, pogawędki, krzyki i kłótnie.

Na firmamencie świata pojawiało się coraz więcej gwiazd. Azim przyglądał się im w milczeniu. Odnosił wrażenie, że ziemia i niebo to dwie budowle; że to dwoje niebiańskich sąsiadów, którzy przesyłają sobie nawzajem światła mieszkań i wpatrują się w siebie, nie widząc. Miliony istnień odległe o miliony kilometrów...

Sylwetki minaretów zdawały się kołysać na dachu wszechświata.

W oddali rozległo się wezwanie muezinów do modlitwy. Mijały godziny.

*** * ***

Heliopolis, płaskie miasto kolumn, łuków podkowiastych i podwójnie wygiętych; miasto szerokich i czystych ulic, wzniesione w bardzo modnym stylu mauretańskim.

Wysiadłszy z tramwaju naprzeciw Heliopolis Pałace, Jeremy ruszył piechotą ku położonej nad zatoką willi Keoraza.

Sanktuarium milionera otaczał wysoki na trzy metry mur. Najwyraźniej ceniono tu sobie

prywatność i spokój.

„Można tutaj żyć z dala od ciekawskich spojrzeń, oddając się swobodnie swojej ponurej działalności...”

Ledwie Jeremy poruszył dzwoneczkiem przy furtce, ukazał się stróż, który wpuścił go do środka, zapytawszy uprzednio o nazwisko.

Willa w stylu rzymskim wznosiła się na sztucznym wzgórzu, a prowadziła do niej usypana ze skrzypiącego żwiru aleja, biegnąca przez morze idealnie utrzymanej trawy. Dotarłszy na górę, Jeremy przystanął, osłupiał.

Ostatnie dwadzieścia metrów prowadziło przez wyłożony czarnym marmurem klomb, otoczony posrebrzanymi i złożonymi sykomorami i wyposażony w dwa niezmiernie długie baseny wypełnione rtęcią, w której Droga Mleczna odbijała się z nieskazitelną przejrzystością.

Rozmieszczone co pięć kroków pochodnie podkreślały olśniewające piękno tarasu. Oprócz srebrnych i złotych liści, na gałęziach wisiały wykonane z tych samych metali delikatne dzwoneczki, które dźwięczały, gdy ktoś przechodził.

Jeremy na palcach posuwał się wśród tych bajecznych dekoracji, zaskoczony płynnością własnych ruchów po podłożu. Przed nim zaś podążał stróż, wprawiając w drżenie metalowe liście i dzwoneczki.

Nagle z holu wyłonił się Keoraz, który czekał już na schodach wśród kolumn.

–Pan Matheson! Jak się panu podoba mój mały ogród w stylu mezopotamskim?

–Jest czysty.

Keoraz, który spodziewał się zapewne, jak zwykle, pełnych zachwyty pochwał, zamilkł na chwilę.

–I lśniący – dodał Jeremy.

–Przyznaję, że nie ja go stworzyłem... Kazałem go zbudować według modelu Chumarawajha, emira z dynastii Tulunidów. Słyszał pan o nim?

–Nigdy.

–Koniec dziewiątego wieku. Trzeba się interesować historią, detektywie; to podstawa naszej przyszłości.

„Na dodatek zna historię, a zapewne także i legendy Egiptu!” – zauważył Jeremy, z trudem ukrywając uśmiech zadowolenia. Keoraz coraz bardziej pasował do wizerunku idealnego mordercy; zdobył wiedzę, która pozwalała mu skrywać swoje zbrodnie pod przebraniem

mitycznego ghula.

–Proszę wejść; wypijemy aperitif w atrium. Odprawivszy stróża, zaprowadził Jeremyego do środka domu, skąd wyszli niemal natychmiast na wyłożony kafelkami wewnętrzny dziedziniec, pośrodku którego znajdowało się impluwium, czyli rzymski zbiornik wodny. Czekwały tam na nich dwie purpurowe sofy obłożone poduszkami haftowanymi złotą nitką. Wiszące pochodnie dawały ciepłe, drgające światło. Ściany między drzwiami pokrywały freski przedstawiające sceny z polowań.

–Proszę się rozgościć. Czego się pan napije? Jeremy nie zdążył jednak odpowiedzieć.

–Whisky. W drzwiach prowadzących do głównych pomieszczeń stała Jezabel.

–Zawsze pijesz whisky, prawda? Przytaknął w milczeniu. Miała na sobie obcisłą czerwoną suknię, w dłoni zaś trzymała cygarniczkę, na której

końcu palił się papieros.

Keoraz przyglądał się obojgu badawczo, nic nie mówiąc.

–Mam wyborną whisky. Proszę mi wybaczyć, ale ulotnię się na chwilę. Nie znoszę służby domowej; prawie wszystkich zwolniłem, bo nikt tak człowieka nie obsłuży jak on sam.

Mówiąc to, wyszedł przez boczne drzwi. Jeremy, który zdążył już usiąść, wstał na widok zbliżającej się Jezabel.

–Daj spokój tym ceregielom – powiedziała, zajmując miejsce naprzeciw niego. – I jak, przyjście tutaj nie było wcale takie trudne?

–Znałem wcześniej adres.

–Nie mówię o drodze, ale o podjęciu decyzji. Na jej karminowych wargach zagościł kpiący uśmiech.

–Przyjście do domu, gdzie mieszkamy jako małżeństwo, musiało chyba zranić miłość własną człowieka, który nie chce mnie nazywać „panią”.

–Miłość własna nie ma tu nic do rzeczy.

–Ach tak? A co to jest? Po prostu sympatia?

–Czułość w stosunku do tego, co nas łączyło. Jezabel uśmiechnęła się szeroko.

–Oczywiście... Zapomniałam, przepraszam. W tej samej chwili wrócił Keoraz, niosąc tacę, na której stały dwa kieliszki i szklanka.

Wręczył detektywowi whisky, wziął po kieliszku szampana dla żony i dla siebie, po czym usiadł tuż obok niej.

–Mój drogi, mam dla pana cały wieczór – oznajmił.

–Na początku chciałbym zapytać, czy przeczytał pan raport z dochodzenia. Milioner uniósł brew, wpatrując się w gościa z rozbawieniem.

–A jak pan sądzi?

–To nie powinno się wydarzyć; proszę mi uwierzyć, że jest mi przykro.

–Tutaj wchodzi w grę moje interesy, domagam się więc wszystkich praw, aby móc je chronić, i nie obchodzi mnie, czy to się kłóci z pańskimi procedurami. Tutaj jesteśmy z dala od metropolii, a to pociąga za sobą elastyczność w działaniu; elastyczność, która jest wyjątkową zaletą tego krańca świata. Nieskorzystanie z niej byłoby śmieszne.

Upiwszy łyk, Jeremy postanowił ruszyć do ataku:

–Przecież mógłby się pan znajdować na liście podejrzanych, a wtedy czytanie raportu z dochodzenia stanowiłoby już problem.

–Ja na liście podejrzanych? Wydawało się to tak groteskowe, że nie pozostało mu nic innego, jak się roześmiać.

–Straciłeś głowę, Jeremy? – zadrwiła Jezabel.

–Mówię poważnie. A tak w ogóle, to co pan robi w nocy, panie Keoraz?

–Detektywie! Jest pan tu po to, żeby znaleźć sprawcę i mi pomóc, czy też po to, żeby mi zaszkodzić? Proszę jasno postawić sprawę, żebym wiedział, kto jest moim sprzymierzeńcem, a kto wrogiem.

Jeremy wyjął z pudełka papierosa i zapalił, wyjaśniając ze spokojem:

–Nie staram się sprowadzić na pana żadnych kłopotów, po prostu wykonuję swoją pracę. Gdybym tego nie zrobił, można by tę pomyłkę wykorzystać podczas procesu, aby uniewinnić oskarżonego.

Po czym dodał ostrzejszym tonem:

–„Jak może pan wykluczyć kogokolwiek innego, detektywie Matheson, skoro nawet nie przesłuchał pan wszystkich osób zamieszanych w sprawę?” Takie słowa w ustach adwokata bardzo by zaszkodziły naszemu oskarżeniu.

Keoraz wypił jednym haustem resztę szampana, jaka mu została w kieliszku.

–Doskonale; proszę pytać. Co chce pan wiedzieć? Jeremy wpatrywał się weń, usiłując przebić się przez jego pancerz człowieka interesu i wysondować, co naprawdę myśli. Nie zdołał jednak zerwać mu maski ani zakłócić gładkiego wyglądu, który podkreślał idealnie prosty przedziałek pośrodku głowy. Keoraz był zimny niczym jaszczurka.

–Doceniam to – odrzekł wreszcie detektyw. – Powtórzę zatem pytanie o to, gdzie spędza pan noce.

Rozbawiony pytaniem Keoraz położył dłoń na rękę żony.

–Tutaj, w domu. A czasem w Mena House w Gizie.

–Śpi pan sam?

–Co to za pytanie?

–Proszę odpowiedzieć. Zamiast Keoraza zrobiła to Jezabel:

–Przecież mnie znasz, Jeremy; powinieneś więc wiedzieć, jak to jest. Jeremy przełknął aluzję, nie dopuszczając do tego, aby zawiądnęła nim wyobraźnia.

–Chciałbym to usłyszeć od pana – odparł.

–Nie – przyznał Keoraz. – Nie śpię sam, jest ze mną Jezabel.

–A więc ona jest pańskim alibi na wszystkie noce, podczas których popełniono zbrodnie?

–Oczywiście! Skoro potrzebuję alibi... Ale nie wydaje mi się, żeby tak było, detektywie.

Jeremy wypił kolejny ognisty łyk.

–Przyzna pan chyba, że to trochę słabe alibi – powiedział. – Nawet jeśli człowiek nie ma ciężkiego snu, trudno mu stwierdzić z całą pewnością, że osoba, z którą śpi w jednej sypialni, nie ruszyła się z niej przez całą noc.

–A jednak mogę to zaświadczyć – nie ustępowała Jezabel. Jeremy powstrzymał się od odpowiedzi na tę zaczepkę. Posuwał się i tak za daleko;

przekroczył zawodowy obiektywizm, dopuszczając do głosu zazdrość. Grozi mu dyskredytacja i ośmieszenie.

–Dobrze; musiałem zadać te pytania – oznajmił, wyciągając przepraszająco dłoń przed siebie. – Jestem pewien, że pan to zrozumie.

Jezabel wrzuciła niedbałym gestem niedopałek do środkowego basenu. Mąż zazgrzytał zębami, nie chcąc jej urządzić sceny przy gościu. Odczekawszy, aż złość mu minie, zwrócił się

do detektywa:

–Jak mi wiadomo, aż do wczoraj nie było żadnego konkretnego tropu. Czyżby coś się zmieniło?

–Przykro mi, nie mogę z panem rozmawiać na ten temat, ale proszę nie brać tego do siebie. Powiedzmy, że śledztwo trwa.

Keoraz już miał odpowiedzieć, gdy niespodziewanie wyraz jego twarzy uległ całkowitej zmianie. Z zamkniętego w sobie i chłodnego stał się niemal czuły.

–A ty dlaczego jeszcze nie śpisz? Jeremy przyglądał się, jak wstaje i podchodzi do dziesięcioletniego chłopca, który

pojawił się właśnie w jednych z drewnianych drzwi. Malec miał tak samo ostry profil jak jego ojciec. W jednej dłoni trzymał misia, w drugiej zaś medalik od chrztu.

–Przedstawiam panu mojego syna, detektywie. Oto Georges Keoraz. Jeremy lekko skinął chłopcu głową, nie otrzymując żadnej odpowiedzi.

–Chodź ze mną – powiedział do dziecka Keoraz z łagodnością, która wcale do niego nie pasowała. – Powinieneś już być w łóżku, jutro masz przecież lekcję z panią Lentini, jeśli się więc nie wyśpisz, nie będziesz miał dość sił, żeby wsiąść do tramwaju; to zupełnie jak ze szkołą, ty...

Milioner wziął syna na ręce i zaczął mu coś szeptać na ucho.

–Zostaniesz na kolacji? Skoro chociaż raz tu przyszedłeś, szkoda by było z tego nie skorzystać... – usłyszał Jeremy z ust Jezabel.

* * *

Stan dachu domu, w którym czatował Azim, odzwierciedlał jego wiek: nie tyle robił wrażenie, ile niepokoił. Po obu stronach widniały pęknięcia bardziej wyraźne niż linie dłoni. Wchodziło się nań przez otwarty właz, z którego wystawały dwie żerdzie drabiny przypominające rogi ukrytego diabła.

Płócienny daszek, pod którym kołysały się dwa hamaki, wznosił się na masztach zagłębionych w źle wydrążonych otworach. Na dywanie stał dzban wody i garnek daktyli -jedyne zapasy, jakie mieli...

Na jednym z hamaków drzemał Azim, spod którego wąsów wydobywał się świst. Jego towarzysz, niejaki Chalil, siedział oparty o podmurówkę, położywszy dłonie na chwiejnej konstrukcji. Czekał, aż zapadnie noc.

Podczas gdy cała reszta dzielnicy spała pogrążona w mroku, z głównych arterii, w miarę jak dopalały się latarnie, emanował łagodny blask.

Czuwali w Al-Gamalijja już od wielu godzin, potwór jednak nie dawał znaku życia.

Chalil omiół szerokim spojrzeniem rozmaite miejsca, z których mógł nadejść sygnał. Nie było żadnego ruchu, żadnego światła.

Sen zaczął otulać miasto płaszczem ciszy, tłumiąc dźwięki, przytępiając umysły i pogrążając w odrętwieniu ciała.

Młodzieniec przesunął się do tyłu, po czym wyprostował, żeby sięgnąć po garść daktyli. Detektyw pochrapywał cicho, lekki sen nie pozwalał mu bowiem na większe rozluźnienie.

Nagle w oddali rozległ się suchy trzask zamykanej okiennicy, podrywając Chalila z miejsca.

Azim otworzył kilka razy usta, po czym pogrążył się ponownie w ciepłych snach.

Chalil zaczął spacerować po dachu w tę i z powrotem w powolnym rytmie. Całe podniecenie poprzedniego dnia opadło. Teraz, gdy wszelkie emocje przyćmił upływ czasu, pozostała jedynie nuda. Chalil przysiadł na poręczy.

Delektował się z drzeniem kolejnym daktylem.

Jego koc został w hamaku, zawahał się jednak, czy powinien po niego pójść i się okryć. Noce zaczynały być coraz chłodniejsze, w tym roku bowiem pustynny wiatr był zdecydowany pochłonąć wiosnę, przynosząc Egiptowi wczesne lato. „Będzie dobrze, jeśli uda się przynajmniej uniknąć inwazji szarańczy”, pomyślał Chalil.

Ziewnął, wyciągając ramiona ku niebu.

Z prowizorycznego siedzenia oderwał się kawałek kamienia, po czym natychmiast zniknął w ciemnościach ulicy piętnaście metrów niżej.

Chalil poleciał do tyłu.

W absolutnej ciszy.

Ledwie zdążył czknać, zaskoczony.

Błyskawicznie uczeplił się murku, który ciągnął go w przepaść.

Przebierał palcami w pustce. Zahaczył o coś paznokciami.

Zacisnąwszy z całej siły pięści, napiął mięśnie brzucha, z torsem niebezpiecznie przechylonym ku śmierci.

Po czym, wstrzymując oddech, przewrócił się na właściwą stronę.

Spadł swobodnie między szczelinami dachu, dziękując Allahowi drżącym szeptem.

O mały włos poleciałby na dół i roztrzaskał o ubitą ziemię; kości czaszki rozsypałyby mu się niczym rozbita skorupa, a mózg rozpląnąłby się wśród odłamków. Chalil skupił całą uwagę na gwiazdach.

Naprawdę niewiele brakowało...

Gdyby opatulił się wcześniej kocem, nie uszedłby z życiem.

Powietrze wydało mu się teraz przyjemniejsze. Nagle zaskrzypiało drewno drabiny.

Nikogo.

Podszedł bliżej, ciągnąc po zakurzonej podłodze dachu mokasyny z wygarbowanej skóry. Zajrzał do dziury z dłonią zaciśniętą na żerdzi.

W dole było zupełnie ciemno i Chalil nic nie zobaczył.

Naraz jedna z żerdzi zaskrzypiała ponownie.

Chalil przykucnął i wsadził głowę do czarnego otworu w kształcie kwadratu.

Może to dziewczyna z pierwszego piętra?

– Jest tam kto? – szepnął. – Mino, to ty? Zaledwie metr od jego twarzy zarysował się jakiś kształt. Po czym z mroków nocy

wyłoniła się czyjaś dziwna głowa.

Dwoje żółtych oczu. Nieludzkich.

Chalil odskoczył do tyłu z krzykiem. Gdy oparł się o drabinę, aby móc bardziej się odchylić, zaczęła się kołysać.

Nagle rozległo się wściekle miauczenie, a z dziury wypadł, prychając, kot, któremu zakłócono spokój.

Tymczasem Azim, który zdążył szybko zeskoczyć z hamaka, biegł już na pomoc koledze, trzymając dłoń na kaburze przy pasie.

– Co się dzieje? – wyjąkał, nie do końca rozbudzony. Chalil z ulgą wybuchnął śmiechem.

– Co? No co? – dopytywał się Azim, który wcale nie podzielał jego dobrego samopoczucia.

–Nic; to tylko kot. Kot, który napędził mi strachu. Całe nagromadzone w nim napięcie opuściło Azima podczas jednego długiego

wydechu. Detektyw potarł twarz dłonią.

Wtem Chalil zerwał się na równe nogi.

–Sygnał! Sygnał! Młodzieniec, którego cała radość ulotniła się w jednej chwili, wybałuszył oczy, pokazując palcem na północ.

Spojrząwszy we wskazanym kierunku, Azim dostrzegł na szczycie niewielkiego budynku światło poruszające się w prawo i lewo. Zacisnął pięść. Nareszcie. Ghul wyszedł z nory.

CZĘŚĆ TRZECIA 29

Cały fragment, który Marion właśnie przeczytała, został napisany w osobliwy sposób.

W miejscu, w którym autor dziennika, Jeremy Matheson, zakończył prezentowanie swoich wniosków o domniemanej winie Francisa Keoraza, narysował ogromną strzałkę odsyłającą czytelnika do ostatnich stron. Marion znalazła tam dodatkowy, długi rozdział poświęcony wyłącznie Azimowi i opisowi nocy spędzonej na polowaniu na potwora. Najwyraźniej Jeremy wykorzystał częściowo opowieść swojego kolegi, ale także rozmaite zeznania, które zdołał usłyszeć, na przykład znanego mu osobiście Chalila.

Marion podejrzewała jednak, że przy opisie uczuć, jakie targały Azimem, Jeremy'ego za bardzo poniosła wyobraźnia. Chwilami zachowywał się tak, jakby znajdował się w skórze egipskiego detektywa.

Ów odsyłacz na sam koniec dziennika – jakby chodziło o dodany w ostatniej chwili fragment, którego nie można by wstawić inaczej niż za pomocą strzałki narysowanej na górze każdej strony – wydawał się dziwny. Marion postanowiła więc, że gdy przekroczy połowę czytanego właśnie rozdziału, będzie czytać na przemian z tym dołączonym. W ten sposób przechodziła kolejno od polowania Azima na uliczkach Kairu do kolacji Jeremy'ego u Keorazów. Dzięki temu napięcie wzrosło jeszcze bardziej.

W pewnej chwili wyprostowała się trochę na łóżku i sprawdziła godzinę na budziku.

Wpół do pierwszej.

Robiło się późno.

„I co z tego, mała? Przecież jutro niedziela... A poza tym tutaj...”

Zamierzała kontynuować lekturę bez przerywania, żeby sprawić sobie przyjemność. A przynajmniej doczytać ten kawałek na końcu dziennika. Ten o Azimie.

Tymczasem na dworze przestało padać. Marion pospiesznie zerknęła przez okno.

Taras cmentarza srebrzył się w promieniach księżyca, który wyjrzał wreszcie zza chmur. Wiatr gwizdał we wszystkich ulicach wzdłuż fasad domów, hulając wśród stel.

Kamienne krzyże w tym niezdrowym lesie nosiły na swoich podstawach Chrystusa -boski owoc, którego stan bardziej lub mniej zaawansowanego zbutwienia świadczył o zmieniających się porach roku. Nagle pośrodku tych wszystkich umęczonych i zniekształconych ciał Marion spostrzegła czyjąś twarz.

Okrąglą głowę, która w świetle księżyca wydawała się biała.

Oczy były bardziej prawdziwe niż naturalne. Zmęczenie i mrok złagodniały.

Wówczas Marion pojęła, że twarz wcale nie znajduje się na krzyżu.

Lecz na żywym ciele. Tam rzeczywiście ktoś był. Drgnęła.

Na cmentarzu był jakiś mężczyzna, który ją śledził.

Marion natychmiast zgasiła światło, żeby pokój pogrążył się w ciemnościach. Po czym wstała z łóżka i podeszła do okna.

Schowała się starannie za ścianą, tak że było widać tylko jej prawe oko, którym wyglądała na zewnątrz.

Mężczyzna stał między grobami. Z rękami w kieszeniach nieprzemakalnego płaszcza. Kołysał się w ciemnościach, usiłując dojrzeć, co się wydarzyło w pokoju Marion.

To był Ludwig. Stróż nocny.

Marion odetchnęła. Na szybie, na wysokości jej ust, pojawił się obłok pary.

Ludwig pochylił się do przodu, oblizując wargi. Podniósł dłoń, zawahał się, niepewny, co właściwie widzi, i na wszelki wypadek pomachał do Marion przyjaźnie. Ona jednak powstrzymała się przed tym, żeby uczynić to samo.

Odczekała, aż Ludwig opuści cmentarz, i wzruszając ramionami, wróciła pod kołdrę.

Tylko tego brakowało. Nocnego stróża podglądacza!

Od jak dawna ją śledzi? Czy ten facet nie ma nic lepszego do roboty?

„O tej porze na Mont-Saint-Michel... prawdopodobnie nie...”

Gdyby to był piętnastoletni smarkacz, który próbuje podglądać, jak ona rozbiera się do snu, uśmiechnęłyby się tylko łagodnie, ale Ludwig... Przecież to odpowiedzialny, dorosły mężczyzna... „Skończony palant i tyle!” – zachnęła się.

Obiecała sobie, że przy najbliższym spotkaniu wprawi go w zakłopotanie. Będzie musiała znaleźć jakąś ciętą ripostę, aby mu utrzczyć nosa, to mu się odechce raz na zawsze.

Na razie przeszła jej ochota, żeby powrócić do lektury. Nie miała już chęci zanurzyć się w atmosferze Kairu lat dwudziestych. A tym bardziej zapalić lampki nocnej!

Marion opadła na łóżko, szykując się do snu, zanim jednak zamknęła oczy, długo przewracała się z boku na bok, rozmyślając o Ludwigu. Zdumienie przeradzało się coraz bardziej w gniew.

Tymczasem wiatr przybrał na sile, wyjąc niczym chmara nocnych ptaków. Hulał nad miasteczkiem, gdy morze zaczęło uderzać o bramy murów.

Marion chwyciła się poręczy, usiłując wdrapać się po schodach biegnących wzdłuż murów obronnych.

Burza rozpoczęła się nad ranem.

Okiennice waliły o ściany z samobójczą siłą.

Morze grało na falujących cymbałach, wydobywając z nich trémolo piany, która uderzała o wieże, oblewając kamienie z wściekłą radością.

Marion skuliła się, aby ochronić się przed potężnym wichrem, przytrzymując się wolną ręką, podczas gdy torba obijała się o jej obolałe ramiona. Ledwie się obudziła, postanowiła, że nie będzie czytać w salonie, ale w miejscu bardziej odpowiednim do tego celu – w jednej z sal Merveille.

Dopiero wspinając się po schodach zwanych Grand Degré Intérieur, uświadomiła sobie ogrom zagrożenia. Pragnienie czytania stało się w jej oczach tylko idiotycznym pomysłem, godnym pożałowania kaprysem. Tutaj wiatr wiał z jeszcze większą siłą niż w miasteczku, mknąc w dół z szaleńczą prędkością, wciskając się w wąwóz, który tworzyły z jednej strony wysokie ściany pomieszczeń mieszkalnych opactwa, z drugiej zaś mury kościoła. Jego gwałtowność była bardziej przerażająca niż nieustanne wycie. Plątał się między nogami Marion, oklejając jej ciało ubraniami, jakby chciał ją porwać, po czym usiłował zwalić z nóg. Za każdym razem, gdy podnosiła nogę, groziła jej utrata równowagi i upadek w dół.

Wiatr ten miał w sobie coś złowieszczego.

Ona, zwykle rozumująca w duchu kartezjańskim, nie mogła się powstrzymać, żeby nie pomyśleć o filmie *Egzorcysta*. Miała wrażenie, że jakaś nadnaturalna siła rzuca się z samego szczytu schodów, by wszystko zabrać; że wiatr jest tchnieniem samego diabła. W samym zaś środku tego chaosu śpiewy liturgiczne, zaintonowane przez wspólnotę owego niedzielnego poranka, brzmiały jak pieśni odkupienia.

Marion udało się pchnąć drzwi, które zamknęła, natychmiast napierając na nie całym ciałem.

Potrząsnęła głową.

„W życiu nie widziałam takiej burzy!”

Odzyskawszy równowagę, powróciła myślami do swoich majaków na temat diabła, który usiłował wypchnąć ją do nieba. I choć była to wierutna bzdura, w ogóle jej to nie dziwiło, gdyż zawsze miała bujną wyobraźnię.

Przemierzywszy korytarz, zeszła po schodach, żeby znaleźć jakąś mniejszą salę.

Wiatr śpiewał swoją monotonną pieśń także w murach opactwa, gwiżdżąc i odbijając się echem we wnętrznościach kościoła, po czym uderzył z dwóch stron wysokich okien.

Marion upewniła się, że nadal ma w kieszeni dziennik.

Ależ wybrała sobie porę, żeby przyjść tu czytać! Nieco ogłupiała, zaczęła błędzić, kierując się instynktem, aż wreszcie trafiła na zaryglowane drzwi. Kiedy po przeszukaniu całego pęku kluczy znalazła wreszcie ten właściwy, weszła do długiego pomieszczenia znajdującego się na średnim poziomie Merveille, czyli do sali gości. Typowy dla zimy brak turystów pozwolił wspólnocie przekształcić salę w pokój do pracy. Pośród zasłanych starymi księgami stołów stało naprzeciw siebie kilka drewnianych pulpitów. Zanim podeszła bliżej, Marion upewniła się, że nikogo nie ma. Niektóre teksty pochodziły z XIII wieku.

Bracia zdołali zgromadzić ogromne ilości papieru z różnych epok i wiele rodzajów atramentu, żeby przystąpić do renowacji. Wśród słoików kolorowego pigmentu i rozmaitych narzędzi godnych inkwizycji, które służyły do konserwacji rękopisów, piętrzyły się kawałki dziewiczego pergaminu.

Marion krążyła między krzesłami.

Miejsce to nadawało się idealnie do czytania. Niestety bracia i siostry przyjdą tu zapewne w ciągu dnia, a wówczas – pomijając to, że bez wątplenia nie była mile widziana w tej sali – utraciłaby spokój, którego szukała.

Zamknąwszy za sobą drzwi, Marion krążyła jeszcze przez chwilę, po czym pchnęła następne drzwi, za którymi znajdowała się sala rycerska, czyli dawne skryptorium. Tym razem będzie miała spokój.

Nie chcąc zmuszać wzroku do wysiłku w panującym wokół półmroku, usiadła pod jednym z okien, upewniła się po raz kolejny, że jest sama, i wróciła do marcowej nocy 1928 roku, kiedy to Azim tropił zagadkowego ghula, a Jeremy spędzał noc u Keorazów.

Tymczasem wiatr uderzał o szybę za jej plecami ze stałą gwałtownością, jakby ktoś przystawił tam twarz i także chciał przeczytać tę niesamowitą opowieść.

Po zjedzeniu kolacji przeszli do saloniku.

Jeremy usiłował odrzucić zaproszenie, ale żadna z tysiąca wiarygodnych wymówek, dzięki której mógłby się wykręcić, nie zdołała opuścić jego umysłu. Milczał tak długo, że w końcu nie potrafił się już wycofać.

Francis Keoraz mówił niemal wyłącznie o sobie i własnych sukcesach, wychwalając się pod niebiosa ze zdumiewającym znużeniem. Po upływie godziny Jeremy zaczął jednak traktować tę sytuację jako niespodziewaną okazję, żeby jeszcze lepiej go poznać. Zgłębić zachowanie milionera i znaleźć jakiś wylom; osiąść jego umysł, a następnie sporządzić mapę jego meandrów. Była to ze strony Jeremyego oznaka zarozumiałstwa, ale myśl ta coraz bardziej go pociągała.

Co prawda podczas wypytywania go o szczegóły pilnował się, żeby nie wyjawić Keorazowi żadnych osobistych informacji, ale Jezabel często i z upodobaniem wbijała mu szpilę.

Przy kolacji jednak złagodniała, stając się bardziej troskliwa; chwilami wręcz zachowując się jak współniczka. Zwracając się do Jeremy'ego, dwukrotnie zapytała, czy przypomina sobie określony dzień lub szczegół z ich dawnego życia. Za każdym razem detektyw dostrzegł w oczach Keoraza błysk przypominający sztylet zazdrości.

„Przynajmniej to łączy nas obu”, zauważył w duchu z gorzką ironią.

Napełniwszy kieliszki trunkiem sprowadzanym prosto ze Szkocji, pan domu otworzył piękne metalowe pudełko papierosów Nestor. Jeremy wziął jednego.

–Gra pan w bilard, detektywie?

–Zdarza mi się. Keoraz skrzywił się, ubawiony, po czym dał mu znak, żeby poszedł za nim do sąsiedniego pokoju. Pod lampą z frędzlami stał wspaniały stół bilardowy z lakierowanego drewna.

Jeremy zaciągnął się dymem z papierosa i mruknął z zadowoleniem.

–Są dobre, nie? – roześmiał się Keoraz z porozumiewawczą miną. – Kupuję je całymi skrzynkami w Groppis's, kosztują majątek! Ale ten tytoń jest wart każdego wydanego piastra...

–Dla tego, kto może sobie na to pozwolić – dodał Jeremy, nie mogąc się powstrzymać. Kiedy każdy z nich wybrał sobie kij, Jeremy rozpoczął grę. Tymczasem Jezabel zajęła

miejsce na obitej aksamitem ławce, trzymając szklanekę w dłoni.

–Należy pan do jakiegoś klubu? – zapytał Keoraz po kilku minutach gry.

–Chodzę do wszystkich klubów na ulicy. Wszędzie tam, gdzie jest stół bilardowy, partner i zaproszenie.

Keoraz pochylił się nad zielonym filcem.

–A tak przy okazji, proszę się przyłączyć do nas w Sporting Club w Gezirze, a będzie pan miał okazję zamknąć buzię wielu nadętym chwalipiętom.

–Zastanowię się. Keoraz wycelował dokładnie, przesuwając kij w dłoni do przodu i do tyłu, z surową

miną. Uderzywszy w bilę, obserwował, jak zmienia kierunek.

–Dlaczego założył pan fundację? Keoraz, który najwyraźniej nie spodziewał się tego pytania, porzucił grę, posyłając

Jeremy emu badawcze spojrzenie.

–Dlaczego? – powtórzył z nieoczekiwaną powagą. – Jak pan sądzi: jakim jestem człowiekiem? Skąpym i niepoprawnym łajdakiem? A może filantropem, który chowa się pod maską opryskliwego człowieka interesów? Och, proszę się nie trudzić i nie odpowiadać; po pańskiej minie już widzę, jakie ma pan o tym zdanie. Chce pan wiedzieć, panie Matheson? Miałby pan w połowie rację, a w połowie by się pan pomylił. Jestem i jednym, i drugim, detektywie. Jak wszystkie istoty na tej planecie. Nie jestem ani biały, ani czarny, tylko bezbarwny, i staram się nie zboczyć z drogi oślepiony którymś z kolorów. Stawiając kroki, przybieram taką barwę jak strona, na którą spadam, zanim odzyskam równowagę. I tak dalej...

Jeremy okrążył stół, usiłując znaleźć najlepszy możliwy kąt uderzenia.

–Nie wszystkie istoty na świecie muszą być koniecznie szare, jeśli wolno mi zauważyć – odrzekł.

–Tego nie powiedziałem. Nie mamy żadnego koloru; przybieramy barwę własnych myśli i uczynków. One z kolei są równie zmienne i zróżnicowane jak paleta malarza.

Keoraz zaproponował Jeremyemu grabki, ten jednak odmówił krótkim potrząśnięciem głowy.

–Moja fundacja jest wszystkim, co mogę zrobić, aby powiedzieć temu krajowi, że go podziwiam, na swój własny sposób, detektywie. Mam tyle pieniędzy, że nie jestem w stanie ich policzyć, coż więc mógłbym ofiarować temu miastu, żeby mu podziękować? Zadbaj o jego potomstwo, o ludzi jutra. Zgodnie z kairską tradycją, utworzyłem fundację, której celem jest nauczanie; coś w rodzaju *wakfu*, który pozwolił wybudować te olbrzymie fontanny widoczne na ulicach oraz salę na piętrze, żeby czytać Koran. Różnica polega na tym, że moja fundacja jest

nastawiona na nauczanie ogólne i jest otwarta dla tych nielicznych rodzin, które zgadzają się posyłać jednocześnie córki i synów.

–Groźny pan Keoraz ofiarowuje kulturę dzieciom Egiptu! – rzucił z emfazą Jeremy. – Godne podziwu!

–Pan w to nie wierzy, prawda? Należy pan do tych sceptyków, którzy się zastanawiają, co się kryje za tym przejawem współczucia i hojności ze strony twardego w interesach milionera. Powtarzam: nic. Nie ma większego egoizmu niż czuć się lekko z rana. Pewnie pan myśli, że założyłem tę fundację, aby uspokoić sumienie, a ja na to powiem, że zapewnia mi ona pewien rodzaj spokoju. Sądzę, że to kwestia punktu widzenia. Nie jestem diabłem, którego wielu we mnie widzi. Jak już mówiłem, jestem taki sam jak wszyscy: ani z gruntu zły, ani naprawdę dobry.

–A przecież istnieją źli ludzie. Potwory zdolne do wszystkiego. Keoraz trzymał kij pionowo przed sobą, opierając dłonie na szczytówce, na wysokości mostka.

–Właśnie tu tkwi sedno sprawy, mój drogi. Otchłań zła. Jeremy zajął pozycję do gry.

–Otchłań zła? – zastanowił się głośno. – Nigdy o tym nie słyszałem.

–Przepaść dzieląca tych, którzy uważają, że potwory istnieją, od tych, dla których człowiek rodzi się dobry albo przynajmniej neutralny i dopiero zmienia się pod wpływem przeżyć. Zło jest istotą naszego społeczeństwa czy toczącym je robakiem?

–Rousseau? Keoraz puścił oko do detektywa.

–Dobrze. Ale nie tylko. Otchłań zła to zagadnienie, które dręczy ludzkość od początków cywilizacji. Jesteśmy owocem naszych doświadczeń czy też rodzimy się z predyspozycjami do tych doświadczeń? Czy wszyscy najgorsi zbrodniarze są zbrodniami dlatego, że zaznali najpotworniejszych cierpień, które zniszczyły ich osobowość, czy może dlatego, że urodzili się z tą skłonnością do przemocy?

Jeremy zrezygnował ze strzału, aby zadać pytanie:

–Czy to nie w kręgach współczesnych myślicieli zajmujących się umysłem mówi się, że dziecko tworzy podwaliny ludzkiego charakteru przez swój rozwój? Być może dziecko prześladowane w szkole przez rówieśników rozwija w sobie rodzaj... mechanizmu obronnego, nienawidząc wszystkich innych dzieci bez różnicy i...

–Zaraz, zaraz, detektywie! Przerywam panu. Rzecz nie polega na tym, żeby się dowiedzieć, jakie skutki wywołałaby ta sytuacja w umyśle dziecka, ale dlaczego doszło do tej sytuacji. Dlaczego to dziecko wzbudziło złość i nienawiść u swoich kolegów? Jak przypuszczam, z

powodu złych uczynków, złośliwych lub obraźliwych słów. Dlaczego na samym początku tak się zachowywało?

Keoraz oderwał się od rzeczywistości i wpadł w trans typowy dla wielkich mówców, którzy porywają słuchaczy w równym stopniu własną charyzmą, co zabarwiającą ich słowa emocją.

–Czy zło – ciągnął – jest dolegliwością, której nabawiamy się przez sam fakt, że żyjemy, przypominając chorobę duszy, w pewnym stopniu podobną do melancholii, czy też jest ono tą tajemniczą siłą, która zamieszkuje nasze komórki już od pierwszych przeblysków stworzenia? Oto dwie odmienne wizje istoty zła. Oto, czym jest otchłań zła, odwieczna dyskusja na temat istnienia dobra i zła albo na temat bezbarwnej, przypominającej kameleona natury ludzkiej.

Detektyw uderzył kijem, ale nie trafił.

–I cóż, Jeremy, czyżby dyskusja na temat natury ludzkiej budziła w twoim umyśle jakiś sprzeciw? – zadrwiła Jezabel, która nagle odzyskała swoją pogardliwą wyniosłość.

Jeremy ustąpił miejsca milionerowi, nie zwracając na nią uwagi.

–Przyznaję, że nie wiem, po której stronie otchłani zła się opowiedzieć... Czasami miałem okazję zobaczyć straszną naturę niektórych z nas. Nie twierdzę, że rodzimy się źli albo że się tacy stajemy. Obawiam się, że jednego od drugiego nie dzieli aż taka przepaść. Ale wiem, że istnienie zawiera w sobie zło. I że nawet najlepsi mogą czasem spaść na drugą stronę, zarażeni, bez nadziei na uleczenie. Człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Jego ton i wyraz twarzy wzbudziły szacunek Jezabel.

–Mówisz tak, jakbyś sam padł ofiarą tej transformacji. Zdanie to nie zabrzmiało jak pytanie, ale jak pełne obaw stwierdzenie.

–W pewnej mierze.

–Wszyscy detektywi noszą w sobie taką ranę? – zapytała niemal z czułością.

–To nie ma nic wspólnego z moim zawodem. Keoraz pojął w jednej chwili. Odłożył kij na brzeg stołu.

–Wojna... – powiedział. Jeremy podniósł na niego wzrok.

–Jest pan w odpowiednim wieku – stwierdził Keoraz – i ma warunki fizyczne oraz psychiczne, żeby walczyć na wojnie.

Jeremy obliznął językiem wargi, szukając wzrokiem szklanki. Jezabel wstała bez słowa, żeby mu ją przynieść.

–Człowiek odsłania swoją prawdziwą naturę w ekstremalnych warunkach, czyż nie jest to

bezsponny banał? – powiedział, upijając łyk. – Mówię z doświadczenia, że zło to w takim samym stopniu byt w kosmosie, co gorączka trawiąca nasze społeczeństwo.

Keoraz, który podszedł z kryształową karafką w dłoni, dolał Jeremy’emu whisky.

–Bez względu na to, jak są potworne, okrucieństwa czasów wojny to ich nieodłączna cecha – oświadczył milioner.

Jeremy wypił dwa spore łyki.

–Owa nieodłączność to tylko wymówka. To, o czym mówię, nie dotyczy wyłącznie zabijania Niemców. Mam na myśli to, co działo się w samej jednostce. Wśród brytyjskich *gentlemen*.

Jezabel skrzyżowała ręce na piersiach.

–Podczas tej wspaniałej epoki zorganizowanej masakry byłem świadkiem naj podłej szych prześladowań. Wyobraźmy sobie grupę perwersyjnych podoficerów, którzy za dużo czasu spędzili we krwi i w błocie, i mieli dość. I młodego, zbyt niewinnego żołnierza. Młodzieńczego, pięknego i czystego jak plaża po odejściu morskiej fali.

Jego oczy płonęły w świetle bilardowej lampy.

–Widziałem, jak go prześladowają. Jak robią z niego kozła ofiarnego, wyzywając się na nim na przemian fizycznie, psychicznie i seksualnie. Niczego mu nie oszczędzono. Niczego. Trwało to osiem miesięcy. Między torturami zaś były bitwy, ciała ludzkie zmielone na miazgę przez huczące działa, wrzaski tych, z którymi grał w karty jeszcze trzy godziny temu, a jako jedyny punkt odniesienia: jałowa ziemia, obrabiana przez broń i zbroczona krwią, na której nie rosło nic oprócz korzeni rozpaczy.

–I nikt się nie wtrącił, żeby ratować tego młodego człowieka? – oburzyła się Jezabel szeptem, w którym było słycać poruszenie.

–Byliśmy odłączeni od reszty oddziałów, na posterunku oddalonym od świata i dowodzonym przez oficera, którego duma zaślepiła tak bardzo, że nie potrafił w ogóle uwierzyć, że jego ludzie mogliby zrobić coś takiego. Podczas wojny hierarchia służbowa była jedyną rzeczą, jaką należało respektować. Mogłaś zdechnąć z głodu, z zimna albo od kul, ale nigdy nie wolno ci było podważać hierarchii. Karą za to byłby pluton egzekucyjny. Wszyscy zaś oprawcy byli podoficerami. Sprzeciwienie się im oznaczałoby samobójstwo.

Jeremy wziął bez pytania karafkę i nalał sobie następną szklaneczkę.

–Któregoś dnia pewien człowiek, miał na imię Dickey, zareagował. Nie mógł dłużej znieść płaczu młodego żołnierza. Na widok trzech z czterech podoficerów, którzy zbliżali się właśnie, żeby poużywać sobie na swoim „obiekcie”, Dickey wstał i zagroził im drogę. Trafił na trzy dni do infirmerii, a kiedy wrócił, tamci zamienili jego życie w piekło. Zginął tydzień później w leju

po pocisku. Od tej pory jednostka wołała zamykać oczy i zatykać uszy, jeśli było trzeba. Większość ludzi miała przynajmniej dziewczyny, jeśli nie żony i dzieci, chcieli

więc wrócić do kraju. Śmierć zbyt często krążyła nad okopami i zasiekami, żeby prowokować ją pod własnym kocem. Poza tym podczas wojny łatwiej udawać, że się nie widzi.

–A pan? – chciał wiedzieć Keoraz.

–Czekałem, aż to minie.

–Jak to się skończyło? – zapytała wzburzona Jezabel. Jeremy opróżnił szklaneczkę ze wzrokiem wpatrzonym w pustkę.

–Pewnego dnia – odrzekł – młody żołnierz nie chciał im ulec. To chyba była kropla, która przepełniła czarę. Podoficerowie chwycili za bagnety i zaczęli się z nim zabawiać. Pozostali żołnierze po kolei wyszli z namiotu. Męki trwały przez wiele godzin. Prześcieradło było potem czerwone od krwi. Tym razem kaci nie zdołali ukryć tej potworności, nieszczęśnika zaś zabrano do szpitala. Podobno przez kilka dni nie mówił, nie pisał ani słowa, nawet nie krzyknął z bólu, tylko ciągle krwawił. Z posiniaczoną twarzą i olbrzymią raną na piersiach.

W ciszy, jaka nastąpiła, Keoraz zapalił papierosa, nie spuszczając z oka detektywa. Jezabel płakała.

Jej płonące zielone tęczęwki skrzyły się za zasłoną łez. Zacisnęła zęby, starając się powstrzymać wstrząsające nią łkanie.

–Co się stało z podoficerami? – zapytał Keoraz.

–Zostali skazani przez sąd wojenny. Ale zanim to nastąpiło, zdziesiątkowali połowę jednostki podczas samobójczych ataków.

–A młody żołnierz?

–Nie wiem. Sądzę, że zginął; zresztą w środku i tak był już martwy. Chyba że zaraził się złem, stykając się z nim na co dzień. Tak czy inaczej, jego życie zostało złamane.

Jeremy pochylił się ku Jezabel, która wpatrywała się weń bez mrugnięcia powieką. Łzy spływały jej po twarzy, tworząc lśniąca perłę w dołku nad górną wargą.

Kogo teraz w nim widziała? Jaki obraz miała przed oczami na wspomnienie jego imienia, tego, co wspólnie przeżyli? Przecież on zawsze kłamał, odpowiadając na jej pytania o tamte czasy, o to, czy był na wojnie, ukrywając prawdę pod łgarstwami, które – powtarzane bez końca – sprawiły, że wreszcie sam w nie uwierzył.

–Widzi pan, panie Keoraz – powiedział Jeremy nienaturalnie cichym i drżącym głosem –

istnieją ludzie źli, zdolni do najgorszego. Być może niektórzy tacy się stają. To ofiary zła noszące w sobie ból niczym zjawy, które nie mogą dostąpić rozgrzeszenia. Istnieją jednak i tacy, którzy czynią zło, nie walcząc z nim, bez usprawiedliwienia, bez walki wewnętrznej; przeciwnie – sprawia im to radość. To potwory.

Przysunął się do Jezabel, żeby podać jej chusteczkę, którą nosił w kieszeni marynarki. Nie patrząc nawet na swojego rozmówcę, dodał tym samym tonem, w którym brzmiały gniew i cierpienie:

–Ci ludzie nie zasługują na proces. Oni zasługują jedynie na śmierć.

Z udami nabrzmiętymi z wysiłku Azim pokonał ostatnie stopnie schodów i wspiął się po drabinie na dach budynku.

Czekający nań Chalil podał mu dłoń.

–I co? Co pan widział? Czy to naprawdę był... diabeł? Azim opadł na dywan, wyciągając rękę ku dzbanowi wody Chalil podał mu kubek.

–Falszywy alarm – burknął Azim między dwoma łykami.

–Ale przecież... sygnał...

–To zbyt nerwowy człowiek zapalił lampę, ledwie zobaczył postać, która dziwnie szła. Tylko że to nie była żadna piekielna bestia, ale jakiś kuternoga.

Na twarzy młodzieńca odmalowało się rozczarowanie.

–Myśli pan, że naprawdę go zobaczymy? – zapytał.

–Nie wiem, Chalilu. Mój plan opiera się na szalonym prawdopodobieństwie. W ciągu ostatnich tygodni wielokrotnie widziano w tym sektorze ghula, jeśli więc będziemy mieli szczęście, to może... No, teraz odpocznij. Ja będę czuwał, a ty przejmiesz wartę na krótko przed świtem.

Chalil, który położył się na jednym z hamaków, wkrótce zapadł w niespokojny sen.

Opatuliwszy się kocem, Azim usiadł w kącie budynku, skąd miał widok na pogrążoną w martwocie dzielnicę. Beładna sylwetka Kairu tonęła w blasku gwiazd.

Azim w ogóle nie czuł zmęczenia, bieg po uliczkach miasta na chwilę przywrócił mu bowiem siły, a dodany do podniecenia strach stworzył mieszanekę wybuchową. Mimo wszystko – co za emocje! Zbliżenie się do podejrzanego przyprawiło go o niezłe dreszcze. Z dłonią na kolbie rewolweru, gotową wyjąć broń i strzelić.

Gdyby naprawdę miał do czynienia z ghulem, strzał nie na wiele by mu się przydał. Legendy mówią, że tylko siła modlitwy jest zdolna odepchnąć diabła.

–No, jazda, przyznaj się – szepnął do siebie. – Sam w to nie wierzysz. Inaczej nie natarłbyś na niego ze spuszczoną głową, wiedząc, że twoja broń jest nieskuteczna. Uważasz, że stoi za tym człowiek i jego knowania.

W takim razie kto to był? Dlaczego interesował się dziećmi po nocy? I to do tego stopnia, że, jak zeznał sklepikarz, wachał ich ubrania, próbował się zakraść do ich sypialni?

Azim powiódł nieco zagubionym wzrokiem po szczelinach w dachu.

Sam nie wiedział, co myśleć. Zmęczenie... Wzburzenie...

Skupić się, nie drzemać, czekać na sygnał. Tylko tyle...

Azim czekał. Z najwyższą czujnością.

Godziny mijały powoli. Na ulicach ciągle panowała cisza. Chłód coraz bardziej narastał, sprawiając, że w miarę jak robiło się coraz później, koce zaczęły przywierać do ubrań i ciała.

Azim zjadł mnóstwo daktyli, próbując zabić w ten sposób czas.

Ku jego ogromnemu zdziwieniu, wkrótce po pierwszej w nocy złożył mu wizytę imam. Uznawszy, że nie ma sensu czekać w meczecie, aż ktoś po niego przyjdzie, postanowił zrobić obchód ochotników, żeby udzielić im wsparcia. Obaj rozmawiali niewiele, głównie na temat ghula, którego imam ledwie ośmielił się tak nazwać. To, że duchowny najwyraźniej boi się potwora, wzbudziło w detektywie niepokój. Gdy zaczęli rozmawiać na temat decydującej roli, jaką będzie miał odegrać, jeśli czynnik ludzki zostanie wykluczony, na ciele imama pojawiły się krople potu.

Duchowny oddalił się godzinę później, zapewniając, że będzie miał oko na dachy i lampy. W razie, gdyby ktoś wysłał sygnał, miał odczekać pięć minut, dając Azimowi czas, aby ocenił sytuację na miejscu, po czym ruszyć z pomocą, na wszelki wypadek pozostając w zasięgu głosu.

Odzyskawszy spokój, Azim wrócił do samotnego oczekiwania.

Jego myśli zaczęły błądzić. Po czym zatrzymały się przy pewnym koledze.

Matheson nie wierzył w rzeczy nadprzyrodzone. W ogóle nie brał pod uwagę tego tropu, mimo że potwierdzały go zeznania dwóch różnych świadków. Anglik nie cieszył się zbyt pochlebną opinią kairskiej policji. Pracował sam, kiedy zaś nie mógł inaczej, nie dopuszczał nikogo, prowadząc dochodzenie na swój sposób i zachowując milczenie. To był zły partner. Ale doskonały detektyw.

Reputacja „zaufanego człowieka” sprawiała, że wszystkie lub prawie wszystkie drzwi stały przed nim otworem. Powiadano, że nie zdradza sekretów dotyczących swojego życia prywatnego. Azim, który zaczynał go poznawać coraz lepiej, wolał określenie „zachowuje

powściągliwość”. Matheson nie dzielił się z nikim informacjami ani o swojej pracy, ani o życiu osobistym. Bronił się równie zaciekle jak ranne zwierzę, pragnąc, by zostawiono go w spokoju, żeby mógł lizać rany, szczególnie zaś rozdarte serce.

Tak, jeśli się dobrze zastanowić, Matheson był...

Nagle Azim zerwał się na równe nogi i podbiegł do krawędzi dachu.

W oddali ktoś gwałtownie potrząsał lampą.

I to z taką zaciekłością, że płomień o mało nie zgasł. Ten, kto wysyłał sygnał, musiał być przerażony.

On nie tylko dawał znaki. Nie... On wzywał pomocy.

Marion podniosła wzrok znad książki.

Burza zagroziła drogę słońcu, pogrążając salę rycerską w ciemnościach. Kolumny dodatkowo pogłębiały strefę mroku, zasłaniając większą część pomieszczenia. Brakowało tylko płonących na ścianach pochodni, a poczułaby się zupełnie jak w średniowieczu.

Podczas pierwszej godziny spędzonej na lekturze dziennika Marion słyszała pieśni religijne, które dobiegały z kościoła aż tutaj, wzmagając poczucie, że znalazła się z dala od świata. Teraz towarzyszył jej jedynie gniew szalejących na zewnątrz żywiołów, bezustannie uderzających w okno z tyłu, ryczących i walących o szybę tak mocno, że kobieta aż podrywała się z miejsca.

Co jakiś czas w kamiennych korytarzach rozlegał się długi, przenikliwy jęk skargi, który cichł, mijając kolejne drzwi, aż wreszcie ginął w podziemiach Mont-Saint-Michel.

Zajrzawszy do torebki w poszukiwaniu jednego czy dwóch herbatników, które wzięła ze sobą, Marion zjadła je powoli, delektując się każdym kęsem.

Wyznania Jeremiego na temat jego przeżyć wojennych wyjątkowo ją poruszyły. W samą porę wywołały bowiem tę refleksję na temat zła i jego korzeni. Podobnie opowieść o tym, jak Azim i jego ludzie czatowali w uliczkach Kairu, była pasjonująca. W gruncie rzeczy ironia sytuacji niemal budziła wesołość. Podczas gdy jeden czyhał na zło, drugi usiłował zgłębić jego istotę.

Marion rozprostowała nogi, spacerując wokół znajdującego się najbliżej kominka, pod zacięzionymi ostrokołami, aż do przejścia na półpiętrze w południowej części sali. Wyobrażała sobie to miejsce z gobelinami na ścianach, mającymi za zadanie zarówno zatrzymać ciepło, jak i podzielić wielką salę na mniejsze pomieszczenia; z ogniem płonącym w każdym palenisku i z mnichami, którzy pochylają się nad pulpitemi, żeby ozdobić iluminacjami manuskrypty o na wpół sztywnych kartach. Zapach świec musiał przenikać do każdej cząsteczki, łącznie z dywanami na podłodze. Światło zaś musiało sprawiać wrażenie poruszającej się olbrzymiej istoty, która przemyka między obiciami, podczas gdy jej cętkowana czernią i bursztynem skóra widmowego lamparta faluje po sklepieniach.

Była tam. Niemal słyszała skrobanie piór po pergaminie, dzwonienie kałamarzy z inkaustem, miarowe skrzypienie krzeseł i delikatny szelest rękawów ocierających się o drewniane stoły.

Marion przemknęła między skupionymi przy pracy mnichami, między zimnymi kolumnami, aby znaleźć się bliżej okna, bliżej własnych spraw.

Rozpłynęli się powoli, pozostawiając za sobą jedynie wilgotną szarość. Marion upiła łyk wody z butelki, schowała ją do torebki i odwróciła się, żeby popatrzeć przez szybę na krajobraz za

oknem.

Rosnące w dole drzewa wyginały się niebezpiecznie. Ich gałęzie uderzały o siebie, mało się nie łamiąc, krzewy zaś kołysały się pod naporem nieprzerwanych niszczycielskich ataków wichru.

Deszcz smagał powietrze, zacinając niemal w linii poziomej. Na tej wysokości morze zlewało się z niebem, a wiry drobnych kropelek wody wznosiły się i opadały, tworząc słodko-słoną mieszankę.

Marion głośno wciągnęła powietrze pod wrażeniem tego widoku, po czym powróciła do lektury książki, pozostawiając Mont-Saint-Michel jego zmaganiom z przyrodą i czasem.

Przerwała czytanie na fragmencie dotyczącym Azima w rozdziale na końcu dziennika.

Bez trudu mogę sobie wyobrazić Azima, jak biegnie najpierw po jeszcze ciepłym bruku, w samym środku gwiazdzistej nocy, następnie po udeptanej ziemi uliczek, zmuszony kulić się na zakrętach, aby łatwiej mu było je pokonać, ledwie unikając zagradzającego drogę gruzu. Zbliżając się do sektora, z którego nadawano sygnał świetlny, Azim z pewnością zdążył się uspokoić i posuwał się naprzód, odzyskując oddech, aby nie robić hałasu. Musiał zachować ostrożność. Przecież tropił właśnie ghula... Jego umysł był rozdarty między wierzeniami przodków a naukami w duchu bardziej kartezjańskim, które zaszczerpił mu świat kolonialny. Zapewne musiał toczyć wewnętrzną walkę. Co właściwie spodziewał się znaleźć? Prawdziwego diabła czy przebranego szaleńca? Ciężar rewolweru raczej nie stanowił już dlań prawdziwej pocięchy. Azim znajdował się na...

Marion przerwała czytanie.

Właśnie otworzyły się drzwi wiodące do przejścia na półpiętrze.

Po czym ukazała się w nich zakapturzona postać.

Przebiegłszy salę wzrokiem, znieruchomiała. Po chwili pochyliła się ku Marion, opuszczając kaptur.

Brat Gilles oparł zwiotczale dłonie o metalową balustradę, przyglądając się uważnie kobiecie.

–A, to pani – odezwał się w końcu, ale w jego głosie nie było radości.

–Dzień dobry.

–Nie powinna tu pani siedzieć w taką burzę. Lepiej przeczekać ją w swoim pokoju. Marion delikatnie przesunęła płaszcz, zakrywając czarną książkę. Nie była pewna, czy

brat Gilles ją zauważył.

–Chciałam wykorzystać atmosferę – odrzekła.

–Wybrała sobie pani nie najszczęśliwszą porę, a od tej chwili lepiej pani zrobi, chodząc do opactwa w towarzystwie.

Marion wyciągnęła okazały pęk kluczy, które powierzył jej brat Serge.

–Mam najlepszego przewodnika z możliwych – zadrwiła, pokazując klucze. – Wystarczy odrobina cierpliwości i czasu, żeby otworzyć wszystkie drzwi.

Marion cieszyła się na samą myśl, że brat Gilles, który najbardziej na świecie lubi wszystkim rządzić w Mont-Saint-Michel, za chwilę wybuchnie. Zakonnik przeszył ją płonącym wzrokiem.

–Proszę tylko nie przychodzić na skargę, kiedy się pani zgubi albo kiedy spotka panią śmierć...

Dodawszy jeszcze przez zęby coś, czego Marion nie zdołała dosłyszeć, ruszył do wyjścia, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

–Stary dureń... – szepnęła z kolei ona.

Po czym wyciągnęła dziennik z nadzieją, że zakonnik nic nie zauważył. Sama nie wiedziała, na czym skończyła. Azim. Sygnał. Ghul. To było to, tak. Ghul...

Azim pędził co tchu po uliczkach. Jego skórzane podeszwy stukały o bruk albo klaskały o ubitą ziemię.

Przy każdym zbyt ostrym zakręcie, jaki pokonywał, kulił się, przenosząc niżej środek ciężkości. W ostatniej chwili odzyskiwał równowagę, chwytając się dłonią ściany domu lub opierając o nią ramieniem, po czym rzucał się w następną ulicę. Ciemności nie ułatwiały mu zadania; biegnąc, nie mógł bowiem dostrzec dziur, gruzu ani leżących na ziemi przedmiotów, dlatego kilka razy o mało się nie przewrócił.

Znalazłszy się w pobliżu budynku, z którego otrzymał sygnał, Azim zwolnił: nie mógł przecież narobić hałasu. Jego plan miał zarówno mocne, jak i słabe strony, a jedną z nich było to, że z dołu sygnał nie był widoczny.

Azim nie był w stanie szybko się upewnić, czy ochotnik nadal stoi na posterunku, świecąc lampą, czy też przestał dawać sygnał.

Zostało mu do przejścia jeszcze tylko jedno skrzyżowanie.

Detektyw zaczął się posuwać wzdłuż muru, starając się złapać oddech.

Zaułek, do którego miał właśnie wejść, czekał nań dziesięć metrów dalej, ziejąc ponuro. Otarłszy rękawem pot z czoła, Azim musnął rewolwer koniuszkami palców. Dotyk ten nie miał już w sobie nic magicznego, nic uspokajającego.

Tropił przecież ghula.

Wszedł w ciemną uliczkę. Dla ochrony przed słońcem między fasadami domów porozwieszano prostokątne kawałki materiału. O tej porze jednak sprawiały, że w okolicy panowały większe ciemności niż podczas bezksiężycowej nocy.

Azim rzucił krótkie spojrzenie na dach budynku, gdzie powinien się znajdować ochotnik. Jak wśród tych wszystkich szmat mógł dojrzeć przechodzącego ghula? Wprawdzie nie zasłaniały one całkowicie pola widzenia, ale znacznie je ograniczały...

„Może nie widział zbyt dobrze! – pomyślał Azim. – To pewnie znów fałszywy alarm...”

W tej samej chwili przypomniał sobie gwałtowne poruszanie lampą. Nie; ten, kto wysłał sygnał, był naprawdę przerażony, i to do tego stopnia, że nie zdawał sobie sprawy, że zbyt mocno nią potrząsa, osłabiając płomień, a tym samym odbierając swojemu postępowaniu cały sens.

Musiał coś zobaczyć.

Azim posuwał się naprzód krok po kroku, trzymając wszystkie zmysły w pogotowiu i wypatrując czegokolwiek w ciemnościach. Skupienie zaczęło ustępować miejsca narastającej panice.

Prawie nic nie widział.

Ostrożność nakazywała mu stanąć i niezwłocznie zawrócić, jednak tego nie uczynił. A jeśli miał rację? Jeśli zabójca dzieci znajdował się na wyciągnięcie ręki? Azim nie miał żadnego prawa, żeby przerwać pościg. Jak się bowiem poczuje, jeśli zginie kolejne dziecko?

Kiedy tak podążał naprzód bez pośpiechu, wyczuł czyjś oddech.

Powolny i głęboki.

Bestia musiała się czaić w jakimś zagłębieniu, nieco bardziej na prawo.

Azim rozpiął kaburę i wyciągnął rewolwer. Chociaż wiedział, że broń na nic mu się nie przyda, dotyk stali dał mu siłę, której potrzebował, aby podejść bliżej.

„To nie jest ghul... To człowiek.”

Azim niczego nie był już pewien.

Jeszcze metr. Serce waliło mu pod koszulą, nakłaniając do ucieczki i każdym głuchym uderzeniem dając do zrozumienia, że ono nie chce przestać bić. Azim szedł dalej, posuwając się wolno do przodu.

Jego rewolwer już nic nie ważył.

Kiedy się zorientował, że broń mu się wyslizguje, natychmiast wzmocnił uścisk, starając się skupić, jednocześnie czując coraz silniejszy strach.

Był prawie na miejscu.

Jego oddech stawał się coraz bardziej chrapliwy.

Azim wyciągnął przed siebie rewolwer.

Zagłębienie znajdowało się w zasięgu wzroku.

Pochylił się łagodnie do przodu.

Mrok jeszcze bardziej zgęstniał.

Azim spostrzegł zarys prostokątnego kształtu.

Okiennica.

Wtedy pojął.

Pod osłoną okiennicy spał, chrapiąc, jakiś mężczyzna.

Nagle całe przygniatające detektywa napięcie opuściło jego ciało, spływając aż do pięt, po czym rozwiało się, ustępując miejsca tylko strachowi, a wówczas nogi stały się zbyt lekkie, gotowe ugiąć się pod jego ciężarem.

Musiał iść dalej.

Wtem w oddalonej kilka metrów alei wściekle prychnął kot, po czym rozległ się odgłos przewracanych drewnianych skrzynek i pospiesznych kroków.

Wkrótce jednak Al-Gamalijja znów pogrążyła się w ciszy.

Azim schował broń i zmniejszył dystans dzielący go od źródła dźwięku.

Przywarł do narożnika, wystawiając jedynie czubek nosa.

Wszędzie było cicho i pusto.

Wtedy pojawił się kot.

Znieruchomiał na rozstaju dróg, kładąc uszy po sobie. Spoglądając z miejsca, w którym stał, Azim doszedł do wniosku, że to prawdopodobnie domowy kot, który uciekł i zdziczał. Zwierzak najwyraźniej nie bał się ludzi, tylko po prostu był nieufny.

Azim opuścił kryjówkę i zbliżył się do czujnego zwierzęcia.

Miauknąwszy tak przeraźliwie, jakby łapa wpadła mu w sidła, kot zniknął w ciemnościach nocy. Azim znieruchomiał.

Stał całkowicie odsłonięty na samym środku uliczki. Z kąta na rozstajach wyłoniła się wysoka postać. Najpierw w powietrze uniósł się tors, na końcu zaś głowa. Była otulona płócienną szatą maskującą kształty, a jej twarz zasłaniał szeroki kaptur. Azimowi zabrakło tchu.

Postać weszła na połamaną skrzynkę i przykucnęła.

Wówczas detektyw odniósł wrażenie, że odchyliła głowę lekko do tyłu, aby... węszyć zapachy.

Nagle rzuciła się do przodu, bezszelestnie, za to z zadziwiającą szybkością.

Puściła się w pogoń za kotem.

Azim stał jak skamieniały, nie mając odwagi ruszyć za nią.

Widział go.

Widział ghula.

On naprawdę istniał.

Zdriczały kot, który znów zaczął warczeć, prychnął wściekle. W jednej chwili ochryply wrzask zamienił się w jęk bólu. Po czym zapadła idealna cisza.

Azim musiał coś zrobić. Jeśli zostanie tutaj, ghul może uciec albo zobaczyć go, wracając.

Nabrawszy potężny haust powietrza w płuca, podszedł jak mógł najciszej do skrzyżowania uliczek i przemknął za narożnikiem, za którym zniknęła postać.

Ledwie przywarł plecami do muru, kątem lewego oka dostrzegł jakiś ruch.

On wracał.

Azim jeszcze mocniej przylgnął do ściany, pragnąc stać się niewidzialny w ciemnościach.

Potwór znajdował się niecałe trzy metry od niego. Nie ruszał się.

Trzymał w dłoni kota.

Biedny zwierzak zwisał bezwładnie, a na ziemię kapiała czarna ciecz. Wkrótce powstała wystarczająco obfita kałuża krwi, żeby dał się słyszeć jednostajny plusk.

Kiedy ghul podniósł swoją zdobycz na wysokość ust, Azim usłyszał, jak węszy. Były to rytmiczne, krótkie i świszczące pociągnięcia nosem. „Zupełnie jakby usiłował rozpoznać zapach”, pomyślał detektyw, który był w równym stopniu zafascynowany, co przerażony.

Twarz demona nadal pozostawała niewidoczna pod kapturem.

Nie wypuszczając z ręki trofeum, ruszył do przodu. I wszedł do zaułka.

Rozpoznawszy to miejsce, Azim na ułamek sekundy zamknął oczy.

Był to ten sam zaułek, który wskazał mu stary palacz haszyszu.

Azim wpatrywał się w ciemność, żeby nie stracić z oczu wysokiej postaci.

„Co najmniej metr dziewięćdziesiąt”, zauważył. Miło było stwierdzić, że nie zatracił policyjnej zdolności oceniania budowy ludzkiego ciała.

Ghul przystanął na chwilę przed znajdującymi się w głębi drzwiami, po czym pchnął je i zniknął w środku.

Azim dopadł do drzwi trzydzieści sekund później.

Nagle z wnętrza opuszczonego budynku doszedł potężny dźwięk szurania dosuwanego do drzwi ciężkiego przedmiotu.

Azim odczekał jeszcze minutę, ale nie usłyszał już żadnego odgłosu.

Pchnąwszy więc drzwi, wszedł w paszczę lwa.

Zapominając o wszystkich środkach ostrożności, pstryknął benzynową zapalniczką.

Nieśmiały płomyk zalał pomarańczowym blaskiem niewielki parter pełen gruzu i częściowo rozwalone schody wiodące na piętro.

Stojący w kącie naprzeciw wejścia duży, przegniły ceber służył jako zbiornik na stęchlą wodę.

Na wodzie zaś drgały fale, jakby ktoś przed chwilą wrzucił do zbiornika sporej wielkości przedmiot.

Albo jakby ktoś przestawił ceber!

Uklękawszy obok, Azim zaczął szukać uchwytu na brzegach naczynia. Ghul nie mógł się wspiąć na górę, gdyż przejście było zagrodzone.

Zaczynał popadać w obłąd. Jedyne, co powinien zrobić, to uciec jak najdalej stąd. I pobiec do imama, żeby ten koszmar wreszcie się skończył.

Azim nie był jednak w stanie się odwrócić i odejść. Chciał poznać prawdę. Pragnął złapać potwora, żeby nie mieć już żadnych wątpliwości. Odkryć jego norę; wiedzieć, kim on jest.

Na zbiorniku nie było żadnego uchwytu. Złapawszy go zatem obiema rękami, Azim pociągnął z całej siły.

Ceber ustąpił ze zgrzytem.

Nagle pod spodem ukazały się schody prowadzące do piwnicy.

Na jednym z kamiennych stopni dostrzegł lepką plamę. Krew kota.

Detektyw trzymał przed sobą zapalniczkę, żeby wykroić w ciemnościach bursztynową ścieżkę. Kiedy niemal z drżeniem zszedł po schodach, znalazł się w ciasnym pomieszczeniu cuchnącym stęchlizną. Jedyne umeblowanie stanowiły dwie drewniane beczki zbutwiałe od wilgoci.

Azim uniósł płomień nieco wyżej nad głowę. Wtem ujrzał wpatrzony w siebie olbrzymie oko. Było ono tak ciemne jak studnia Józefa w nocy. Czarne oko zdawało się płakać w drżącym świetle zapalniczki.

Była to dziura wydrążona w ścianie na wysokości jednego metra.

Przejście, z którego wystawało kilka korzeni, miało wystarczającą szerokość, żeby zmieścił się tam człowiek na kolanach. Wilgotna ziemia w piwnicy wyglądała niemal sprośnie, z pokrytymi kropelkami rosy wnętrznościami, zwisającymi białawymi żyłami i odorem zgnilizny, który wywoływał mdłości. Azim obrócił się na pięcie, aby się upewnić, że nie ma stąd innego wyjścia.

Jeśli zamierzał podążać za potworem, musiał się zanurzyć w tę ponurą kiszkę.

Przykucnąwszy, Azim wsunął dłoń z zapalniczką do otworu.

Ghul wykopał sobie jamę niczym wąż, który ucieka w głąb ziemi, aby napawać się swoimi zdobyczami.

Detektyw skulił ramiona i wszedł w trzewia domu.

Powietrze natychmiast zgęstniało; światło przygasło.

Azim zaczął się posuwać na czworakach, pomagając sobie prawym łokciem, aby nie wypuścić z dłoni jedyne źródło światła.

Po trzech ruchach cały był już pokryty ziemią.

Korzenie przeczesywały mu włosy haczykowatymi sękami, ostre kamienie rozrywały skórę na nogach.

Nie widział na odległość większą niż pół metra.

Dalej czekała nań jedynie ciemność. Z każdym ruchem zagłębiał się coraz bardziej w nicość, pozostawiając świat żywych dla świata duchów.

Oddychał z trudem, dusząc się w tym ciemnym korytarzu.

Nagle płomień zaczął drgać.

Wówczas tunel przed nim otworzył swoją paszczę, uwalniając ciemności, które pełzły konwulsyjnie ku Azimowi.

Tymczasem wstrząsany drganiami płomień zgasł.

Egipcjanin zdążył jeszcze dostrzec przed sobą czarną dziurę, która wyszczerzyła się w

łapczywym uśmiechu.

Czyhający w czeluściach wieczny mrok wysunął zaś język, żeby pochłonąć go całego.

Siedząc w budynku nękanym przez towarzyszącą burzy wichurę i czytając w bladym świetle dnia, Marion ujrzała odbicie przemykającego za jej plecami cienia, który niemal przesłonił całą salę i równie szybko zniknął.

Marion natychmiast zapomniała o egipskiej opowieści. Znajdowała się piętnaście metrów nad drogą, a na tym poziomie budynku nie było od zewnątrz żadnego balkonu.

Uklękawszy na ławce, złękciona wyjrzała przez okno.

Szalejąca na dworze burza siała zniszczenie wśród roślinności.

Nagły podmuch wiatru wyrwał gałąź i wyrzucił ku niebu. Olbrzymi kawał drzewa trzasnął i zawirował w powietrzu, po czym niespodziewanie poszybował w kierunku Marion.

Ona zaś rzuciła się do tyłu z okrzykiem zdumienia.

Tymczasem gałąź otarła się o ścianę Merveille, a w chwili, gdy mijała okno, jej szeroki cień położył się na podłodze. Skoro rozpętały się żywioły, może Marion powinna zacząć się martwić i udać do pomieszczeń mieszkalnych opactwa, aby dołączyć do zakonników, albo wrócić do siebie?

„Jesteś bardziej bezpieczna tutaj, w samym sercu tej kamiennej fortecy, niż w twoim śmiesznym domu! I tak zresztą nie możesz wyjść w taką pogodę, bo jeszcze zleci ci na głowę dachówka.”

To był tylko podmuch wiatru i nic więcej.

Burza napełniła Merveille osobliwymi dźwiękami. Co chwilę to na górze, to na dole było słychać świst, klaskanie albo skrzypienie.

Marion usiadła, aby zjeść kanapkę, którą przygotowała sobie przed wyjściem. Odwinąwszy ją z folii aluminiowej, ugryzła i zaczęła powoli żuć.

W jej wyobraźni sala rycerska przypominała teraz starą kryptę. Oczyma duszy widziała procesję postaci w czerwonych szatach i togach, błakających się ze świecami w dłoniach i przygotowujących do złożenia ohydnej ofiary na chwałę diabła.

Marion zachichotała.

Wystarczyło, że trochę się zapomniała, a jej dziecięca wyobraźnia była gotowa dostrzec tutaj wszystko i każdego. Podniosła do ust kanapkę.

Jej wzrok powędrował ku przejściu na wyższym poziomie.

W drzwiach, które zostawił otwarte brat Gilles, czaiła się w półmroku jakaś postać.

Z miejsca, w którym siedziała Marion, nie sposób było dojrzeć wyraźnie, kto to.

Widziała jedynie ciemny materiał i szeroki kaptur nasunięty na twarz. Alegorię śmierci.

Marion wstała.

Osoba tkwiąca w obramowaniu drzwi cofnęła się nagle.

–Ej! – zawołała Marion. Postać zniknęła w ciemnościach.

–Ej! – krzyknęła Marion znacznie głośniej. Przemierzywszy salę szybkim krokiem, wbiegła po schodach i przekroczyła próg. Z

przyległego pomieszczenia prowadziło wiele drzwi.

Kiedy usłyszała przed sobą szelest tkaniny i głuchy stukot obcasów o kamienie, rzuciła się naprzód.

Korytarz skręcał w prawo, najpierw łagodnie, dalej zaś bardziej ostro.

Pomknąwszy w tym kierunku, Marion ledwie zdążyła się chwycić ściany, żeby nie wpaść na wysoką postać w habicie, która wyrosła przed nią jak spod ziemi.

Kobieta pośliznęła się, ale w ostatniej chwili uczepliła się występu w murze.

–Cóż to, co się pani stało? – zapytał ktoś bez pośpiechu, rozdzielając zdania wyraźnie na słowa, jak to miał w zwyczaju brat Christophe.

Marion odzyskała oddech, mierzając go wzrokiem. On z kolei w ogóle nie sprawiał wrażenia zdyszanego, co najwyżej był zaskoczony.

–Ja... Szukałam kogoś... – wyjąkała Marion.

–Biegiem? Tutaj to niebezpieczne; mogłaby pani roztrzaskać sobie czaszkę, uderzając o gzyms albo spadając ze schodów, których w tym budynku nie brakuje.

–Nie mijał brat nikogo przed chwilą? Christophe – „brat Anemik” – bez zastanowienia pokręcił głową.

–Nie, nikogo. Kogo pani tak zawzięcie szuka?

–Hm... – Marion zaczerpnęła powietrza, zanim zdecydowała się mówić dalej. – Kogoś, kto zrobił mi... dowcip.

–Czyli kogo? Marion rozłożyła ręce w geście bezradności.

–Nie wiem; kogoś ubranego w taki sam habit jak brat, ale z zasłoniętą twarzą. Kiedy czytałam sobie w kąciku, obserwował mnie, i to wszystko. Naprawdę myślałam, że poszedł tędy.

–A jednak nie. Widzi pani, to duży budynek i jeśli się nie zna drogi, można się łatwo zgubić, a do tego ze wszystkich stron słychać echo, zwłaszcza dzisiaj, przy tym wietrze. Proszę mi powiedzieć: nie uderzyła się pani przypadkiem?

Marion uspokoiła go skinieniem głowy.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że zostawiła dziennik w sali rycerskiej. Na samym wierzchu, każdy więc mógł go zabrać.

–Dziękuję – odparła. – Do zobaczenia.

Zakonnik nawet nie zdążył otworzyć ust, gdy odwróciła się na pięcie i ruszyła biegiem z powrotem.

Wpadła do ogromnej sali z okrągłymi kolumnami.

Spostrzegła swoje rzeczy leżące w głębi pod ławką.

Rozłożony płaszcz.

Przyspieszyła kroku.

Czarna książka była ciągle na miejscu.

Kanapka leżała tuż obok.

Westchnęła, opierając ręce na biodrach.

Tym razem to nie był atak paranoi – naprawdę widziała, że ktoś ją śledzi.

To zaszło za daleko. Musi porozmawiać o tym z siostrą Anne.

A jeśli siostra Anne należy do spisku? Trochę to wprowadzie grubymi nićmi szyte... Tak czy inaczej, ciekawe, co na to powie zakonnica. „Proszę się uspokoić, nikt tu pani nie szpieguje”? Prawdopodobnie właśnie coś w tym rodzaju... Do kogo więc powinna się zwrócić? Do Joego? Do Beatrice?

Ta ostatnia była najbardziej skłonna do zachowania obiektywizmu. Marion wiedziała, że nie potraktuje jej z góry, uśmiechając się drwiąco.

Nie miała innego wyjścia, jak złapać tego kogoś za rękę, żeby go zdemaskować i zażądać

wyjaśnień. Jednak już sama myśl, żeby się tym z kimś podzielić, dodała jej otuchy.

Tak, zejdzie do miasteczka i porozmawia ze swoją nową przyjaciółką.

Wyjrząwszy przez okno, Marion stwierdziła, że burza jeszcze nie ustała.

Jeśli żywiły na to pozwolą, za dwie lub trzy godziny wróci do siebie.

Wzięła do ręki dziennik Jeremyego Mathesona.

Teraz już wiedziała, co ma z nim zrobić.

Przytłoczony dławiającą pieśzczotą mroku, Azim chwycił zapalniczkę w obie dłonie i kciukiem próbował ją zapalić.

Iskra, która rozbłysła, nie była w stanie rozjaśnić ciemności.

Azim wpadł w panikę. Wiedział, że nie może się obrócić – wycofanie się byłoby tutaj bardzo trudne i zajęłoby mnóstwo czasu.

Nagle wyobraził sobie, co mogłoby się stać, gdyby ghul zawrócił i pojawił się tuż przed jego twarzą.

Być może już się to wydarzyło.

Zbliżał się, pełznąc w milczeniu ku Azimowi, orząc swoimi koszmarnymi pazurami ziemię zaledwie metr od niego. Był tuż, tuż...

Dlaczego zapalniczka zgasła?

Zabrakło benzyny.

Azim potrząsnął nią lekko przed sobą. Nie, była niemal pełna.

Przeciąg.

Nie! Ruch powietrza!

Coś – albo ktoś – poruszyło się w przejściu, co wywołało nagły powiew, który zgasił płomień tak, jak zdmuchuje się świecę.

To oznaczało, że detektyw nie jest sam w korytarzu.

Azim ponownie spróbował zapalić zapalniczkę.

Płomień wzbił się do góry z uspokajającą elegancją.

Azim bał się odwrócić głowę i spojrzeć, a strach przed tym, co mógłby zobaczyć, wstrząsnął całym jego ciałem.

Oszpeconą twarz ghula, jego szpiczaste zęby wylaniające się z gęby pełnej śliny. Powoli odwrócił wzrok. Nic.

Nic oprócz wykopanego przez kogoś tunelu. Zaczął posuwać się naprzód. W końcu dostrzegł, że tunel się rozszerza. Przed nim ciągnął się korytarz.

Azim wypadł z dziury, dusząc się. Rozprostował kończyny w korytarzu pełnym kurzu. Wszędzie leżał gruz, pozostawała zatem tylko jedna droga.

„Gdzie ja jestem?”

Mury były zbudowane z kamienia. Oświetliwszy je zapalniczką, Azim uznał, że to pozostałości po starych zdobieniach. Malowidła, które zatarły się w ciągu wieków.

Kiedy postąpił kilka kroków do przodu, ujrzał kawałki potłuczonych naczyń, które minął szerokim łukiem. Sufit znajdował się na wysokości czterech metrów. Bez wątpienia podążał właśnie sekretnym tunelem, stanowiącym część tajemniczych budowli starej części Kairu. Wreszcie korytarz doprowadził go do większej sali.

Stojąc na progu, Azim czuł, że jest łatwą zdobyczą, zdradzając swoją obecność światłem zapalniczki. Nie mógł jednak postępować inaczej. Pozostało mu tylko mieć

nadzieję, że ghul w pośpiechu nie zwrócił uwagi na swojego prześladowcę i nie przyczał się w jakimś kącie, aby zaatakować.

Nagle stopa detektywa uderzyła o niewielkich rozmiarów przedmiot. Azim spojrział w dół.

Na ziemi leżało coś, co przypominało stary papirus.

Azim przyklęknął na jedno kolano i opuścił zapalniczkę.

Dokument został napisany po arabsku. Przypominał pismo urzędowe z dawnych czasów. Oficjalne teksty sporządzano po arabsku, a nie po grecku, począwszy już od VIII wieku, co mogło oznaczać, że miejsce, w którym znajdował się Azim, zbudowano później -albo przynajmniej wykorzystano je po tym okresie, zanim zostało zapomniane. Azim podniósł papirus, zwinął go powoli i wsunął do kieszeni marynarki.

Ufając własnemu zmysłowi orientacji, ocenił, że nie powinien być zbyt daleko od bazaru Chan al-Chalili. Znajomość historii Kairu doprowadziła go do logicznych wniosków, które same się nasuwały, dlatego pokiwał głową, sam w ciemności. Miał pewne przypuszczenia co do miejsca, w którym się właśnie znajdował. Był w Al-Kahirze, gdzie pod koniec X wieku Dżauhar kazał zbudować olbrzymie pałace, z których najważniejszy zajmował ponad dziewięć hektarów powierzchni. Historycy świata arabskiego zapewniali, że miejsce to kryje tysiące cudów. Azim wygrzebał z pamięci imię Nasira Chusrawa, podróżnika z XI wieku, który odkrył istnienie wspaniałego tunelu, umożliwiającego władcy przechodzenie z wielkiego pałacu do małego, położonego bardziej na zachód. Korytarz ten był wystarczająco szeroki, żeby dało się nim przejechać konno. Azim stwierdził, że legenda o tym tunelu ucieleśniła się pod jego stopami.

Detektyw wypuścił pełne kurzu powietrze, które przepelniało mu płuca. Jego umysł błądził po bezdrożach historii przez dziesięć sekund; akurat tyle czasu, ile potrzebował, by pozbyć się strachu i odzyskać kontrolę nad sobą.

W jego umyśle zaczęły się kłębić następne, jeszcze bardziej makabryczne obrazy z dawnych dziejów.

Jeśli rzeczywiście znajdował się w pobliżu fundamentów Chan al-Chalili, oznaczało to, że jest również niedaleko przekłętego miejsca. Wielki bazar został zbudowany na starym grobowcu, który opróżniono ze świętych kości. Ghul nie mógł sobie wymarzyć lepszej kryjówki, odpowiadającej jego złej naturze.

Azim wszedł do sali. Słabe światełko zapalniczki zdołało jednak rozjaśnić jedynie jej nikłą część. Usiłując zwiększyć płomień, sparzył sobie kciuk o rozgrzany metal. Stłumił ból, przygryzając górną wargę.

Po chwili dostrzegł na ziemi plamę krwi. Zapewne ghul przechodził tędy z upolowanym kotem, wyprzedzając go zaledwie o pięć minut. Azim nie potrafił powstrzymać dreszczy, które wstrząsały gwałtownie jego ciałem.

Co za szaleństwo go ogarnęło? Ciągle jeszcze mógł zawrócić i puścić się biegiem, aby ostrzec imama... Nie słuchał jednak głosu rozsądku, a nogi same go niosły wśród tysiącletnich glinianych skorup.

Nie zważając na to, co znajdowało się dalej, modlił się, żeby dotrzeć do jakichś schodów. Nie chciał wracać do tego ohydneho tunelu, nie miał bowiem ochoty pełzać ponownie w tym przedsionku piekła.

Większa część pomieszczenia pozostawała dla niego niewidoczna, gdyż płomień zapalniczki rozjaśniał tylko niewielką przestrzeń. Azim posuwał się naprzód wzdłuż ściany, w kierunku, który zdawał się wskazywać potwór za pośrednictwem coraz rzadszych kropeł krwi pozostawianych za sobą na ziemi.

Wejście z lewej strony.

Kolejna sala, przez którą prowadziła krwawa ścieżka.

Przeszedłszy pod kamiennym gzymsem, Azim przemierzył dwumetrowy korytarz i trafił do pomieszczenia, które – sądząc po stłumionym odgłosie kroków – musiało być mniejsze.

Wydobywał się stamtąd straszliwy odór uryny. Wkrótce dołączył do niego inny: zjełczały smród surowego mięsa, który można zazwyczaj odnaleźć w piwnicach rzeźników.

Światło zapalniczki padło najpierw na żelazny wieszak, który ktoś niedawno umocował w murze. Częściowo przykrywał go zawieszony na nim ogromny płaszcz z kapturem.

Ramiona Azima aż napęczniały od pokrywającej je gęsiej skórki.

To było ubranie ghula.

Potwór znajdował się bardzo blisko.

Azim chwycił rewolwer, nie przejmując się za bardzo tym, że w tej sytuacji niewiele mógłby zdziałać za jego pomocą, potrzebował bowiem dodającego siły dotyku broni.

Następnie pomarańczowy krąg światła zatrzymał się na beczce wypełnionej ciemną cieczą. Azim podszedł powoli, rozglądając się ostrożnie na boki, wypatrując znaków czyjejś obecności lub ruchu i bojąc się, że ktoś zbliży się doń niepostrzeżenie.

Pochylił się dostatecznie nisko, żeby jego oczy znalazły się na wysokości beczki.

W rzeczywistości ciecz okazała się wodą.

Uspokojony, Azim wyprostował się.

W tej samej chwili ujrzał coś potwornego.

Pojawiło się w drżącym świetle zapalniczki.

Tuż obok zbiornika z wodą. Trup mężczyzny.

Oparty o ścianę, z częścią twarzy odartą ze skóry do żywego mięsa, z którego sączyły się rozmaite płyny fizjologiczne. Ktoś wyrwał mu czubek nosa, większą część policzków oraz wargi, odsłaniając usta i całe uzębienie. Pożółkłe szkliwo jego zepsutych zębów lśniło w blasku płomienia.

Azim domyślił się, że był to Murzyn, prawdopodobnie Sudańczyk, pozbawiony zupełnie zarostu.

Nie żył zaledwie od godziny lub dwóch. Miał wilgotne gałki oczne, z których jedna była nienaturalnie napuchnięta.

Coś nie dawało Azimowi spokoju. Poza okaleczeniami ciała, jakich dokonano na tym biedaku, detektywa dręczył jeszcze jakiś szczegół, którego nie potrafił nazwać.

Azim cofnął się, a następnie odwrócił.

Opuścił dłoń, aby oświetlić stary stół.

Zesztywniał.

Na stole leżał trup kota.

Błyskawicznie podniósł przed siebie broń niczym tarczę, przeszukując mrok rozciągający się pod cienkim woalem płomyka.

Ghul nie mógł znaleźć się daleko, tego Azim był pewien.

Może nawet był tutaj, razem z nim. Szpiegował go.

Azim nie poczuł delikatnego ruchu powietrza za plecami.

Gęste cienie, tworzące z tyłu mur, skrywały niemal całkowicie ogromną postać Sudańczyka. I oto nagle w tych nieprzeniknionych ciemnościach trup się poruszył.

Głowa wyprostowała się ukradkiem. Błyszczące w resztkach światła wielkie, okrągłe oczy wpatrywały się w Azima.

Szczęki o połamanych zębach rozwarły się nieco, z ust zaś pociekła – najpierw po brodzie, później na ziemię – półprzezroczysta, gęsta strużka śliny.

Po czym trup osunął się bezszelestnie w ciemność.

Azim, który nic nie usłyszał, rozejrzał się jeszcze po pomieszczeniu.

Na stole stał talerz ze świeżymi resztkami jedzenia. Przeżute pajdy chleba, pozostałości w postaci lepkiej papki i plaster wędliny, którego jeden brzeg ktoś tak długo ssał, że miejscami aż popękał.

Azim wymacał pod stopą coś miękkiego.

Opuściwszy zapalniczkę, ujrzał kłębowisko sierści i cuchnących wnętrzności, wśród których roily się tłuste robaki.

Psy, koty, a nawet kilka szakali – wszystkie wypatroszone.

Okrążywszy całą tę trupiarnię, Azim przystanął przed lepiącym się z brudu siennikiem, przykrytym częściowo równie brudną kołdrą.

Na widok tego, co zobaczył obok, poczuł skurcz żołądka.

Do ściany były przymocowane wykonane współcześnie łańcuchy, które nie miały nic wspólnego z tym miejscem, zakończone skórzanymi bransoletkami niewielkich rozmiarów.

Pasującymi na nadgarstki i kostki dziecka.

Obok maleńkiej skrzynki stała miska. Azim podszedł bliżej, aby zajrzeć do środka.

Między tym przedmiotem a otoczeniem występował bolesny kontrast.

Zabawka. W skrzynce był schowany drewniany pociąg – lokomotywa, tender i dwa wagoniki, wszystko na kółkach – który można było wprawiać w ruch przez popchnięcie palcem.

Doznawszy wrażenia, że słyszy za plecami tarcie, Azim obejrzał się.

Nagle płomyk zadrżał, cienie zaś zgęstniały, po czym ogień przekrzywił się i skurczył, oślepiając detektywa.

Po chwili przestał drgać i rozbliśnieł na nowo słabym światłem.

Azim nie dostrzegł nic niepokojącego.

Wyjść – oto, co powinien zrobić. Dość już widział. Wiedział, gdzie znajdzie potwora. Pozostanie tutaj równałoby się samobójstwu.

„Jeden szczegół, który tu nie pasuje.”

Azim nie potrafił wymazać z pamięci potwornego wyrazu twarzy trupa.

Poza śladami po torturach było w niej jeszcze coś dziwnego.

Nie, nie coś dziwnego. Nie to...

Azim usiłował odegnąć tę obsesyjną myśl, ona jednak nie dawała mu spokoju.

Niczym instynkt przetrwania. Coś zobaczył, ale nie był w stanie stwierdzić, co. Śmierć nastąpiła bardzo niedawno. Nie tylko to. To miało związek z ruchem.

Rzecz jasna, Murzyn się nie poruszył. Dlaczego więc przychodzi mu to do głowy?

Nie, to nie ruch, raczej... spojrzenie. Oczy.

Prawda objawiła mu się nagle z prędkością drapieźnika, który rzuca się na swoją ofiarę. Nogi ponownie ugięły się pod Azimem, a siły go zawiodły, ulatniając się jak kamfora.

Oczy nie były idealnie nieruchome.

„To niemożliwe! – wrzasnął w duchu Azim. – Niemożliwe! Zauważyłbym to!”

Nie, jeśli ruch był nieznaczny. Nie od razu.

Azim przypomniał sobie, że mimo braku światła dostrzegł błysk w źrenicach trupa. Obraz pojawił się w jego głowie jak film. Niemy, ale jakże dokładny.

Zauważył pewien szczegół, którego w pierwszej chwili nie skojarzył tak, jak należało.

Tę subtelną zmianę w źrenicach.

Tak bardzo zsynchronizowaną ze zbliżającym się płomieniem zapalniczki, że nie mógł to być

odruch *post mortem*. Sudańczyk nie był martwy.

Wycelowawszy broń i zapalniczkę w kierunku trupa, Azim zrobił trzy kroki i ujrzał pustą ścianę. Ogromnego Murzyna nie było. Azim pojął wreszcie, w co się wpatrywał. Otarł się o ghula.

Stał zaledwie dziesięć centymetrów od czegoś, co uznał za wiszącego na haku trupa, gdy tymczasem był to oparty o ścianę demon.

Ghul pozwolił mu przyjść.

Teraz zaś czaił się gdzieś niedaleko.

Azim upuścił broń na ziemię.

Kule nie mogły przecież zranić istoty demonicznej.

Dlaczego nie chce przyjąć do wiadomości prawdy? Teraz już wiedział. Nie mógł dłużej zaprzeczać temu, co oczywiste. Demony istnieją.

On zaś miał tutaj wkrótce umrzeć.

Pożarty żywcem. Już widział samego siebie, jak wrzeszczy, podczas gdy potwór przeżuwa jego flaki leżące na ziemi.

Czując spływającą po policzku łzę, Azim spróbował wziąć się w garść.

Wpadł w panikę. Jego stopy cofały się, choć zamierzał iść naprzód.

Spodnie przykleiły mu się do ud. Zsikał się w majtki.

Uciekać. Musi stąd wybiec. Dotrzeć do wydrążonego w ziemi tunelu, wydostać się na powierzchnię, odetchnąć nocnym powietrzem.

Azim zamierzał się poruszyć, mięśnie nie posłuchały jednak rozkazu. Po chwili zrobił kilka tak niezgrabnych kroków, jakby był pajacykiem, którego ktoś nieumiejętnie pociąga za sznurki. Wreszcie oparł się dłonią o mur, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Posuwając się wzdłuż ściany niczym po torze, ruszył, najszybciej jak potrafił, w stronę wielkiego korytarza.

Później do wielkiej sali, gdzie można już było swobodniej oddychać, odór zaś był znośny.

Azim prawie nic nie widział. Łzy go oślepiały, a płomień zapalniczki gasł pod wpływem wstrząsów spowodowanych jego nieskoordynowanymi ruchami. Mimo wszystko odnalazł wysoki korytarz prowadzący do jedyne go znanego mu wyjścia.

Ktoś szedł za nim. Był tego pewien.

W powietrzu wyczuwało się namacalną obecność Zła.

Detektyw zdawał sobie sprawę, że powinien podwoić swoje wysiłki. W każdej chwili spodziewał się poczuć ostry ból wywołany wgrzyzającymi się w jego kark zębami.

To się z pewnością stanie.

„Szybciej!”

Wreszcie ukazało się wejście do wydrążonego w ziemi tunelu.

Azim poczuł radość, która natychmiast ustąpiła jednak miejsca przerażeniu.

Nagle usłyszał za sobą zgrzyt glinianej skorupy.

Ghul był z tyłu; podążał jego tropem.

Azim rzucił się w głąb lepkiego od brudu tunelu.

Zapalniczka zgasła.

Detektyw nie zadał sobie nawet trudu, żeby ją zapalić. Cały czas się czołgając, porzucił ją w panice.

Pełzł zapamiętale, jak szalony.

Jeszcze trzy lub cztery metry i znajdzie się w piwnicy.

Jeszcze trzy metry, nie więcej.

Jeszcze zaledwie trzy metry.

Już prawie był na miejscu.

W oddali nocny mrok wydał mu się mniej gęsty.

Piwnica była coraz bliżej.

Mógł jeszcze żyć. Jeszcze trzy metry albo mniej.

Może dwa.

A wtedy przeżyje. Prze...

Azim zamknął oczy.

Po czym zapłakał, z jego gardła zaś wydobył się wrzask bardziej ochrypły niż krzyk zwierzęcia.

Czyjaś dłoń o długich i zakrzywionych paznokciach chwyciła go za kostkę.

Jeremy Matheson leżał wyciągnięty na sofie w dużym salonie, tymczasem w kominku z głośnym trzaskiem dopalało się właśnie polano, otwierając swój pokryty sadzą brzuch i rozpryskując poczerńiałe wnętrza wśród popiołu, który ulatywał niczym płatki martwego śniegu.

Jeremy leżał z nagim torsem na cienkiej koldrze.

Głowę miał ciężką, a gardło wyschnięte od nadmiaru alkoholu.

W willi panował spokój, Keoraz poszedł bowiem spać jakiś czas temu. Długo rozmawiali. I pili. Keoraz, idealny podejrząny.

Jeremy długo przyglądał się Jezabel. Jej chłodnej urodzie i jakże ostremu spojrzeniu.

Nagle za jego plecami rozległ się szelest.

Szelest lekkiej tkaniny spływającej na kamienną posadzkę i dywany.

Jeremy wyprostował się i odwrócił.

Czyjaś dłoń dotknęła jego policzka; długie paznokcie musnęły mu wargi.

Po czym ktoś zakrył mu łagodnie usta, nie pozwalając wykrztusić słowa.

To Jezabel pojawiła się w długiej, rozpiętej sukni włożonej na gołe ciało.

Bladoróżowe sutki mieszały się z białą skórą. Kiedy oddychała głęboko, wówczas na brzuchu, tuż nad pępkiem, rysowała się pionowa linia, a małe piersi unosiły się na wyraźnie widocznych żebrach. Pokryty delikatnym meszkiem wzgórek łonowy otwierał się na kształt trójkąta jak delta Nilu – zapowiedź płodności i rozkwitu.

Odepchnąwszy Jeremyego, aby się położył, ściągnęła mu spodnie i usiadła na nim okrakiem.

Jej wargi sromowe były wilgotne, a usta rozchylone z pożądania.

Musiała myśleć o tej chwili od dawna, aż poczuła, że jej umysł jest w jeszcze większej ekstazie niż wagina.

Jeremy ego natychmiast ogarnęło pożądanie, jakby był już bliski spełnienia. Od razu dostał wzwodu i poczuł się bardziej męski. Napiąwszy mięśnie ramion i klatki piersiowej, objął Jezabel i mocno przytulił. Jej małe piersi musnęły pieszczotliwie jego ochłodzony powietrzem tors. Ich ciała dopasowały się do siebie, przemówiły jednym głosem i oba jednocześnie pokryły się gęsią skórką.

Przytrzymując kochankę centymetr nad sobą, Jeremy pieścił jej szyję językiem, który nagle zrobił się bardziej wilgotny.

Kiedy wypchnęła do przodu biodra, poczuł na sobie jej wzgórek łonowy.

Niczym dwoje przyjaciół, którzy spotkali się po długiej rozłące, ledwie się dotykali, smakując się i delectując sobą nawzajem, ledwie ośmielając się muskać językiem, niemal

drząc na myśl, że mogliby się złączyć w tak mocnym uścisku, jak by chcieli. Po czym Jeremy złapał Jezabel za kark i zmusił ją do uległości.

Wszedł w nią powoli.

Pod wpływem wilgotnego gorąca doznał mrowienia rozchodzącego się aż do lędźwi. I biorącego górę nad rozumem.

Jezabel poczuła, jak sztywny i ciepły członek kochanka wsuwa się w nią, tkliwie otwierając drogę do rozkoszy przyjemnym pocieraniem. Po czym jej zmysły zaczęły się łagodnie rozpalać.

Jeremy poruszał się w niej, kołysany jej wilgotnym wnętrzem, na granicy wytrzymałości, gotów w każdej chwili wybuchnąć.

Jezabel zapomniała, kim jest i gdzie się znajduje. Zduszony jęk utknął jej w gardle, nie mogąc się wydobyć z ust. Zacisnęła palce na ciele Jeremyego, wyrywając mu strzępek skóry.

Znów jęknęła.

Z zamkniętymi oczami.

I znów.

Jęk rozkoszy zamienił się w tremolo.

W przenikliwy... elektryczny dźwięk.

W oddali dzwonił telefon. Za plecami Jezabel.

Nagle rozplynęła się na nim, kołdra zaś opadła na podłogę.

Jeremy otworzył oczy, pijany, czując nagłą gorycz.

W salonie było ciemno.

Telefon ciągle dzwonił.

Jeremy zdołał wreszcie usiąść na sofie, z dłonią przyklejoną do czoła. Huczało mu w głowie.

Przypomniał sobie picie. Wymianę zdań z Keorazem. I Jezabel nalegającą, żeby się tu położył.

Dzwonek świdrował powietrze, nie milknąc.

Ktoś podniósł słuchawkę. Rozległ się głos Jezabel.

Rozpaczliwy ból uderzył Jeremy'ego prosto w splot słoneczny, a omijając mostek, usiłował

przeniknąć głębiej, by ścisnąć mu serce.

Nie posiadał jej. Nie przyszła do niego. Wszystko było jedynie złudzeniem.

Tchawica zwężyła się w jednej chwili, w piersiach zaś rosła kula, która podchodziła coraz wyżej, ściskając go za zbyt wąskie gardło. Pragnął jej. To nie mogło być prawdą.

Niemożliwe. Nie, nie; ona nie była żoną tego typu; wcale nie zostawiła Jeremiego; kochała go; ofiarowała mu swoje towarzystwo i ciało tak samo, jak on oddał jej swoją duszę.

Pojawiła się przed nim niespodziewanie, wpatrując się weń ogromnymi zielonymi oczami. Ukryta pod błyszczącym neglizem, była zimna i piękna jak uwalniająca od trosk śmierć.

–To do ciebie – oznajmiła. Skrzywił się. Jeszcze nie odzyskał równowagi.

–Zdaje się, że to coś pilnego – dodała głosem, w którym było słycać resztki snu. Jeremy wstał i pokuśtykał do telefonu.

–Tak? – powiedział cicho drewnianym głosem.

–To ja, Azim! Szukam pana od dziesięciu minut. Wszędzie dzwoniłem! Ja...

–Spokojnie; przecież mówiłem, że będę tu dzisiaj. Co...

–Nie, niech pan słucha! – krzyknął arabski detektyw. Głos rwał mu się ze wzburzenia. Azim niemal wrzeszczał do słuchawki.

–Znalazłem zabójcę dzieci! Poszedłem jego śladem; wiem, gdzie ma swoją kryjówkę. To ghul! Rozumie pan? To ghul! Straszny! Właśnie dlatego dzieciakowi posiwiały włosy! Dlatego! Już myślałem, że mnie też to spotka! Myślałem, że mnie złapał, ale to był tylko korzeń, po prostu korzeń! I wiem, gdzie się ukrywa!

Już po trzech zdaniach cały alkohol wyparował z organizmu Jeremy'ego.

–Niech pan się weźmie w garść, Azimie. Proszę mi opowiedzieć, co się właściwie stało.

Egipcjanin streścił swoją nocną akcję – od pomysłu osaczenia potwora aż do korzenia, który uczepił się jego stopy. Mówił z taką szybkością, że w ciągu niespełna dwóch minut zdążył złożyć Jeremiyemu pełny raport. Nie był jednak w stanie wyjaśnić, gdzie znajdowało się wejście do sekretnego korytarza, a nieznajomość nazwy ulicy nie ułatwiała mu tego zadania. Potrafił jedynie tam wrócić, mając nadzieję, że się nie zgubi.

–Doskonale, Azimie. Zaraz do pana przyjadę. Gdzie pan jest?

–Na placyku koło meczetu Husajna, w dzielnicy Al-Gamalijja. Stoję na rogu przy policyjnym telefonie alarmowym.

–Plac Husajna? – powtórzył Jeremy. – Świetnie, na pewno pana nie przeoczę. Tylko niech pan nic nie robi. Absolutnie nic nie robi! Proszę na mnie poczekać; znajdę pana. Zaraz tam będę.

Odłożył słuchawkę. Tymczasem Keoraz, który zdążył bezszelestnie wejść do salonu, zapytał:

–Czy to coś pilnego?

–Muszę iść. Mój współpracownik prawdopodobnie znalazł mordercę.

–Mogę pana zawieźć. Kupiłem nowego bentleya, który osiąga pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, będzie więc pan pod meczetem Husajna trzy razy szybciej. Dobrze usłyszałem? Tam ma pan jechać?

Jeremy podszedł do sofy, żeby zabrać koszulę i włożyć buty.

–To bardzo miłe z pana strony, ale wolę jechać sam. Keoraz już miał nalegać dalej, gdy Jeremy dodał:

–Pożyczę samochód od kolegów z posterunku w Heliopolis. Dziękuję za współpracę i gościnę. Wkrótce się do pana odezwę.

Nie spojrzawszy ani razu na Jezabel, ubrał się i wyszedł w ciemną noc, kierując się do odległego o niecałe pięć minut drogi piechotą posterunku. Oficer dyżurny nie zdążył nawet zaprotestować, kiedy Jeremy przydzielił sobie jedno z aut i od razu nim odjechał. Kiedy dotarł do Kairu, krążył po zawiłym labiryncie ulic, zanim wreszcie zaparkował w pobliżu meczetu, gdzie czekał nań Azim.

Jeremy rozejrzał się po placu na wszystkie strony.

Nie znalazł jednak ani śladu swojego partnera.

Słup, na którym wisiał telefon, stał wprawdzie na swoim miejscu, ale Azima nie było.

Jeremy czekał jeszcze godzinę, w nadziei, że zobaczy go, jak wyłania się z którejs z uliczek.

Po czym poszedł zadzwonić na alarm.

Béatrice zebrała talerze i na przykrytym ceratą stole kuchennym postawiła dwa kieliszki.

–Napijesz się calvadosu? – zwróciła się do Marion. Tamta zaś nie zdążyła nawet odpowiedzieć, a już miała przed sobą sporą porcję mocnego trunku.

–W takim razie, kto to jest twoim zdaniem? – zapytała Béatrice.

–W tym cały problem: nie potrafię się tego dowiedzieć. Każde z nich może być osobą, która mnie śledzi.

Marion opowiedziała jej wszystko przy kolacji. Od zagadki z wieżą Gabriela do regularnego szpiegowania, którego czuła się ofiarą.

–No cóż... Jest jeszcze ten cały brat Gilles. Nie umiem go rozgryźć – dodała Marion.

–Stary pokurcz? Wybacz, ale nie wyobrażam sobie, żeby biegał po ciemnych korytarzach opactwa.

–To trwało zaledwie kilka sekund, a później straciłam go z oczu. Nawet on dałby radę to zrobić.

Nagle rozległ się krzyk przerażenia, od którego zadrżały szybki w drzwiach między salonem a kuchnią.

Grégoire oglądał właśnie jakiś horror w telewizji, jednocześnie podnosząc mały ciężarek, aby wyrobić sobie biceps.

–Greg! – zawołała jego matka. – Przycisz trochę. Po czym, odwracając się do Marion, dodała:

–On uwielbia filmy fantastyczne, ale przysięgam ci, że...

–Nie wiem, co robić, Béo. Nie ufam wspólnocie; oni są dziwni.

–Coś jak sekta okultystyczna? Tak ich widzisz? Przykro mi, moja droga, ale się mylisz. Oni są w porządku. Nawiedzeni, zgoda, jeśli ci to sprawi przyjemność, ale nie da się o nich powiedzieć złego słowa. Mieszkają w Mont-Saint-Michel od jakiegoś czasu, wszyscy ich znają, nie masz się więc czego obawiać.

–A jednak ktoś zakradł się do mnie, i to kilka razy! Ktoś mnie szpieguje i... Czekał, przedwczoraj to był Ludwig! Stał na cmentarzu i mnie podglądał.

Beatrice ogrzewała swój calvados, obracając kieliszek w dłoniach.

–A, Lulu... – odparła zdeglustowana. – Dobrze, muszę ci to wreszcie powiedzieć. Wielki Ludwig szaleje za tobą. Teraz to już przestało być tajemnicą. Ma nadzieję, że zadzwonisz; podobno dał ci swój numer.

Marion oparła głowę na dłoni, łokieć zaś na stole.

–Litości, tylko nie to...

–Ależ tak! Zaczekaj, aż cię przy dybie i odegra przed tobą numer w stylu: „Wiesz, byłem kiedyś wielkim zawodnikiem rugby”. Mówi to wszystkim choć trochę

ładnym kobietom, które przyjeżdżają do Mont-Saint-Michel; zapytaj w restauracji Mère Poulard, a zobaczysz miny kelnerek! Mają tego powyżej uszu. Bez przerwy wciska im kit, jak to kiedyś grał w porządnym klubie, zdaje się w Lille; jak to mógł zostać zawodowcem, gdyby dalej trenował... I temu podobne idiotyzmy, żeby zwrócić na siebie uwagę. Przerwała na chwilę, wdychając aromat trunku.

–Błagam cię, trzymaj go ode mnie z daleka – poprosiła Marion.

–Ja nie mam takiej władzy. Po prostu przestań wychodzić wieczorami! – zażartowała Beatrice.

–To i tak nie rozwiąże mojego problemu. Kto mnie nęka? Mimo że wzięłam wszystkich pod lupę, nie widzę nikogo. Podejrzywałam nawet Joego!

–Nie masz się czego obawiać. Jest łagodny i nastawiony pokojowo, jak bojownik Greenpeace, który się odurzył marihuaną.

Marion rozbawił ten obrazek.

–Jesteś dziś w wyjątkowo lirycznym nastroju – stwierdziła.

–Czasami są takie dni... Jeśli wolno mi zauważyć, stary Joe wychodzi wyłącznie po to, żeby zrobić spacer do Tombelaine; poza tym prawie cały czas siedzi zamknięty w domu.

–A więc kto?

–Ja. Marion przyjrzała się bacznie przyjaciółce. Beatrice pociągnęła właśnie spory łyk calvadosu. Na jej twarzy nie został nawet ślad odprężenia. Była zamyślona, spoglądała złym okiem.

–Co? – zdumiała się Marion. Źrenice Beatrice przesunęły się w jej kierunku.

–Ja. To ja cię śledzę. A wiesz, dlaczego? Miała wilgotne wargi.

–Bo jestem lesbijką i zakochałam się w tobie do szaleństwa! – wrzasnęła, wybuchając niepohamowanym śmiechem.

Marion poczuła ulgę.

–Biedna idiotka... Przez chwilę... Beatrice była wniebowzięta.

–Uwierzyłaś, co? Dobra, przestań się stresować. Powiem ci, co się dzieje. Po pierwsze, członkowie wspólnoty są być może trochę za bardzo zapobiegliwi i zakradli się do ciebie, żeby sprawdzić, czy nie masz narkotyków albo czegoś w tym rodzaju. Po drugie, spędzasz za dużo czasu całkiem sama tam, na górze, nic więc dziwnego, że te stare kamienie płatają ci figle; wszędzie widzisz mnichów w grubych wełnianych habitach, ale to normalne: przecież właśnie tutaj mieszkają, a twoja wyobraźnia upiększa wszystko... I... ee... po trzecie, listy to tylko zabawa. Po prostu któryś z mnichów trochę za bardzo się nudzi i za mało interesuje Bogiem. Skończ z tą paranoją! Zapewniam cię, że przejmujesz się głupstwami.

–Nie minęły nawet dwa tygodnie, odkąd tu jestem. Nie wiem, czy jeszcze długo wytrzymam.

Béatrice uśmiechnęła się zachęcająco.

–Oczywiście, że tak! Bo inaczej co zrobisz? Wrócisz do domu w Choisy-le-Roi, do paryskiej szarżyzny?

Marion siedziała wpatrzona w ciepły kolor swojego trunku.

–Przyjazd tutaj miał być dla ciebie odpoczynkiem, więc go wykorzystaj! – nalegała Béatrice.

Marion odsunęła kieliszek.

–Béa, muszę ci powiedzieć... Gospodyni natychmiast wyczuła powagę w jej głosie.

–Nie jestem tutaj na urlopie. W głowie Marion zapaliło się czerwone światło. Posuwała się za daleko.

Demaskowała się.

–Jestem tu, bo musiałam zniknąć z powierzchni ziemi na kilka tygodni lub miesięcy, sama nie wiem. Na czas, aż się coś wydarzy w Paryżu, wszyscy powinni o mnie zapomnieć. Jak na razie miotam się między różnymi służbami, możliwościami, procedurami, i właśnie to jest mój słaby punkt.

W głowie odezwał się jej dzwonek alarmowy Teraz już nie mogła się wycofać. W ciągu zaledwie pięciu sekund wyjawiała wszystkie swoje dotychczasowe kłamstwa. I zniweczyła wszystkie wysiłki kontrwywiadu. Co się z nią dzieje? Dlaczego nagle pękła?

Béatrice głośno przełknęła ślinę. Wcale nie wyglądała na kogoś, kto ma ochotę się pośmiać.

Spojrzała na drzwi do salonu, upewniając się, czy są zamknięte.

–To kontrwywiad przywiózł mnie do Mont-Saint-Michel pewnej nocy.

–Kontrwywiad?

–Francuskie tajne służby, które zapewniają bezpieczeństwo terytorialne. Czasami wchodzi w grę sprawy zagrażające bezpieczeństwu państwa. Jego równowadze.

–Cholera – szepnęła Beatrice. – Coś ty zrobiła? Marion pogładziła nerwowo jedną brew. Skoro zaczęła, musiała brnąć dalej.

–Nic. Znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, to wszystko.

–Zagroziłaś, że zabijesz prezydenta czy co? Marion zaprzeczyła gestem ręki i odrzuciła do tyłu głowę.

–Nie pracuję w agencji reklamowej. Tak naprawdę jestem sekretarką. W paryskiej kostnicy.

Beatrice otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

–Pewnego dnia bardzo wczesnie rano, tuż po powrocie z wakacji, przechodziłam przez jedną z sal sekcyjnych. Na ziemi leżała kopia protokołu z autopsji. Pomyślałam, że w nocy wykonano jakąś sekcję zwłok, to się zdarza w nagłych przypadkach, i że lekarz sądowy zaniósł ledwie ukończony protokół tutaj, żeby go oddać oficerowi policji. I że zapomniał kopii, która spadła na podłogę. Podniosłam ją więc i przejrzałam.

Przerwała na chwilę, wzburzenie wywołane przez wspomnienia i przez to, co się stało później, nie pozwalało jej bowiem mówić dalej.

–Pod koniec września znany polityk zmarł na atak serca we własnym domu.

–No jasne, nie da się ukryć! Zwłaszcza po tym, jakie krążą plotki na ten temat.

–Pewnej nocy w Zakładzie Medycyny Sądowej w Paryżu, w absolutnej tajemnicy, zrobiono mu sekcję znalazłam. A ja znalazłam protokół właśnie z tej autopsji.

Beatrice zmarszczyła brwi, podczas gdy z ust Marion płynął nieprzerwany potok słów.

–Lekarz sądowy, który wykonał sekcję zwłok, stwierdził, że nie nastąpił żaden atak serca, tylko otrucie, co potwierdziły badania toksykologiczne. Mężczyzna zmarł po zażyciu zbyt dużej dawki arpamyli, leku z grupy inhibitorów wapniowych przepisywanych przy zaburzeniach rytmu pracy serca. Kiedy to przeczytałam, byłam zaskoczona, ale nie bardzo rozumiałam, o co chodzi. Dla mnie to była po prostu sprawa polityczna. Zabrałam protokół i włożyłam między swoje dokumenty, czekając, aż przyjdzie lekarz sądowy, żeby mu go oddać. Ale cały dzień minął, a on się nie pojawił. W radiu nadal jako przyczynę zgonu podawano atak

serca; wyjaśniono nawet, że potwierdziła to dokonana poprzedniego dnia sekcja zwłok. Czułam, że coś nie gra. Dlatego zachowałam kopię protokołu. Wieczorem znów powiedzieli to samo. Nazajutrz, kiedy wrócił lekarz sądowy, który dokonał tej sekcji zwłok, poszłam do niego, żeby porozmawiać. Wtedy on zaraz zamknął drzwi do swojego gabinetu i poprosił, abym oddała mu protokół. Wyjawiał mi w sekrecie, że to sprawa wagi państwowej, że żadne z nas nie ma prawa tego oceniać i że powinniśmy o wszystkim zapomnieć. Widziałam doskonale, że się boi, że aż się poci ze strachu, mimo to odmówiłam. W tamtej chwili tajemnica lekarska i cała ta reszta wydała mi się zupełnie bez znaczenia. Mówiło się o ciężkim kłamstwie, o podejrzanej śmierci – to wszystko zmieniało. Kiedy wychodziłam z pokoju, prawie mi groził. Natychmiast wysłałam protokół faksem do wszystkich redakcji większych paryskich dzienników.

–Co takiego zrobiłaś?

–Bałam się. I doszłam do wniosku, że to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić. Zadzwoiłam też do znajomego oficera policji, gliniarza, któremu ufam, żeby mu o wszystkim opowiedzieć. Przed wieczorem jacyś dwaj faceci wzięli mnie na bok, żeby pogadać. To byli ludzie z kontrwywiadu. Wtedy właśnie zaczęło się to całe bagno.

–Grozili ci? – chciała wiedzieć Beatrice.

–Nie, przeciwnie. Powiedzieli, że to będzie dla mnie trudne. Ze przez jakiś czas muszę milczeć, a szczególnie nie mówić o tym, co zrobiłam. Prawdziwy skandal wybuchł w następnym tygodniu, kiedy wyszło na jaw, że ostatnia osoba, która złożyła wizytę ofierze, jest

wprawdzie nieznana, ale przyjechała jednym z samochodów należących do Pałacu Elizejskiego. Prasa natychmiast podała do wiadomości straszne rzeczy, mianowicie że żona prezydenta leczy się na nadciśnienie tętnicze, zażywając regularnie arpamyl, czyli tę samą substancję, która zabiła tego biedaka. Media podkreślały, że między dwoma wielkimi politykami istniała poważna różnica zdań i że obaj mieli być rywalami w najbliższych wyborach.

–Cała ta historia jest zupełnie zwariowana. Wiem. Wszyscy powtarzają, że to niemożliwe, żeby prezydent był zamieszany bezpośrednio lub nawet pośrednio w morderstwo; jednocześnie inni twierdzą, że wręcz przeciwnie: to ostatni gest człowieka posiadającego olbrzymią władzę i wybujałe ego, który żyjąc w świecie opartym na złudzeniu nieustannego sukcesu, zatracił poczucie odpowiedzialności za własne czyny. Mówią, że to wypaczenie władzy, jej ukryta strona. Czytałam to wszystko. Ale żeby cały ten bajzel powstał z twojego powodu... Coś takiego!

Marion nie mogła już przestać mówić.

–Opinia publiczna zaczęła się naprawdę i masowo burzyć, kiedy polecono wykonać ponowną sekcję zwłok i nową ekspertyzę, po czym się okazało, że trup zniknął. Został wykradziony z szuflady w kostnicy, tak że nikt tego nie zauważył, a później znikł jak kamfora, na zawsze. Dopiero wtedy zdałam sobie w pełni sprawę z zasięgu, jaki przybierają wydarzenia.

–Pamiętam, nawet tutaj ludzie odgrążali się, że ruszą na stolicę, jeśli nie usłyszą prawdy. Ciągłe jeszcze pyskują po kawiarniach!

Marion ciągnęła swój wywód, traktując go jako swego rodzaju katharsis:

–Lekarz sądowy, który przeprowadził sekcję zwłok, całkowicie zaprzeczył tym doniesieniom, potwierdzając poprzednią diagnozę, że przyczyną śmierci był atak serca. On i specjalista, który wykonał badania toksykologiczne, zostali nieźle poinstruowani. Nie wiem, co im powiedziano, ale zadziałało. Stwierdzili, że to była kaczką dziennikarska. Że protokół sekcji zwłok, który otrzymały redakcje, jest fałszywy A przecież numer faksu nadawcy należy do Zakładu Medycyny Sądowej. Prasa ruszyła na poszukiwania osoby, która wysłała faks. Czyli mnie.

–Znaleźli cię?

–Nie; gliniarze, z którymi udało mi się skontaktować, nie puścili pary z ust. W tym samym czasie oficjalnie zajęli się tą sprawą i rozpoczęli dochodzenie. Powiedzieli, że zostanę wezwana na świadka, jeśli dojdzie do procesu. Właśnie wtedy zjawili się u mnie ludzie z kontrwywiadu. Wyjaśnili, że to zaszło za daleko i że trzeba mi znaleźć bezpieczną kryjówkę.

–Skoro to oni są tajnymi służbami, to w takim razie kogo się obawiają?

–Osobistej ochrony prezydenta. Ludzi z jego partii, którzy pozostają w cieniu. Kto wie? Nic mi nie powiedzieli.

–Nic nie rozumiem. Skoro kontrwywiad zajmuje się bezpieczeństwem państwa, to dlaczego cię broni? Zazwyczaj na filmach nie zwracają sobie głowy szczegółami; pif-paf, jedna kulka z pistoletu z tłumikiem i niewygodny świadek staje się pokarmem dla ryb w Sekwanie.

–Na filmach... W rzeczywistości kontrwywiad nie jest najemnikiem opłacanym przez prezydenta. Oni naprawdę działają dla dobra kraju. Przynajmniej tak mi powiedziano. A ja jestem tego dowodem. Skandal, w którym prezydent jest zamieszany w sprawę morderstwa na tle politycznym, wywołuje dużo hałasu, a gdyby na dodatek wyszło na jaw, że kazał zabić kobietę, która to wszystko rozpętała, wybuchłaby wojna domowa! Zdawało mi się, że wszystkie oficjalne organy w państwie toczą ze sobą niekończące się bitwy. Kontrwywiad nie ufa ochroniarzom z Pałacu Elizejskiego, niektórym gliniarzom, żandarmerii i tak dalej. Wtedy wywieźli mnie gdzieś z dala od świata, żeby mieć czas na rozwikłanie sprawy i głębsze rozeznanie. I żeby mogła później wrócić do normalnego życia. A jeśli zostanie wszczęte dochodzenie sądowe, wtedy będę mogła się wypowiedzieć jako świadek... I wszystko to z powodu zagubionego protokołu z sekcji zwłok, czegoś tak idiotycznego, że człowiek nie potrafi uwierzyć, że taka rzecz może się wydarzyć. Gdyby nakręcić o tym film, wszyscy by uznali, że to naciągane. Rzeczywistość pokazuje, że jest jeszcze bardziej banalna i śmieszna. Na razie jednak muszę się ukrywać.

–Dlatego przyjechałaś tutaj. To może długo potrwać? Marion pomasaowała sobie skronie: była

zmęczona.

–Nie wiem. Powiedziano mi, że do czasu, aż to wszystko nie ucichnie. Dopóki wszystko nie ucichnie... Właśnie to jest najgorsze: nie wiedzieć, kiedy wrócę.

Beatrice opróżniła kieliszek do końca.

–Jasna cholera... Poglaskała przyjaciółkę po plecach.

–Pójdę już – oświadczyła Marion.

–Chcesz spać tutaj? Mogę ci pościelić na kanapie...

–Nie; to miłe z twojej strony. Pójdę do siebie i poczytam trochę. To mi poprawi humor. Do jutra.

Pożegnawszy się na ganku ze swoją powierniczką, Marion czuła na sobie jej wzrok, dopóki nie zniknęła za rogiem.

O dziewiątej rano upał był już tak dokuczliwy, że wszyscy Europejczycy zaczęli sięgać po parasole.

Jeremy Matheson opłacił Araba, który oprowadził go po dzielnicach Abbasijja i Gamalijja, przemierzając z nim całą trasę, jaką pokonał poprzedniego dnia Azim. Za pośrednictwem swojego przewodnika i zarazem tłumacza zadawał tysiące pytań, stopniowo odtwarzając poczynania egipskiego kolegi.

Wczesnym popołudniem zakończył długą rozmowę z imamem, który towarzyszył ochotnikom czatującym na zabójcę. Jego imię prędko dotarło do uszu Jeremyego – wszyscy mieszkańcy Al-Gamalijja wiedzieli już o zainicjowanym przez arabskiego detektywa czuwaniu połączonym z nagonką, które trwało całą noc. Dla odmiany zniknięcie Azima zamknęło ludziom usta, Jeremy szybko znalazł jednak odpowiedni sposób, aby rozwiązać im języki, stosując słodycz, przekupstwo i, jeśli trzeba, nawet przemoc.

Na jego prośbę dołączył do nich Chalil, który czatował na dachu wraz z Azimem.

Razem z imamem dokładnie opowiedział Jeremyemu, co się wydarzyło w nocy, a także o planie Azima i o tym, jak zareagował na sygnał przerażonego ochotnika czuwającego w południowym sektorze dzielnicy Al-Gamalijja. Człowiek ten widział zbliżającego się Azima, nie zdołał jednak zbyt długo śledzić go wzrokiem, gdyż detektyw rozpląnął się w labiryncie uliczek i już się stamtąd nie wyłonił. O świcie wszyscy ochotnicy się rozeszli, przeczuwając, że ghul znów zaatakował, tym razem osobę dorosłą.

Opuszczając meczet, Jeremy wiedział o ghulu dwie rzeczy – jak wygląda, Azim opisał mu go bowiem w pośpiechu przez telefon, oraz to, że jego kryjówka znajduje się w podziemiach na południu Al-Gamalijja. Jeremy wrócił do swojego wagonu i wziął prysznic. Chłodna woda nie zdołała jednak zmyć lepkiego brudu, który przyklejał mu ubranie do ciała. Narastający niepokój wywoływał uczucie bólu w piersiach, podobne do tego, gdy migrena ścisną obręczą głowę.

Chwyciwszy za telefon, Jeremy zadzwonił do sekretariatu Keoraza. Chciał usłyszeć jego głos. Dowiedzieć się, co robi. Nie potrafił już się z nim rozstać.

Powiedziano mu, że skontaktowanie się z panem Keorazem jest niemożliwe. Kiedy Jeremy nie ustąpił, przedstawiając się jako detektyw, sekretarka wyjawiała, że jej pracodawca jest teraz w mieście i robi zakupy, ponieważ chce sprawić niespodziankę swojej żonie, i że wróci za dwie godziny.

Jeremy rozłączył się, nie dodając nic więcej. Otworzył usta, żeby zaczerpnąć głęboko powietrza.

Jeśli drażnił się z wężem, musiał pogodzić się z tym, że on też potrafi ukąsić.

Obraz odpychającego z wyglądu Keoraza, który wręcza nową sukienkę Jezabel, zaparł mu dech w piersiach. Jak mogło do tego dojść? Jeremy wstał, żeby nalać sobie kieliszek, ale zatrzymał się w pół drogi. To nie była odpowiednia chwila. Miał coś ważniejszego do roboty.

Gdy pod wieczór dotarł na posterunek policji na brzegu Nilu, ból w piersiach ustąpił.

Wpadł na Scyllę, chcąc ominąć Charybdę.

Grobowa wieść czekała na niego od niecałej godziny.

Odnaleziono Azima.

W grobowcu na cmentarzu kalifów.

Jadąc na miejsce zbrodni, Jeremy przez całą drogę miał odrzuconą do tyłu głowę i zamknięte oczy. Na pozór był spokojny.

Kiedy posuwając się bez słowa po piasku, dotarł do starej, częściowo zawałonej budowli, wszedł do czegoś, co zapewne było kiedyś holem.

Przez szerokie otwory okienne pozbawione szyb wpadały promienie zachodzącego słońca, oświetlając wnętrze na czerwono, zalewając kryształki piasku różowym, pomarańczowym i karminowym blaskiem.

Azim klęczał z twarzą całkowicie zagłębioną w ziemi, tak że widać było jedynie czarne włosy. Ręce miał związane za plecami wysłużonym, ale wytrzymałym niż ludzkie dłonie sznurkiem. Był pozbawiony spodni. Spomiędzy pośladków wystawał mu drewniany drąg rozmiarów trzonka od łopaty, oblepiony białą, pieniącą się substancją. Krocze i uda detektywa były poplamione sporą ilością krwi, która nie zdążyła jeszcze całkiem zaschnąć.

Koniec kija był zmiądzony i popękany pod wpływem silnych uderzeń.

Scenariusz zdarzenia przedstawiał się jasno.

Ktoś wepchnął Azimowi do odbytu drąg, nasmarowawszy go uprzednio mydłem, po czym tak długo walił w jego koniec młotem, aż drewno weszło głębiej niż pozwalała na to anatomiczna budowa ciała.

Powolna i niemożliwa do zniesienia śmierć.

Inspektorzy, wyłącznie arabscy, którzy nadciągali z całego miasta, krążyli po miejscu zdarzenia, chcąc zobaczyć tę potworność.

Rozmawiali półgłosem, ze wstrętem, wyciągając osobiste wnioski. Z całą pewnością Azim

zginął na miejscu, bo cmentarz jest w nocy pusty i nikt nie mógł usłyszeć jego

wrzasków. Tak było wygodniej. Zabójca dysponował zatem samochodem, którym przywiózł ofiarę aż tutaj, co wykluczało dziewięćdziesiąt procent miejscowej populacji.

Ktoś szepnął, że rozpoznaje rodzaj zadanej męki – była to dawna kara, pochodząca jeszcze z epoki otomańskiej w Egipcie.

Człowiek, który dopuścił się tego okrucieństwa, igrał z historią.

„Francis Keoraz udowodnił, że zna historię i że ją lubi”, pomyślał Jeremy, znajdując kolejne potwierdzenie swoich wcześniejszych podejrzeń.

Detektyw wezwał do siebie kilku zaufanych ludzi i rozkazał im, żeby się upewnili, że sekcja zwłok zostanie przeprowadzona jeszcze tej nocy i że wykona ją nie kto inny, tylko doktor Cork.

Następnie Jeremy wrócił do samochodu, który go przywiózł, i nie czekając na kierowcę, usiadł za kierownicą, po czym popędził ku starym murom obronnym otaczającym Kair.

Dotarłszy na komendę główną kairskiej policji, wpadł do pokoju, który zajmował Azim, i usiadł na skrzypiącym krześle. Otworzył po kolei wszystkie teczki leżące na biurku i w szufladach, przeczytał każdą notatkę napisaną ostatnio przez kolegę, ale nic nie znalazł.

Ich bezpośredni przełożony, Calvin Winscott, który siedł właśnie głównym przejściem dzielącym ogromny pokój na pół, na widok siedzącego przy jednym z biurek Jeremy'ego natychmiast skręcił i stanął tuż przed nim.

–Na litość boską, Matheson! Już od godziny wszędzie pana szukamy; jest pan bardzo potrzebny! Rusz się, człowieku! Czekają na pana na dole!

Jeremy, który kończył właśnie przeglądać terminarz Azima, nie odpowiedział.

–Musimy pogadać – ciągnął Winscott. – Ta sprawa zaszła za daleko; teraz nie ma już mowy, żeby działał pan w pojedynkę. Zamierzam postawić na nogi cały batalion gliniarzy. Chcę wiedzieć, na czym stoimy. Słyszysz mnie pan?

Matheson niewyraźnie pokiwał głową.

–Do cholery, czy zainteresuje się pan wreszcie tym, co próbuję powiedzieć? – zirytował się Winscott, który chwycił detektywa za ramiona, żeby skupić na sobie jego wzrok. –

Jeremy, właśnie się dowiedzieliśmy, że całe Heliopolis jest w stanie oblężenia. Wszystkie siły są w pogotowiu.

Winscott skrzywił się nerwowo, odsłaniając zęby, po czym dodał:

–Dziś po południu porwano syna Francisa Keoraza. Pan Humphreys z fundacji czeka na pana; chce porozmawiać z panem osobiście.

Humphreys czekał w pokoju sąsiadującym z recepcją. Koszula pod szytą na miarę marynarką opinała jego pokaźną pierś. Przeczesał brodę palcami, jakby to był grzebień. Na widok wchodzącego do środka Jeremy'ego poderwał się gwałtowniej niż gdyby siedział na sprężynie.

–Detektywie... Jeremy bez słowa dał znak, żeby poszedł za nim, po czym opuścili budynek, udając

się nieco dalej, do kawiarni, którą prowadził Grek. Ponieważ lokal ten odwiedzali wyłącznie Europejczycy, detektyw zamówił dwie whisky i skinął głową, zachęcając Humphreysa, by usiadł naprzeciwko.

–Przychodzę w imieniu pana Keoraza – zaczął dyrektor. – Jak pan wie, jego syn został porwany dziś po południu. Pan Keoraz pragnie się upewnić, że zrobi pan wszystko, żeby jak najszybciej odnaleźć jego syna. Chłopiec jest wrażliwy i...

–Co się stało, że pański szef zwraca się z tym do mnie? W głosie detektywa nie było słyhać cienia współczucia.

Był zimny jak gład.

–Pan Keoraz obawia się, że porwanie jest związane z tymi morderstwami, w sprawie których prowadzi pan śledztwo. Początkowo chodziło o pupili z jego fundacji, teraz to jego dziec...

Jeremy przerwał dyrektorowi, wyciągając przed siebie otwartą dłoń.

–Zabójca napadł na te dzieci, ponieważ były tuż pod jego nosem. Stanowiły łakomy i łatwy kąsek.

–Jak pan może tak twierdzić; to niemoż...

–Ależ tak! – uciął Jeremy. – Wiadomo bowiem, że zabójca jest ściśle związany z fundacją. To ktoś, kto zna te dzieci, mógł więc się do nich zbliżyć, nie wywołując lęku. Pewnej nocy zakradł się do fundacji, żeby w tajemnicy przejrzeć dokumenty uczniów i dowiedzieć się o nich jak najwięcej; na dodatek dobrze znał to miejsce: otworzył jedynie te drzwi, które prowadziły do kartotek. Wiem to z pańskiego zeznania, panie Humphreys.

–Podejrzuwa pan kogoś od nas? – oburzył się dyrektor, przytykając dłoń do brody.

–Kogoś, kto mnie zna.

–To nie ma żadnego sensu! Jeremy zamierzał właśnie podnieść szklankę do ust, ale postawił ją na stole.

–Ten, kto to zrobił, starannie wybrał tylko te dzieci, które uczęszczały na moje lekcje czytania.

–Myśli pan, że ja albo nawet... pani Keoraz moglibyśmy zrobić coś podobnego?! Przecież pan nie ma z tym nic wspólnego!

–Nie; to mężczyzna, co wyklucza Jezabel. Nie jest to również pan, bo ma pan klucze do fundacji, nie zadałby więc pan sobie trudu, żeby się włamać, chcąc zajrzeć do kartoteki. To ktoś dobrze zorganizowany, kto ma wystarczającą władzę, aby mieć dostęp do informacji na temat mojej pracy To ktoś, kto mógł wiedzieć, że zostanie mi powierzona sprawa krwawej zbrodni popełnionej w Szubrze tego dnia, kiedy miałem służbę, i że prędzej czy później skojarzę ją z morderstwami dzieci. To ten sam barbarzyński scenariusz. Ktoś, kto starannie zaplanował wszystko od samego początku, żeby mnie w to wrobić. Ktoś, kto chce mnie wciągnąć w te morderstwa jak najgłębiej się da; kto chce, żebym wiedział, że zwraca się właśnie do mnie; że robi to częściowo dla mnie, przeciw mnie. Ktoś utkał pajęczynę z krwi, w którą dała się schwytać również Jezabel. Moim zdaniem tylko jedna osoba jest do tego zdolna.

Humphreys gwałtownie potrząsnął głową, nie chcąc uwierzyć w tę absurdalną teorię.

–Pan postradał zmysły! Syn pana Keoraza został porwany! W biały dzień, gdy wracał sam tramwajem z Kairu, w godzinie szczytu, która powinna mu zapewnić bezpieczeństwo. Za tym wszystkim kryje się makiaweliczny spisek, a pan oskarża jego własnego ojca! Co z pana za detektyw!

–Przeciwnie, za porwaniem nie kryje się żaden spisek, tylko jedna osoba. Osoba, która знаła chłopca. Aby dzieciak zgodził się za nią pójść, nie wywołując sensacji. Między Kairem a Heliopolis jest długa droga i mnóstwo przystanków, mogli więc wysiąść gdziekolwiek. W tym sęk, że telefonowałem do pańskiego szefa dziś po południu. A wie pan, gdzie był? W mieście. Żeby znaleźć prezent dla Jezabel. Co najmniej przez dwie godziny. Czy może być lepsze alibi niż to? Wystarczyło wpaść do byle jakiego sklepu, kupić w pośpiechu upominek i pojechać po syna, żeby odstawić go w jakieś miejsce, prawdopodobnie do domu, który kupił lub wynajął na fałszywe nazwisko. On zaś będzie utrzymywał, że krążył od sklepu do sklepu, wiedząc, że ekspedientki miały tylu klientów, że nie będą w stanie stwierdzić, czy na pewno go widziały. Gdy wątpliwości dotyczą ludzi o pozycji Keoraza, zawsze są rozstrzygane na ich korzyść.

–Głupstwa pan mówi! Jeremy rzucił się na Humphreysa i chwycił go za brodę, przyciągając jego spoconą

twarz do swojej.

–A teraz pójdzie pan do swojego ukochanego mecenasa i powie, że zapłaci za to, co zrobił – oświadczył szeptem. – Wcześniej czy później popełni błąd.

Po czym zerwał się na równe nogi i wyszedł z kawiarni, nie oglądając się za siebie.

Dochodziła północ.

W podziemiach szpitala doktor Cork obliział spękane wargi grubym językiem.

–Dlaczego zawsze ja? – zapytał głosem, w którym brzmiało znużenie niekoniecznie fizycznej natury.

–Ufam panu – odparł Jeremy. – W Kairze nie ma wielu lekarzy sądowych, którzy wykonują dobrze sekcje zwłok.

–W Kairze nie ma wielu detektywów, którzy zlecają wykonanie sekcji zwłok przy każdym śledztwie.

Jeremy skinął potakująco głową i zapalił papierosa.

–Tworzymy idealną parę – stwierdził, przykryty obłokiem dymu. – Co z Azimem? Doktor skrzyżował ręce na piersi i znów obliział wargi.

–Długa śmierć, trwająca prawdopodobnie kilka godzin. Niebywała agonia. Włożono mu ten pal do odbytu.

Mówiąc to, wskazał leżący na stole kawałek drewna długości półtora metra i co najmniej pięciocentymetrowej średnicy. Połowę drąga pokrywała na wpół zaschnięta krew.

–W celu głębszej perforacji uderzano w wystający koniec pala, dopóki powoli nie przedziurawił jelit, żołądka... Krótko mówiąc, dopóki ból nie unieruchomił go całkowicie. Jedno jest pewne: po wbiciu na pal Azim cierpiał tak potworne męki, że nie był w stanie się poruszyć. A to oznacza, że oprawca nie musiał zostać, aby czekać na jego śmierć.

Na widok nieprzeniknionego wyrazu twarzy Jeremy'ego lekarz dodał:

–Morderca uczynił to temu nieszczęśnikowi w miejscu znalezienia zwłok, wśród grobów, a zaraz po dokonaniu zbrodni mógł sobie pójść, zostawiając cierpiącego Azima, który wykrwawił się ze wszystkich ran. Według mnie, zabójca pozostał na miejscu zbrodni prawdopodobnie nie dłużej niż pięć minut. Później zaś Azim każde, najmniejsze nawet drżenie musiał odczuwać aż w trzewiach, co wywoływało krzyk lub płacz; sam już nie wiem, jakie dźwięki może wydawać człowiek znajdujący się w tym stanie. Należy całkowicie wykluczyć możliwość, żeby się podniósł czy choćby spróbował wyciągnąć pal. Miał ręce związane na plecach, poza tym, powtarzam, pal sięgał mu aż do mostka, toteż przy najdrobniejszym ruchu oszalałby z bólu.

–A więc czekał, aż umrze...Jeremy wypuścił dym z papierosa.

–Chwileczkę! – zawołał zdumiony detektyw. – Skoro zabójca nie został na miejscu, dlaczego

Azim miał twarz zagłębioną w piasku?

Cork wycelował w niego palec.

–Właśnie; Azim nie czekał, aż wyda ostatnie tchnienie. Moim zdaniem, po godzinie jego cierpienie stało się tak ogromne, że starał się przyspieszyć śmierć. Nie będąc w stanie przemieścić ciała, musiał rozpocząć od uderzania głową o kamień. Powiedziano mi, że obok niego leżały dwa duże kamienie lekko poplamione krwią. Zranił się zatem w czoło i w prawą skroń. Jeszcze trochę, a przedziurawiłby sobie czaszkę. W samą porę przestał. Prawdopodobnie odczekał jeszcze kilka chwil i z rozpaczą spróbował czegoś innego.

Cork wpatrywał się w Jeremy’ego ponurym wzrokiem.

–Azim zanurzył twarz w piasku i, przypuszczam, zaczął się czołgać, aby się udusić. Doktor podkreślił swoje słowa skinieniem głowy.

–Właśnie to go ostatecznie dobiło. Brak tlenu. Wykazuje wszystkie objawy. Jeremy westchnął, skupiając swoją uwagę na oblepionym syropowatą cieczą palu.

–Jeszcze jedno – dodał lekarz. – Przywieziono nam tego biedaka tak, jak go znaleziono, czyli bez spodni. Ale za to miał na sobie marynarkę, z której wyjąłem portfel i... coś w rodzaju zwiniętego papirusu. Jest na nim napis po arabsku.

Tym razem Jeremy nie krył zdumienia.

–Papirusu?

–Tak, małego i w bardzo złym stanie. Musi być naprawdę stary.

–Mogę go odzyskać? Cork wzruszył ramionami.

–Oczywiście, tylko że na razie jest w rękach jednego z kolegów. O, nie ma powodu do obaw; to człowiek godny zaufania! Pracuje dla uniwersytetu amerykańskiego. Wzywają go, kiedy podczas wykopalisk zostają znalezione jakieś szkielety. To antropolog i zapewnił mnie, że wkrótce dostarczy tłumaczenie tekstu. Pokażę panu wszystko, kiedy tylko papirus do mnie wróci.

Jeremy skinął głową i już miał odejść, gdy niespodziewanie położył dłoń na ramieniu lekarza.

–Doktorze, kiedy przeprowadzał pan sekcję zwłok tego chłopca, rozpoznał go pan, prawda?

Cork otworzył usta, z których wydobył się bulgot pochodzący z samego żołądka. Nie powiedział jednak ani słowa, wydając tylko długie, pełne znużenia westchnienie.

–To jedno z dzieci, które otaczał pan opieką lekarską na zlecenie fundacji Keoraza, zgadza się? – nie ustępował Jeremy.

–Rzeczywiście, to dziecko, które znałem. I... dałem to panu do zrozumienia, detektywie.

Jeremy obdarzył doktora smutnym uśmiechem.

–A moich słów nie należy lekceważyć – dodał Cork. – Jeśli znajdzie pan tego, kto to zrobił, proszę mu posłać kulkę ode mnie. Jeśli będę miał okazję zrobić to osobiście, nie zawaham się ani chwili.

Humor Marion pasował idealnie do koloru kawy, którą właśnie mieszała.

Dlaczego musiała wczoraj stracić czujność? Wystarczył jeden babski wieczór, odrobina rozrzewnienia, poczucie samotności, zbyt wielkiej samotności, i wszystko wygadała.

Beatrice wie wszystko.

Marion ledwie ją знаła, a jej zaufanie do tej kobiety opierało się jedynie na jak najbardziej przypadkowym instynkcie. Zwierzając się, wyobrażała sobie, że później poczuje się lepiej; miała nadzieję, że podzielenie się tajemnicą ją rozweseli. Tak się jednak nie stało. Było nawet gorzej.

Nie tylko nie zyskała przeświadczenia, że jest silniejsza i że ma się na kim wesprzeć, ale jeszcze powrócił paranoiczny lęk. A jeśli Beatrice już zdążyła opowiedzieć o wszystkim pozostałym mieszkańcom Mont-Saint-Michel? Albo – co było znacznie gorsze – zwróciła się do redakcji gazet, żeby zdradzić tożsamość tajemniczej informatorki temu, kto zapłaci więcej?

Ponadto, gdyż nieszczęścia zawsze chodzą parami, nie mogła się opędzić od refrenu piosenki Johnyego Hallydaya: „Czarno, czarno, nie ma już żadnej nadziei...”, który usłyszała w radiu, biorąc prysznic.

Nie wiedziała, co robić. Według określenia używanego w powieściach szpiegowskich, była spalona. Czy powinna skontaktować się z ludźmi z kontrwywiadu i poprosić, żeby po nią przyjechali? I co miałyby im powiedzieć, żeby to wyjaśnić? Ze pewnego wieczoru, gdy poczuła się zmęczona, wszystko wypaplała? Nie dość, że byłoby to upokarzające, to jeszcze świadczyłoby o dużej bez trosce. Czy nie mieliby wówczas prawa odpowiedzieć, że pozostawiają ją własnemu losowi i że nie sposób ją chronić, skoro raptem po dziesięciu dniach wpada w rozpacz i jest gotowa wszystko wygadać pierwszej napotkanej osobie? Marion poczuła znużenie.

Od października jej życie było przepełnione lękiem i nieustannym pilnowaniem się. Ci, którzy pragnęli, żeby siedziała cicho, odnaleźli jej trop, byli bowiem wystarczająco silni i

zorganizowani, aby tego dokonać. Nie zawahali się nawet wysłać na jej parking motocyklisty, który miał ją nastraszyć. Zapewne jeszcze się wtedy nie domyślali, że pozostaje w kontakcie z kontrwywiadem, co z pewnością z czasem uległo zmianie. Jej wrogowie musieli ją osaczyć i sprawdzić każdą ewentualność, aby ją odnaleźć. Jeżeli tak rzeczywiście było, to od tej pory staną się mniej pobłażliwi, prorokowała Marion – przestaną ryzykować i postawią wszystko na jedną kartę, byleby się jej pozbyć.

Kontrwywiad wziął na siebie obowiązek znalezienia jej bezpiecznego miejsca na uboczu, żeby wszyscy o niej zapomnieli, dopóki policja nie będzie potrzebowała jej zeznań jako świadka.

Skoro już do tego doszło...

Jej sytuacja była całkowicie niepewna, płynna jak morze bez widocznej linii horyzontu.

–Co ja najlepszego zrobiłam...

Marion chwyciła się za głowę.

Czy miała jakiś wybór? Musiała czekać, aż kontrwywiad da jej znać. Tak było lepiej.

A dla zabicia czasu zawsze miała swoją książkę.

Jeśli się dobrze zastanowić, to historia opisana w dzienniku była co najmniej tak samo szalona. Oto bowiem Marion żyła śledztwem, które prowadzono ponad siedemdziesiąt lat wcześniej.

Przy odrobinie szczęścia, spędziwszy jeden poranek w internecie, mogłaby znaleźć więcej informacji na temat tego dochodzenia. A nawet się dowiedzieć, jak to wszystko się skończyło.

„I pozbawić się przyjemności odkrycia tego za pośrednictwem dziennika?”

Nie; chciała go przeczytać do ostatniej strony, dotrzeć do końca. Zachować porządek.

Nagle znów poczuła ściskanie w żołądku wywołane lękiem.

A jeśli dziennik kończy się na niczym; nie wyjaśnia tajemnicy?

Wówczas ona postara się uzyskać połączenie z internetem i sama dotrze do prawdy. Skoro „Le Petit Journal” wydrukował artykuł na ten temat, z pewnością gdzie indziej można by znaleźć więcej szczegółów: w prasie anglojęzycznej z tamtych czasów albo w internetowych archiwach.

A jeśli zabójca dzieci nadal żyje?

Marion zaczęła się zastanawiać, co by zrobiła, gdyby go spotkała. Byłby teraz starcem.

Wydałaby go policji – co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

Czy po tak długim czasie obowiązuje przedawnienie?

Nie dla niej. Nie, jeśli ktoś morduje niewinne ofiary.

Lektura miała stanowić dla niej rozrywkę, przenosząc ją daleko stąd, z dala od trosk.

Marion weszła na górę po ciepłe ubranie i, podobnie jak poprzedniego dnia, przygotowała sobie kanapkę. Włożyła do torby koc. Opuściła dom późnym rankiem z zamiarem udania się na górę, do opactwa.

Wkrótce znalazła się w sali rycerskiej, pełnej równie wytwornych, co groźnych cieni. Było to idealne otoczenie dla jej podróży w przeszłość.

Marion zbliżała się do końca – plik stron, jakie jej pozostały do przeczytania, malał coraz bardziej i w coraz szybszym tempie.

Rozłożywszy koc pod oknem, które sobie wybrała, przygotowała się do pożegnania z XXI wiekiem.

Przewracając stronę tytułową czarnej książki, doznała wrażenia, że otwiera drzwi.

Słowa stanowiły czarodziejskie zaklęcie.

Zacząła je wymawiać, najpierw powoli, następnie coraz szybciej.

Mont-Saint-Michel zniknął.

Zacząło świecić słońce.

Do jej nosa dotarły egzotyczne wonie.

A wokół rozległy się odgłosy minionej epoki.

O szóstej rano Jeremy Matheson przechadzał się bez celu po murach cytadeli Saladyna. Wysokie wieże meczetu Muhammada Alego sterczały niczym dwie świece, których zadaniem jest rozproszenie mroków miasta choć odrobiną światła.

Miał obolałe stopy, błakał się tak bowiem już od dłuższego czasu. Czuł zamęt w głowie. Przemierzył wiele dzielnic o wijących się uliczkach, które były tak wąskie, że nie zmieściłoby się na nich trzech mężczyzn jednocześnie, po czym znalazł się w mniej zwartej, mniej tajemniczej części miasta, maszerując po strzelistych i widowiskowych arteriach, takich jak paryskie Pola Elizejskie. Było jeszcze za wcześnie, żeby ujrzeć pędzące po nich sznury samochodów, ale za dwie lub trzy godziny warkot silników zagłuszy szum wiatru i odgłosy pracujących już od dawna rzemieślników.

Jeremy rozpamiętywał całe śledztwo. Szukał jakiejś szczeliny.

Keoraz musi się poddać.

Na początku Jezabel nie zrozumie. Gorzej; na pewno znienawidzi go za to, że odkrył przerażającą naturę jej męża. Z czasem jednak wszystko stanie się dla niej jasne; pogodzi się

z prawdą. Potraktuje to, czego dokonał on, Jeremy, z wyrozumiałością. Będzie musiała być silna. On zaś będzie przy niej, aby ją wesprzeć. Nie pozwoli jej upaść.

Będzie ją trzymał za rękę i zostanie w pobliżu tak długo, jak długo trzeba, zachowując dyskrecję. Dla niej. Nie prosząc o nic w zamian.

Jak zawsze, ona okaże się wobec niego twarda, nieprzejednana i okrutna. Niekiedy nawet podła. Będzie to mechanizm obronny. W taki właśnie sposób się broniła. Przed uczuciami, które w niej budził. Nie potrafił uwierzyć, że ich miłość zmieniła się aż do tego stopnia, żeby przerodzić się w czystą nienawiść. W głębi duszy ona darzyła go przecież ogromną czułością i właśnie to doprowadzało ją do szaleństwa. Przy każdym spotkaniu kazała mu płacić za uczucie, które ją przerastało.

Będzie musiał okazać jej cierpliwość. A także miłość.

Podtrzymać ją na duchu.

Nagle Jeremy uświadomił sobie, że właśnie przeszedł przez plac Saladyna i że znajduje się pod murami więzienia.

Niebo za cytadelą stawało się białe.

W tym momencie rozległy się wystrzały, przesywając z wściekłością suche powietrze poranka i odbijając się echem od wysokiego ogrodzenia wewnętrznego dziedzińca.

Jeremy znieruchomiał i zamknął oczy.

Przeszukawszy kieszeń spodni, wyjął z niej paczkę papierosów.

„Ilu ich było? – zastanawiał się Jeremy, zaciągając się dymem. – O czym myśleli w ostatnich minutach życia?” Podczas gdy on przemierzał plac, oni wychodzili ze swoich cel ze świadomością, że to ich ostatni spacer, ostatni świt i że wkrótce pożegnają się z życiem, z całym istnieniem, ponieważ nie potrafili się podporządkować społeczeństwu, które wyгнаło ich na zawsze.

On palił sobie spokojnie papierosa, tymczasem ich już nie było.

Bezwładne ciała podziurawione kulami.

Skazani na śmierć, rozstrzelani w uroczystej ciszy wczesnego poranka, niemal w całkowitej anonimowości, tak jakby wykonanie wyroku było czymś wstydlivym.

Za torami tramwajowymi, tuż za kompleksem mieszkalnym zasłoniętym częściowo przez więzienie, rozciągał się gigantyczny cmentarz, dorównujący wielkością pięciu dzielnicom Kairu, gdzie popadały w zapomnienie kolejne pokolenia kobiet i mężczyzn, którzy zapełniali to miejsce. Pokolenia wszystkich tych mężczyzn, których aresztowano pewnego dnia za to, że pomyśleli o cudzej śmierci, i wszystkich tych kobiet, które oplakiwały zniknięcie jednego z nich.

Jeremy odrzucił niedopałek pstryknięciem środkowego palca, przeszedł cały plac w przeciwnym kierunku, ku potężnemu, górującemu nad miastem meczetowi Hasana, a następnie doszedł do głównego bulwaru.

Czuł się wyczerpany, oderwany od ciała. Było to coś w rodzaju dalekiego upojenia.

Zaciekawszy na pierwszy tramwaj, pojechał do północnej części Kairu, do komendy głównej egipskiej policji, gdzie miał swój gabinet. Chcąc złagodzić zmęczenie, znalazł szczegółowy plan miasta i zabrał się do sporządzania listy wszystkich szpitali w pobliżu dzielnicy Szubra. Miał obmyśloną strategię. Swój plan bitwy.

Skoro morderstwo włóczęgi z Szubry było rzeczywiście pierwszą zbrodnią zabójcy dzieci (te same objawy nieludzkiego szału), być może przestępca pojawiał się w okolicznych szpitalach. Podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej Azim opowiedział pokrótce o swojej przygodzie i odnalezieniu potwora: czarnego, łysego olbrzyma o dziurawych policzkach, przez które było widać zepsute szczęki. Wrzeszczał, że to ghul.

Ludowe tłumaczenie monstrualnej natury tego osobnika nie było jedyne.

Jeśli podobny człowiek dokonał zabójstwa w Szubrze, istniała możliwość, że znano go w miejscowych szpitalach, gdzie opatrywano mu dziwne rany.

W okolicy nie było wielu zakładów opieki medycznej. Szpital żydowski znajdował się już dość daleko dla kogoś, kto prawdopodobnie nie dysponował innym środkiem lokomocji jak własne nogi. Ponadto przemieszczał się prawdopodobnie nocą, aby nikt go nie zobaczył.

Pożyczywszy samochód, Jeremy spędził dwie godziny w dobrze mu znanym szpitalu imienia lorda Kitchenera, pracował tam bowiem doktor Cork, któremu regularnie zlecał sekcje zwłok. Nikt jednak nie przypominał sobie czarnego olbrzyma o twarzy na wpół odartej ze skóry.

Udał się więc do drugiej (i ostatniej) placówki – do szpitala Bulak. Podany przez Jeremy ego opis wydał się znajomy jednej z pielęgniarek, następnie lekarzowi. Tego rodzaju pacjenta się nie zapomina.

Mężczyzna przyszedł się leczyć raz, ponad półtora miesiąca wcześniej, pod koniec stycznia. Próbowali nawet zamknąć go w przytułku, przynajmniej na kilka tygodni, aby podreperował swoje zdrowie, on jednak uciekł, zanim zdążył przyjechać samochód. Człowiek ten mieszkał na ulicy i bardziej przypominał bezpańskiego psa niż istotę ludzką: nie mówił, miał podrapane całe ciało i cierpiał na niedożywienie. Został doprowadzony do szpitala siłą przez dwóch policjantów z posterunku w Szubrze, którzy znaleźli go skulonego w jednej z ruin dzielnicy. Jego przerażający wygląd kazał im najpierw pomyśleć, że to trup, któremu zwierzęta wygryzły dziury w policzkach, ale niespodziewanie się poruszył.

Początkowo wystraszeni, później zaś zaciekawieni miejscowi policjanci przetransportowali olbrzyma, który nie przejawiał wrogości, do szpitala.

Od tamtej pory więcej go nie widziano – albo umarł, albo bardzo dobrze się maskował, kryjąc się w jakimś ohydny kąt w okolicy.

Co do jego choroby, lekarz miał pewne wątpliwości. Wyglądało to zupełnie jak trąd, chociaż nim nie było. Mężczyzna miał wyżarte, pozbawione ciała policzki, częściowo wygryziony nos, a jedno jego oko było nienaturalnie otwarte, niemal wiszące. Szczęki olbrzyma nie dało się otworzyć – była jak przyklejona w pozycji zamkniętej, co wyjaśniało stan niedożywienia, w jakim się znajdował, zmuszony do połykania niemal płynnego jedzenia, które musiał wlewać do ust przez wąskie szczeliny między zepsutymi zębami.

Wkrótce po porze obiadu Jeremy był już w drodze powrotnej.

Francis Keoraz miał mnóstwo różnych kontaktów, było zatem możliwe, że do jego uszu dotarła ta ponura opowieść o człowieku-bestii i że postanowił odnaleźć tę istotę, co przy dobrej organizacji okazało się nietrudne. Ten, którego Azim nazywał ghulem, siedział teraz w zamknięciu albo po prostu gdzieś mieszkał. Keoraz pilnował go, zapewniając mu dach nad głową i wyżywienie.

Jeremy usiadł na tarasie kawiarni znajdującej się tuż obok komendy, w ogrodach Royal Yachfs Administration, nad samym Nilem, w którego wodach odbijało się platynowe słońce.

Przygotowywał w myślach raport.

Czarny olbrzym był z pewnością sudańskim imigrantem, którego rodzina odrzuciła z powodu brzydoty spowodowanej chorobą, nie bacząc na to, co to za przypadłość. Dorastał w jednej z nor w Szubrze, okolicy równie dzikiej jak sawanna afrykańskich drapieżników. Tam, gdzie nie zapuszczali się jeszcze ani policjanci, ani urzędnicy państwowi; w świecie, który wymykał się wszelkim regułom, wszelkim spojrzeniom. Samotny i oszpecony, stworzył samego siebie, opierając się na własnych schematach myślowych, ustanawiając własne reguły. Być może po prostu w ogóle nie dojrzał umysłowo. Nadal był dzieckiem, które cierpi z powodu choroby, a które rodzice odrzucili z powodu docinków i razów rówieśników.

Tak, ta teoria miała sens.

I właśnie ta jego nienawiść wpływała na wierzch.

Jego okrucieństwo nie było niczym innym jak odbiciem doznanych cierpień, dzieci stanowiły zaś w jego oczach przyczynę wszelkich krzywd i źródło samotności.

Uzewnętrznił własną gehennę.

To się trzymało kupy.

A Keoraz... Osoba Francisa Keoraza była już znana; Jeremy miał o nim dość dokładne wyobrażenie: postrzegał go mianowicie jako człowieka mającego władzę, przyzwyczajonego do tego, by dostawać wszystko, posiadać ciągle więcej, robić wszystko coraz lepiej, bez ograniczeń, aż do zatracenia samego siebie.

Żądza władzy wywołała obłądną spiralę.

Keoraz był jednak człowiekiem cywilizowanym, na którym wychowanie odcisnęło zbyt silne piętno, jeśli zaś nawet dzisiaj uważał, że normy moralne go nie obowiązują, nie był zdolny do wszystkich tych okropności popełnianych na zabitych dzieciach.

Posłużył się ghulem.

Manipulował czarnym olbrzymem prawdziwie po mistrzowsku; pociągał za sznurki, prowadząc zranionego człowieka na drogę nienawiści, skłaniając go do formy rozładowania, jaką może dać zbrodnia. Absolutnego wyzwolenia i wreszcie źródła przyjemności dla niego samego.

Keoraz napawał się zaś władzą, obserwując z ukrycia nieczne czyny swojego potwora. Niczym Frankenstein chował się w cieniu istoty, na której skupiała się powszechna uwaga.

„Nie – poprawił się w myślach Jeremy. – W końcowym raporcie należało zaznaczyć, że Keoraz nie tylko napawał się wszechwładzą nad innymi ludźmi, nad życiem i śmiercią; on był znacznie bardziej odrażający – zaznawał prawdziwej rozkoszy! Świadczyło o tym nasienie,

które znaleziono na dachu nad miejscem zbrodni dokonanej na ostatnim dziecku.”

Podczas gdy ghul uderzał, Keoraz trzymał się z daleka i podglądał, zaspokajając swoje świńskie fantazje.

Jeremy pokiwał głową ze smutkiem.

Keoraz dostanie za swoje.

Milioner był chytry i przebiegły. I to do tego stopnia, że porwał własne dziecko, aby zaskarbić sobie przychylność opinii publicznej i umocnić przekonanie o własnej niewinności, jednocześnie czuł się bowiem zagrożony przez śledztwo. Jeremy nie miał żadnych wątpliwości, że Keoraz należy do grupy istot, które znajdują się poza egoizmem, w stanie ciągłego utrzymywania się przy życiu, co pociąga za sobą brak jakichkolwiek rzeczywistych związków, występowanie niewielu uczuć, przede wszystkim zaś całkowite oderwanie od świata. W jego oczach był on jedynie świadomością w grze – wszystkie przedmioty, wszystkie formy życia traktował bowiem tylko jako narzędzie zapewniające mu rozrywkę i własny rozwój.

Jedno pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Do jakiego stopnia był on zimny i obojętny? Czy byłby zdolny uśmiercić własnego potomka?

Jeremy zacisnął pięść. Keoraz musi odpokutować za swoje czyny.

Aby to się stało, brakuje tylko jednej rzeczy: dowodu. Konkretnego śladu łączącego go ze zbrodniami, z tym całym... ghulem.

Była to jedynie kwestia czasu.

Zapłaciwszy za kawę, Jeremy zajrzał na posterunek policji, chcąc się upewnić, czy nie ma dla niego żadnych wiadomości. Wokół zaś wrzało: po mieście krążyli zwolennicy niepodległości, którzy dopuszczali się rozmaitych aktów wandalizmu. Aby powstrzymać rebeliantów, wezwano na pomoc wszystkich zdrowych mężczyzn.

Manifestacje przeradzające się w zamieszki i mordy polityczne występowały od lat, jak dotąd jednak nigdy nie doszło do porozumienia, które satysfakcjonowałoby wszystkie frakcje.

Nie chcąc się natknąć na rozwścieczony tłum, Jeremy ruszył ku wschodnim dzielnicom Kairu, robiąc na wszelki wypadek szeroki objazd w kierunku północnym, aby uniknąć zamieszek na ulicach centrum.

Szukał przez godzinę, dopóki nie znalazł przewodnika, który poprzedniego dnia pomógł mu w rozmowach z tubylcami. Zapłacił mu w zamian za następującą przysługę: spisać i zlokalizować wszystkich, którzy pomagali Azimowi w obławie na potwora w noc jego zniknięcia, aby zacieśnić obręcz wokół kryjówki ghula. Należało zacząć od spotkanego poprzedniego dnia imama, który powinien znać większość okolicznych mieszkańców, stanowiłby więc doskonały

punkt wyjścia. Część zeznań trzeba by zapewne zweryfikować, ale przy odrobinie szczęścia Jeremy zdołałby być może odnaleźć jamę potwora. Przewodnik miał zadawać wszystkie pytania, a w razie uzyskania interesujących rezultatów zostałby wynagrodzony.

Jeremy udał się na obiad w pobliżu dworca, gdzie najwyraźniej nie doszło do zamieszek.

Następnie wrócił do siebie ze wzrokiem zamglonym z powodu odurzających oparów wina, które w siebie wlał.

Nad Kairem zapadła noc.

Nie był pijany, do tego sporo mu jeszcze brakowało, tylko po prostu trochę podchmielony, co wystarczyło, żeby rozgrzać mu serce i dodać odwagi.

Przechodząc pod daszkiem przylegającym do jego wagonu, potrzebował jednak aż pięciu kroków, żeby stanąć w miejscu po tym, jak stwierdził, że w jego polu widzenia znajduje się jakiś niecodzienny przedmiot.

Na skrzyni tuż obok wejścia leżała czterdziestocentymetrowa tuba z kartonu, podobna do tych, których używają w bibliotekach do wkładania kart.

Otworzywszy ją, Jeremy wyjął kawałek papierusu i wiadomość od doktora Córka.

Ponieważ nie było jeszcze zbyt ciemno, Jeremy zdołał ją odczytać, podsuwając pod sam nos.

To dokument urzędowy, pochodzący zapewne z XIII wieku. Dotyczy on utrzymania podziemi pałacu i wydatków na budowę szpitala sultana Kalawuna. Jest w nim mowa o możliwości zamknięcia podziemi łączących mały pałac z dużym. Mój przyjaciel dołączył notatkę wyjaśniającą – podziemia te znajdują się między dzisiejszym meczetem Husajna a uniwersytetem Al-Azhar, nigdy nie zostały odkryte, pracuje jednak nad tym wielu archeologów. I wie Pan co? Na liście archeologów, którą dostarczył mi ten przyjaciel, figuruje nazwisko jednego z naszych klientów: Fredricksa Winslowa, biedaka, który zginął od kuli półtora miesiąca temu, tego od, jak Pan to nazwał, „zasranego śledztwa”. Podobno Winslow obwieścił wszem i wobec, że znalazł wejście do podziemi tuż przed tym, zanim został zabity. Proszę do mnie zadzwonić jutro rano albo wpaść osobiście. Serdecznie pozdrawiam. Dr Cork

Jeremy już miał pognieść kartkę, nie pozwolił jednak palcom, żeby dały upust złości. Przez krótką chwilę zakręciło mu się w głowie od wina.

Winslow był nie tylko zamordowanym skrycie archeologiem, ale także znajomym. On i Jeremy często rozmawiali na wieczornych przyjęciach dla wyższych sfer. Winslow nie cieszył się dobrą opinią; mawiano o nim, że to „majsterkowicz”, gotów ustawiać odkrycia, żeby nadać im jeszcze większe znaczenie, że nie przestrzega zasad, że działa na własną rękę, że nie kopie na zlecenie żadnego muzeum, lubi bowiem oferować swoje usługi temu z kolekcjonerów, który da więcej. Bez wątpienia to było „zasrane śledztwo”; Jeremy nie omieszkał podkreślić, jak wielu

podejrzanym można znaleźć. Pośród gotowych na wszystko sprzedajnych koleżków Winslowa – najemników trudniących się archeologią – i paru nawiedzonych fanatyków, którzy wyznają ślepią wiarę w ochronę zabytkowych miejsc, tropy mogły prowadzić we wszystkich kierunkach; od kiedy zaś Jeremy odłożył na bok to śledztwo, żeby zająć się sprawą mordowanych dzieci, do tej pory ciągle jeszcze nic nie znalazł. W pośpiechu dokonał rozrachunku. Od tej chwili żaden, nawet najbardziej tępy urzędnik sądowy nie będzie mógł odrzucić jego wniosków. Między nim a tymi morderstwami istniał więcej niż jeden związek. Wszystko to, co robił zabójca, miało na celu zaszkodzenie mu. Wrobienie go.

Po raz kolejny rzeczywistość przerastała fikcję. Żadnych pozorów; nic, tylko winny oczywisty od samego początku, który z czasem przestał być taki oczywisty. Żadnych

teatralnych efektów w stylu Agaty Christie na końcu; nic, tylko prostota dowodów, smutna oczywistość prawdy. Keoraz był jego pierwszym podejrzanym i w gruncie rzeczy to on jest winny.

„W powieści mordercą byłby lekarz sądowy”, pomyślał Jeremy. Cork miał na co dzień do czynienia z krwią, był na wojnie, doznał wstrząsu... Miał styczność z dziećmi za pośrednictwem fundacji, ghula zaś mógł spotkać pewnego dnia w szpitalu, podczas zabiegów. Na dodatek to właśnie on robił sekcję zwłok archeologa Winslowa, mógł się więc potem do niego zakraść i zajrzeć do notatek.

Z kolei w powieści napisanej przez kobietę idealną winowajczynią byłaby Jezabel. Kobieta niezrównoważona, bez prawdziwych korzeni, sierota szukająca punktu oparcia...

Ile szalonych teorii!

Zwinąwszy starannie papirus, Jeremy schował go do kieszeni marynarki.

Już miał wejść do wagonu, gdy stopa mu się osunęła i znieruchomiała.

Drzwi były otwarte. Nie zauważył tego, kiedy przybył na miejsce.

Alkohol odpłynął z jego świadomości aż do trzewi, pozwalając mu się bardziej skupić.

Akurat w momencie, gdy usłyszał delikatne szuranie stóp cofających się ostrożnie po podłodze.

Francis Keoraz.

Marion poczuła rozczarowanie. Winny wydawał się zbyt oczywisty. Jak jednak podkreślił Jeremy, rzeczywistość bywa równie prosta. Żadnych teatralnych efektów w ostatniej chwili, żadnych diabolicznych machinacji; nic, tylko banalna historia osobista zmierzająca wprost ku tragedii. Z doświadczenia, jakie zdobyła, pracując w sekretariacie Zakładu Medycyny Sądowej w Paryżu, wiedziała, że dochodzenia obracają się najczęściej wokół tego samego: zazdrości, chciwości, pożądania. ZCP W większości wypadków nagłej śmierci występuje ten sam winny: ZCP Zazdrość, Chciwość, Pożądanie.

Jedno z nich zawsze prowadzi rękę, jeśli nie umysł, zabójców tego świata.

Z wyjątkiem seryjnych morderców.

Oni są inni. Nie sposób ich porównać z pozostałymi przestępcami. W ich mechanicznej makabrze wchodzi w grę takie pojęcia, jak tropienie czy rozwój osobisty, równowaga, przetrwanie.

Lecz niemal wszystkie zbrodnie niepopelnione przez te nietypowe potwory w taki czy inny sposób świadczą o istnieniu ZCP

ZCP powiedział.

Człowiek zrobił.

Keoraz należał do osobników zupełnie innego rodzaju. Marion zabawiała się w scharakteryzowanie go we własnym żargonie. Z kompulsywnego sadysty przemienił się w obsesyjnego maniaka zżeranego ambicją, którą niszczą jego własne sukcesy. Z połączenia ich obu narodził się perwersyjny niszczyciel.

Możliwe, że Marion użyła zbyt mocnych określeń, była jednak dumna ze swojej analizy. Przywodziła jej ona na myśl amerykańską pisarkę Patricię Cornwell, która pracowała w kostnicy jako informatyk, zanim wykorzystwała to, czego się nauczyła i co usłyszała, do stworzenia własnych powieści.

„Nie jestem aż tak uzdolniona, a przede wszystkim – nie aż tak bogata!”

W końcu Jeremy Matheson od początku czuł, kto jest winny tych zbrodni. Przez sekundę korciło Marion, żeby przeprowadzić własne śledztwo, zajrzeć do internetu i przekonać się, jak się to wszystko skończyło. Natychmiast jednak odsunęła od siebie tę myśl. Zostało jej tylko kilka stron do przeczytania. Któż bowiem mógłby najlepiej opowiedzieć epilog tego głośnego dramatu, jeśli nie ten, kto siedział w pierwszym rzędzie?

Jeszcze tylko dwadzieścia stron i sama się dowie.

A co miała powiedzieć o tym całym... ghulu?

Marion dała się ponieść tokowi narracji, zastanawiając się nad nią jedynie wraz z Jeremym, nie szukając na własną rękę rozwiązania zagadek, chociaż była w stanie rozwikłać niektóre z nich. W końcu jednak zaczęła zgłębiać zagadnienie.

Ghul.

Oczywiście chodziło tutaj o człowieka, a nie o jakąś demoniczną istotę. Człowieka dotkniętego chorobą, która uszkodziła mu skórę. Najpierw przyszedł Marion do głowy trąd, zgodnie zresztą z sugestią zawartą w opowieści Jeremy'ego, ale to nie miało większego sensu. Przypomniała sobie wówczas nazwę choroby, która jeszcze dzisiaj nadal wyniszcza ciała, zwłaszcza w Afryce.

Noma.

Cierpienie w czystej postaci.

Choroba zgorzelinowa, która zżera tkanki ust i twarzy. Marion przypomniała sobie o tym także dlatego, że po obejrzeniu w telewizji programu na temat tej plagi przepisywała długi raport dotyczący nomy, będący załącznikiem pisma skierowanego do wszystkich szpitali i służb medycyny sądowej w całym kraju, a zredagowanego po tym, jak w

zapuszczonej melinie nielegalnych imigrantów na przedmieściach Paryża znaleziono niemowlę, które zmarło na tę chorobę.

Przypomniała sobie również naukową nazwę.

Cancrum oris.

Jeszcze tak mało znana szerszemu ogółowi, a przecież tak potworna. Choroba ta nie jest zakaźna i dotyka jedynie wyjątkowo ubogich środowisk, w których brakuje żywności i dbałości o higienę jamy ustnej. We Francji – poza bardzo rzadkimi wypadkami imigrantów -nomy się nie spotyka. Niemniej jednak specjaliści są świadomi całej potworności tej choroby, polegającej na okaleczeniu fizycznym i zniekształceniach, jakie ono za sobą pociąga, oraz wszystkich skutków psychicznych i społecznych.

W latach dwudziestych przypadłość ta oznaczała wykluczenie ze społeczeństwa, nienawiść i odrzucenie. Tamten mężczyzna, którego już zżerała choroba, został wyśmiany, prześladowany, zaszczuty. I to do tego stopnia, że sam skazał się na wygnanie i życie w cierpieniu. Z trudem zdobywał pożywienie, a następnie doprowadzał je do stanu płynnego; z trudem też dawał radę w ogóle przeżyć, będąc zmuszony do ukrywania się. Był to osobnik całkowicie rozstrojony psychicznie.

Marion wyobraziła sobie życie, jakie prowadził.

Akty okrucieństwa, jakich dopuszczał się wobec dzieci, były nie do przyjęcia. Najbardziej dramatyczne dla Marion było jednak zrozumienie, skąd wzięła się u niego ta potrzeba unicestwienia wszelkiej niewinności. On sam stracił ją dawno temu. Z pewnością w stosunku do innych czuł jedynie nienawiść, zwłaszcza zaś w stosunku do dzieci, które musiały szydzić z niego na ulicy, choć jednocześnie się go bały. Jeremy znakomicie go scharakteryzował. Myśliwy obnażył zwierzę, ale ze sporą przenikliwością proces rodzenia się potwora wewnątrz potwora.

Śledztwo wkrótce miało zostać zamknięte.

Marion zabrała się z powrotem do czytania, naciągnąwszy na nogi koc, aby się rozgrzać.

Mimo że burza minęła, na dworze wiatr nadal dawał upust złości, wypychając swoje ramiona do opactwa, ledwie ktoś otworzył drzwi lub okno.

Z samych trzewi budowli rozległ się przenikliwy jęk skargi, który narastał, wznosząc się po krętych schodach, jakby przenikał przez niebiańskie flety, po czym w całej Merveille rozbrzmiał gwizd.

Nagle wiatr ustał.

Z kamiennych pizczalek uszło powietrze; służące jako usta szpary pod drzwiami umilkły; nie było też nikogo, kto zadałby w przypominające ukośny ustnik schody.

W ciszy, jaka zapadła, Marion usłyszała, jak ktoś usiłuje zatkać dziurkę od klucza.

Zesztywniała.

Czyżby ktoś ją zamykał? Były to drzwi naprzeciwko, od przejścia na półpiętrze, te same, przez które weszła półtorej godziny wcześniej. Jednocześnie Marion przypomniała sobie, że zamykała je za sobą na klucz.

Ktoś je zatem otwierał.

Bardzo powoli, żeby nikt go nie usłyszał. Wykorzystując hałas, jaki robił wiatr.

Ktoś był po drugiej stronie i zamierzał się do niej zbliżyć tak, żeby go nie zauważyła.

Jak nic, tajemniczy osobnik w kapturze.

Podobieństwo między nim a ghulem, który krążył po ulicach Kairu w 1928 roku, mogłoby zakrawać na ironię, gdyby wystąpiło w zupełnie innych okolicznościach.

Marion położyła książkę na kocu i bezszelestnie wstała.

Nie prowadziła policyjnego śledztwa, dlatego nie wystarczyło skrupulatnie gromadzić ślady, aby zdemaskować tego, kto ją szpiegował.

Musiała przejąć inicjatywę. Zmusić go do działania.

Marion przeszła na palcach między kolumnami, następnie wspięła się po schodach na korytarz na półpiętrze i stanęła bez ruchu pod drzwiami.

Uklękała, wstrzymując oddech.

W ustach miała zbyt dużo śliny.

Przełknęła ją, starając się być cicho.

Oparłszy dłonie o drzwi, zajrzała przez dziurkę od klucza.

Za drzwiami było czarno.

Marion usiłowała przeniknąć wzrokiem ciemność. Nie dostrzegając postaci, która pojawiła się po cichu za jej plecami.

Przesuwającego się cienia w habitcie i kapturze nasuniętym na oczy. Przemykającego przez salę rycerską.

Marion, która nie mogła nic zobaczyć, była pewna tylko tego, że w dziurce nie ma klucza, nie potrafiła się jednak rozeznaczyć w tym, co rozciągało się przed nią. Zamierzała otworzyć drzwi jednym błyskawicznym ruchem.

Działać przez zaskoczenie.

Jeśli to brat Gilles, przyłapie go na gorącym uczynku.

Cień za jej plecami poruszał się szybkim krokiem.

Marion położyła dłoń na żelaznej klamce. Nagle usłyszała szelest tkaniny. Kiedy przymknęła powieki, zrozumiała. „Z tyłu...”

Obróciła się na pięcie.

Dziwna zjawa znajdowała się niecały metr od rzeczy Marion. Kiedy dłoń w rękawiczce sięgnęła po dziennik, kobieta natychmiast pojęła, że to śledzący ją osobnik.

–Ej! – zawołała Marion. Zacisnąwszy się na czarnej książce, dłoń wsunęła ją między fałdy habitu.

–Proszę to w tej chwili zostawić! Marion rzuciła się ku schodom. Postać o wyglądzie Śmierci

zachwiała się i skoczyła do przodu. Po czym przebiegła tuż obok Marion i wypadła przez tajemnicze drzwi w północno-zachodnim narożniku. Marion deptała jej po piętach.

Dopadłszy krętych schodów, osobnik ruszył biegiem w kierunku piwnicy Marion zaś zwolniła kroku, żeby nie potknąć się o jakiś stopień i nie upaść. Wreszcie znalazła się w szerokiej sali na dole. Ani śladu uciekiniera.

Po prawej stronie zamykało się właśnie skrzydło drzwi, wpuszczając światło i chłodny listopadowy wiatr.

Kiedy Marion je pchnęła, spostrzegła pędzącą przez położony w dole ogród postać, która oddalała się coraz bardziej.

Doprowadzona do wściekłości, Marion zbiegła po kilku pierwszych stopniach na raz, po czym zeskokczyła z ostatnich i wylądowała na wynędzniałej o tej porze roku trawie. Natychmiast puściła się w pogoń za złodziejem.

Tamten zaś uciekał zygzakiem między drzewami w ogrodzie, przecinając zarośla i depcząc po dywanach z kwiatów. Doskonale wiedział, dokąd zmierza.

Marion przyspieszyła kroku. Z całych sił.

Mimo to uciekinier ciągle miał sporą przewagę. Był wystarczająco sprytny, żeby niespodziewanie zmienić kierunek.

Następnie przyszła kolej na długi prosty odcinek u stóp Merveille. Marion zamknęła oczy na sekundę, żeby nabrać energii.

Skupiła się na własnym oddechu. Na uderzeniach ramion, przecinających powietrze dłońmi. Na rytmicznych ruchach ud.

„Podnosić kolana, przybliżyć pięty do pośladków.” Ścigany nie miał tej swobody ruchów. Z powodu habitu, który plątał mu się między nogami.

Powoli, stopniowo Marion zaczęła go doganiać.

Tlen, zamiast trzymać ją przy życiu, palił w płuca. Nagle uciekinier przystanął przed drzwiami kończącymi esplanadę.

Wyjąwszy spod szaty identyczny pęk kluczy, jaki miała Marion, zabrał się do szukania właściwego.

Klucze. W całym tym zamieszaniu Marion zapomniała je wziąć. Jeśli tamtemu uda się zamknąć za sobą drzwi, to będzie koniec, zgubi go na dobre. A wraz z nim czarną książkę.

Zmusiwszy się do zrobienia maksymalnie głębokiego wdechu, wciągnęła tyle świeżego

powietrza, ile tylko zdołała.

Jeszcze trochę przyspieszyła. Czowała, że jest bliska ataku przepukliny.

Tymczasem postać podniosła klucz na wysokość twarzy i włożyła go do otworu zamka.

Marion pędziła do końca drogi.

Biegła za szybko, o wiele za szybko. Musiała jak najprędzej zahamować.

Złodziej dziennika otworzył drzwi. Za chwilę miał zniknąć.

Zamiast zwolnić, Marion w przypiływie rozpaczy spróbowała przyspieszyć, wkładając w to wszystkie siły, jakie jeszcze jej zostały.

Nagle tuż przed nią wyrosła ściana.

Postać, która wyjęła klucz z otworu zamka, zamierzała przekroczyć próg.

Mur za późno trafił w pole widzenia Marion.

Zdążyła zaledwie skrzyżować przed sobą ramiona w obronnym geście.

Po czym wpadła z ogromnym impetem na usiłującego uciec osobnika.

Zderzenie było tak gwałtowne, że ciało ściganego rąbnęło całym ciężarem o kamień.

Marion zaparło dech w piersiach, nagle uszło z niej bowiem całe powietrze. Złodziej, który posłużył jej jako zderzak, uderzył o ścianę, biorąc na siebie większą część ciosu.

Na dodatek wypuścił z dłoni klucze. Książka zaś spadła na ziemię.

Mimo wszystko Marion czuła się ogłuszona, dlatego cofnęła się odruchowo chwiejnym krokiem. Zakapturzona postać chwyciła się klamki, żeby nie upaść. Niezdarnym ruchem podniosła klucze. Tymczasem Marion powoli dochodziła do siebie. Zdała sobie sprawę, że tamten znajduje się w stanie nie lepszym niż ona. Macał dłońmi w rękawiczkach w poszukiwaniu książki.

Marion, której nadal kręciło się w głowie, podeszła bliżej.

–Co to, to nie – wyszeptała z trudem. – Co to, to nie... Jeśli chcesz... książkę... mu... musisz poprosić mnie o to w cztery oczy.

Przysunęła się do niego.

W tej samej chwili dostrzegła w jego oczach panikę. On zaś skoczył do przodu i zatrzasnął za sobą drzwi.

W odgłosie, który wkrótce usłyszała, Marion rozpoznała obrót klucza w zamku.

Wymykał się jej.

Po drugiej stronie muru rozległ się nieregularny tupot jego kroków. Uciekał z trudem, nadal pozostając w szoku pod wpływem otrzymanego ciosu.

Wymknął się jej.

W tym celu musiał jednak zostawić książkę.

Marion opadła obok niej, po czym przycisnęła ją do siebie.

44

Mając wyostrzone wszystkie zmysły, Jeremy wszedł po schodach z zamiarem przekroczenia progu wagonu, z góry planując unik, który mógłby wykonać, gdyby jakaś wroga postać rzuciła się na niego.

Panował zbyt gęsty mrok, żeby mógł dokładnie widzieć, co dzieje się w środku; na dodatek wąskie okna przepuszczały niewiele światła, co jeszcze bardziej utrudniało poruszanie się.

Najpierw usłyszał, jak nadchodzi.

Dopiero później ją zobaczył.

Idącą ku niemu postać.

Postać uniosła dłoń, żeby go uderzyć.

Jeremy nawet nie drgnął.

Po czym otrzymał silny policzek.

–Jak możesz tak myśleć? – krzyknęła Jezabel głosem, w którym było słycać łkanie. Rozpoznał jej kształty, sposób poruszania się i zapach, ledwie pojawiła się w mroku.

–Humphreys przyszedł do nas, żeby powtórzyć to, co powiedziałaś o Francisie. Jego syn został porwany! Czego chcesz jeszcze? Co? No, mów, Jeremy: czego jeszcze? Żeby on sam zginął? A wtedy będziesz się znęcał nad jego zwłokami? Co on ci takiego zrobił?

Odróciwszy się na pięcie, zaczęła spacerować nerwowo po salonie w tę i z powrotem.

Jeremy wypuścił powietrze przez nos. Nagle alkohol i zmęczenie dały mu się we znaki nieco bardziej niż zwykle.

Wziął paczkę zapalek, wyjął jedną i zapalił lampę naftową, której światło lizało aksamit i drewno pokoju.

Jezabel stała teraz twarzą do niego.

Niski płomyk odbijał się w jej oczach barwy nefrytu, hebanu i kości słoniowej, podkreślając jakże subtelne cechy urody – delikatnie różowe wargi, porcelanowo białą cerę i czarujące pukle włosów. Lśniła jak klejnot.

Jeremy wpatrywał się w nią jak w dzieło sztuki. Jego wzrok spoczął na znaku piękności umieszczonym pośrodku policzka niczym podpis wielkiego mistrza.

–Tylko mi nie mów, że to z mojego powodu – powiedziała pełnym niedowierzania głosem, który nie mógł być głośniejszy od szeptu.

Na jej powiekach zaszklily się łzy.

–Dlaczego nie potrafisz o mnie zapomnieć, Jeremy – szepnęła zbolalym tonem. Jeremy wyprostował ramiona, podnosząc wysoko głowę. Przełknął ślinę, nalał sobie

szklankę whisky i od razu upił spory łyk.

–Nie bądź wobec niego taki zawzięty, proszę cię – szepnęła. – Przecież wiesz, że to moja jedyna rodzina.

Jeremy potarł podbródek dłonią, która zaskrzypiała w kontakcie ze świeżym zarostem, i rozmasował sobie skronie.

–Spójrz na biurko – odparł w końcu. Jezabel zawahała się przez chwilę, podeszła jednak do blatu.

–Widzisz ten notes na samym środku? – zapytał. – To dziennik, który zacząłem pisać na początku śledztwa. Dziś wieczorem umieszczę w nim moje ostatnie myśli, najnowsze wnioski, a wtedy będzie prawie skończony. Prawda jest w środku. Gdyby cokolwiek mi się stało, wszystko tam jest. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

–Nadal lubisz Pucciniego?

Mówiąc to, nastawił gramofon, z którego popłynęły pierwsze nuty *Turandot*. Jezabel, która stała bez ruchu przez kilka pierwszych taktów, usiadła na biurku,

chwyciła w palce kosmyk włosów i zaczęła się nim bawić. Drugą dłonią zaczęła pieścić drewniany blat, muskać leżące na nim przedmioty, aż w końcu położyła ją na stercie zniszczonych książek.

***Księga tysiąca i jednej nocy* - przeczytała na grzbiecie.**

–Francis szaleje na jej punkcie – wyznała bez tchu.

–Wiem – odrzekł natychmiast Jeremy. – Teraz sobie przypominam, że właśnie tymi opowieściami urzekł cię w sylwestrowy wieczór... Mój zamordowany kolega uważał, że powinniśmy pójść tym tropem w naszym śledztwie. Moim zdaniem zabójca wykorzystuje je, żeby tworzyć na nowo legendę. Dzięki temu bowiem staje się nieśmiertelny, jednocześnie odsuwając od siebie przesądnych rodaków.

Jezabel dotknęła czubkami palców miejsca między brwiami, potrząsając głową.

–Dlaczego się upierasz? – zapytała. – Przecież wiesz, że Francis nie jest potworem; dobrze wiesz, że nikogo nie zabił.

W głosie Jezabel brzmiał łagodny smutek, Jeremy emu zaś wydawało się, że widzi łzę spływającą po grzbiecie jej nosa.

–Przecież mnie znasz – nie ustępowała. – Ja czuję, jacy są ludzie; nie mylę się w stosunku do nich. To jest we mnie. Jestem sierotą z Aleksandrii, dziewczynką, którą cudzoziemscy rodzice zostawili na tej ziemi, gdzie była niczym, aż stała się kobietą godną szacunku. Właśnie dzięki temu darowi. Ja czuję ludzi. Zawdzięczam własną pozycję wyłącznie sobie, dobrze o tym wiesz. Wspięłam się po szczeblach drabiny społecznej bez niczyjej pomocy. Dzisiaj zaś odnalazłam Francisca i wiem, kim on jest; znam jego zalety i wady. Jest twardy, to prawda, ale z całą pewnością nie jest tym, za kogo go uważasz. Nie możesz nas prześladować, nie możesz.

Jeremy upił łyk whisky, wsłuchując się w słowa kobiety, którą kochał. Puccini brzmiał coraz donioslej.

Gotów był oddać wszystko, byleby tylko poczuć, jak się do niego przytula. Byleby kochać się z nią znowu. Tęsknił za ciepłem jej ciała, za zagłębieniami jej skóry, zapachem kobiecości i lekko słodkawym smakiem języka. Była tuż, tuż; zaledwie trzy metry od niego, na wyciągnięcie ręki. A przecież taka daleka.

–Musisz się pogodzić z tym, że już do ciebie nie należę – ciągnęła. – Będę wobec ciebie okrutna, Jeremy Czuję ludzi, ale nigdy nie zdołałam się dowiedzieć, kim ty jesteś. Właśnie to mnie w tobie początkowo pociągało: ten dziki urok wielkich odkrywców. Później zaś mnie drażniło, zanim... zaczęło przerażać.

Wpatrywała się weń w bursztynowym półcieniu kładącym się na biurku.

–Nigdy naprawdę nie zrozumiałeś, dlaczego byłam wobec ciebie taka twarda po naszym rozstaniu, mam rację? Żeby ci pomóc się z tym pogodzić. A także dlatego, że twoja wierność i naiwna nadzieja w końcu wyczerpały moją cierpliwość. Doprowadziłeś mnie do

ostateczności, nękając bez przerwy wścibskimi pytaniami na temat mojego związku z Francisem. Nie wyszło nam dlatego, że budziłeś we mnie lęk, Jeremy. Zieleń jej oczu

hipnotyzowała go.

–Masz w duszy obojętność charakterystyczną dla ludzi, którzy zaszli za daleko w przyrodzie, w samotności, i którzy stamtąd nie wrócili. Ty nigdy nie jesteś całkowicie obecny, Jeremy. Jakaś część ciebie zawsze pozostaje gdzieś tam, na obcych lądach, które znasz tylko ty; we wspomnieniach z wojny, wśród bezdroży sawanny i tutaj – uniosła do góry obie dłonie – w zacisznym odosobnieniu tego wagonu. To, co w tobie siedzi, umyka mi i napawa mnie lękiem. Uważam, że jesteś wspaniałym kochankiem, nigdy jednak nie będziesz czułym mężem, a tym bardziej dobrym ojcem. Dobroć i ofiarność w stosunku do innych są już dla ciebie niedostępne; zatraciłeś je w ciągu ostatnich dziewięciu lat, wiodąc całe to burzliwe życie. Tamtego wieczoru, kiedy opowiadałeś tę ponurą historię, którą przeżyłeś w okopach podczas wojny, zrozumiałam. To właśnie dlatego płakałam. Zrozumiałam, wiesz? Ty jednak na zawsze pozostaniesz... widmem; nigdy tak naprawdę nie jesteś obecny. Nie jesteś taki jak my. Przykro mi...

Szybko otarła łzy, zanim zadała mu ostateczny cios.

–Ale nie możesz nienawidzić Francisa za to, że obdarzył mnie tym, czego ty mi dać nie mogłeś.

Ciszy, jaka zapadła, podczas gdy wpatrywali się w siebie zapamiętane, nie zakłócało żadne słowo; wzajemnemu zjednoczeniu dusz sprzyjał zaś Puccini i jego dramatyczna muzyka. Wreszcie czar prysł, kiedy Jeremy odstawił pustą szklanekę i odwrócił się, żeby przynieść jakiś przedmiot owinięty w kawałek materiału.

–Wkrótce naprawdę się przekonasz, kim jestem – rzucił w końcu. – Jestem twoim aniołem stróżem, Jezabel. I jak wszystkie anioły, jestem w połowie niewidzialny. Może pewnego dnia zobaczysz mnie takiego, jaki jestem w rzeczywistości.

Wyjąwszy z zawiniątka samopowtarzalny pistolet Colt M1911 i magazynek, załadował go i wsadził do kabury, którą odłożył na półkę.

–A Francis to diabeł w przebraniu. Zostałaś oszukana, i tyle. Jezabel wbiła weń płonący wzrok i z furią zrzuciła wszystko, co znajdowało się na biurku.

–DOSYĆ! – wrzasnęła.

Skoczywszy na równe nogi, wypadła na dwór. Jeremy zacisnął pięści. Wsunął kaburę pod marynarkę, do kieszeni włożył dziennik i ruszył śladem tej

wścieklej, eterycznej syreny.

Biegł za nią aż do ulicy Abbas, gdzie wskoczyła do pierwszego tramwaju w chwili, gdy drzwi miały się właśnie zamknąć.

Jeremy przyspieszył kroku. Alkohol sprawił, że jego krew stała się ciężka, niedotleniony mózg ważył trzy razy więcej, nogi zaś nie spełniły polecenia tak szybko, jakby sobie tego życzył. Dokonawszy kolejnego wysiłku, dysząc ciężko wskoczył na tylny stopień wagonu, kiedy ten nabierał właśnie prędkości.

Buczące w ciemnościach nocy światła miasta migwały za szybami tramwaju, tonąc wśród przechodniów i samochodów, które jechały w przeciwną stronę.

Jeremy otworzył drzwi wagonu i wszedł do środka. Odepchnąwszy pasażerów, chwycił Jezabel za nadgarstek.

–Znienawidzisz mnie – powiedział. – Wiem. Stanę się twoim kozłem ofiarnym, ale pewnego dnia, pewnego dnia zrozumiesz. Pogodzisz się z prawdą. Wiedz, że będę na ciebie czekał.

Gwałtownym gestem wyszarpnęła ramię z uścisku detektywa.

–Popelniasz kardynalny błąd, Jeremy Kardynalny błąd. Zazdrość odebrała ci rozum. A oskarżając Francisca, zrujnujesz sobie karierę.

Już miała mu się wymknąć, gdy uczepliwszy się środkowej poręczy, obrócił się wokół niej, jakby to były drzwi kołwrotkowe, i wyrósł przed Jezabel jak spod ziemi.

–Twój mąż jest winny Ma wystarczające wpływy, żeby znaleźć tego, którego nazywają „ghulem”, i wykorzystać go do brudnej roboty. Zna mitologię arabską dostatecznie dobrze, aby móc się nią posłużyć; to jego zasłona dymna, żeby nas naprowadzić na fałszywy trop. Ofiary są dziećmi, które zna, ponieważ ma je pod samym nosem, w fundacji. Zresztą po co miałby szukać gdzie indziej? Wystarczy zakraść się w nocy do ich kartoteki. Twierdzisz, że każdej nocy, kiedy popełniono morderstwo, spał z tobą, ale jak możesz być tego całkiem pewna? Masz twardy sen, jeśli dobrze pamiętam... A wtedy, gdy zabito Azima, słyszał, jak powtarzam adres, pod który miałem się udać. Dysponując tak szybkim samochodem, mógł tam dotrzeć przede mną.

–Francis nie wychodził tamtej nocy! – krzyknęła Jezabel. – Po tym, jak wybiegłeś w pośpiechu, położyliśmy się z powrotem. To nie ma sensu...

–Popatrz, popatrz; a jak długo byłaś przytomna, zanim zapadłaś w sen? Co? No, jak długo? Dwie minuty? Pięć? Nieważne; mógł zaczekać, a jego słynny szybki bentley pozwolił mu nadrobić stracony czas, żeby zdążył znaleźć się przy Azimie przede mną.

Jezabel odepchnęła detektywa na oczach wystraszonych współpasażerów, którzy byli świadkami tej sceny.

–Francis nie jest przestępcą! Jeremy wyjął spod marynarki stary papirus odnaleziony wśród rzeczy Azima.

–Twój mąż uwielbia historię Kairu. Stoi na czele banku, który finansuje liczne wykopaliska archeologiczne, mógł więc usłyszeć o istnieniu starych podziemi, gdzie teraz ukrywa swojego „ghula”. Niedługo zdobędę wszystkie dowody przeciwko niemu.

Jezabel już go nie słuchała. Przesunęła się do przodu.

Tramwaj zaczął zwalniać. Na chodnikach i pośrodku jezdnii kłębił się coraz gęstszy tłum. W końcu tramwaj stanął i otworzyły się drzwi.

Kiedy Jezabel wyskoczyła na zewnątrz, Jeremy ruszył za nią.

Na zewnątrz, w narastającym mroku, manifestanci mieszały się z ręką ciekawskich oraz grupami żądnej sensacji młodzieży, a antyangielskie okrzyki rozlegały się na przemian z hasłami na rzecz silnego Egiptu rządzonego przez przedstawicieli narodu. Piętnowano uległość obecnego reżimu wobec brytyjskiego okupanta.

Wszyscy maszerowali po bulwarze szybkim krokiem, krzycząc.

Jezabel wśliznęła się między obie grupy i rozplynęła w tłumie.

–Jezabel! – zawołał Jeremy – Jezabel! Potrącał kłębiące się przed nim postaci, lawirując w morzu ciał, okrzyków i

narastającej wrogości.

Natychmiast uniosły się w górę ramiona na znak protestu, z ust zaś popłynęły pełne agresji złorzeczenia.

Jeremy walczył, usiłując nie stracić z oczu Jezabel. Jej czarna czupryna falowała, wstrząsana przy każdym kolejnym ryzykownym kroku. Jeremy odniósł wrażenie, że jej długie włosy wymykają się wszystkim prawom przyciągania ziemskiego, zupełnie jakby płynęły po wodzie. Jezabel prześlizgiwała się przez pochód.

Nagle cały widok zasłoniła mu czyjaś wściekła twarz.

Należała do starego Araba, który zaczął mu ubliżać w języku proroka Mahometa.

Jeremy odepchnął starca bez ceregieli, próbując odnaleźć swoje czarujące zjawisko. Szukał na próżno.

Widział setki głów, jeszcze więcej turbanów, fezów, tarbuszów, ale ani śladu Jezabel o przecudownych ruchach.

Jeremy oddychał z coraz większym trudem, wzdłuż krzyża ciekł mu pot. W uszach brzęczały mu okrzyki protestu, wrzaski i ryki, tworząc ogromny, oszalamiający, ogłuszający zamęt.

Gdy zaczęto rozbijać okna, potłuczone ceglami szyby z brzękiem spadały na ziemię. Wrzask niezadowolonego tłumu narastał niczym fala, rozprzestrzeniając się na tyły ludzkiego węża.

Ulica wirowała. Na fasadach domów drgało bajeczne halo w kolorze ultramaryny. Kamienie pokrywała błyszcząca elektryczna powłoka, poruszająca się niczym płonąca woda poprzecinana czerwonymi żyłkami, a w oszklonych balkonach odbijały się wulkany wypluwające lawę wrzącego szafiru.

Pokonując zakręt, Jeremy odkrył ze zdumieniem, skąd pochodził ów niezwykle blask spowijający ulicę.

Wszystkie latarnie postrącano, gaz tryskał zaś na wysokość kilku metrów, przypominając strzelające w niebo płonące kolumny, prawdziwe buczące arterie ognia o magnetycznie niebieskiej barwie, która na szczycie zamieniała się w pomarańczową, wściekle sycząc.

Wtem dwadzieścia metrów dalej ujrzał Jezabel odpychającą dwóch mężczyzn, którzy wykrzykiwali coś pod jej adresem. Jeden z nich stanął za nią i chwycił za włosy.

Jeremy roztrącił sterczących przed nim gapiów, torując sobie drogę wśród tłumu.

Szarpana i poszturchiwana Jezabel zaczęła krzyczeć.

Wówczas jakiś podniecony powszechnym buntem wyrostek, który rozpoznał w Jeremym brytyjskiego okupanta, stanął mu na drodze z silnym postanowieniem zatrzymania go.

W tej samej chwili Anglik spostrzegł nad jego ramieniem Jezabel, którą odciągano na bok, dwukrotnie przy tym policzkując.

Zacisnąwszy pięść, z szybkością błyskawicy zadał cios, uderzając wyrostka w brzuch. Tamten zgiał się w pół i upadł na kolana, wypuszczając całe powietrze, jakie miał w płucach. Jeremy przeskoczył nad nim, nie tracąc czasu.

Pierwszy osobnik, nie widząc, że Jeremy nadchodzi, upadł do przodu powalony potężnym prostym między łopatki, tłukąc sobie nos i wybijając parę zębów o chodnik. Tymczasem drugi puścił Jezabel i podbiegł do detektywa, chcąc złapać go za szyję. Jeremy jednak zrobił unik w bok i podniósł kolano, żeby uderzyć Araba w krocze.

Cios był wprawdzie celny, pozbawił jednak Jeremiego równowagi, widząc więc, że ulica kołysze mu się pod nogami, zdążył tylko wyciągnąć przed siebie ramiona, żeby złagodzić upadek. Zamrugał powiekami, czując, że alkohol przestał mu już przytępiać zmysły. Jednocześnie kątem oka zauważył, że znajdujący się tuż obok przeciwnik usiłuje właśnie wstać.

Jeremy podniósł nogę i z całej siły grzmotnął buntownika piętą w podbródek. Impet ciosu spowodował trzask łamanych kości.

Chwyciwszy się bramy przed budynkiem, Anglik podciągnął się i wstał. Tymczasem Jezabel cofała się przerażona.

Kiedy się odwrócił, ujrzał idący ku niemu oddział rozsierzdzonych mężczyzn, na którego czele podążał trzymający się za brzuch wyrostek.

Na ich twarzach malowała się nienawiść.

Było ich pół tuzina, wkrótce zaś dołączyło jeszcze dziesięciu.

Zaraz rozerwą go na strzępy. Jego, a później Jezabel. Jeremy rozpiął kaburę i wyciągnął przed siebie pistolet.

–STAC! – ryknął.

Grupa przerwała marsz, tymczasem mijały ich setki innych, którzy przyspieszali kroku, aby dogonić czoło pochodu, prawie nie zwracając uwagi na to, co działo się między parą Europejczyków a garstką swoich. Wynik starcia nie budził żadnych wątpliwości.

Ośmielony ich liczbą wyrostek rzucił się na Jeremyego.

Anglik opuścił ramiona.

Tymczasem z latarni wylewał się ponad ich głowami lśniący strumień.

Tłum skandował swoją nacjonalistyczną litanie.

Setki przechodniów niemal biegły.

W panującym wokół chaosie ledwie było słycać wystrzał z pistoletu kaliber 45, stłumiony piersią wyrostka, który znajdował się bardzo blisko, gdy Jeremy pociągnął za spust.

Oczy chłopca zmieniły się w jednej chwili. Żądza zemsty ustąpiła miejsca zdumieniu. Jeremy nie wyczytał w nich ani krzty bólu, jedynie zagubienie, a potem strach.

Wyrostek umarł przerażony. Osunął się, szukając wzrokiem możliwości ucieczki, pocieszenia, widział jednak tylko własną otchłań, która wciągała go coraz głębiej.

Zamknął oczy, broniąc się przed zapadnięciem w nicość, wstrząsany ostatnimi drgawkami. Jego leżące bezwładnie na ziemi dłonie zaczęły stygnąć.

Pozostali mężczyźni towarzyszący chłopcu przyglądali się, jak umiera, po czym wbili wzrok w Jeremy'ego. Detektyw od razu pojął, że zaraz go zaatakują. Broń nie na wiele mu się przyda – rzucą się na niego w swojej masie, zaleją i każą mu zapłacić za to, co zrobił.

Nagle od przodu wzburzonego tłumu zaczął narastać jakiś hałas. Pomruk, który przeradzał się

w panikę.

Między fasadami budynków rozległy się strzały. Suche i mechaniczne. „Strzały z karabinu”, domyślił się Jeremy.

Przeładowano broń.

Przerażeni manifestanci zaczęli uciekać w przeciwną stronę.

Jeremy skupił się na bezpośrednim niebezpieczeństwie. Właśnie zbliżało się doń kilkunastu groźnie wyglądających osobników.

Upewniwszy się, że Jezabel rzeczywiście za nim stoi, położył palec z powrotem na spuście. Panika rozprzestrzeniła się od czoła ludzkiej masy, rozgałęziając się aż do miejsca, w którym się znajdowali.

Ponad połowa otaczających ich postaci biegła teraz w przeciwną stronę.

Po chwili znów rozległy się strzały z karabinu.

Wtem Jeremy ujrzał, jak z ciżby uciekających odłączają się dwie osoby, usiłując go okrążyć i zaatakować od tyłu.

Trzecia ruszyła wprost na niego, w samą porę umykając przed falą manifestantów, którzy skierowali swój gniew na inny obiekt.

Jeremy nie mógł pociągnąć za spust, wszędzie bowiem panował ruch, dlatego pocisk wystrzelony do przodu mógł przelecieć przez wiele ciał, zanim trafiłby napastnika.

Nagle strumień ludzi stał się tak gęsty i nacierający z taką siłą, że fala porwała wszystkich.

Niezdolny stawiać oporu, jednocześnie nie przewracając się ani nie dając się stratować, Jeremy pozwolił, by potężna ludzka fala uniosła go, popchnęła i wyrzuciła.

Napastnicy, podobnie jak on, zostali zmieceni, toteż rozpierzchli się, przebierając nogami jak najszybciej, żeby utrzymać się na powierzchni.

Dotarłszy na jakiś plac, ludzka lawa wybuchła, zagłębiając swoje macki w uliczki rozchodzące się we wszystkie strony.

Przywarłszy do drzwi jednego z domów, Jeremy odczekał, aż minie go główna część ciżby. Wśród wszystkich twarzy wypatrywał Jezabel.

Wreszcie znalazł ją po drugiej stronie – wystraszoną, ale całą i zdrową. Stracił ją z oczu w chwili, gdy uciekała co sił w nogach, jak najdalej od ruchliwej arterii, chroniąc się przed zamieszkami na sąsiedniej ulicy.

Jeremy odrzucił głowę do tyłu, aż dotknęła muru, i odetchnął.

Najgorsze miało dopiero nadejść. Najbliższa noc miała się okazać najdłuższą i najbardziej ponurą z kairskich nocy.

Marion obudził śmiech dzieci.

Czuła suchość w ustach, w głowie zaś rozdzierający ból.

Nie wiedziała, gdzie jest. Wszystko wokół niej wirowało.

„W wagonie... Jestem z Jeremym w wag...”

Nie, znajdowała się w Kairze i została napadnięta podczas zamieszek.

Przypomniała sobie, że ścigała ją jakaś postać podobna do Śmierci. Nie! To Marion ją goniła.

Dziennik.

Mont-Saint-Michel.

Wreszcie oprzytomniała. Była u siebie. W swoim domu.

Przez moment nie wiedziała, kim właściwie jest. Zupełnie jak u Kim Novak w filmie Hitchcocka *Zawrót głowy*, jej życie przenosiło się w dawne czasy, w życie Jezabel.

Była Marion.

Odzyskała czarną książkę. Prywatny dziennik Jeremyego Mathesona. Następnie wróciła do sali rycerskiej, czując raczej wściekłość niż lęk. Ktoś sobie z niej zakpił. Czyżby źle zlokalizowała miejsce, skąd dochodził zgrzyt klucza w zamku? Czy rzeczywiście były to drzwi od tajemnego przejścia, czy też złodziej otworzył drzwi główne i biegiem zrobił okrążenie, aby zakraść się za jej plecami i zabrać książkę?

Nie znalazła odpowiedzi. W gruncie rzeczy miało to niewielkie znaczenie.

Później Marion wróciła do miasteczka.

Aby zobaczyć się z Beatrice, pragnęła bowiem porozmawiać.

Sklep był zamknięty. Zamknięty mimo poniedziałku. W mieszkaniu na górze też nikogo nie było.

Na widok Ludwiga, który wyłonił się z sąsiedniej uliczki, Marion przywarła do ściany, aby jej nie zobaczył, i po chwili wróciła do siebie. To nie był najlepszy moment, żeby się do niej zalecał.

Stała pięć minut na środku salonu, zanim wybuchnęła płaczem. Była zgubiona. Niezdolna do podjęcia właściwej decyzji. W pewnej chwili telefon sam znalazł się w jej dłoni, podczas gdy

ona wystukiwała numer zapisany na wizytówce, którą nosiła w portfelu. Numer człowieka z kontrwywiadu.

Rozłączyła się jeszcze przed pierwszym sygnałem.

Zaczęła chodzić w tę i z powrotem.

Kiedy rozboleły ją stopy, usiadła i nalala sobie szklaneczkę ginu z sokiem pomarańczowym. Później następną. I jeszcze jedną.

Gdy jej umysł wrócił do równowagi, chwyciła książkę, aby ją przekartkować, i zanim zdążyła tego zapragnąć, już czytała dalszy ciąg.

Zasnęła pod koniec zamieszek, po ucieczce Jezabel.

Upojona alkoholem.

Spała przez dwie godziny.

Teraz zaś pod jej oknem hałasowały dzieci.

Tymczasem zapadła noc. Przecież w Mont-Saint-Michel nie było dzieci.

Marion zamrugała oczami, bardzo powoli, nie wstając z miejsca.

Kiedy otworzyła usta, wargi rozkleiły jej się zupełnie tak, jakby odrywała gumę do żucia od linoleum.

Wysunawszy ramię, żeby chwycić się oparcia sofy, szarpnęła, chcąc się podciągnąć, po czym przytknęła nos do zimnej szyby.

W dole, na ulicy, kilkadziesiąt osób wspinało się ku opactwu, każda we własnym rytmie, dzieci zaś na przedzie.

„Koncert filharmoniczny.”

W sobotę po południu Marion pomagała siostrze Gabrieli rozlepiać ulotki. Na widok własnego nagiego nadgarstka uświadomiła sobie, że od przyjazdu w ogóle nie nosiła zegarka. Sprawdziła zatem godzinę w kuchni. Dziewiętnasta dwadzieścia.

Koncert powinien się zacząć za niecałą godzinę.

Marion nie miała najmniejszej ochoty na niego iść.

Pragnęła znaleźć się w domu. W swoim prawdziwym domu w Paryżu. Chciała położyć się spać wieczorem i nastawić budzik na następny dzień rano, aby obudził ją do pracy, mimo że gdyby

zadzwoił za piętnaście siódma, zaczęłyby zrzędzić. Marzyła, by móc o tym wszystkim zapomnieć.

Dlaczego ktoś ją prześladował? Kto?

Dziennik Mathesona leżał na sofie, otwarty w miejscu, w którym przerwała czytanie, kiedy zasnęła.

Nie mogło być mowy o jakimkolwiek związku między dziennikiem a tym, co przydarzyło jej się w Paryżu: z całą tą historią podejrzanego śmierci politycznej. A zatem ten, kto ją tutaj ścigał, zamierzał po prostu odzyskać książkę. Co w niej było takiego, żeby wzbudzać podobną zawziętość?

Marion wzięła ją do ręki.

Do przeczytania pozostało zaledwie kilka stron.

Może wtedy się dowie.

Westchnąwszy z głębi duszy, usiadła nad butelką ginu.

Wówczas dziennik sam się otworzył na jej kolanach, a kartki zaczęły się kolejno przewracać, dopóki nie zastygły zawieszony w powietrzu. Marion odsunęła butelkę.

I wróciła do punktu, w którym przerwała swoją czytelniczą wędrówkę. Do tamtej nocy w Egipcie, kiedy najgorsze miało dopiero nadejść.

Jeremy powrócił do wschodnich dzielnic, do przewodnika, którego zatrudnił w celu odnalezienia wszystkich uczestników nocnej nagonki w towarzystwie Azima.

Azim odkrył dawne podziemia, gdzie ukrywał się ghul. Było to gdzieś w dzielnicy Al-Gamalijja, skąd przyniósł stary papirus, który pozwalał przypuszczać, że podziemia te znajdują się w części miasta leżącej między meczetem Husajna a uniwersytetem Al-Azhar. Pozostało jeszcze zlokalizować wejście.

Przewodnik siedział w domu z żoną i dziećmi. Mimo późnej pory nikt jeszcze nie spał. Ponieważ dotarły do nich plotki o zamieszkach w centrum miasta, wszyscy czekali na jakieś wieści. Przewodnik powitał Jeremy'ego szerokim uśmiechem, jednocześnie przeliczając piasy, które detektyw wręczył mu w zamian za zaproszenie.

Zatrudniony przez Jeremyego kairczyk rozpoznał i przesłuchał wielu mężczyzn, teraz zaś zdał Anglikowi sprawozdanie, nie pomijając żadnego szczegółu. Jeremy napił się z nim herbaty, pogryzając w milczeniu garść daktyli, którymi go poczęstowano.

Przedstawiwszy drobiazgowy, choć nieprzydatny detektywowi raport – mężczyzna miał znakomitą pamięć, był więc w stanie powtórzyć nazwiska wszystkich uczestników -przewodnik dodał na koniec coś, co wydało mu się mniej istotne:

–To nie wszystko, efendi. Dziś po południu skierowano mnie jeszcze do dwóch starców, którzy nieustannie opowiadają wszystkim o tej bestii, o ghulu. Dostali obsesji na jego punkcie i denerwują ludzi w *kahwie*. Pierwszy z nich twierdzi, że wie, kto za tym stoi. Spotkałem go niedawno. Moim zdaniem, brak mu piątej klepki. Mówi, że ghul to jego sąsiad w przebraniu, że jest szalony, że to zabójca dzieci i...

–Gdzie mieszka ten starzec? – zapytał Jeremy, który chciał jak najszybciej z tym skończyć.

–W północno-zachodniej części Al-Gamalijja, w Bab el-Nasr, tuż obok...

–Za daleko – uciął detektyw. – A ten drugi?

–To narkoman, który zbyt często przesiadywał w *wghorazach*. On z kolei twierdzi, że wie, gdzie mieszka ghul. W pewnym zaułku w południowo-wschodniej części dzielnicy.

Jeremy wypluł daktyla.

–Niedaleko meczetu Husajna.

–Zgadza się.

Anglik zerwał się na równe nogi. Nagle przypomniał sobie Azima i jego dwóch świadków:

dwóch mężczyzn, którzy

utrzymywali, że widzieli ghulę. Jeden z nich był starym palaczem haszyszu. Na dodatek było to w pobliżu miejsca, w którym miały się znajdować podziemia.

–Zaprowadź mnie do niego – rzucił. – Chodźmy, czas ucieka. * Dopadli starca na zapleczu znanej w okolicy palarni – miał zaczerwienione i

błyszczące oczy. Bez oporów zgodził się zaprowadzić mężczyzn do słynnego zaułka, gdy Jeremy obiecał mu w zamian trochę pieniędzy.

Na ulicach było pusto i ciemno.

Posuwali się naprzód, niosąc lampion z małą świeczką, która drżała przy każdym kroku.

Cała trójka poruszała się bezszelestnie pod maszrabijami, które zacięniały dodatkowo wąskie alejki, ominęła opustoszałe stragany, po czym zanurzyła się w plataninę częściowo zasłoniętych, częściowo zawałonych korytarzy, jakimi można było sobie skrócić drogę.

Z daleka wyglądali jak mały robaczek świętojański szukający wyjścia z kamiennego labiryntu gigantycznych rozmiarów.

Wreszcie zakończyli nocną wędrówkę u wejścia do zaułka między zdewastowanymi domami.

–To tutaj – szepnął starzec po arabsku. – Nie zostanę tu dłużej, to zbyt niebezpieczne. Przewodnik przetłumaczył jego słowa detektywowi. Wówczas starzec szarpnął Jeremy’ego za rękaw i czekał. Anglik westchnął, po czym wyjął z kieszeni banknot i podał mu go. Mężczyzna już

miał odejść, gdy Jeremy chwycił go za ramię.

–W którym domu? Przewodnik pełnił funkcję pośrednika w rozmowie.

–Mówi, że nie ma pojęcia – oznajmił.

–W takim razie zapytaj go, czy wie, gdzie się znajdują meczet Husajna i uniwersytet Al-Azhar.

Starzec zawahał się przez chwilę, zanim wyciągnął obie ręce na prawo, wskazując mniej więcej ten sam kierunek. Ograniczało to poszukiwania do budynków po prawej stronie zaułka.

–Lepsze to niż nic – burknął Anglik, podając lampę właścicielowi. Przewodnik natychmiast przełożył słowa starca:

–Mówi, że może ją pan zatrzymać; że jeśli chce pan tam wejść, panu przyda się bardziej niż jemu.

Tymczasem starzec się oddalił.

–Proszę mi powiedzieć: naprawdę zamierza pan wejść do tych ruin, żeby szukać ghula? – zapytał z niepokojem przewodnik.

Jeremy wręczył mu obiecane banknoty

–Nie musisz iść za mną. Twoja podróż dobiegła kresu, przyjacielu. Nie czekając na odpowiedź, detektyw odwrócił się i ruszył między odrapanymi

fasadami domów i pustymi oczodołami okien, przypominającymi żarłoczne usta.

Usłyszał za sobą kroki przewodnika, który oddalał się w pośpiechu.

Pierwszy dom z prawej strony był niedostępny – podłoga na piętrze się zawaliła, co uniemożliwiało wejście do środka. Jeremy zlustrował w pośpiechu następny, ale wewnątrz zastał jedynie gruz. Trzeci budynek kosztował go więcej wysiłku, miał bowiem piwnicę, którą detektyw zwiedził, zachowując daleko posuniętą ostrożność.

Wewnątrz kolejnego domu ze zdumieniem stwierdził brak dostępu do podziemi, przetrząsnął więc zakamarki przy bladym świetle lampy, którą trzymał w dłoni. W końcu trafił na spory ceber zatęchłej wody.

Położywszy lampę na podłodze, napał całym ciałem na drewniany zbiornik z zamiarem przesunięcia go.

Otwór znajdował się pod spodem.

Jeremy podniósł lampę i zszedł po schodach, natychmiast jednak znów wbiegł na górę i z całej siły pociągnął napełniony wodą ceber, chcąc przesunąć go z powrotem na miejsce, aby zastawić wejście i nie zdradzić swojej obecności.

Kiedy znalazł się na dole, od razu rzuciła mu się w oczy dziura wykopana w ziemi. Świeży otwór.

Czyżby wydrążył go sam Fredricks Winslow, aby dostać się do upragnionych podziemi? To możliwe; Winslow był bowiem typem samotnego poszukiwacza, który powiadamia o swych odkryciach jedynie najbliższych i ewentualnego pracodawcę. Albo nie

zdażył, co oznacza, że Keoraz osobiście dokończył dzieło, aby po zabiciu archeologa zapewnić sobie kryjówkę, o której nikt się nie dowie.

Pochyliwszy się, Jeremy musiał wsunąć rękę z lampą, aby ocenić głębokość niekończącego się korytarza. Ziemia była wilgotna, miejscami mokra, z góry zaś zwisały liczne powykręcane korzenie przypominające wysuszone ręce. Wówczas Jeremy pojął znaczenie słów Azima...

„Już myślałem, że mnie też to spotka! Myślałem, że mnie złapał, ale to był tylko korzeń, po prostu korzeń!”

Głos małego Egipcjanina rozbrzmiewał echem w głębi tunelu, daleki i nierzeczywisty. „Po prostu korzeń...”

Jeremy ukląkł i wszedł do środka głową naprzód.

Czołgał się jak mógł najprędzej, nasłuchując każdego dźwięku. Podczas gdy tak brnął w mieszanie błota i rozkładających się roślin, jego oddech stawał się coraz szybszy.

Posuwanie się z lampą przed sobą było niewygodne, wciąż bowiem musiał ją przestawiać, poza tym istniało niebezpieczeństwo, że pod wpływem zbyt gwałtownych wstrząsów płomień zostanie zalany przez roztopiony воск. Wtem dostrzegł tkwiącą w ziemi zapalniczkę. Rozpoznał ją od razu – należała do Azima. Jego kolega sam palił wprawdzie bardzo rzadko, nigdy jednak się z nią nie rozstawał, zawsze czując prawdziwą dumę, jeśli mógł przypalić papierosa komuś innemu.

„Nie wolno ulegać klaustrofobii”, pomyślał Jeremy. Kołysał się niczym robak w brzuchu ziemi, wykonując skręty różnymi częściami ciała, aby posuwać się naprzód w tych spróchniałych trzewiach.

Wreszcie dotarł do podziemnych korytarzy.

Kurz natychmiast zatkał mu nozdrza.

Wyprostowawszy się, Jeremy chwycił w prawą dłoń pistolet i wystawił przed siebie lampę. Ciemność zacierała kształty, ścinając zbyt ostre kąty i sprawiając, że w odległości przekraczającej dwa metry jakakolwiek perspektywa przestawała istnieć.

Kiedy wszedł do ogromnej sali, poczucie niepewności stało się od razu bardziej dotkliwe.

„Nie robić hałasu – powtarzał sobie w myślach. – Nie stawiać nóg byle gdzie... Bądź czujny. Posuwaj się powoli... Właśnie... Nie wolno się zdawać na przypadek, upewnij się, że za tobą nic nie ma.”

Odwrócił się, posłuszny przykazaniu.

Ciemność podążała jego śladem, pozbawiając go punktów zaczepienia. Czy będzie w stanie odnaleźć drogę? Azimowi się to udało; wystarczy iść wzdłuż ściany...

Jeremy zrobił krok, po czym w panice pospiesznie otworzył lampę i zdmuchnął płomień.

Czubek dogorywającego knota niemal dotknął jego nozdrzy.

Właśnie spostrzegł jakieś światło.

Słabe i drżące, ale jednak światło.

Dochodziło z korytarza po lewej stronie.

Jeremy zbliżył się trochę, wstrzymując oddech, aby nie zdradzić swojej obecności.

Bardzo krótki korytarz prowadził do skromnego pomieszczenia, którego wnętrza nie mógł dokładnie zobaczyć. Odstawiwszy lampę, chwycił rewolwer w obie dłonie, po czym stanął w progu.

Izba był ponura i cuchnąca.

Na zniszczonym stole paliły się dwie świece.

Za stołem znajdował się stos martwych zwierząt. Po niektórych chodziły tłuste robaki.

Nagle rozległo się sapnięcie.

Długi, lepki oddech.

Jeremy wycelował pistolet w kierunku, z którego dochodził dźwięk.

Wówczas cały zeszywniał pod wpływem szoku.

Ghul rzeczywiście tam był.

Wysoki i bezkształtny. Jego łysa głowa lśniła w blasku świec, ukazując nienaturalnie wytrzeszczone, niemal wiszące oko, przeżarty chorobą nos, szczęki całkowicie odsłonięte z powodu braku policzków i warg. Stwór otulony był długą, płócienną szatą, równie ciemną jak jego skóra, z obszernym kapturem opuszczonym na plecy.

Bawił się.

Trzymał w ramionach dziewięcioletniego Georgesa Keoraza. Chłopiec spał bezwładny, częściowo rozebrany Ghul popychał jego rączką mały drewniany pociąg.

Znów pociągnął nosem, odrzucając do tyłu głowę. Wsysając przez zęby ślinę, która wyciekała mu z powodu braku skóry. Kiedy to robił, przypominał wężące dzikie zwierzę.

Jeremy nie był w stanie się poruszyć.

I wtedy ghul go zauważył.

Popatrzył zdrowym okiem na detektywa, następnie na wycelowaną w siebie broń. Po chwili jego wzrok spoczął na czymś, co leżało na taborecie.

Wzrok Jeremyego podążył za spojrzeniem ghula.

Na taborecie leżał zestaw wydłużonych pierścieni, które powinny pokrywać paliczki paznokciowe i sięgać ponad palce. Były one wykonane z metalu i zakończone szponami z inkrustowanej kości.

Ot i cała tajemnica dłoni o nieskończenie długich palcach i nieludzkich pazurach. Wymodelował je na suku rzemieślnik trudniący się kowalstwem. W Kairze metali i kości jest pod dostatkiem, wystarczyło tylko zapłacić odpowiednią cenę.

Jeremy zdał sobie sprawę, że czarny olbrzym zaraz rzuci się po swoją broń.

Odzyskawszy pod wpływem strachu zdolność ruchów, zrobił krok naprzód, zaciskając dłoń na kolbie pistoletu.

–Chchchch... – prychnął z nadzieją, że w ten sposób odwiedzie ghula od ataku. Czy potwór był świadom niebezpieczeństwa, jakie stanowi broń palna? Ghul puścił Georgesa Keoraza, który opadł bezwładnie na ziemię.

–Nie rób tego! – krzyknął Jeremy, usiłując podejść nieco bliżej. Tymczasem ghul rzucił się na taboret. Jeremy w ostatniej chwili zdjął palec ze spustu, gdyż chłopiec znajdował się na linii

strzału. Oskoczywszy do tyłu, przywarł plecami do ściany, próbując zmniejszyć dystans dzielący go od ghula i zapewnić sobie punkt oparcia, aby móc lepiej wycelować.

Jego ramiona uderzyły o mur.

Kiedy wycelował, zdążył jeszcze dostrzec, jak potwór pochyla swoją przerażającą twarz nad świecami.

Po czym je zdmuchuje.

Dziecinny lęk.

Uczucie bezsilności i niepewności pojawiające się przy pierwszych nieśmiałych oznakach życia. Zapisane w genach ostrzeżenie wprost z gadziego mózgu, wywodzące się z czasów, gdy człowiek bał się nocnych drapieżników; z epoki, gdy cała ludzkość doskonale wiedziała, jakie przerażenie potrafi skrywać mrok.

I właśnie ono zawładnęło teraz Jeremym.

Strach płynął z ukrytych w mózgu atawizmów przodków niczym krew ofiary, która zdaje sobie sprawę, że jest śmiertelnie ranna.

Jeremy zaczął dyszeć.

Ghul wiedział, gdzie on się znajdował w chwili, gdy zdmuchiwał świece. Musiał się zatem ruszyć. Natychmiast.

Jeremy przesunął w bok biodra, z najwyższym trudem panując nad własnym ciałem.

Pazury smagnęły powietrze tuż przed jego twarzą.

Potem jeszcze raz.

Za trzecim razem rozcięły ramię detektywa, który wrzasnął z bólu.

Osunąwszy się na kolana, wypuścił z dłoni colta, który ześliznął się na ziemię.

Ghul przeorał ścianę tuż nad jego głową.

Jeremy przetoczył się do przodu, wyczuwając obecność czyjegoś ciała, które musnął ramieniem. Przetoczył się zatem bliżej, aby się od niego uwolnić.

Tymczasem znajdujący się z tyłu potwór pociągnął nosem.

Jeremy wstrzymał oddech, który za bardzo go narażał, zdradzając jego położenie. Pomacał dłońmi podłogę w poszukiwaniu broni. Jednocześnie bezszelestnie posuwał się powoli do przodu.

Ghul potracił coś dużego po prawej stronie.

W następnej sekundzie rozległo się potężne chrupnięcie pękającego drewna beczki, która roztrzaskała się o ziemię, zalewając wszystko wodą.

Ciecz natychmiast dosięgnęła Jeremy'ego, mocząc mu nogi i rękawy.

Anglik ponownie zaczął szukać po omacku.

Broń, musiał odnaleźć broń.

Wtem dotknął ciepłej skóry.

Dziecięcej kostki.

Odsunąwszy się, kontynuował rozpaczliwe poszukiwania.

Zaczynało mu brakować tlenu. Musiał go wdychać coraz więcej. Jeśli nie będzie oddychał głębiej, wkrótce stanie się niezdolny do niczego.

Tymczasem ghul poruszał się gdzieś za plecami detektywa, gotów zanurzyć swoje mordercze szpony w jego miękkiej szyi.

Nagle Anglik poczuł pod palcami coś metalicznego. Natychmiast się cofnął. To był jego rewolwer.

Chwyciwszy mocno broń, uniósł ją na wysokość twarzy.

Kręciło mu się w głowie. Nie mógł jednak oddychać tak głęboko, jak tego potrzebował, gdyż zdradzały go hałas.

W tej chwili obaj stali się myśliwymi.

Pierwszy błąd mógł się okazać fatalny w skutkach.

Jeremy odwrócił się bardzo powoli, aby znaleźć się twarzą w kierunku, z którego, jak mu się zdawało, usłyszał ghula sekundę wcześniej.

Nic.

Między jego łydkami płynęła woda.

Ghul wciągnął ślinę przez zęby. Tuż przed Jeremym. Niecały metr dalej.

Detektyw z całej siły nacisnął na spust.

Jeszcze.

Jeszcze.

Jeszcze.

Poczuł świst w uszach.

Nagle w kałużę zważyło się olbrzymie ciało, Jeremy zaś otworzył usta, aby nabrać tyle powietrza, ile tylko zdołał.

W wilgotnych ciemnościach rozległo się ochryple sapanie, do którego dołączył zduszony bulgot.

Mężczyzna zniekształcony przez chorobę i zniszczony przez społeczeństwo dogorywał właśnie w agonii w tym zimnym grobowcu, konwulsyjnie łapiąc powietrze.

Po czym zapadła cisza.

Detektyw trwał bez ruchu kilka minut. Nie był w stanie się podnieść. Czekał na jakiś znak od potwora.

Kiedy ścierpł już tak bardzo, że mógł stracić krążenie w nogach, wstał i zapalił świecę zapalniczką.

Czarny olbrzym leżał z trzema kulami w piersiach.

Zabrał ze sobą cierpienie swoje i swoich ofiar.

Jeremy położył pistolet na stole i podbiegł do chłopca.

Georges Keoraz leżał wyciągnięty na sienniku, w którym roilo się od robactwa, z nogami na mokrej ziemi. Chwyciwszy jego głowę w dłonie, detektyw pochylił się, żeby posłuchać, czy dziecko oddycha.

Nie dostrzegł żadnego znaku życia.

Jeremy zamierzał właśnie rozpiąć chłopcu koszulkę, gdy uświadomił sobie, że już jest rozpięta. Odchylił więc jedną jej połę w poszukiwaniu przejawów obsceniczności, które ten szczególnie sugerował.

Po czym przytknął ucho do piersi dziecka.

Jego skóra była ciepła.

Ale w klatce piersiowej nie pulsował żaden mechanizm.

Zawieszony na łańcuszku medalik z chrztu ześliznął się chłopcu z szyi.

Jeremy rozchylił jego delikatne wargi i zbadał usta dwoma palcami. Na pierwszy rzut oka nic nie utkwilo w gardle.

Dopiero wtedy dostrzegł na szyi dziecka ślady.

To, co początkowo wziął za grę cieni, których było tutaj pełno, okazało się w rzeczywistości głębokimi wybrczynami.

Georges Keoraz został uduszony.

Ghul bawił się nim, kładąc sobie na kolanach i zaciskając olbrzymie łapska na jego delikatnej szyi, coraz mocniej i mocniej, aż chłopiec przestał wierzgać nogami.

Aż zamienił się w potulną lalkę, którą można się bawić.

Jeremy puścił martwe ciało i ukrył twarz w wilgotnych jeszcze dłoniach.

W podziemiach rozległ się jego wściekły ryk, którego echo odbijało się od kamieni, tworząc coraz silniejszy pogłos.

Nagle Jeremy wstał i zaczął siać spustoszenie w całym pomieszczeniu.

Brnąc w kałuży wody, która przykrywała podłogę, przewracał nieliczne chwiejne meble.

Następnie usiadł na jedynym stojącym taborecie naprzeciw stołu.

Napełnione brudną cieczą butelki potłukły się, spadając. Pośród rozbitego szkła leżały posklejane wnętrzości poćwiartowanych kotów i psów. Jeremy stwierdził, że wszystkie trupy zostały rozcięte od tyłu. Drzemiący w nim łowca pojął natychmiast.

Ktoś pobrał zwierzętom gruczoły okołodbytowe.

Mógł istnieć tylko jeden powód, by to zrobić.

Wzbudzić przerażenie zwierząt.

Był to prawdopodobnie stary rytuał czarnego olbrzyma z czasów, gdy mieszkał sam na ulicy, mający na celu ochronę przed wałęsającymi się zgłodniałymi psami; dziecięce wspomnienie po polowaniach w jego wiosce; miejscowy przesąd, że jeśli posmaruje się dzieci tą substancją, odstraszy się drapieżniki. Był to zwyczaj, który Jeremy zaobserwował kiedyś na południu Sudanu. Zapach pochodzącej z tych gruczołów mieszanki na ludzkiej skórze odpędzał niektóre zwierzęta.

Chroniony w ten sposób ghul krążył po ulicach, budząc przerażenie wśród potencjalnie agresywnych psów.

Po podłodze pływała biaława materia, w półmroku przypominająca meduzę.

Dryfowała w kierunku detektywa. Widzący jak przez mgłę Jeremy usiłował uchwycić ostrość spojrzenia mimo gniewu, który powoli opadał. To były spodnie. Rzucił się, żeby nie podnieść.

Z całą pewnością były to te same spodnie, które Azim miał na sobie w noc swojej śmierci. Keoraz musiał je przynieść tu, do swojej nory, jako jakieś chore trofeum.

Kiedy Jeremy dostrzegł metaliczne refleksy widoczne w blasku świec, zaczął drżeć. Upadł na kolana i wziął do ręki stalowe pudełko.

Papierosy Nestor.

Zdjął przykrywkę. Zostało ich około dwudziestu.

Nagle przypomniał mu się słodki, uprzejmy głos Keoraza: „Kupuję je całymi skrzynkami w Groppis’s, kosztują majątek! Ale ten tytoń jest wart każdego wydanego piastra...”

Zamknął oczy.

Francis poświęcił własnego syna, żeby przeżyć.

Jeremy podniósł wzrok na groźne krzywizny rewolweru.

Teraz już wiedział, co powinien zrobić.

Najpierw jednak musiał dać świadectwo prawdzie. Wszystko wyjaśnić. Zabezpieczyć własną przyszłość. I przyszłość Jezabel.

Wyjąwszy z kieszeni marynarki dziennik, Jeremy usiadł przy stole na całą godzinę. Opisał wszystko, co właśnie zrobił. Dbając o to, żeby niczego nie pominąć.

Następnie przewrócił kilka kartek do tyłu i narysował strzałkę prowadzącą do opisu nocy, którą spędził u Keorazów. Strzałka ta wskazywała historię Azima. Opowiedział ją na podstawie tego, co tamtej nocy usłyszał od swojego kolegi przez telefon, po czym uzupełnił o słowa imama i Chalila, a także o własne wnioski na temat tego, co przed chwilą odkrył, pozwalając sobie na kilka upiększeń stanowiących wyłącznie owoc jego wyobraźni.

Wszystko tam było. Jego osobiste myśli. I przebieg śledztwa.

Aby zrozumieć, kim naprawdę był Francis Keoraz.

Jaki potwór stał w rzeczywistości za tym biednym nieszczęśnikiem, którym manipulował, żeby popełniać zbrodnie.

Postawiwszy ostatnią kropkę w świetle świec, Jeremy zostawił otwarty dziennik i wziął do ręki broń.

Zamierzał telefonicznie zawiadomić swoich kolegów z policji o istnieniu tej ohydnej kryjówki, aby zabrali chłopca i zdobyli wszystkie dowody. Nic więcej nie powie przez telefon.

Tymczasem sam pójdzie załatwić tę sprawę raz na zawsze.

Zanim przejmie ją niedoskonałe społeczeństwo. Zanim milioner zdąży się posłużyć swoimi zbawiennymi wpływami; zanim wykorzysta luki w systemie.

Otchłań zła, którą tak kocha, nie oblepi swoimi mackami cywilizowanego świata. Jeremy Matheson nie da się przekupić, był tego całkowicie pewien.

Francis Keoraz wszystko wyśpiewa.

Albo zniknie.

Wtem płomyk jednej ze świec zadrżał, tworząc ścieżkę, którą zaczął skapywać воск.

Postać detektywa stała się niewidoczna za gorącą aureolą.

Wosk spływał na wysokość dziesięciu centymetrów z coraz większą siłą. Jego krew gęstniała coraz bardziej za każdym razem, gdy oddalała się od serca świecy.

Dziennik Jeremyego Mathesona leżał obok, a strużka gorącego wosku była coraz bliżej.

Po czym strumień znieruchomiał, pęczniejąc na końcu.

Zaczął zastygać.

I stał się biały.

I zimny.

Obie świece zgasły.

Francis Keoraz będzie mówił. Albo zniknie. Kładę ten dziennik tutaj i zamierzam odejść, zostawiając martwe ciało chłopca. I być może po moim odejściu śmierć odwoła się do poczucia wstydu niewidzialnego dla tych, którzy żyją, okrywając ten grobowiec swoim płaszczem, pokój zaś zimnym całunem, gdy tymczasem świece same zgasną, jakby za sprawą czarów.

Dziennik kończył się tymi mistycznymi słowami.

Kiedy Marion zaczęła przewracać kartki, nie znalazła nic nowego, jedynie rozdział dopisany na samym końcu, dotyczący wędrowki Azima, który przeczytała już wcześniej. Sprawdziła szycie, aby się upewnić, czy nie brakuje kartek. Wszystko było nietknięte. Stare, ale nienaruszone.

Tak oto dobiegł kresu osobliwy film, który Marion widziała oczami duszy podczas lektury. Wizje minionej epoki kończyły się znakiem zapytania.

I co dalej?

To nie mogło się tak skończyć. Nie było ani rozwiązania, ani epilogu. Nic.

Nagle odezwał się jej wewnętrzny głos, który stał się adwokatem diabła: „Przecież nie czytałaś historii takiej jak inne, tylko prawdziwą relację. Czego się spodziewałaś po rzeczywistości? Ona nie jest doskonale urządzona ani zorganizowana. Rzeczywistość to opowieść pełna luk, białych plam i pytań, na które pod koniec nie ma nigdy wszystkich odpowiedzi. Prawda jest właśnie taka, nie inna. Niedoskonała i niekompletna”.

Jeremy Matheson, który nie zdołał uratować chłopca, zmierzył się z ghulem, zanim udał się do Keorazów, silny wewnętrznym przekonaniem i mając w ręku zbyt dużo elementów świadczących na niekorzyść Francisca, aby mógł to być tylko zbieg okoliczności.

Co się stało potem?

Czy Keoraz się przyznał? Może tak, pod groźbą rewolweru Jeremy’ego... Czując na sobie osłupiały wzrok żony. Czy Francis Keoraz został postawiony w stan oskarżenia? Czy też popełnił samobójstwo w przeblysku świadomości?

Podczas lektury dziennika nasunęła się również Marion inna hipoteza, bardzo prawdopodobna, choć dramatyczna.

Jeremy wycelował pistolet w zabójcę dzieci, aby zmusić go do przyznania się.

Ogarnięty gniewem i wstrętem pociągnął za spust.

Marion głośno zaklęła. Gdyby tylko miała dostęp do internetu, znalazłaby rozwiązanie tej

sprawy w archiwach prasowych.

Pozostał jednak jeszcze jeden problem.

Mimo że wszystko przeczytała, Marion ciągle nie potrafiła pojąć, dlaczego ktoś pragnął za wszelką cenę odzyskać dziennik. Co tak cennego zatem on zawierał? Nic... Nic, oprócz prawdy na temat starej historii morderstw popełnianych na dzieciach.

Prawdy... I wyznań zranionego człowieka.

Jeremy zwierzał się bez oporów.

Jeremy...

Marion dokonała szybkich obliczeń. Gdyby dziś żył, Jeremy miałby nieco ponad sto lat. Trudne do wyobrażenia. Ale możliwe.

Joe i brat Gilles byli jedynymi starymi mężczyznami w Mont-Saint-Michel.

Ani jeden, ani drugi nie sprawiał wrażenia aż tak starego. A zresztą, czy umiała określić ich rzeczywisty wiek? Nie...

Była jeszcze siostra Luce.

Jezabel?

Nie, w zakonnicy nie było nic, co mogłoby świadczyć o tej elegancji i wdzięku, o których wspomniał Jeremy. Nawet z upływem czasu Jezabel nie zdołałaby wszystkiego zatracić, siostra Luce zaś miała groźny profil, równie ostry jak charakter.

Jeremy.

Marion nie przestawała wracać do niego myślami. Zakochany. Oto, kim był naprawdę. Przyciągał ją do tego stopnia, że wszędzie go widziała.

„A gdybyś zaczęła podążać w drugą stronę?”

Jakimi danymi dysponowała, aby zidentyfikować postać, która ją prześladowała?

„Ten ktoś dobrze zna Mont-Saint-Michel i opactwo.”

Wszyscy tutaj dobrze je znają.

„Ma klucze do pomieszczeń opactwa, ale i do mojego mieszkania. Taki sam komplet, jakim dysponuje wspólnota.” A więc należy go szukać wśród braci i sióstr. Mogli dorobić duplikat. Co jeszcze wiedziała? „Ten ktoś jest wysportowany...” Dowiódł tego podczas gonitwy Brat

Damien. On często rano biega. Ludwig. Dawny rugbysta.

„Nie zapominajmy o dzieciaku. Grégoire. On chodzi na siłownię.”

Trzy możliwości. Co jeszcze?

„Zagadka... To osoba lubująca się w grach. Zaraz po moim przyjeździe rzuciła mi intelektualne wyzwanie. Z drugiego listu zaś wynikało, że byłoby ich więcej, co zrozumiałe, gdybym nie znalazła notesu, co ją rozdrażniło.”

Brat Damien jest graczem, lubi krzyżówki.

Nie ma jednak odpowiednich cech. Czyżby ukrywał się pod maską? Wydawało się to nieprawdopodobne...

Marion nie potrafiła się opędzić od myśli o bracie Gilles u. „Zbyt delikatny jak na gonitwy po opactwie. Nie...” Duet.

Brat Gilles jako przywódca i brat Damien podporządkowany jego władzy, wykorzystujący kondycję fizyczną, żeby służyć starszemu.

Coś tu nie pasuje w tym portrecie.

Stary zakonnik był zbyt ograniczonym ponurakiem, żeby docenić gry umysłowe, a już na pewno nie zagadki. Marion nie umiała go sobie wyobrazić, jak siedzi w celi i układa zagadkę na jej przyjazd tylko po to, żeby ją powitać i sprawdzić zdolność logicznego myślenia. To absolutnie nie było w jego stylu.

„Istnieje bezpośredni związek z którymś z bohaterów dziennika Mathesona, bo inaczej nie próbowałby za wszelką cenę mi go odebrać.”

Pomysł z duetem wydawał się sensowny.

Rozwiązanie aż kłuło w oczy.

Marion nie mogła dłużej zaprzeczać czemuś, co z braku innej możliwości stanowiło jedyną odpowiedź na jej pytania.

Myślała o tym już od wielu dni, jednocześnie nie chcąc dostrzec tej możliwości. Za bardzo lubiła tego starca.

„Spójrz prawdzie w oczy! Nawet jego imię jest oczywiste!”

To było takie proste. Joe to Jeremy.

W takim razie wszystko nabierało nowego znaczenia.

Marion zapaliła światło w salonie.

W blasku lampy wszystkie materie nabrały przytulnego charakteru. Tkaniny, aksamity, boazerie. Po raz pierwszy dostrzegła w nich podobieństwo do wyposażenia wagonu Jeremy'ego Mathesona.

„Joe to zdrobnienie od Jeremy'ego.”

Grał w szachy, rozbudzając w sobie upodobanie do rozrywek intelektualnych, mentalność człowieka, który lubuje się w zagadkach.

Oczywiście nie działał sam.

Grégoire.

Ten młody człowiek był jeszcze bliższy Joemu niż sądziła.

**„Potrzebuje męskiej ręki i tego, żeby coś się działo; pod tym względem raczej się nie mylę.”
Tak powiedział Joe podczas ich wspólnej kolacji.**

Grégoire był jego zbrojnym ramieniem.

Podobnie jak ghul był zbrojnym ramieniem Francisa Keoraza.

To właśnie jego gonila po południu. To on spanikował na myśl, że zostanie złapany, po czym porzucił książkę i uciekł. Grégoire, który był zafascynowany mężczyzną stanowiącym znakomity model dla jego ojca i opowiadającym mu z pewnością równie szalone historie, jak te z jego ukochanych filmów. I który odnalazł w Joem sposób, aby wyrwać się wreszcie z monotonii Mont-Saint-Michel.

Jeremy przed wojną schronił się w Paryżu, aby uciec ze swojego kraju. Z jakiego powodu? Czyżby był poszukiwany za zabójstwo Francisa Keoraza? Czy też pragnął zostać zapomniany przez rodaków po głośnej sprawie, która prawdopodobnie okryła go niesławą, bez czego chętnie by się obył?

Zaszył się tutaj z dala od wszystkiego, w cieniu kościoła. Przechowując dziennik, będący jedynym świadkiem jego dawnego życia.

Włożywszy na siebie trencz, Marion wzięła dziennik Mathesona, po czym wyszła w chłodną noc.

Skierowała się wprost do domu Joego.

Po kilku bezpardonowych uderzeniach drzwi się wreszcie otworzyły.

Marion zeszywniała, widząc, że w progu wcale nie stoi starzec; rozpoznawszy jednak Grégoire'a, od razu się odprężyła.

Wpatrywał się w nią z rezygnacją. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Kiedy młodzieniec spostrzegł dziennik, który Marion trzymała w ramionach, spojrzął jej w twarz.

–Czy on jest domu? – zapytała wreszcie Marion. Grégoire stał niewzruszony. W końcu cofnął się, pozwalając jej przejść.

Gdy znalazła się w salonie, odparł:

–Nie ma go tutaj. Jest na górze, w opactwie. Mówił poważnym głosem, w którym Marion nie wyczuła ani niepokoju, ani obawy.

–Skończyłam czytać – rzekła łagodnie, pokazując dziennik.

–Tak też myśleliśmy. To było na dzisiaj. Marion oglądała salon, jakby znalazła się tutaj po raz pierwszy. Szukała jakiegoś

szczegółu, jakiejś wskazówki, która pozwoliłaby jej dowiedzieć się czegoś więcej na temat osobowości starca. Na temat tego, kim stał się Jeremy Matheson po tych wszystkich latach.

–Niemał całkowicie pozbył się akcentu – zauważyła.

–Mieszka we Francji od tak dawna... – I nie wygląda na swoje lata. Grégoire wzruszył ramionami, uśmiechając się krzywo.

–Niech no pani powie... – zaczął. – Pragnę przeprosić za dzisiejsze popołudnie... Nie chciałem, żebyśmy sobie zrobili krzywdę. Nie przewidziałem tego. Po prostu zamierzałem odzyskać książkę, i to wszystko. Nie chciałem, żeby doszło do konfrontacji i...

–Daj spokój, Grégoire. Z czasem nauczysz się, że człowiek odpowiada za swoje czyny bez względu na konsekwencje. Niekiedy dobre jest... nie: konieczne jest zastanowienie się przedtem.

Młodzieniec, który nie spodziewał się usłyszeć kazania podczas przeprosin, naburmuszył się. Skrzyżował ręce na piersi.

Marion powstrzymała się przed dodaniem, że w gruncie rzeczy z nich dwojga to on najbardziej ucierpiał wskutek zderzenia.

–Jeśli ci to nie przeszkadza, zostanę i zaczekam, aż wróci z koncertu – oznajmiła.

–Właściwie spodziewał się, że pani przyjdzie z nim porozmawiać dziś wieczorem lub jutro. Nie

ma go na sali; jest na dachu. Wy tłumaczę pani, jak do niego trafić.

Objaśnwszy, którą powinna pójść drogą, Grégoire odprowadził ją do drzwi.

–Jeszcze jedno – powiedziała Marion. – Dlaczego Jeremy zostawił swój dziennik między książkami w bibliotece w Avranches?

Grégoire się zasepił.

–Jeremy? – powtórzył. – Jeremy Matheson? Ależ on nigdy nie zostawił swojego dziennika w Avranches...

–To właśnie ten, kto...

–Matheson zniknął w 1928 roku.

–Nie – potrząsnęła głową Marion. – Matheson to... Zaczekaj. Joe to Jeremy, nigdy ci tego nie mówił?

Grégoire przyglądał się jej tak, jakby wygłosiła najgorszą obelgę.

–Co pani opowiada? Nie zasięgnęła pani informacji? Jeremy Matheson zniknął w marcu 1928 roku; jego ciała nigdy nie znaleziono. Joe to nie Jeremy!

Nagle uderzył się ręką w czoło.

–Nie wie pani, co?

–Czego nie wiem?

–Kim on naprawdę jest!

Grégoire stał oparty o drzwi wejściowe.

–Nie prowadziła pani poszukiwań, prawda? Nie wie pani, co się wydarzyło tamtej nocy? –
upewnił się.

Serce Marion zaczęło bić szybciej, rozsadzając klatkę piersiową. Przeżywała to z osobistym zaangażowaniem, które ją przerastało. Nie czytała jedynie prywatnego dziennika, ale uczestniczyła w czyimś prawdziwym życiu.

–Tamtej nocy, kiedy zniknął Jeremy Matheson – dodał Grégoire – policja odebrała od niego telefon, w którym wyjaśnił, gdzie są ciała syna Keoraza i ghula. Kiedy gliny tam wpadły, zastały wszystko tak, jak zostało to opisane w dzienniku, który pani czytała. Tylko że dzieciak wcale nie był martwy. Siedział w kącie. W niezbyt dobrym stanie, ale żywy. Matheson w zamieszaniu popełnił błąd. Był tak mocno przekonany, że ghul zdążył już zabić chłopca, że za bardzo nie sprawdzał. W rzeczywistości kiedy tam dotarł, mały był

nieprzytomny, ale w żadnym razie nie był martwy. Doszedł do siebie na krótko przed tym, jak zjawiły się gliny.

Marion przycisnęła dziennik do piersi.

–Georges Keoraz miał doskonałą opiekę lekarską – ciągnął młodzieniec – a kiedy dorósł, wyjechał na studia do Anglii, później zaś do Francji, gdzie mu się tak spodobało, że został na stałe. Właśnie tutaj wstąpił do zakonu. Zamieszkał w Mont-Saint-Michel wraz z innymi członkami wspólnoty religijnej, do której należał. Po kilkudziesięciu latach wskutek napięć wewnętrznych jego przełożeni zażądali, żeby się przeniósł gdzie indziej, ale odmówił. Przywiązał się do Mont-Saint-Michel bardziej niż do jakiegokolwiek innego miejsca. Po roku opuścił wspólnotę i zamieszkał w tym domu. Przestał odwiedzać opactwo, wybrał bowiem na miejsce modlitewnego skupienia mały kościół parafialny. I się zestarzał.

–Joe to Georges – szepnęła Marion. – Georges Keoraz.

–Tak. Dawny członek wspólnoty.

–Właśnie dlatego miał klucze. Zachował swój komplet z dawnych czasów.

–Duplikaty – przytaknął Grégoire. – Żeby móc wszędzie wejść na terenie opactwa, nawet do pani.

–To by również tłumaczyło napięcie między nim a bratem Gilles'em... Grégoire zawahał się, zanim odpowiedział.

–Myślę, że to z powodu siostry Luce... Obaj byli z nią bardzo blisko zżyci i to wywołało

problemy – przyznał bez żadnego skrępowania, co świadczyło o braku dojrzałości.

Nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Marion otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa.

Jeremy Matheson zniknął tamtej nocy Na pewno już nie żył.

Dotarło do niej, dlaczego Joe tak bardzo chciał odzyskać dziennik.

Ponieważ zawierał całą prawdę o jego ojcu.

Prawdę, która wcale nie narobiła szumu, ale która kosztowała życie Jeremyego Mathesona.

Joe robił wszystko, żeby z powrotem zdobyć książkę, nie chciał bowiem, aby pamięć jego ojca została zbrukana, gdyby prawda wyszła na jaw.

Francis Keoraz zabił Jeremy’ego tej samej nocy, gdy detektyw przyszedł doń, aby skłonić go do zeznań. Milioner okazał się silniejszy, a następnie ukrył ciało.

W końcu śledztwo w sprawie zabójcy dzieci zostało zamknięte.

Ghul jako monstrualny szaleniec okazał się idealnym winowajcą.

Doskonałym w oczach ówczesnej opinii publicznej.

Z kolei Francis Keoraz nie poniósł uszczerbku na honorze w wyniku skandalu. Nikt go też nie niepokoił.

W ten czy inny sposób, prywatny dziennik Mathesona pozostał w rękach Keorazów.

–Muszę się z nim zobaczyć – oświadczyła Marion.

Grégoire wyszedł na ulicę i spojrzał w górę, na fantastyczną dzwonnice kościoła opackiego.

Z zachodniego tarasu Marion miała wspaniały widok na okolicę spowitą gwiezdny płaszczem nocy. Zza znajdujących się za jej plecami wysokich drzwi kościoła opackiego dobiegały liryczne dźwięki skomponowane przez Vivaldiego – jego *Cztery pory roku*. Właśnie rozpoczynała się *Zima*; wybrzmiewały pierwsze takty *allegro non molto*.

Zaczerpnąwszy tchu, pchnęła jak mogła najciszej jedno skrzydło, aby dostać się do nawy. Na ławkach siedziała setka ludzi, którzy słuchali koncertu ze skupionymi minami. Marion ruszyła nawą boczną aż do południowego transeptu, usiłując nie zwracać na siebie uwagi. Tam zaś odnalazła drzwi, o których wspominał jej Grégoire. Były otwarte.

Przekroczywszy próg, Marion zaczęła się wspinać po wyjątkowo krętych schodach.

Wkrótce uda nie omieszkały okazać jej swojego niezadowolenia, stając się ciężkie. Upajające echo muzyki rozbrzmiewało w tej ciemnej studni.

Kiedy Marion dotarła na pierwsze piętro, odpoczęła chwilę, po czym ruszyła dalej, Grégoire powiedział, żeby weszła na samą górę.

Ostatni stopień sięgał drzwi, które uchyliła, chcąc przestąpić próg.

Natychmiast poczuła podmuch wiatru, który rzucił się na nią, wężąc z większą siłą niż dzikie zwierzę. Chwycił ją za ubranie, potargał włosy i odepchnął bez ceregieli, aby hulać między frontonami, pod dzwonnica, jak niewidzialny cerber na usługach Boga.

Marion zdążyła się oswoić z jego wirującą obecnością.

Rozejrzawszy się wokoło, stwierdziła, że zgubiła się w lesie pinakli, luków przyporowych i sterczyn, które wyrastały z dachu, to się łącząc, to znów eksplodując jedna obok drugiej niczym jakiś niesforny kamienny bukiet.

W najbardziej dopracowane elementy kamienne były wycelowane potężne reflektory, rzucające złotą poświatę między wysokie czarne witraże i okaleczone paszcze gargulców.

Nad otchłanią wznosiła się wyrzeźbiona w granicie kładka prowadząca do wieżyczki, z której Marion wyszła na dach chóru. Za jej plecami rozpościerał się wachlarz stromych schodów.

Idąc po nich, Marion z całej siły ścisnęła poręcz. Balustrada była tak ażurowa, że, jak się domyśliła, cała konstrukcja stała się niemal krucha. Smagana potężnymi podmuchami wiatru, zakołysała się niebezpiecznie, zanim wreszcie zapała się mocno stopami, aby uniknąć zawrotów głowy.

Wdrapawszy się trochę wyżej, przystanąła dwa stopnie przed szczytem.

Czekała tam na nią imponująca postać.

**–Nazywamy to koronkowymi schodami – oznajmił Georges Keoraz zamiast powitania. –
Pozwoli pani? – Wyciągnął ku niej dłoń.**

Nie bardzo wiedząc, co powinna zrobić, podała mu swoją. Chwyciwszy ją za rękę, pomógł jej się podciągnąć.

–Lubię wchodzić tak wysoko; to wybornie działa na umysł i pobudza do myślenia. Nie wiedziałem, czy skończy pani dziennik dziś wieczorem, czy też jutro, przyszedłem więc tutaj pomedytować.

Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć hulający wokół wiatr. Nie wypuszczając jej dłoni ze swojej, poprowadził Marion wzdłuż balustrady, która ze względu na niewielką wysokość sprawiała niezbyt uspokajające wrażenie, aż na północny kraniec, gdzie nie wiało tak mocno.

Widziana stamtąd zatoka nie miała końca.

W spokojnych wodach morza odbijały się gwiazdy, tworząc krajobraz bez linii horyzontu.

Mont-Saint-Michel płynął w sercu wszechświata.

–Muszę przyznać, że straszna z pani kłamczucha – powiedział. – W czwartek, podczas naszego spotkania, zapytała pani, czy w Mont-Saint-Michel był kiedyś jakiś Anglik, udając, że usłyszała pani o tym w mieście. Było to raczej śmieszne, ale zabawne. Tym bardziej że na początku pomyślałem, że mnie pani z kimś pomyliła.

–Wciągnięcie Grégoire’a w osobistą krucjatę nie było najlepszym pomysłem -stwierdziła oskarżycielskim tonem Marion.

Georges skrzywił się w odpowiedzi.

–Wprost przeciwnie. Wprost przeciwnie... Po czym dodał:

–Dzięki temu poczuł się ważny. Przez dzielenie tajemnicy i rozmowy z osobą dorosłą sporo się nauczył. To sprytny dzieciak. Zresztą miałby do mnie żal, gdybym go w to nie wciągnął. Przykro mi tylko z powodu fizycznej konfrontacji, na jaką panią naraziłem. To nie powinno było się zdarzyć. Nie powinien był odbierać dziennika, jeśli nie miał pewności, że się pani nie zorientuje. A później spanikował.

Georges splótł dłonie za plecami.

–Nikt nie został ranny, i tylko to się liczy – oświadczył na koniec.

–Grégoire powiedział mi, kim pan jest. Przyznaję, że najpierw wzięłam pana za samego Jeremiego.

–Mathesona? – oburzył się. – Czy wyglądam aż tak staro? Niech pani nie przesadza!

–Należał pan do wspólnoty. Dlaczego pan to przede mną ukrył? Joe spojrział na nią z rozbawieniem.

–O nic pani nie pytała. W każdym razie, wcześniej czy później i tak by się pani dowiedziała. To nie ma wielkiego znaczenia.

Reflektory przyciągały chmary owadów, do których przylatywały zgłodniałe nietoperze.

–Jaki był cel tej zagadki pierwszego wieczoru? – zapytała Marion.

–Och, to... Przez upodobanie do gier. Żeby zabić nudę. Wiedziałem, jak zresztą wszyscy, że wspólnota będzie miała gościa na zimę. Chciałem podkreślić znaczenie tego wydarzenia; przywitać panią bardziej... oryginalnie. Mam przekorną naturę. Spójrzmy prawdzie w oczy: to wszystko, co mi pozostało. I proszę mi wierzyć, że w takiej grze mogę się okazać groźny, odczuwając sadystyczną przyjemność, przyznaję się. Grałbym z panią, przeciągając strunę, dopóki by nas to nie wyczerpało; to moja wada. Mam upodobanie do intryg, pragnę iść zawsze dalej. Zamierzałem porozumiewać się w ten sposób z panią przez jakiś czas.

–Dopóki nie znalazłam dziennika...

–Tak, to z kolei... Przyznaję, że to mnie trochę zbiło z tropu. O wszystkim dowiedziałem się od Gregoirea. Wieczorem tego dnia, gdy dokonała pani odkrycia, poszła pani do swojej przyjaciółki Beatrice. Pokazała jej pani dziennik i rozmawiała z nią na jego temat. Jej syn siedział obok. I tak się właśnie zaczęło. To nie powinno się było zdarzyć. Gdybym miał taką moc, usunąłbym całą historię z pani pamięci.

–Nie należało go zostawiać na wierzchu.

–Poddasza z magazynami biblioteki w Avranches nie są dostępne dla ogółu, poza tym istniały niewielkie szanse, że ktoś będzie tam szukał książki w języku angielskim... Ten dziennik to osobliwa historia. Prywatna historia mojej rodziny i moja. Nie powinna była pani jej czytać. W rewanżu przyznałem sobie prawo, żeby zakraść się do pani mieszkania podczas pani nieobecności, przeszukać je i odebrać dziennik. Niestety, nosiła go pani zawsze przy sobie.

Korzystając z tego, że jej rozmówca jest chętny do wynurzeń, Marion zapragnęła zaspokoić swoją ciekawość.

–Dlaczego dziennik znaidował się w Ayranrhps? Georges skrzywił się.

–Przypuszczam, że z powodu tchórzostwa. Kiedy tu przyjechałem, a było to sześćdziesiąt lat temu, wolałem nie trzymać go w celi, żeby ktoś się przypadkiem na niego nie natknął. Schowałem go wśród innych dzieł z biblioteki, które mieliśmy u nas, w opactwie, wraz z tymi po angielsku. Tylko że zbiory zostały wkrótce przeniesione do Avranches. Upewniłem się, czy

moja książka wtopiła się w resztę zbioru na poddaszu. I zostawiłem ją tam. Nie byłem w stanie jej zniszczyć i nie miałem dość odwagi, aby zabrać ją ze sobą.

Marion z lekką nerwowością oblizła wargi językiem.

–Nie rozumiem, dlaczego go pan zatrzymał. Stanowi przecież dowód zagrażający dobremu imieniu pańskiego ojca.

Georges wpatrywał się z podziwem w spokojny bezkres rozciągający się u stóp Mont-Saint-Michel.

–Poprawne wnioskowanie doprowadziło panią aż do mnie – powiedział. – W pani rozumowanie wkradł się jednak błąd co do interpretacji faktów. I to horrendalny błąd! Dziwi mnie, że go pani popełniła.

Odwrócił się do niej twarzą.

–Mój ojciec nie jest winien żadnej zbrodni. To nie był on.

Włosy Marion musnął nietoperz.

–Jak to? – zapytała, przestając zwracać uwagę na ssaka.

–Marion... Zaskoczyła mnie pani pierwszej nocy, podejmując grę i szybko rozszyfrowując moją szachownicę Polibiusza. Sądziłem, że w czasie lektury dziennika prawda pani nie umknie. Proszę się zastanowić. W tym, co pani przeczytała, znajdują się istotne tropy. Kto naprawdę jest winny?

Marion nie miała bladego pojęcia. Skoro w dzienniku wszystko jest takie proste, po co siać wątpliwości? Czyżby Georges usiłował odwrócić jej uwagę, aby ocalić pamięć ojca? Nie mogła w to uwierzyć. To by było zbyt dziecinne ze strony jej rozmówcy; za bardzo go szanowała.

–Nie wiem – przyznała. – Czy się to panu podoba, czy nie, Francis Keoraz to idealny winny.

–Tak jest napisane. Pytam, co jest bardziej subtelne, a zarazem bardziej spójne. Mój ojciec? Nie, to nie ma żadnego sensu. Chyba że dla chorobliwej zazdrości Jeremyego Mathesona. No, niechże pani pomyśli.

Marion nie pojmowała, do czego zmierza Georges. Nie mógł istnieć inny winowajca -śledztwo było prowadzone sprawnie i wszystko się wyjaśniło. Pozostał jedynie Francis Keoraz.

–Zechce pani pominąć to, co dotyczy mojego ojca, dobrze? A teraz, gdyby miała pani oskarżyć jednego z bohaterów dziennika, kto wydałby się pani najbardziej podejrzany?

Marion westchnęła.

Wiatr dał wprawdzie słabiej na północnym zboczu, nadal jednak wygłaszał swoją gniewną skargę między łukami dzwonnicy. Nagle umilkł. Przez tę krótką chwilę, gdy żywioly zaprzestały nękać Mont-Saint-Michel, Marion usłyszała dobiegające z wnętrza kościoła melancholijne nuty.

–Jezabel.

Powiedziała to bez zastanowienia; tylko dlatego, że nalegał, aby podała jakieś imię. Georges miał rozdrażnioną minę.

–Nie, oczywiście, że nie. Nigdy nie mogłaby zrobić czegoś takiego... Proszę lepiej poszukać.

Zmęczona tą grą, Marion wybrała na chybił trafił następną osobę z dziennika.

–Lekarz sądowy... Doktor Cork? Georges prychnął cicho na znak rozczarowania, po czym skrzyżował ręce na piersi.

–Nie. Przecież miała go pani cały czas przed oczami, czytając – odrzekł.

–Azim? Nie, zginął podczas śledztwa... Poszukała odpowiedzi wśród gwiazd. Nagle jej dłonie zeszywniały. Zawahała się.

Georges pochylił się ku niej.

–Przychodzi pani coś do głowy? – szepnął z twarzą tuż przy jej twarzy.

–Ja... Nie wierzę, żeby to było możliwe... Przegrzane reflektory wabiły tak ogromną liczbę owadów, paląc im skrzydła, że

wokół unosił się niemal skarmelizowany zapach.

–Ale... – zachęcił, żeby mówiła dalej.

–...Jeremy?

–Dlaczego pani to mówi?

–Nie wiem. Wyprostowała się.

–To ja pani powiem. Dlatego, że czasami trochę panią przerażał. Zaintrygował panią ten wielki biały myśliwy.

Ostatnie dwa słowa wymówił z naciskiem.

–I coś pani powiem – dodał. – Ma pani całkowitą rację. Marion uniosła przed siebie dłoń na znak, że nie rozumie.

–Mówi pan byle co! Jeremy jest autorem dziennika. To on prowadził całe dochodzenie i nie miał nic wspólnego z tymi morderstwami; to...

–Je-re-my Ma-the-son – wycedził, skandując każdą sylabę, ze wzrokiem wpatrzonym w dal. – Okpił nas wszystkich.

Marion wzięła do ręki dziennik, który przyniosła w kieszeni płaszcza. Okładka zaszeleściła pod jej palcami.

–Wszystkich nas wystrychnął na dudka – powtórzył z żalem Georges. – A ten dziennik to jego największy sukces.

–Nie – zaprzeczyła Marion. – Przecież on prowadził śledztwo w sprawie morderstw; on...

–Nakłonił przełożonych, żeby mu powierzyli to dochodzenie. Aby mieć pewność, że nikt nie wpadnie na jego trop. Może to panią zaskoczy, ale twierdzę, że niemal wszystko w tym

dzienniku jest prawdziwe: zarówno fakty, jak i uczucia. Jeremy tylko upiększył niektóre wydarzenia, inne zaś pominął. Może nas to dziwić, ale wziął sobie tę sprawę bardzo do serca. I nie bez przyczyny...

–Co też pan mówi?

–Po przeczytaniu jego zapisków staje nam się bliższy; moglibyśmy niemal powiedzieć, że trochę go znamy. Czy nie sprawił na pani wrażenia osoby nadzwyczaj współczującej, szczególnie w stosunku do tubylców? I wspaniałomyślniej? A czy jest taki z natury? Jak pani myśli?

Marion milczała, wpatrzona w Georgesa, próbując odgadnąć, co chce udowodnić.

–Ja bym powiedział, że nie – ciągnął. – Nie wygląda, żeby to leżało w jego naturze. Tymczasem przy pierwszej wizycie, chociaż nie przyniosła ona zbyt intrygujących rezultatów, wręcza pieniądze wszystkim rodzinom zamordowanych dzieci, które odwiedza wraz z Azimem. To interesujący akt dobroci i współczucia. Tylko że wcale nie pasuje do myśliwego, którym jest Jeremy. Czy ten gest nie był przypadkiem sposobem na spłacenie długu; na uzyskanie przebaczenia morderstw na dzieciach?

–Joe... Pan... Wycelował w nią palec, nakazując milczenie.

–Proszę poczekać, aż skończę swój wywód. Przypomina pani sobie dzień, kiedy on i Azim stoją nad ciałem zabitego chłopca, a Jeremy z trudem panuje nad sobą, sprawiając wrażenie, że nie jest w normalnym stanie? Nie czuje wzburzenia z powodu okrucieństwa samego w sobie, w istocie ulega bowiem chorobliwemu podnieceniu na wspomnienie tego, co zrobił. Kilka minut później musi odegnąć od siebie „szalone obrazy”, które nie mają nic wspólnego ani z pełną współczucia, bujną wyobraźnią, ani z jakimś osobliwym darem mediumicznym, ale po prostu płyną z jego pamięci, z okropności, których się dopuścił.

Georges ledwie zaczerpnął tchu, żeby mówić dalej:

–Kiedy zaś Azim oznajmia, że wszystkie zamordowane dzieci były podopiecznymi tej samej fundacji, proszę sobie przypomnieć, jaki Jeremy jest wzburzony i siny. Jesteśmy skłonni przypuszczać, że to dlatego, że uznał to za osobisty atak ze strony zabójcy, ponieważ sam był związany z fundacją; tymczasem on uświadamia sobie, że śledztwo poczyniło olbrzymi krok w jego kierunku.

–To nie ma żadnego sensu! Po co w takim razie miałby się przyznać, że czuje się nieswojo?

–Właśnie na tym polega siła Mathesona. Ukrywa za ledwie minimum. Nie ponosi żadnego ryzyka. Gdyby to Azim prowadził dziennik albo wspominał komuś o ich rozmowie i o tym, że Anglik ledwie nad sobą panował, Jeremy miałby się z pyszna.

–Nie, to się nie trzyma kupy – sprzeciwiła się Marion. – Jeremy od samego początku śledztwa

udowadnia, że jest kompetentny: dokonuje odkryć na miejscu zbrodni i wyciąga słuszne wnioski. Gdyby był winny, siedziałby cicho!

–Nie Matheson. Przeciwnie; pokazuje swoją wyższość nad Azimem. Tam, gdzie egipski detektyw nie posunął się naprzód przez wiele tygodni, on rusza z miejsca dziesięć razy szybciej. Dzięki temu bez trudu przejmuje dowodzenie ich duetem. Wszystko zaś to, co mówi, w żadnym stopniu go nie demaskuje, ponieważ już wie, że zwali winę na swojego największego rywala, czyli mojego ojca. Będzie gromadził dowody przeciwko Francisowi Keorazowi, kierując na niego podejrzenia, nawet gdyby miał je fabrykować.

Starzec spojrział na dzwonnice.

–Jest coś jeszcze bardziej niepokojącego – oznajmił. – Pamięta pani, jak rozmawiał z Azimem o najwcześniejszej zbrodni, o morderstwie włóczęgi z dzielnicy Szubra? Twierdził, że przesłuchał wszystkich, że szukał ewentualnych świadków – dodając jednocześnie, że wydarzyło się to w czasach, gdy miał do dyspozycji niewielu ludzi, wszystko więc musiał robić sam. Tymczasem w dzienniku wspomina wielokrotnie, że nie zna arabskiego. Jak w

–takim razie sobie radził? Czy muszę dodawać, o czym zresztą sam nadmieniał, że to nadzwyczaj uboga dzielnica, nikt zatem nie mówi po angielsku?

–Pewnie nie zadał sobie trudu, żeby wyjaśnić, że towarzyszył mu przewodnik-tłumacz... – bąknęła Marion, która nagle stała się mniej wojownicza.

Georges wzruszył ramionami.

–Jeremy Matheson – ciągnął – nie był ofiarą perwersyjnego zabójcy dzieci, który nienawidziłby go wystarczająco mocno, aby wszystko tak zaaranżować, żeby wykazać jego bliższy lub dalszy związek z każdą z tych zbrodni. To śmieszne. Matheson miał powiązania z każdym szczegółem śledztwa, ponieważ to on był mordercą! Proszę pomyśleć: wstąpił razem z Jezabel do fundacji, żeby jej sprawić przyjemność, i właśnie tam zobaczył wszystkie te dzieci, swoje potencjalne ofiary. To on prowadził dochodzenie w sprawie pierwszego morderstwa w Szubrze, szybko odkrył sprawcę, czarnego olbrzyma chorego na nome (to prawdopodobnie nazwa schorzenia, które zamieniło go w... ghula), ale nie po to, żeby go aresztować, tylko nagiąć do swojej woli. Jak sam twierdzi, znał pewnego archeologa, z którym często rozmawiał, a który z pewnością nie omieszkał mu wspomnieć o swoim najnowszym odkryciu. Może nawet go tam zaprowadził, zanim Jeremy go zabił. Matheson dysponował zatem kryjówką dla swojego „zbrojnego ramienia”. W zamian za dach nad głową i płynne pożywienie kazał mu robić dostarczonym przez siebie dzieciom to, co zrobił tamtemu włóczędze. Następnie znalazł w fundacji dzieci, o których wiedział mnóstwo dzięki temu, że włamał się do jej siedziby i przejrzał kartoteki. Czekał na nie pod drzwiami fundacji, z dala od potencjalnych świadków, i mamił, obiecując im pieniądze, niesłychaną wiedzę na temat legend albo cokolwiek, co mogłoby stanowić atrakcję dla malca z biednej rodziny. Nie zapominajmy, że dzieci go znały: przecież prowadził dla nich zajęcia w fundacji! Wyznaczał im tajne spotkania, w miarę możliwości w

nocy, jeśli mogły wyjść z domu, nie zwracając na siebie uwagi. Wiadomo, co się działo potem.

Nagle wiatr, który w północnym skrzydle nieśmiało dmuchał, zaatakował Georges'a Keoraza, smagając go po policzkach.

–W rzeczywistości znał arabski, jestem o tym przekonany – powiedział starzec podniesionym głosem, chcąc przekrzywić wiatr. – Mieszkał w Kairze od dziesięciu lat. W takim mieście trudno być detektywem przez prawie dziesięć lat i nie nauczyć się przynajmniej podstaw języka. To kwestia logiki. Poza tym czytał *Księgę tysiąca i jednej nocy*, o czym świadczy jedna z końcowych scen dziennika, kiedy Jezabel przychodzi do niego i spostrzega książkę. On zaś mówi, że to jego kolega Azim pomyślał, że zabójca się nią posłużył, bo zabrakło mu tupetu, żeby się przyznać, że dopiero co ją kupił i przeczytał zaledwie w ciągu

paru dni. Coś mi się widzi, że miał ją od dawna. Dzięki książkom i swojemu „przyjacielowi” archeologowi dysponował wystarczającymi źródłami informacji, aby zaczerpnąć z historii metodę tortur, jakie zadał Azimowi, nie mówiąc o tym, że ciągle odwiedzał *kahwy*, gdzie rozmawiano po arabsku, bazarze zaś jeden po drugim opowiadali stare legendy. Jeremy był oczarowany tą mitologiczną kulturą, a widok okaleczonego olbrzyma przywodził mu na myśl baśnie o gbulach. Czyżby właśnie wtedy obmyślił cały scenariusz? Kiedy przypomniał sobie, jak to Francis Keoraz uwiódł Jezabel, snując opowieści z *Księgi tysiąca i jednej nocy*, kiedy postanowił pofolgować swoim szalonym popędem, jednocześnie tak się maskując, żeby pewnego dnia móc oskarżyć swojego wielkiego rywala? A może zainscenizował wszystko później, usłyszawszy krążące wokół bojaźliwe pogłoski? Przypisując to szaleństwo mojemu ojcu pod pretekstem, że pasjonuje się historią. Marion chwyciła go za nadgarstek.

–Proszę mi powiedzieć: analizował pan cały dziennik przez siedemdziesiąt lat? Georges wpatrywał się w nią ze smutnym wyrazem twarzy.

–Nie musiałem go specjalnie zgłębiać. Wiedziałem, czego szukam.

–Ale dlaczego jest pan taki pewien swego?

–Zapomniała pani? – odrzekł z lekkim niedowierzaniem. – Przecież jestem Georgesem Keorazem. Jestem tym dzieckiem, które porwano... A jak pani myśli, kto wsiadł tamtego dnia do tramwaju, żeby mnie zabrać?

Georges rozmasował szeroką dłonią podbródek i wargi.

–To on, Marion. Właśnie dlatego jestem taki nieugięty. Ja nie przypuszczam, tylko stwierdzam. Jeremy Matheson wsiadł do tramwaju. Ponieważ ojciec przedstawił mi go poprzedniego dnia, a na dodatek był policjantem, to wystarczyło, żebym zgodził się wysiąść razem z nim, kiedy powiedział, że przysłał go ojciec, aby zabrał mnie do niego w inne miejsce niż się umówiliśmy.

Serce Marion ścisnęło się na widok łez w oczach starca.

–Oddał mnie w łapy tego potwora, żeby ghul nie był taki samotny, żeby mógł się... bawić. Sam zaś wrócił dopiero wieczorem, na krótko, żeby mnie dręczyć. Zresztą w dzienniku nie opisał dokładnie rozkładu swoich zajęć tamtego dnia. Czytając uważnie, stwierdzi pani, że wspomina, jak to rano prowadził przesłuchanie w sprawie zaginięcia Azima, a wczesnym popołudniem wrócił do siebie wziąć prysznic. Następnie opisuje, że spędził wieczór w komendzie i że znalazł ciało kolegi. Ani wzmianki o tym, co robił między prysznicem a przyjściem na komendę kilka godzin później. I nie bez przyczyny. Był zajęty

śledzeniem mnie, gdy wsiadłem do tramwaju, i zabranieniem do swojej ohydnej kryjówki. Poprzedniego dnia wieczorem słyszał, jak mój ojciec opowiada o lekcjach gry na pianinie, o tramwaju...

Milczał przez minutę, spoglądając w gwiazdy. Marion nie była pewna, czy zмага się ze sobą, żeby nie okazać wzruszenia, czy też zamierza jeszcze coś dodać.

–Napisał, że widział się z Humphreyssem wczesnym wieczorem i że rozmowa trwała kwadrans a następnie, prawie o północy, z doktorem Corkiem. A co było między tymi spotkaniami, nie wiadomo.

Starzec obracał głowę wokół szyi niczym puszczczyk, śledząc reakcje Marion.

–Przez ten czas był ze mną. Marion zacisnęła dłonie na dzienniku tak mocno, aż okładka wbiła jej się w skórę.

–Godziny mijały, a wskutek wstrząsu, jakiemu zostałem poddany, coraz bardziej odrywałem się od rzeczywistości. Nazajutrz straciłem przytomność. Po czym obudził mnie chłód wody, która rozlała się z przewróconego cebra. Było zupełnie ciemno; miałem zimne poty, gorączkę i czułem nieznośny ból. Długo leżałem bez ruchu. Miałem ściśnięte gardło i z trudem oddychałem. Następnie znalazłem po omacku zapalki i świeczkę. Zobaczyłem trupa potwora. Nie wiem, co naprawdę się wydarzyło między dwoma mężczyznami, ale wydaje mi się, że Jeremy przyszedł sprawdzić, czy na pewno nie żyję, zgodnie z tym, czego oczekiwał od ghula. I że zabił swojego niewolnika, aby ten nie mógł go zdradzić w taki czy inny sposób. Na stole leżał zeszyt.

Otworzyłem go i ujrzałem jego zapiski. Nie wiem, co mnie napadło, ale go ukradłem. Schowałem między strzępami ubrania, a wkrótce potem zjawiała się policja.

Pod ich stopami rozległa się burza oklasków. Koncert dobiegał końca.

–Po tym wszystkim nie otworzyłem ust przez pięć tygodni. Nie wspomniałem też ani słowem o zeszycie. Trzymałem go w ukryciu niczym cenną zdobycz. A później go przeczytałem. Co jakiś czas, po jednej stronie, kiedy byłem sam. Dopiero gdy skończyłem, odzyskałem mowę. Poszedłem do ojca i zapytałem, czy rzeczywiście jest mordercą. Odbyliśmy wtedy długą rozmowę, której epilog miałem poznać dopiero po dziesięciu latach, kiedy nas opuścił. Wówczas Jezabel wyznała mi, co się wydarzyło tamtej nocy między nimi a Jeremym. Ponieważ Matheson był wtedy w willi. Wtargnął przez furtkę i wszedł do domu, żeby zagrozić bronią mojemu ojcu. Chciał siłą wymusić na nim przyznanie się do zabicia dzieci. Wrzeszczał, trzymając w drugiej ręce metalowe pudełko z papierosami i powtarzając, że to dowód znaleziony w kryjówce potwora. Dowód, który mógł kupić w Groppis's, ponieważ ojciec podał mu nazwę swojego dostawcy wieczorem, podczas kolacji. Zupełnie oszalał; zaczął okładać ojca pięściami. Chciał za wszelką cenę zmusić go do przyznania się

przed Jezabel. Żeby zdała sobie sprawę, jaki jest naprawdę. Jezabel zaś złapała w końcu rewolwer, który trzymaliśmy dla własnej obrony, i strzeliła do detektywa.

Marion nie spuszczała go z oczu. Georges Keoraz opowiadał swoją historię z ogromnym trudem. Jego głos nie brzmiał tak pewnie jak zwykle, a dłonie drżały.

–Jeremy Matheson zginął na miejscu: kula trafiła go prosto w mózg. Jezabel i mój ojciec nie wiedzieli, co robić. Wpadli w panikę. Zabili przecież policjanta. Na dodatek policjanta, który przyszedł oskarżyć mojego ojca, co w oczach wyjątkowo ograniczonego sędziego mogłoby stanowić motyw. Przywiązali mu więc ciężarki i wrzucili do jednego z rtęciowych basenów w ogrodzie, w oczekiwaniu, aż znajdą coś lepszego. Wkrótce zjawili się cały oddział policjantów, ale nie po to, żeby ich aresztować, tylko odstawić mnie do domu. W końcu po kilku dniach ojciec zakopał Mathesona na pustyni. W sprawie jego zniknięcia toczyło się śledztwo, które jednak niczego nie wyjaśniło. Według zeznań osób, które go najlepiej znały, w ciągu ostatnich miesięcy stawał się coraz bardziej porywczy, niekiedy nawet choleryczny. Ja z kolei udawałem, że nic nie pamiętam. Kłamałem, bo nie wiedziałem, co mam mówić. Oni zaś doszli do wniosku, że zabójcą dzieci jest tamten czarny olbrzym i wszyscy byli zadowoleni. Dowiedziałem się później, że Jezabel szukała dziennika Mathesona, który wyjawiał jej przedtem jego istnienie, bardzo się bowiem niepokoiła o to, co naprawdę zawierał. Nigdy nie zdobyłem się na to, żeby się przyznać, że to ja go mam.

Przełknąwszy ślinę kilka razy z rzędu, Georges zapytał:

–Nadal ma pani wątpliwości, kto jest prawdziwym zabójcą dzieci? Chciała odpowiedzieć, nie starczyło jej jednak sił.

–Zastanawia się pani, dlaczego; prawda? – domyślił się Georges. – Dlaczego on to wszystko robił? To była udęczona dusza. Istota, która zatraciła wszelkie uczucia. Tak jak to powiedziała Jezabel tamtego wieczoru, kiedy przyszła do niego do wagonu. Nie udało jej się go rozgryźć. Nie był to bowiem człowiek taki jak inni. Nie był tak naprawdę ludzki. W pewnym sensie był chory, niezrównoważony, ale świadomy własnej skłonności do perwersji, z której powodu cierpiał. Jezabel tak bardzo się dla niego liczyła, ponieważ za sprawą jej silnej i oryginalnej osobowości przeżywał emocje, jakich zazwyczaj nie był zdolny odczuwać. Ohydne zbrodnie zaś, przez swój ekstremalny charakter, dostarczały mu emocji. On był tylko skorupą rozpaczającą nad nicością, którą potrafił zapełnić wyłącznie chorymi, przesadnymi wrażeniami.

Wtem dwa ludzkie cienie stojące na szczycie kościoła opackiego, ponad sto metrów nad poziomem morza, musnęła chmara nietoperzy lecących w zwartym szyku.

–Aby mogła pani w pełni to zrozumieć, muszę powiedzieć, że większość jego majaków na temat perwersyjnej osobowości mojego ojca to tylko przeniesienie jego własnej natury. Strony poświęcone analizie psychologicznej to nic innego jak przerzucenie tego, kim sam był, na kozła ofiarnego, którego sobie znalazł. Za jednym zamachem pozbywał się rywala w miłości i sam się uniewinniał. Tym samym zbrodnicze zamiary, które przypisuje mojemu ojcu, podczas lektury dziennika sprawiają wrażenie groteskowych, nabierają jednak wiarygodności, jeśli odnieść je do samego Jeremy ego. Wystarczy zastąpić żądzę władzy, jaką zarzucał mojemu ojcu, przerażającymi skutkami wojny, które uczyniły z Jeremy’ego Mathesona istotę nieludzką, a będziemy w stanie go przyłapać.

Joe klasnął w dłonie.

–W gruncie rzeczy on był przeklęty. Wojna zdołała odczłowieczyć dziecko, którym kiedyś był.

Marion zadrżała.

Wojna. Tortury, którym poddawano tego biednego żołnierza.

–Proszę otworzyć na pierwszej stronie i podrzeć okładkę – powiedział Georges, wskazując dziennik. – Dalej, niech się pani nie boi; sam go kiedyś oprowałem, żeby nie było widać, co to jest.

Marion posłusznie szarpnęła za skórę, która rozdarła się, wydając pomruk.

–Wystarczy – polecił Georges. Pochyliwszy się, zaczął macać palcami pod oderwaną skórą.

–O, jest... Starzec wyciągnął starą fotografię w kolorze sepii.

–Proszę, niech pani spojrzy. To jest Jeremy Matheson. Marion wzięła zdjęcie i z pewnym lękiem zerknęła na podobiznę autora dziennika. Wyglądał tak, jak sam siebie opisał -na przystojnego mężczyznę; miał jednak w twarzy coś, co nadawało jej smutny wyraz. Było w niej coś niepokojącego. Jego spojrzenie emanowało jakimś nieuchwytnym blaskiem, równie

nieokreślonym i zmiennym jak na hologramach, na których wyraz twarzy zmienia się w zależności od kąta widzenia. „Zimny, nieustający gniew – pomyślała Marion, nie mając pewności. – Albo dawne cierpienie, które go zżera.”

W ślad za tym przyszedł inny domysł. Bardziej zaskakujący. Był to blask drzemiącego w nim gdzieś na dnie ciała bez życia. Jego duszy. Miał w oczach przerażający błysk świadomości, która umarła dawno temu, pozostawiając dryfujące ciało.

Nosił w sobie własnego trupa.

Obok Jeremy’ego stała prześliczna kobieta. Marion rozpoznała ją bez trudu. Jej rysy świadczyły o klasie i ostrym charakterze Jezabel.

Zdjęcie zostało zrobione na plaży. Jeremy był w kąpielówkach, czyli, zgodnie z ówczesną modą, w długich szortach, odsłaniając tors przecięty rozległą, obrzmiałą blizną.

Marion odwróciła fotografię.

Aleksandria, wrzesień 1926 roku.

–Zdjęcie służyło jako zakładka w zeszycie, kiedy go znalazłem – oznajmił Georges. – Błąd popełniony przez Jeremy’ego z powodu uczucia do Jezabel.

Georges wyjawiał ostatni tryb szalonego mechanizmu, który składał się na Jeremyego Mathesona.

–Tego wieczoru, kiedy jedli razem kolację, trochę podchmielony opowiedział mojemu ojcu i Jezabel przeżycia z wojny. Pewnie już się pani domyśliła, że wtedy również skłamał. On nie patrzył, jak tamci podli oficerowie okaleczali i gwałcili młodego żołnierza. Nie widział tego, tylko przeżył. On był tym żołnierzem.

Marion powiodła palcem po wybujałych krzywiznach na torsie detektywa. Zdjęcie drżało na wietrze.

–Właśnie dlatego Jezabel rozplakała się tamtego wieczoru – podkreślił Georges. – Zrozumiała. Kiedy opowiadał o okaleczeniach po bagnecie i ranie na piersiach, przypomniała sobie tę ogromną bliznę na jego torsie. Uświadomiła sobie, jakich cierpienie doznał w czasie wojny. Po każdej kaźni, kiedy trzeba było ruszać do ataku na Niemców, wracał zdumiony, że nadal żyje, choć jest pochłapany krwią swoich towarzyszy, po czym w oczekiwaniu na następny atak, który mógł go tym razem kosztować życie, wkraczał w kolejne piekło.

Marion przyjrzała się uważnie zdjęciu i człowiekowi, który pozwolił jej uczestniczyć w swoim życiu, w tym, co wzięła za prowadzone przezeń śledztwo, w swoim bólu. Wyobraziła sobie, jak błądzi po obskurnych uliczkach Szubry, żeby wytropić czarnego olbrzyma, zbliżyć się do niego i powiedzieć mu parę słów po arabsku. Następnie oczami duszy zobaczyła, jak sprowadza

swojego „najemnego zbira” do podziemia, by tam go ukryć. Obiecać mu jedzenie. I nakłonić, żeby wyładował swój gniew na dzieciach, które mu dokuczały. Jeremy napawał się tym widokiem. Zabił również swojego przyjaciela archeologa, który pokazał mu odkrycie, jakiego dokonał: idealną kryjówkę. Zamordował Azima, ponieważ ten niemal wszystkiego nie zepsuł.

To Jeremy włamał się do siedziby fundacji Keoraza, żeby przejrzeć kartotekę dzieci i dowiedzieć się, w jaki sposób mógłby się do nich zbliżyć i czym najlepiej je zwabić. Marion przymknęła powieki, uświadamiając sobie, że prawdopodobnie celowo wybrał chorego na

hemofilię chłopca, żeby napawać się strumieniami krwi, które miały płynąć z jego ciała bez końca.

W jej głowie zbiegły się wszystkie elementy dziennika: postaci, dni, upał, architektura Kairu. Przeżywała na nowo w przyspieszonym tempie cały ten film, który przesuwiał jej się przed oczami podczas lektury.

Nagle obraz stanął w ciszy.

Do poprzednich scen dołączyła następna. Nie pochodziła ona z dziennika, ale ze wspomnień udręczonego starego człowieka.

* * *

Było marcowe popołudnie 1928 roku.

Ulica Maspero roiła się od przechodniów. Francuskie damy mizdrzyły się pod osłoną parasolek, wybuchając śmiechem; kairskie guwernantki spacerowały z wózkami w cieniu palm, które tworzyły pas zieleni między ulicą a majestatycznym Nilem. Mężczyźni w garniturach potrącali się nawzajem, przepaszając grzecznie, na chodniku, u stóp nowoczesnych pięciopiętrowych budynków z kamienia i stali, które miały w dachach otwarte świetliki, teraz zasłonięte przed nadmiernym słońcem.

Po jezdni sunęły z warkotem najnowsze samochody, dźwiękiem klaksonów nawołując wielbłądników i wozy ciągnięte przez muły do ustąpienia im miejsca. Pośrodku ulicy wszyscy przepuszczali tramwaj, który nadjeżdżał z łoskotem żelastwa, wznecając iskry w płataninie kabli.

Kobieta mówiąca z włoskim akcentem pochyliła się nad chłopcem w skórzanych sandałach i białych skarpetkach, ubranym w krótkie spodenki i koszulkę z plamą po anyżowym cukierku. Wtem zatrzymał się przed nimi obwoźny handlarz pomarańczy, proponując owoc. Kobieta odprawiła go stanowczym gestem, który świadczył o tym, że była przyzwyczajona do tego rodzaju praktyk.

–Nie zapomnij ćwiczyć gam – przykazała chłopcu. – Codziennie. Tramwaj przystanął przed nim ze zgrzytem. Kiedy drzwi się otworzyły, chłopiec

wsiadł, żegnając się z Włoszką.

–Do zobaczenia za tydzień! – zawołała, przekrzykując łoskot zamykanych drzwi. Tramwaj ruszył i zaczął nabierać szybkości. Podczas gdy mijał bogate dzielnice,

migotały jaskrawe kolory wystaw sklepowych.

W wagonie panował spory tłok, a ponieważ wszystkie miejsca siedzące były zajęte, chłopiec zawahał się, czy powinien przejść do tyłu, do przedziału dla kobiet, gdzie zostało

jeszcze kilka wolnych miejsc. Nie uczynił tego jednak, często bowiem słyszał: „Tak się nie robi”.

Złapał się poręczy i już miał zacząć się przyglądać pięknym samochodom, gdy wśród pasażerów rozpoznał znajomą twarz.

Wpatrywał się w niego z uśmiechem wysoki mężczyzna. Po chwili twarz rozjaśniła mu się jeszcze bardziej, dając wyraz szczerzej radości.

–Dzień dobry, Georges! – powiedział. Georges go rozpoznał – był to człowiek, który gościł u nich poprzedniego wieczoru.

Policjant, jak powiedział mu ojciec.

–Rozpoznajesz mnie? Chłopiec przytaknął.

–Dzień dobry panu. Mężczyzna nie mówił zbyt głośno, ale wystarczająco donośnym głosem, żeby

chłopiec go usłyszał.

–Całe szczęście, że cię tu znalazłem – odrzekł. – Bałem się, że cię nie złapię. Musiałem biec, żeby dogonić tramwaj, wiesz?

Georges skinął głową z grzeczności. Jego wzrok przyciągnął samochód, który wyprzedzał ich z rykiem.

–Lubisz samochody? – zapytał policjant.

–Tak, uwielbiam. Mój ojciec ma bentleya. Wie pan, co to jest bentley? To bardzo szybkie auto, najszybsze!

Obok nich dwóch mężczyzn z surowymi minami czytało gazety, a nieco dalej dłuubał w nosie trzeci, spoglądając na migający za oknami krajobraz.

–O tak, wiem, co to bentley. A wiesz co? Mój samochód jest jeszcze szybszy od bentleya!

Geroges zmarszczył brwi, jakby uznał to za niepojęte.

–Ależ tak, zapewniam cię. Jeśli chcesz, zabiorę cię na przejażdżkę. Georges miał na twarzy wyraz niedowierzania, zarazem jednak był zafascynowany.

–Dobrze, ale przedtem muszę ci powiedzieć – ciągnął policjant – że przysłał mnie twój ojciec. Stąd właśnie wiedziałem, że będziesz jechał tym tramwajem. Poprosił, żebym zawiózł cię do niego na boisko do gry w polo. Widziałeś już kiedyś mecz polo?

–Nie – odrzekł natychmiast z zapalem chłopiec.

–Cóż, myślę, że to właśnie dlatego ojciec chciał ci zrobić niespodziankę. Musisz pojechać ze mną, żebym mógł cię do niego zawieźć.

Georges nieśmiało skinął głową. Wprawdzie nie do końca ufał nieznanemu, nie miał jednak odwagi, żeby mu się przeciwstawić.

–Pojedziemy pańskim samochodem? – zapytał. Policjant roześmiał się cicho.

–Tak, zobaczysz go. A nawet wsiądziesz do środka. Chłopiec wyglądał na uspokojonego.

Policjant się wyprostował.

–Spójrz, tutaj wysiadamy. Chodź. Podał mu rękę. Georges wsunął w nią dłoń, po czym wyszli na palące słońce.

–Tam jest pański samochód? – zapytał chłopiec.

–Najpierw pójdziemy do mnie, żeby go zabrać.

Z wnętrza tramwaju było widać, jak się oddalają za zamykającymi się drzwiami. Teraz głos policjanta był stłumiony z powodu odległości i przeszkód.

–Gdy tylko znajdziemy się w domu – powiedział – przedstawię ci mojego przyjaciela. Zobaczysz, będziecie mogli się razem bawić.

Po czym rozplynęli się w ogromnym Kairze i wyciągającym macki tłumie.

* * *

Marion zacisnęła szczęki, żeby zdusić cały żal, który zaczynał wzbierać w jej trzewiach.

Pogładziła wargi opuszkami palców, jakby chciała przyswoić sobie własną twarz, odzyskać samą siebie, zagubioną pośród tylu istnień.

W oddali po prawej stronie ujrzała znikającą wiązkę światła wysyłaną przez latarnię morską.

I wszystkie gwiazdy: jedynych niemych świadków ludzkich tragedii od zarania dziejów.

Włożywszy powoli zdjęcie do dziennika, trzymała je przez chwilę przed sobą, zanim oddała starcowi.

–Zdaje się, że to należy do pana. Georges odebrał z jej rąk dziennik i wsunął do kieszeni.

–Teraz wie pani wszystko – stwierdził.

–Z wyjątkiem powodu, dla którego zatrzymał pan dziennik po tylu latach – odrzekła z najwyższym szacunkiem w głosie.

Obdarzył ją zmęczonym uśmiechem.

–To mi pomaga zrozumieć. Co do reszty... Byłem dzieckiem. Nie zawsze wiadomo, co popycha dziecko do działania. Dzisiaj jestem starcem. To trochę podobne.

–A co pomiędzy? – zapytała łagodnie.

–Usiłowałem zrozumieć Jeremy’ego Mathesona. Marion przełknęła ślinę, nie mając odwagi postawić pytania, które cisnęło jej się na

usta. Georges zachęcił ją do mówienia skinieniem głowy.

–I... udało się panu? Chciałam powiedzieć: przewyciężyć nienawiść? Poklepał kieszeń, w której spoczywał dziennik.

–Zdarza mi się płakać nad tym, czym było jego życie. Marion otuliła się szczelnie płaszczem przed wiatrem.

–Teraz, moja droga, chciałbym, aby potrafiła pani sobie powiedzieć, że to tylko zwykła historia. Długa i osobliwa historia, która wydarzyła się dawno temu, wraz z upływem czasu zaś staje się jedynie mglistym wspomnieniem. I aby wreszcie pani o niej zapomniała przez szacunek dla mnie. Gdybym był czarodziejem, wymazałbym ją z pani umysłu.

Położywszy dłoń na jej ramieniu, pokazał na koronkowe schody. Kiedy ruszyła naprzód, wydało się jej, że kątem oka dostrzega jakiś ruch. Georges ocierał policzki.

EPILOG

Uściskawszy Beatrice, Marion ruszyła w dół Grandę Rue.

Pożegnały się.

Zaledwie dwa dni upłynęły od zwierzeń Georges'a Keoraza, a już u stóp Mont-Saint-Michel czekał na nią sedan.

Spędziła tutaj tylko dwa tygodnie.

Poprzedniego dnia siostra Anne przyszła ją uprzedzić, że nazajutrz po nią przyjadą. Wraca do Paryża. Jeszcze tego samego wieczoru odebrała telefon. Są nowe wieści – pewien sędzia potraktował sprawę bardzo poważnie, Marion musi się więc niezwłocznie stawić. A dalej... rozmówca nie potrafił jej odpowiedzieć. Przez kilka dni będzie mieszkała w hotelu, później zaś trzeba będzie się zastanowić. Nic nie zostało załatwione. Jej wędrówka jeszcze długo potrwa.

Opuszczała to miejsce wcześniej niż się spodziewała, i to w szczególnej, niemal sensacyjnej atmosferze.

Wczesnym rankiem Marion udała się do Georgesesa, aby zostawić mu list.

List, nad którym biedziła się przez cały wieczór, żeby w końcu napisać jedynie: „Dziękuję, że podzielił się Pan ze mną swoją prawdą. Marion”.

Stwierdziła, że chociaż zdanie to nie odzwierciedla w pełni tego, co jej leży na sercu, jednak lepsze to niż nic.

Jeszcze dzisiaj się zastanawiała, pełna wątpliwości i poczucia winy.

Nie potrafiła stłumić głębokiego żalu, jaki ogarniał ją na myśl o Georgesu Keorazie i jego historii. Nadal jednak jakaś jej część była przywiązana do Jeremy'ego. Do tego, co za jego sprawą przeżyła. Czy mógł być tym potworem, którego opisywał Joe? Chwilami Marion zadawała sobie pytanie, czy przypadkiem starzec nie wykorzystał każdej luki w opowieści detektywa, żeby znaleźć w niej inne wytłumaczenie, które uniewinniłoby jego ojca. Proces ten rozpoczął się bardzo wcześnie, kiedy był jeszcze dzieckiem. Polegał na wymazaniu obecności ojca w tramwaju i zastąpieniu jej obecnością Jeremy'ego. Z kolei angielski detektyw niekoniecznie musiał popełnić błędy – jedynie coś opuścił, przytrafiła mu się jakaś niezręczność lub pomyłka spowodowana zmęczeniem.

Ledwie Marion zaczęła rozważać tę teorię, natychmiast ją odrzuciła, winiąc się za to, że podaje w wątpliwość słowa i cierpienia starego człowieka.

Wreszcie dotarła na miejsce u stóp miasteczka. Siostra Anne i brat Serge już tam na nią czekali.

Kiedy się przywitali, zakonnica wręczyła jej torbę pełną regionalnych specjałów.

Po ułożeniu walizek w bagażniku Marion usiadła z tyłu samochodu. Już mieli ruszyć, gdy nagle spostrzegła Grégoire'a, który pojawił się w bramie pod murami, a teraz biegł w jej kierunku.

–Proszę zaczekać! – zawołała do kierowcy. Grégoire przystanął przed opuszczoną szybą.

–To od mojej mamy dla pani – powiedział, odzyskując oddech. Marion wzięła do ręki paczuszkę zapakowaną naprędce w stary papier, który był już

kiedyś używany, i otworzyła. Była to pognieciona książka z pozaginаныmi rogami.

–*Jak otworzyć własną osobowość i zyskać przyjaciół - przeczytała na głos. Wewnątrz wsunięty był krótki liścik. Cóż, nie znalazłam nic lepszego; to taki drobiazg ode mnie na pamiątkę. Na nowe*

życie tam, gdzie zamieszkaż. Odwagi, moja kochana. Będę o Tobie myśleć i pilnie czytać gazety, czekając, aż pewnego dnia zameldujesz się w moim sklepie. Béa. Marion uśmiechnęła się ze wzruszeniem.

–Podziękuj jej ode mnie.

–To nie wszystko – powstrzymał ją Grégoire. – Ja... Ja muszę pani coś powiedzieć. To... W pewnym sensie to ważne.

Marion gestem ręki zachęciła go, żeby mówił dalej.

–Dziennik, który pani czytała. Marion rzuciła krótkie spojrzenie na mężczyzn siedzących przed nią w samochodzie.

–Co z nim?

–Przypuszczam, że chciałaby pani o tym wiedzieć. On jest fałszywy.

–Co?

–Tak, jest fałszywy. Musiałem to pani powiedzieć, żeby się pani dowiedziała przed wyjazdem.

–Co ty opowiadasz?

–Oni wszystko zmyślili. Żeby pani miała czym wypełnić czas. Podobno dla tych, którzy nie są przyzwyczajeni, najgorsza tutaj jest nuda. Dlatego mnisi sfabrykowali ten fałszywy dziennik. Mają na górze pracownię do renowacji starych rękopisów, wzięli więc odpowiedni papier, a później opisali całą historię w nadziei, że pani się rozerwie, że będzie miała zajęcie. Dzięki temu nie miotała się pani jak lew w klatce.

–Grégoire, robisz mnie w trąbę?

–Przysięgam, że nie. Sprawiał wrażenie bardziej niż poważnego, niemal zrozpaczonego, że musi jej to

wyznać.

–W gazetach z tamtych czasów znaleźli kronikę wydarzeń i dopowiedzieli to, co przyszło im do głowy. Następnie umieścili wszystko w Avranches i wysłali tam panią z zamiarem oddania pani dziennika do przeczytania pod pretekstem, że okładka nie pasuje do treści, a żadne z nich nie zna angielskiego. Traf chciał, że sama go pani znalazła.

Marion miała nogi jak z waty i wilgotne dłonie.

–Nawet zdjęcie było lipne. To stara fotografia, którą wykorzystali do wymyślenia tej historii. Joe był wtajemniczony, bo należał kiedyś do wspólnoty, akurat to jest prawda, a ponieważ pani sądziła, że to ktoś z zewnątrz, budził większe zaufanie.

Marion czuła się zagubiona. Sama nie wiedziała, co myśleć.

–Przykro mi, że mówię to pani w taki sposób. Ale lepiej, żeby pani wiedziała. Miała ochotę odpowiedzieć, że całkowicie na to gwizdże, że w ogóle przestało ją to

obchodzić, jednak tylko w milczeniu skinęła głową.

W co powinna wierzyć? W to nieoczekiwane wyznanie czy też w bardziej dramatyczne zwierzenia Georges'a? Istniała jeszcze trzecia wersja... Wersja Jeremy'ego; ta, którą przedstawił w dzienniku.

Czując się niezręcznie, Grégoire cofnął się i pomachał jej na pożegnanie otwartą dłonią.

Sedan ruszył, podczas gdy elektronicznie sterowana szyba podnosiła się do góry.

Włosy Marion wychłostały ją po twarzy, po czym z powrotem opadły. Opuszczała Mont-Saint-Michel z głową pełną pytań, przeszukując wzrokiem jego skomplikowaną architekturę w nadziei, że znajdzie odpowiedzi.

Zdążała do innego świata, zabierając ze sobą historię, o której sama już nie wiedziała, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy Historię, która ją porwała.

Jej historię.

Długo jeszcze widziała przez tylną szybę potężny i masywny Mont-Saint-Michel, który strzegł zatoki.

Strzegł swoich tajemnic. Podobnie jak mieszkańców.

Nagle przypomniała sobie słowa Béatrice: „Jeśli trzeba, pomagamy sobie wzajemnie, zaciskamy zęby i potrafimy dotrzymać tajemnicy, która nie powinna wyjść za mury”.

Przez chmury przebijało się słońce. Mont-Saint-Michel zniknął za zakrętem.

*** * ***

Czarna książka leżała na ławce, a w jej skórzanej okładce odbijał się blady promień słońca. Ktoś starannie zszyl oddarty fragment, pod którym była schowana fotografia.

W rzadkim świetle lśniły słabo złote litery tytułu.

Narrative of Arthur Gordon Pym

Tytuł powieści bez zakończenia dla zamaskowania prywatnego dziennika.

Grégoire podszedł bliżej i usiadł na ławce.

Tymczasem na książce spoczęła czyjaś ręka o pomarszczonej, usianej piegami skórze i sterczących żyłach.

–Powiedziałeś jej? – zapytał czyjś łagodny głos z ledwie dosłyszalnym akcentem. Grégoire spojrzał na starca. – Tak.

Joe pokiwał głową. Czekał kilka minut, aż słońce trochę go ogrzeje.

–Sądzi pan, że to było konieczne? – zapytał w końcu Grégoire. – Żeby jej o tym powiedzieć?

–Tak. Było konieczne.

–Dlaczego? Nie jestem tego taki pewien... Prawda nie...

–Prawda? Czym w gruncie rzeczy jest prawda? Powiedz mi.

Uczonym i poważnym tonem starzec wyrecytował to, nad czym tak często medytował:

–Fikcja staje się prawdą, jeśli tylko się w nią wierzy. Prawdą określonej osoby. Ale oczywiście prawdą w jej oczach. Podobnie świadek cudu albo pojawienia się Matki Boskiej wierzy, że to, co zobaczył, jest prawdą. Nieważne jest zdanie innych; wszystko opiera się na punkcie widzenia. Poza wielkimi prawdami świata nie ma jednej uniwersalnej prawdy, ale nasze prawdy osobiste. Istnieje jedna osobista prawda dla każdej istoty na tej planecie.

Joe cieszył się słońcem jeszcze przez chwilę.

–Pozwól jej wybrać własną prawdę – dodał. – Czasami wystarczy umieć czytać między wierszami. Jeśli będzie uważna, sama się dowie, w co powinna wierzyć.

Pogładził jeszcze raz dłonią okładkę dziennika.

–Zresztą nasza prawda dotyczy tylko nas.

Tak się kończy ta historia.

Nie bądź zaskoczony, bo to nieco... osobliwe zakończenie wcale nie budzi rozczarowania, jeśli się dobrze nad nim zastanowić. Wszystkie klucze do tej zagadki zostały umieszczone w tekście.

Pragnę podziękować tym osobom związanym z książką, które zawsze za mną stały, od początku mojej przygody.

Niniejszą powieść o prawdzie dedykuję właśnie im.

Niech mój wydawca i cała jego wspaniała ekipa otrzymają podziękowania, do jakich nie jestem zdolny.

Na szczególną wdzięczność zasługuje Francois Saint-James za znajomość Mont-Saint-Michel i za nasze nocne wędrówki po jego uliczkach i korytarzach. Gdyby w książce znalazł się jakikolwiek błąd dotyczący Mont-Saint-Michel, pochodziłby ode mnie. Proszę również o wybaczenie, że odmalowałem wspólnotę religijną jako nieco „surową”, ale uczyniłem to na potrzeby powieści i w żadnym razie nie jest to wierny portret.

Kilka słów na temat Kairu z roku 1928. Większość opisanych miejsc i wydarzeń jest prawdziwa. Na przykład przyjęcie z okazji Allenby Cup w hotelu Shepheard's odbyło się naprawdę – nic nie przesadziłem. Dekoracje, atmosfera, podobnie jak wzmiankowane osobistości rzeczywiście tam były tego wieczoru. Staroświecki urok tramwajów, historia podziemi pod kamienicami, ogrody z basenami z rtęci – wszystko to w jakimś stopniu tworzy melancholijny klimat tej części powieści. Pragnąłem to uściślić, aby wspomnienia o tym były dla czytelnika czymś więcej niż tylko zwykłym tłem akcji.

Na koniec zaś zapraszam Cię – towarzysza lektury, który chciałby posunąć się dalej w refleksji nad niniejszą książką – do przypomnienia sobie szachownicy Polibiusza... 44 55 51 31 11 25 33 34 24 15 34 11 44 45 43 35 34 24 15

www.maximechattam.com Do zobaczenia wkrótce. Maxime Chattam Edgecombe, 4 lutego 2005 roku

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-04-24

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/